

JÓZEF OPATOSZU

W
POLSKICH

AVT-PRZEKŁAD Z ŻYDOWSKIEGO
SAVA WAGMANA

WYDAWNICTWO E. GITZINA • WARSZAWA • WEINTRAUB

Dar

Coj p. Racheli Chmielowa

St. Biblioteki

Gabinet Filologiczny

25/VI 1927.

JOZEF OPATOSZU

W lasach polskich

BADAN INSTITUTE PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-53

**W LASACH
POLSKICH**

AVT. PRZEKŁAD Z ŻYDOWSKIEGO
SAVIA WAGMANA

WYDAWNICTWO E. GITZINA • WARSZAWA • WEINTRAUB


„W lasach polskich”, — J. Opatoszu
COPYRIGHT BY JOSEPH OPATOVSKI
NEW YORK 1921

Z upoważnienia autora przełożył z
żydowskiego Saul Wagman o o o o
Wszelkie prawa tłumacza zastrzeżone
przez związek literatów i dziennika-
rzy żydowskich w Warszawie. 1921

Okladka Władysława Weintrauba. o o

Wydawn. E. Gitlina. Warszawa. 1923
Pierwszego wydania odbito 3000 egz.

Tłoczono w drukarni Sikory i Milnera



Ojcu mojemu, kabaliście Dawidowi Opatowskiemu,
Matce mojej Nanci z lasów lipowickich —
pokój Ich duszom,



1085

CZĘŚĆ I.

W lasach polskich.

**INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 71
Tel. 26-68-63**

ROZDZIAŁ I.

Ród Mordchego.

Mordche, ojciec jego, dziadek, pradziadek, wszyscy jego przodkowie—aż po szóste pokolenie—urodzili się w lasach lipowickich, zawierali między sobą małżeństwa i żyli rodzinami. Co rok na święta Chanuka wszyscy familjanci zjeżdżali się do najstarszego w rodzinie i tam się ze sobą obrachowywali.

Za starych, dobrych czasów zjeżdżało się ich ponad secinę: chłop w chłopa, jak te drzewiska w lesie. Zasiadali do dębowych stołów, na których do północy kreślili kredą paseczki i kółka, zjadając świeże skwarki i pieczone kaczkę, (kobietom aż ręce opadały od skubania pierza) popijając domowem piwem i kłócąc się zęb za zęb. Skorzy do gniewu, jako że byli kohe-nami, często brali się za łby i tłukli się wzajemnie aż do krwi, ecz wnet się przepaszali, kojarzyli między sobą dzieci swe w związki małżeńskie i rozjeżdżali się do domów.

Gdy któryś z nich, co się często zdarzało, wyprawiał weselisko, samych powinowatych zjeżdżało się około trzechset gości.

Każda rodzina sprowadzała ze swej miejscowości rabina oraz własną kapelę.

I grano pod gołem niebem, i kłócono się zawzięcie, i omal nie zrywano małżeństwa tuż przed ślubem, i znowu się przepaszano, i tańczowano po wszystkich komnatach, po śpichrzach, gumnach i po lesie.

Z nadmiernego dobrobytu i próżnowania młodzież poddawała

się afektom i wdawała w romanse, wygrażając rodzicom, iż jeśli będą im stawiane przeszkody, otrują się na śmierć. Rodzice zaś brali za pas, okładali na wszystkie boki i wypędzali z domu. Młodzież opamiętywała się i wracała do rodziców.

A gdy zdarzało się nieraz, iż rybak z drugiego brzegu Wisły zadurzył w sobie córkę i ta szła z nim do ślubnego ołtarza w pobliskim kościółku, młodzież oczekiwała młodej pary na trakcie i odbijała dziewczynę od parobka, jako że nie chciała mieć przechrzty w rodzinie. Dziewczyna ze sromu rzucała się do Wisły i hańba była zmyta.

Tako żył ród Mordchego w lasach lipowickich od dziada pradziada... Zwyczajni, dobrzy żydzi pędzili tam prosty swój żywot, aż do siwej starości. Nie lubili łamdenów, lecz mieli respekt przed rabinem. Nieobarczeni nazbyt troskami gromadzili w kufarach dobytek i majątność, rozmnażali się licznie, do lat szesnastu trzymali melamedów do swych dzieci, które nie nauczyły się więcej, ponad odczytywanie modlitw i Tory z chimeszu. Umiejętność zaś recytowania Tory z rodaków należała do rzeczy niezmiernie rzadkich.

Razu pewnego w święta Chanuka po waśniach obrachunkowych, zajezdzonych tłustem kaczkami, pradziadek Mordchego najstarszy naówczas członek rodziny nagle zasłabł. Ani starsi rybacy, ani balwierz, ani doktor miejski nie mogli mu ulżyć. Chwila była groźna. Żydzi obsiedli dokoła chorego, pykali fajki nałożone mocnym tytuniem. Zrezygnowani, każdy w duszy medytował, kto odziedziczy rodakły (rodakły przechodziły do najstarszego w rodzinie, do którego zjeżdżano się w Chanuka dla obrachunków). Wtem pod okno podjechała bryka dwukonna, z której wysiadł jakiś żyd i prosił o nocleg. Jak się okazało, towarzyszył w drodze „cadykowi“ z Lublina. Zaledwie „lubelski“ przestąpił próg pokoju i przyłożył rękę swoją do czoła chorego, natychmiast mu ulżyło. Starzec poruszył się i usiadł na krześle.

Odtąd rodzina Mordchego zaczęła jeździć do „lubelskiego“.

następnie do „przysuskiego“, wreszcie do „kockiego“.

Jako że byli gorącymi żydami, stali się teraz płomiennymi chasydami, zasiadali na poczesnem miejscu za stołem „cadyka“, zaprzestali już kojarzyć małżeństwa pomiędzy sobą, a gdy szło o wydanie dzieci jeździli po zięciów i synowe do „cadyka“.

Powoli żydzi leśni powysyłali synów swoich do innych miejscowości, dla córek zaś sprowadzali chasydów - łamdenów, którzy natychmiast po ożenku osiadali w okolicznych miasteczkach, nie chcąc żyć w dalekich, odludnych, mrocznych borach.

Tako żydzi leśni rozsypali się po całej Polsce, po Wołyniu, przestali się w rodzie swym rozmnażać, rozgałęziać, jako też na święta Chanuka zjeżdżać się i obliczać u najstarszego w rodzinie. I po upływie dwóch pokoleń z całego rodu pozostał się jedynie w lasach lipowickich ojciec Mordchego.

Od dziada pradziada żyła rodzina Mordchego w lasach lipowickich. Lubo piastowali tylko urząd „pisarzy“ las, jakgdyby był w ich władaniu, tak, że uchodzili wszędzie za lasu tego prawych gospodarzy.

Gdziekolwiek powstawał nowy kahał żydowski, tam rodzina Mordchego natychmiast posyłała budulec, pół Polski zaopatrywała w drzewo na bóżnice i beth-hamidrasze, a dla iluż talmudtor dostarczała opał na zimę?

Chłopi z okolic zbierali swobodnie i dowoli gałęzie ze zwalonych drzew, a niech umrze gdzieś biedny chłop — rodzina Mordchego wnet dawała deski na trumnę.

Z prawa — gęste bory lipowickie, kędy odwieczne bory ze starości padały, kruszyły się i wypuszczały nowe, jeszcze mocniejsze dębczaki; z lewa — tłuste łąki, na których bielone chałupy rybaków wynurzały się z pośród wysokiej trawy.

Cała okolica była odludna i oddalona od człowieczych osiedlisk. Dzieci rybaków, na płaszczyźnie, jakby odciętej od całego świata, rozesełanej między wodą a lasami, wzrastały nawpół łzkie i, jak struchlałe zwierzątka, chowały się przed przejeżdża-

jącymi ludźmi.

W dzień rybacy sypiali. Sypiali zaś, jak cyganie, rodzinami. Zwaleni w jednym pokoju, wszyscy — ojciec, matka, dzieci, synowe, zięciowie — leżeli razem na słomianych workach. W nocy mężczyźni najedzeni, wypoczęci udawali się na połów. Kobiety przeżegnwały ich na drogę, wsuwając im do ręki nieco przypiekanych ziaren pszenicznych na przynętę dla ryb i biczyki z wilczymi zębami, jako talizman, ażeby Wanda, królowa Wisły, ich nie uwiodła.

Zdrowi, ogorzali rybacy, którzy już nieraz stykali się ze śmiercią oko w oko, zachowali pośród wody i lasu naiwność dużych dzieci i, znając mowę dziecięcą, porozumiewali się i gawędzili z każdą falą, z każdym wirem, z każdym szmerem rzeki.

Rybacy wyciągali się nawznak w łodziach i, rzuciwszy do wody przypiekane ziarna pszeniczne, nasłuchiwali szumu toni. A gdy Wisła poczęła się pienić, jak wrząca woda, rybacy już poznawali, że będzie dobry połów. Zadowoleni, przygotowywali sieci i nadstawiali ucha. Szum coraz się wzmagał. Gromady małych rybek, jak srebrne drobne kry, przemykały chyżo, znikwały i znowu się wyłaniały. Wygłodzone szczupaki, karpie, liny z rozwartemi pyszczkami goniły za niemi.

Rybacy powoli zanurzali sieci do wody, raz po raz wyciągając z cholewy „brzuchatkę” gorzały, od której się rozgrzewali i rozmarzali. Marzyli zaś o owych błędnych ognikach, świecących w nocy na wodzie i wyblyskujących z za boru tam i sam, jak ślepie wilcze. Wierzyli głęboko, że to skarby — skarby Wandy. Aliści uganiać się za błędnym ognikiem nie wolno — uwiedzie.

A gdy Wisła się rozigrała, wzburzyła, spiętrzywszy się pod księżycem, jak zielonawe tafle lodu, rybacy błagali ją, jak dzieci matkę, aby się zmiłowała i sfolgowała. A gdy bałwany nie miłkły, rzucali Wandzie wilcze zęby, jeden za drugim i związywali wszystkie łodzie razem do zapuszczonej kotwicy. Potem

zapalali porcelanowe fajki, pluli do wody i powtarzali za starymi rybakami, iż połów staje się z roku na rok gorszy, iż Wanda jest uwięziona, iż Wisła została rozkrajana, iż minęły stare czasy, kiedy to rybak mknął po wodzie, jak strzała.

A tam Wanda pruje taśmę wód i idzie w noc. Rozpościera swe ręce coraz szerzej i przytula do siebie całą Wisłę, skarżąc się przed swemi dziećmi, że zanieczyszczono jej rzekę, że obcy ludzie obiegli ją, jak szarańcza, że jej duszno. I młodzi rybacy gasili latarnie, ze złości pluli w pięście i, ścisnąwszy mocniej wiosła w ręku, ślizgali się po wodzie, jakby po giętkim grzbiecie olbrzymiego zwierza: przekradali się tak do wód „rządowych”, gdzie połów jest obfitszy.

Tako żyli rybacy od dziada pradziada, zdala od ludzkich siedzib i, jak dęby, wzrastali z lnianemi kudłami, ze stalowemi oczami, a choć dźwigali już ósmy krzyżyk, lyskały im jeszcze wszystkie zęby — żółte, jak te stare, żółtawym mchem zarosłe pniaki.

Rzadko kiedy chodzili do kościoła, a jeszcze rzadziej na spowiedź. W wigilję Wielkenocy składali się razem i szczodrym datkiem sprowadzali księdza, ażeby pieczywo wodą święconą pokropił. W drugi dzień święta wszyscy — młodzi i starzy — wypucowani i ustrojeni szli do lasu, zapraszali „pana pisarza” i razem prowadzili z paracą do Wisły bałwana ze słomy o wielkich oczach z kolorowych jaj. Także rodzina Mordchego wierzyła z głębi duszy, iż Wisła pożąda swojej ofiary, więc co rok wytaczali beczki z piwem i wśród śpiewów chasydzi „koccy” wraz z rybakami składali Wandzie ofiarę — wrzucali bałwana do Wisły.

ROZDZIAŁ II.

Mordche i jego ojciec.

Ojciec Mordchego reb Awrum miał drugą żonę. Około pięćdziesiątki, średniego wzrostu, z długą siwą brodą aż do pasa, reb Awrum należał do typu tych żydów, którzy pieniędzy nigdy nie kładą do sakiewki, lecz rozsypują je po wszystkich kieszeniach, aby brzęczały i aby przy dawaniu ofiar łatwiej było sypnąć pełną garścią.

Reb Awrum był człkiem zamożnym. Ludzie twierdzili że gdyby nie jego „bzikowatość“ zostałby bogaczem. Dziedzice okoliczni nieraz się doń zwracali — wprost błagalnie — ażeby kupował u nich zboże.

Nic jednak oprócz działku lasu od nikogo nie chciał nabywać. A gdy się dowiedział, iż Szmaja Szaft, chasyd z miasta, dusigrosz—który przez długie tygodnie był na jego stole i łożu i któremu wyrobił „dróżkę“ do dworów — skupuje pół darmo pańskie zboże na pochowanie, wyciął mu kilka policzków, krzyżąc, że to obraza boska i nakazał, aby go więcej nie wpuszczano do jego domu. Szmaja wytarł sobie usta, jakby nigdy nic nie zaszło i choć był już wtedy bogatszy od Awruma, gdyż siedział na grubych tysiącach, jednakże płaszał naokoło niego na czworakach i patrzył mu w oczy z pokorą bitego psa.

Awrum co rok jeździł kilkakrotnie do Kocka. A gdy wypadało mu się zatrzymać w drodze na sabat, wyprawiał własną biesiadę, zapraszając do stołu wszystkich chasydów z miasta

swego postoju. Chasydzi „koccy“ unikali u stołu rozmowy w przedmiocie Tory. Lubo wiedzieli, iż Awrum jest pokutnikiem, nie mniej jednak mieli go za lekkoducha, żartownisia i kpiarza, nie oszczędzającego nawet własnego „cadyka“. Raz za stołem sabatowym wywołał z grona biesiadnego jakiegoś chasyda-pryglupka i zapytał go na ucho tak, żeby wszyscy słyszeli, dlaczego reb Mendele otacza się tyloma ciotkami i szwagierkami, jak, nie przymierzając, ksiądz w jego wsi. Porównanie to powtarzał kilkakrotnie, śmiejąc się hucznie, jak z pustej beczki. Albo też gdy po śmierci żony reb Mendele pojął jedną ze swych krewnych i ta sześć miesięcy po ślubie powiła dziecko, reb Awrum oświadczył wobec całej gromady chasydów, że dziś wyjaśnił mu się cały sens wersetu: „Mełachton: szel cadykim nasis al jedaj achajrem“ — „Praca cadyków wykonywana jest przez innych“

— Ot, nic! Nic przez to nie myślę! Myślę Boga — Boga myślę! — Mówił Awrum słowami urywanemi, jakby się usprawiedliwiał przybierając przytem głupkowatą minę i śmiejąc się hucznie.

Chasydzi, którzyby innego na jego miejscu trupem położyli, uśmiechali się bezmyślnie z powodu jego drwinek. Wstydzili się wzajemnie wobec siebie, doznając uczucia, jakgdyby jakiś goj stroił sprośny żart w obecności uczonych mężów żydowskich. Uczeni nie wezmą tego do serca, wszak wiedzą, że to goj. Tak się odnosili do jego szyderstw, wiedząc, że choć ma język, jak na kołowrocie, jest jednak człowiekiem dobrego serca, z duszą żydowską, hojny i rozrzutny. Więc puszczano jego słowa mimo uszu.

Z pierwszą żoną Awrum nie miał dzieci. Gdy siedząc nad kieliszkiem trunku z chasydzkimi birbantami, był już pod dobrą datą, opowiadał, że przy „pierwszej“ wyprawiał harce zgoła „nieżydowskie“ i że nie jedno małżeństwo w okolicznych miasteczkach omal nie szło z jego przyczyny do rozwodu.

Po śmierci pierwszej żony stał się pokutnikiem. Sprowadził do siebie młodzieńca, anachoretę, z Kocka i poświęcił się nauce bożej. Akuratnie w rok po śmierci żony (skończył wtedy czterdzieści lat) pojął biedną dziewczynę, córkę rabina, imieniem Dwojrele. Pochodziła ze znakomitego rodu. Rabin w liście doń pisał o niej, że poczęta została „bikdysie iwtahare” — „w świętości i czystości”. W dniu zamążpójścia Dwojrele nie miała jeszcze ukończonych szesnastu lat. Była bardzo delikatna, wstydliva, podobna do subtelnego bluszczu, który za lada dotknięciem więdnie. W pierwszych miesiącach po ślubie Awrum nieustannie doznawał uczucia lęku, zdawało mu się, że gdy ją obejmie, wnet mu się w ramionach przełamie. I ciągle też miał wrażenie dorosłego, silnego mężczyzny, który trzymając małe dziecko, obawia się, ażeby uściskiem swych rąk nie sprawił bólu.

Dwojrele była bardzo pobożna, nie rozstawała się nigdy ze swym kobiecym modlitewnikiem, wiecznie coś szeptała i we wszystkim była powolna mężowi. Nieustannie posyłała datki „cudotwórcom”, w wigilję sabatu i świąt odmawiała nabożeństwo nad dziewięciu świecami, a gdy Awrum raz objął ją w chwili modlitwy, nie opierała się i, stojąc w oniemieniu, jak cichy gołąb, rozplakała się, iż zato Pan Bóg karze ją bezdzietnością. Także zaraz po zamążpójściu zaczęła chorować.

Awrum obchodził się z nią, jak z królową, każde miejsce na którym stała, było dlań święte, jeździł z nią do Gdańska do doktorów, a ze swoich podróży przywoził jej drogocenne prezenty.

Trzy lata po ślubie Dwojrele urodziła syna. Mordche wyrastał zamyślony, nieśmiały. Po całych dniach włóczył się ze swym rówieśnikiem, Wackiem, synem leśnika. Za lat chłopięcych Mordche był małomówny i na pytania ociągał się z odpowiedzią przez chwilę zamyślony, jakby z trudem ogarniał zadane mu pytania. A gdy już odpowiadał, to plótł głupstwa, przyczem rumienił się i patrzył swemi dużemi i szaremi oczyma, od których

promieniały spojrzenia tak swobodne i miękkie, iż każdego ujmowały i uspasabiały dlań miłośnie. Jako chłopiec, Mordche wyróżniał się z pośród swych rówieśników tem, iż nie mógł się przyglądać, jak dzieci rybaków męczą domowe zwierzęta. Pomimo to nieomal obojętnie patrzył po raz pierwszy na rzezaka, który na ich podwórzu zarzynał kury. Potem w przeciągu całego tygodnia co noc śnił mu się rzezak z okrwawionym nożem w ustach, wytrzeszczający miękkie i przerażone oczy (prawie wszyscy rzezaczy mają miękkie i przerażone oczy). Obraz ten tak go nękał, iż pewnej nocy zerwał się oszołomiony, usiadł na poręczu łóżka, długo ziewał, wreszcie powstał z łóżka i udał się wprost do kurnika. I gdyby tam ojciec nie nadszedł przypadkiem, niktby nie uwierzył, iż Mordche o wielkich rozmarzonych oczach, który nigdy muchy nie tknął, kuchennym nożem zarzynał kurę.

Zdarzenie z kurą utkwilo mu w pamięci na całe życie, również zapamiętał na zawsze owe chłosty, jakie mu się dostały od ojca, lecz nigdy nie mógł zrozumieć, w jaki sposób wpadł na ten pomysł.

Gdy Mordche liczył już dziesiąty rok, Awrum sprowadził dlań melameda do nauki talmudu. Melamed, żyd lat pięćdziesięciu, z łysiną, na której z przodu sterczało kilka osierociałych włosów i z karkiem, na którym kędzierzawiły się rzadkie kosmyki włosów, jak u dziecka, nosił na czubku głowy przetłuszczoną jakby przylepłą do łysiną jarmułkę. Odziany był latem i zimą w repsową, wystrzępioną kapotę, na której już nie było śladu po repsie, z wyjątkiem podszevki, co świeciła dwoma rzędami dużych i szerokich guzików. Twarz jego, na której bulgotał tłusty uśmiech, obrośnięta była kołtunowatą, siwą brodą, wspinającą się aż po oczy. Bez tej brody twarz jego podobnaby była do tarczy księżycowej. Na samym środku brody miał wyżłobiony żółty rowek, jakby wygryziony przez szczypty tabaki, wiesznie mu kapiące z nosa.

Melamed Szlojme był leniwy, jak cygan. Chłopcem nie zaj-

mował się zgoła, wylegiwał się po całych dniach na kanapie, z ręką pod głową, zażywając tabaki i opowiadając chasydzkie opowiadki.

A opowiadanie tych znał coniemiarą. Z tym samym zapalem, z jakim opowiadał o „cadyku“, opowiadał również o Napoleonie III. Wierzył głęboko, iż Napoleon jest największym czarodziejem, iż posiada takie maszyny, które ustawione na polu walki, zmuszają wojska nieprzyjacielskie do kichania i w ten sposób wygrywa wszystkie bitwy.

Szlojme był wesołym, dobrodusznym chasydem. Nigdy się nie złościł, rzadko kiedy gniewał się na ludzi. Wyjątek stanowili gaon wileński i własna jego żona. Nigdy w życiu nie przebaczy gaonowi wileńskiemu jego swarów z Bal-Szemem, dzięki czemu oddalony został „kec“—koniec świata i przyście Mesjasza. Co do żony, z którą nie żył już od kilku lat, pałał do niej utajoną nienawiścią i unikał rozmowy o niej. Przed świętami, gdy wszyscy domownicy byli zaaferowani, Szlojme chodził od pokoju do pokoju zachmurzony, nadęty, nie mogąc sobie nigdzie miejsca znaleźć. Przestał niuchać tabakę, natomiast popijał czystą okowitę, kłął na czem świat stoi i szukał kogoś dla wylania serca. Wszelakoż nastrój taki nie trwał u niego długo. Przylada sposobności zamykał się z Mordchem w oddzielnym pokoju pod pozorem nauczania go nakazów, tyjących się święta i tam przed uczniem swoim rozbeczał się rzewnymi łzami. Mordche wzruszony też płakał i ze wstydu nie śmiał podnieść wzroku na swego melameda. Szlojme zapominał wówczas, iż ma przed sobą małego chłopca i zwierzał się przed nim, jak przed przyjacielem, ze wszystkich utrapień i cierpień. Złorzeczył żonie, nie pozostawiając na niej suchej nitki. Nie mawiał o niej inaczej jak: „Zewes unieszczęśliwiła mnie“, „gdyby nie ta sekutnica nie włóczyłbym się na starość u obcych stołów, nie zaznałbym doli melameda“. Mordche nic z tego nie rozumiał, lecz przed oczyma jego stawała żona melameda, wysoka, chuda kobieta z rogiem na czole, jak Wasztia.

A gdy Szlojme wyplakał się dowoli, to jakby ręką odjął: przedzierzgał się z powrotem w dobrodusznego chasyda, mniej pił, a więcej niuchał galicyjską tabakę, nieustannie śpiewał i był wesół, jakby nie doznał żadnych utrapień. Trwało to tak, aż do następnych świąt.

Mordche zaś naodwrot: ilekroć melamed rozszlochał się przed nim, chłopiec chodził wzburzony i litując się nad nim, myślał, że Szlojme jest najnieszczęśliwszym człowiekiem na świecie, człowiekiem najbardziej opuszczonym i samotnym. Miał wtedy wielki żal do siebie, że czasami bywał nieposłuszny, że nieraz go wyśmiewał i odtąd ślubował w duszy rebemu posłuszeństwo i miłość, jak własnemu ojcu.

Gdy Mordche liczył dwunasty rok, odczytywał już sam, bez pomocy, rozdział gemary, jeno że był ciągle zamyślony czy zagapiony. W najlepsze wśród nauki wyskakiwał naraz z pytaniem dlaczego łysina występuje na głowie, a nie na brodzie albo wyciągał z kieszeni zieloną żabkę i puszczał ją na spacer po gemarze.

Szlojme śmiał się z pomysłów swego ucznia i nigdy go nawet nie tknął. Lecz raz matka skarciła Mordchego w obecności rebego, iż nie przystoi dorosłemu chłopcu, uczącemu się już gemary, aby zadawał się i bawił z córkami rybaków albo na wet z Rachelą, córką pachciarza. Mordche milczał, patrząc matce wprost w oczy i oblewając się rumieńcem. Szlojme zaś sunął wzburzonym krokiem po pokoju, spluwał nieustannie, jakby mu do ust mucha wpadła. Zaledwie matka wyszła, posadził chłopca za stołem i w milczeniu położył przed nim księgę „Rajsis chochme”.

Potem stanął za jego plecami i wspierając swe owłosione ręce o stół, rozkiwał się nad głową chłopca, trąbiąc mu w ucho:

— Ty, zatraćńcze jeden! Wyrzutku Izraela! Z dziewczętami, z szyksami? Przeklętniku, ty!



I po raz pierwszy od czasu nauki Szlojme uszczypnął Mordchego. Chłopiec aż podskoczył, zmieszał się, nie rozumiejąc czego rebe od niego chce. A gdy poczuł, że broda rebego człoga się po jego karku, po twarzy, jak małe, śliskie węże, wstrząsnął nim zimny dreszcz, wyrwał się z pod jego rąk, uciekł i przepadł z rybakami na kilka dni.

Tako Mordche wzrastał na duże dziecko, patrzące każdemu wprost w oczy, rozmówane w rybakach, w melamedzie i nie znające strachu. Wierzył rebemu, iż Arystoteles przekazał Rambamowi nazwę pewnej żyłki w człowieku, który—gdy się ją po śmierci wykroi—znowu ożyje. Wierzył także Wackowi, iż w głębi boru znajduje się wierzba, która nigdy nie słyszała szumu wody, ani piania koguta, a gdy się z tej wierzby wystruga fu-jarkę i pogwiżdże na niej, to można obudzić zmarłych w grobie.

Dwojrele wciąż rozpaczała i ronila łzy, że Mordche wyra- sta na dzikusa, wygląda, jakby miał—bez uroku—ośmnaście lat, a przed człowiekiem nie potrafi pary z ust wypuścić. Nalegała, ażeby Awrum go wysłał do jej ojca: tam nabierze nieco ogłady.

Awrum nie lubił swego teścia i odkładał wyjazd z miesiąca na miesiąc. Tymczasem nawinął się bogaty kupiec zboża, zawarł z Awrumem tkies-kaf i Mordche „stał się” narzeczonym. Mechytn domagał się, ażeby Mordche przebywał na nauce Tory u dziadka—rabina, ojca Dwojrele.

Mordche liczył czternasty rok, gdy Awrum sprowadził go do dziadka, podówczas już starca sześćdziesięcioletniego.

Rabin reb Mojsie był niskiego wzrostu, niepozorny, zwię- dły, miał drobne, wodniste oczy i rzadką bródką, która żadną miarą nie chciała oswiecić. Podczas rozmowy zazwyczaj nie pa- trzył człowiekowi w twarz, lecz oglądał swoje paznogie, jak czynią to żydzi podczas habdali.

Reb Mojsie jeździł wprawdzie do „cadyka” w Kocku, w głębi duszy był jednak misnagdem, do chasydów pałał niena- wiścią od wczesnej młodości. Jeszcze jako młodzieniec przybył po

raz pierwszy do miasteczka z listem od reb Lejbusia, męża wielce uczonego i biegłego w nauce bożej. List zaadresowany był do starego rabina i polecał, aby on, reb Mojsie, przy wywołaniu do Tory został uczczony imieniem „morejny”—„nasz nauczyciel”. Chasydzi pomimo sabatu podarli list na skrawki, krzycząc, iż nie chcą mieć pomiędzy sobą „arystokratów”.

Rabin reb Mojsie dniem i nocą pogrążony był w nauce bożej, nienawidził nieuków, a co najważniejsza—był pobożny aż do obłądu. Z powodu najmniejszej przewiny prześladował i gnębił najznakomitszych obywateli miasta, mścił się zawzięcie, tak, że wszyscy go się bali, drząc przed nim, jak przed królem.

Co piątek w towarzystwie szamesa obchodził całe miasteczko od kramu do kramu, próbował każdą wagę, wszystkie gwichty. I nie jednemu kupcowi zabierał ciężarki, lub też nakładał nań grzywnę pieniężną. Przed zapaleniem świec otwierał stojący w „pokoju dla sądu” kufer z miedzianem okuciem, przeliczał posagi, ciułane u niego przez biedne narzeczone, i z cichą radością szedł do bóżnicy na „powitanie” sabatu.

Na początku Mordche, jakby stracił przytomność umysłu: tak był oszołomiony nowem otoczeniem. Nieustannie myślał o tem, jakby stąd uciec od domu. Dziadek nie spuszczał zeń oka, ciągle go strofował i przy każdej sposobności zwymyślał, iż wyrośnie z niego takie ladaco, jak jego ojciec. A gdy raz rabin zastał go śpiącym bez krymki, groził, że przywiąże go nogą do łóżka na całą noc.

Dziadek baczył, ażeby Mordche zajmował się nauką bożą od rana do nocy. O godzinie szóstej nad ranem budził go do gemary, w dzień posyłał go do beth-hamidraszu, a wieczorem zasiadał z nim do talmudu.

Mordche nigdy nie słyszał od dziadka pochwały albo dobrego słowa i, choćby jaknajlepiej recytował i rozumiał „traktat”, starzec zawsze odnajdywał jakiś błąd i nigdy nie był zeń zadowolony. Nauka z dziadkiem była dlań utrapieniem. A gdy Mord-

che naprawdę już czegoś nie rozumiał, rabin zapalał się, jak płomień, ciskał swą kolorową chustę na gemarę, otwierał srebrną tabakierkę i, przysuwając ją do nosa, krzyczał:

Naco ci zresztą nauka, głupcze! Łamden już nie w cenie! Wszak będziesz z ojcem swoim w Kocku i tak siedział na przedzie!

Mordche cały płonął, patrząc na jego drżący chudy nos i na sznurki warg, tak cieńkich jak u jego matki. Gniewało go, dlatego zawsze wypomina mu ojca. Raz nie mógł się już więcej wstrzymać:

— Więc dziadek nie powinien był ojca mego wziąć za zięcia.

— Respekt, bezczelniku!—wrzasnął rabin i wskoczył z miejsca

Chodził po pokoju szybkim krokiem, nadęte nozdrza aż gwizdały, wycierał czoło, rozmachiwał rękoma, jakby sam ze sobą się spierał. A gdy ochłonął z gniewu, położył rękę na ramieniu wnuczka i tonem dobrotliwym rzekł: „O, ciężko być mełamedem, ciężko! „Łoj hakapdn mełamed“—„Popędliwemu nie być mełamedem”. I wyszedł z pokoju.

W pierwszym roku Mordche cieszył się w miasteczku dobrą opinią. Mówili wszyscy, że wyrosnie z niego przykładowy mąż i bogobojny żyd.

Mordche zaś czuł się w domu dziadka bardzo źle. Nie mógł się z nim żyć i ciągnęło go do lasu. Ponadto Mordche zauważył, iż wszyscy chłopcy w beth-hamidraszu mają go za skromnisia i, omijając go, w obecności jego zazwyczaj urywają rozmowę o pieprzonych miejscach w gemarze „Hilches-ises” — „Przepisy pożycia płciowego”.

Traktat ten każdy chłopiec umiał na pamięć. Mordche ukradkiem odszukał owe ustępy, pochłaniał ich treść, dziwiąc się, że dotąd uszły mu z pod uwagi, choć odczytywał je dziesięciokrotnie. Rzuciło mu się w oczy, iż stronicie tego traktatu są bardziej zmięte i brudne, niż inne oraz że w kilku gemarach z nadmiaru użycia litery były wytarte nie do poznania.

Ilekróć Mordche wertował gemary, nagle uprzytamniał so-

nie, czego szuka i, spoglądając dokoła, oblewał się rumieńcem. Zdawało mu się, iż wszyscy chłopcy obserwują go i znają jego zamysły. Otwierał wtedy inną stronicę, recytował coraz śpiewniej i głośniej, jakby chciał przekrzyczeć swoje myśli. A im donośniej śpiewał, im mocniej się kiwał, tem bardziej wyraziście wylaniała się przed nim postać jego narzeczonej, z którą nie zamienił jeszcze ani jednego słowa i która w myślach jego upodabniała się do Racheli, córki pachciarza.

Gdy dziadek przebywał w beth-hamidraszu, Mordche wkra-
dał się do „pokoju dla sądu” i wśród lęku przed przybyciem
dziadka i wśród wstydu przed samym sobą, wertował gemarę za
gemarą. W księgach dziadka owe ustępy tak samo nosiły ślady
większego użycia, niż inne. I Mordche, siedząc z dziadkiem za
stołem, patrząc na jego zrzędzoną bródkę, wychudłą twarz i
kocie oczy, myślał sobie nieraz, że starzec z pewnością też się
zamyka w „pokoju dla sądu” sam na sam z ową gemarą i drży
tak samo, jak on.

Ze wstydu nie śmiał spoglądać dziadkowi wprost w oczy i
skarcił siebie z powodu tych myśli. Żadną miarą nie mógł uwie-
rzyć, ażeby jego dziadek, cnotliwy, bogobojny starzec, tchnący
pergaminem, starymi księgami i rzemieniami z tefilin dopuścił
się takiej rzeczy. Za nic w świecie! Co za szalona myśl!

I Mordche chodził wciąż zadumany, czując, iż grzeszne
myśli otaczają go zewsząd i opanowują jego duszę. I choć wie-
dział o tem, iż „Hiryjre awajre kuśn majawajre”—„Myśl o grze-
chu jest bardziej ważką od grzechu”, jednakże popełniał w mys-
lach grzech za grzechem.

Wtedy właśnie zaszedł pewien drobny wypadek, który wpły-
nęła na zmianę całego życia Mordchego. Rabin zaniemógł, skut-
kiem czego Mordche został przydzielony do nauki pewnemu mło-
demu chasydowi. Młodzieniec ów mało zajmował się uczniem
swoim, natomiast chodził całemi godzinami po beth-hamidraszu
i głowił się nieustannie. A gdy zmęczył się od chodzenia i gło-

wienia się, siadał przy Mordchem i, chwytając go za obie ręce, jakby w obawie, ażeby nie uciekł, mówił do niego szeptem drżącym i wnikliwym tonem wykladał mu kabałę i wdrażał go w tajniki chasydyzmu. Modche, będąc z natury religijny i skłonny do wiary, choćby nie była poparta „cudami”, oddał się młodzieńcowi duszą i ciałem. Już nie przesiadywał więcej nad talmudem, lecz wałęsał się po całych dniach z towarzyszami-chasydami. Opowieści o „cudotwórcy” reb Mendele, których nasłuchiwał się pełne uszy, tak mu się wryły w serce i z taką nieodpartą siłą ciągnęły go do Kocka, iż nie mógł się uspokoić i postanowił bez wiedzy rodziców uciec do Kocka. Mordchego nawiedzały teraz jeszcze bardziej nieprzystojne myśli, jednakże nie czuł się takim grzesznym, gdyż widział przed sobą oporę w osobie reb Mendele, który w oczach jego wyrósł, jako „cadyk-hador”—„cadyk pokolenia”. W tym samym czasie obita się o uszy Mordchego wiadomość że reb Icie kabalista, zauszniak „kockiego”, gości w ich lesie. Mordche widział w tem palec boży i przeświadczony, iż reb Icie wstawi się za nim i rodziców uspokoi, począł się sposobić do drogi.

Podróż do Kocka wydawała mu się spacerem po lesie, gdy—jak to bywało—przepadał z domu na kilka dni. Aż do ostatniej chwili nie zastanawiał się nad tem, skąd wydostanie pieniądze, jak również nie czynił żadnych planów, wierząc, iż gdy wybierze się w drogę, pieniądze jakoś się znajdą.

W sobotę przed modlitwą mincho, gdy rabin przebywał w beth-hamidraszu, Mordche wyszperał w starej „codziennej” kamizelce dziadka kluczyk i, otworzywszy kufer z miedzianem okuciem, wyjął stamtąd pięćset złotych.

Aliści tej samej soboty wieczorem, gdy Mordche po późnym powrocie do domu miał już związać tłumoczek na drogę, wszedł do jego pokoju szames:

— Dziadek cię woła!

W „pokoju dla sądu” siedział rabin, a przy nim przyszyły teść Mordchego reb Fiszel.

— Mordche, czy to tyś wyjął pięćset złotych z kufra? — zapytał rabin.

Mordche splonął się, chwilę myślał i odpowiedział:

— Ja — ja wyjąłem.

— W sabat? — Starzec syknął i, wskoczywszy z miejsca, wyciął mu policzek. — Znieważyles sabat, wyrzutku Izraela!

Rabin dygotał na całym ciele, ścisnął pięście i zbladłszy, jakby w tych pięściach trzymał rozżarzone żelazo, zwrócił się do reb Fiszla:

— Zerwij małżeństwo! Mój wnuczek jest złodziejem! Słyszysz!?

— Słyszę, rabinie! — — —

Nazajutrz Mordche był już z powrotem w lesie.

Dwojrele, obcałowując syna, płakała z radości. Mordche w milczeniu patrzył na ojca, czekając, żeby pierwszy wyciągnął doń rękę na powitanie — „szulem”.

Reb Awrum zaś z rękoma w kieszeniach, stojąc na uboczu, podobny do pnia rosochatego drzewa, uśmiechał się, lecz ręki do syna nie wyciągnął.

— Cóż tak nagle — ni stąd ni zowąd — gagatku mój!

— Nie mogłem się zostać dłużej u dziadka.

— Tak? To-ci nowina! A teść puścił cię?

— Już nie jestem narzeczonym!

Awrum pociągnął dobrego niucha tabaki, trzy razy kichnął, aż szyby zadrzały i, gładząc ręką po długiej brodzie, rzucił spojrzenia na Dwojrele, która stała z rozpostartymi rękoma, jakby w nią nieszcześnie ugodziło. W głębi serca Awrum był rad, że syn wyjechał od dziadka, co zaś do małżeństwa, to też nie przypadało mu nazbyt do serca, tylko zdarzenie z pięciuset złotymi frasowało go nieco.

— Znaczy się, okradłeś dziadka! Cha-cha-cha! Dożyłem pociechy! Potoś się uczył Tory do szesnastu lat—zaprzańcze, ty!

Przez kilka dni Awrum się srożył, nie chcąc mu podać ręki na przywitanie. Lecz Dwojrele rozplakała się na dobre, jęła rozpaczać, iż Awrum rujnuje jej życie: ileż to dzieci ma ona, nieboraczka—wszak tylko jednego wyplakanego syna! Wreszcie Awrum podał mu rękę i postanowił, „zapoznać” go z lasem.

Mordche spostrzegł, iż ojciec zestarzał się, roztył i rzadko kiedy wyjeżdża do miasta. I choć starzec z każdym dniem stawał się pobożniejszy, wszelakoż ulegał czasem pokusie. Na podwórzu, na którym było małe źródelko, kazał wykopać studnię i codziennie po obiedzie, gdy dziewczęta rybaków czerpały wodę, siadał na werandzie, wdawał się z niemi w pogawędkę i był bardzo rad, gdy dziewczęta całowały „pana pisarza” w rękę.

ROZDZIAŁ III.

Lasy polskie.

Lasy polskie zaczęły rzednieć. Stary dziedzic, szlachcic z sumiastym wąsem, z pergaminowym herbem na ścianie i dubeltówką nad łóżkiem, istotny ojciec wsi stawał się typem coraz radszym. Stary szlachcic strzegł swoich lasów, jak swego pergaminowego splendoru, jak swych ciężkich, okutych kufrów, w których spoczywały staroświeckie, srebrne dzbanuszki ze starami, polskimi monetami. A jeśli do jednego z nich zabłąkała się srebrna moneta z hebrajskim napisem z czasów Mieszka Starego, moneta, bita przez istotnie może pierwszych prawdziwych gospodarzy Wisły, przez żydów—wówczas imię tego szlachcica było głośne w całej okolicy.

Rzadko kiedy szlachcic pozwalał na wyrąb dębów, nigdy zaś nie sprzedawał dąbrowy, jako że „w świętych, dębowych gajach” jego praszczurowie wnosili gontyny. W gontynach owych płaśały

dokoła wiecznego znicza niebieskookie, wpólnagie kapłanki, roz-weselając wodzów plemiennych i przyjmując żertwy dla białoszy-jej Kolady, dla wstydlivej Marzanny, która co rok na wiosnę od-dawała się ziemi i rozkwitała macierzyństwem. A mądry Świato-wid, stojąc przed płomieniskiem, zakładał ręce na swym tłustym brzuszku i jakby roztopiał się z radości, iż jego córy, urodne ka-płanki, kadziły na miedzianych blachach snopki pszenicy, suchą piwonię i, spowite w dymne obłoki, rzucały się na białorunne, owcze kobierce wśród śpiewów i czarów.

Wojacy z grotami i pawężami w ręku, na których wryte by-ły herby rodzinne, ze złotemi i srebrnemi krzyżami, wyhaftowa-nemi na ich niebieskich kaftanach, acz nie zwani przez dźwięki ciężkich dzwonów kościelnych, ciągnęli gromadami do świętych dębowych lasów, do gontyn, uroczysk i do czarownych kapłanek.

I nie jeden dziedzic, prawowierny katolik, który wybudował kościół, utrzymywał kilkuset benedyktynów, który całe życie to-czył wojnę z Antychrystem, w cichości, w głębokiej tajemnicy wo-hec wszystkich, budował też w lesie małą izbicę, otoczoną kop-cem i rozłożystemi dębami, w której ukrywał czarownicę wraz z uroczemi córkami.

Stary szlachcic z pergaminowym herbem na ścianie i z ży-dem, który prowadził jego interesy, stawał się typem coraz rzad-szym, a młode pokolenie, wyrastające w Warszawie, w Rzymie w Paryżu prawie już nie znało wsi. Młody szlachcic klęczał i o-piewał wdzięki kurtyzany, płacił setki za pstrą kieckę, rzucał ty-siące za nawpół obnażoną nóżkę,—a gęste lasy polskie jęczały, rzedniały i przechodziły w ręce żydowskie. Kloce związywano w tratwy i przez okrągłe lato żydzi spławiali drzewo Wisłą i Żół-tewką do Niemiec. Zasadzać nowe lasy dziedzicom się nie opla-cało: nazbyt długo trzeba czekać, nim las wyrośnie. Więc wypa-lano karczowisko, zaorano ziemię i po lasach nie zostało ani śladu.

W poniedziałek w drugi dzień Wielkanocy po obiedzie ry-bacy wyruszyli do lasu.

Las był stary, mieszany. Drzewa jak bliźnięta, rosły jedno przy drugim, obnażając z powodu cieśni wyparte z podziemi, osmalone korzenie, niby skurczone członki.

Rosochate dęby, które na gwałt parły ku gęstemu borowi, aż drzewa sąsiednie garbiły się i schły do szpiku wysrane, kwitły małym, białym okwieciem. W głębi boru, kędy słońce nigdy nie dochodziło i kędy płaty śniegu leżały, niby wypłowiałe skrawki owczej sierści, czerwono jarząca się leszczyna oplatała i skłębiała się z olszyną, dzieląc na tem miejscu las na pański i chłopski.

Górą — — w lesie chłopskim ziemia rozchwiejna i pulchna pachniała świeżo pieczonym chlebem, żywiczną korą dębową, olsze o krzywych gałęziach, napęczniałych, jak łapy, pławiły się w tęgim, rozkisłym gruncie, a ich wiecznie zczerniała kora gdzieś gdzie z wilgoci aż zróżowiała.

Dołem — — w lesie pańskim, gdzie grunt jest bardziej piaszczysty, sosny otrząsnęły się ze śniegu i korzeniami, niby żyłami ssaly z ziemi-macierzy napój orzeźwiający. Niby wymiona bydła—bujne, dosytne, nabrzmiące sosny, jakby błagały zgrzanych drwali leśnych albo znużonych przechodniów, ażeby przywarli do nich swe wargi i pili.

Mordche z ojcem stali w lesie, liczyli spuszczone drzewa, znacząc je czerwoną kredą. Awrum w butach z wysokimi cholewkami, w zimowej kurtce biegał od kłody do kłody, nieustannie niuchał tabakę ze srebrnej puszką i, krzywiąc chudym nosem, ocierał otabaczone palce o długą brodę i mówił słowami urywanymi, niby para buchająca z kotła:

— Też mi drzewa! Szczapy, a nie drzewa! Gdy niema zdać się na kogo, kim się wyręczyć! Wszak stałeś przy spławianiu? To-ci gamoń! Wiecznie zagapiony! Wszak do nauki, synalku, byłeś tak ochotny, jak ja—twój ojczulek! Więc nie mam do ciebie o to pretensji! Ale tu! Ja w twoich latach byłem już kupcem! Z dziedzicami jeździłem, jako „znawca“ A ty? Ani w ząb!—Aw-

rum wstrząsnął ramieniem — Drzazgi spuścili, psubraty, a nie drzewa!

— Jeśli to mają być drzazgi—wskazał Mordche ręką na drzewa i uśmiech zaigrał na jego zdrowej, ogorzalej twarzy—to drugim razem, ojcze, sam się pofatygujesz i nakażesz chłopom spuścić drzewa, a nie drzazgi!

— A może to drzewa, co?—wybuchnął stary i szarpnąwszy syna za rękaw, wskazał na jedno ze spuszczonej drzew—ileż to lat, jak na twój rozum, liczy sobie, naprzykład, ta drzewina? Co, od kółek zaczynasz! Patrzenie go, kółka liczył! Dostyc już, dosyc, cymbale?

— Pewnie, że liczę! Prorokiem nie jestem!

— Ja w twoich latach na oko, w mig, zgadywałem!—Awrum dyszał gniewem. I odepchnąwszy syna, schylił się, aż czerwony kark wyprężył mu się, jakby do pęknięcia—uważaj, jak się mierzy: pięć cali, dziesięć — — — nu, czy nie mówiłem? Chojaczek, czterdziestolatek! Oby się na popiół spalili!

— Jeszcze nie widziałem tu wcale starszych drzew—usprawiedliwiał się Mordche.

— Nie wyrebywać!—grzmotnął ojciec—wszak—hultaj—niszczy cały las do cna! Aż serce się kraje! Za ojca jego, gdy spuszczone przez omyłkę stulatek, trzeba go było czempredziej ukryć! Za młody! A dziś?— — Nic mu do tego! Wypracował ciężko—hulaka—ten dobytek—co? Siedzi tam, żre i chleje w Paryżu, wksle podpisuje i trwoni majątek dla malowanej lali—utratnik! Praca ojca idzie z dymem! Tak, zupełnie, jak tam napisane jest: „Uchl wesiusoj ki muchor numys“—„Jedz i pij, gdyż jutro pomrzemy“.

Mordche wiedział, iż nie należy mu odpowiedzieć. Stary się wykrzyczy, zapomni i zamilknie. Lecz nikt w rodzinie Mordchego w podobnych wypadkach nie umiał powstrzymać się od mówienia, musiał coś powiedzieć, ot, tak sobie, dla swarliwości,

którą każdy z nich miał we krwi. I choć Mordche postanowił nic nie odpowiedzieć, niechętno rzekł:

— Czemu się tak kotłujesz? Chce rąbać, niech rąba! Przecież to nie twój las!

— Lecz ja nie chcę!—huknął ojciec, pogwizdując nozdrzami.

O to mniejsza — uśmiechnął się Mordche—wszak nie ty jesteś gospodarzem!

— Póki żyć będę—ja tutaj gospodarzem!—Awrum wrzasnął na cały głos i, zdawało się, iż wnet rzuci się na syna i oczy mu wydrapie—mam na piśmie, receptis od starego dziedzica, że póki żyć będę, nikomu nie wolno mnie wymówić. Rozumiesz, szkocie!

— Ojciec pomieszał, jak groch z kapustą—rozgorączkował się Mordche—nie o wymawianie idzie! Mówię, że lasy stworzone są po to, żeby je wyrębywano.

Wtem, jakby z pod ziemi, wyrósł przed nimi leśnik, chłop około pięćdziesiątki, odziany w niebieską sukmanę z dwoma rzędami drewnianych guzików.

— Oto Marcin—Awrum odkasłał i kiwnął palcem na leśnika, ażeby się do nich zbliżył. Jak na twój rozum, Marcinie, czy należy lasy wyrąbać?

Leśnik uśmiechnął się zadowolony, iż „pan pisarz“ zwraca się doń z pytaniem i, poskrobawszy się nieco po głowie, odpowiedział:

— Ba, wyrąbać las! Lasy ciągiem trzebiono. Lasy, a juści, gęste! Ty je rąbiesz, a one-ci rosną. Im więcej—tem gęściej! Z człkiem tak samo—gdy rozbierze go gorączka, trza mu krwi upuścić. Ano nie tak? Cha-cha-cha! Na zdrowie mu wtedy! Ino wycinać las w pień—to grzech! Jak spustoszysz calusieńki las, rozbiegają się na cztery strony wsze siły nieczyste, złe duchy i zniosą na człowieka plagi wszelakie.

— Na prawdę?—Mordche zapytał leśnika ze zdziwieniem.

— Pewnikiem, że prawda!—uśmiechnął się Marcin—Hej;

panie młody—a gdzież to, myśli paniczek, zapodziały się niedźwiedzie? Jeszcze kilka roków i z jeleni śladu nie zostanie. Jak wytrzebisz las, rozprasza się zwierzyzna, powyzdycha, a w każdym zwierzu siedzi przecież siła nieczysta!

Awrum nie słyszał ostatnich słów leśnika, gdyż usiadł na zwalonem drzewie i, gryząc brodę, myślał o tem, że trzeba wysłać do miasta kartofle. Rabin pisał mu, że żydzi w miasteczku umierają z głodu. To-ci czasy nastaly! Trzebaż dopiero przypomnieć Awrumowi! Myślą może, że wszystko chowa pod korcem, dla siebie, że podobny jest do Szmai Szafta, kpy! Któż właśnie wie lepiej od rabina, iż ojciec jego, błogosławionej pamięci, reb Mordche, przeszło sześć miesięcy karmił pół miasta żydów kartoflami i chlebem, że dziś— — — że dziś taki dopust boży! Już trzecie lato, jak na polach wszystko się spala na pniu, chłopci jedzą otręby, gotowane korzenie, puchną z głodu i całe wioski wymierają. Któż pamięta taki głód? Niewesołe czasy, zgoła nie wesołe czasy!

— Słyszysz—zwrócił się Awrum do syna.—Jutro, z samego rana, jak Bóg da, pójdziesz do wiatraka i niech Mikołaj zmiele kilka korców żyta—już wie, jakie! Obyś tylko nie zapomniał, broń Boże!

— Nie zapomnę.

Awrum wyjął z kieszeni srebrną tabakierkę, kilka razy uderzył po pokrywce, zażył kilka szczypci tabaki i, nie spoglądając na Marcina, wyciągnął doń puszkę.

Marcin zbliżył się, stąpając na palcach i szykując dwa palce. Wyglądał w owej chwili, jakby się sposobił do przejścia wody poprzez wąski drążek.

— A—a, psia jucha! Gryzie!—Leśnik rozkichał się, jak z pistoletu i w uszach została głuchota, jakby się tam woda wsączyła.

— A wedle ciebie Marcinie—zapytał Awrum—czy będzie latoś urodzaj?

— Ano kto tam może wiedzieć? Jeden Pan Bóg w niebie wie, co będzie! Człek już dosyć się wygłodował! A tu powiadają, że chłopstwo buntuje się po dworach. W Peplówce chłopci nie chcieli sadzić kartofli, grozili dziedzicowi, że go zabiją! Tośmy czasów dożyli! żeby chłop podniósł rękę na pana!

Marcin, sam chłop od dziada pradziada, knecht przyboczny, nie lubił chłopów. Miał się troszkę za szlachcica i, mówiąc o chłopach, zadzierał nieco nosa.

— Za starego Tabeckiego nie doszłoby do tego — mrucał Awrum w brodę—stary chłostał, lecz całowano różgę! A młody panicz chciał być mądrzejszy od całego świata! Myśli, że wszystkie rozumy pojadł! Nu i wybudował szkołę dla tych chamów! Nu, nu, dobrze mu tak! Będzie miał za swoje! Mówię ci po sumieniu, choć stary łoś skórę, chłopci więcej go lubili, niż młodego!

— Nie miarkujecie, panie pisarzu, co się święci. Gadają chłopci, że cesarz ich uwłaszczy i będzie pono zniesiona pańszczyzna. Cha-cha-cha! Końby się obśmiał!

Z lasu rozlegał się śpiew, który odbity o drzewa, rozdzwierał się echem, niby organy w dalekim kościele. Przez chwilę wszyscy nadstawili ucha, nasłuchując, skąd ów śpiew dochodzi.

— Rybacy śpiewają — Marcin się przeżegnał — Idą z procesją. Moja starowina i Wacek też tam są z nimi!

Leśnik zdjął kapelusz, uklonił się i począł się oddalać.

— Całkiem zapomniałem—krzyknął za nim Awrum—posłałeś im piwo?

— Posłałem pięć beczek.

— Dobrze!

— Marcinie! — krzyknął za nim Mordche — niech Marcin zaczeka. Ja też pójdę!

— E, nie pójdzie! — odezwał się Awrum i kiwnął ręką na znak, żeby sam poszedł. — Wiecznie byś się tylko włóczył! Mówiłem ci przecie, że od czasu, gdy postawili przy samym wjeź-

dzie do lasu figurę, noga moja tam nie postanie. I ty też nie waż mi się tam chodzić—słyszysz?

Mordche milczał osowiały. Łamiąc końcem buta suche gałązki, wsłuchiwał się w szum, szeleszczący dokoła niego, jak zwoje jedwabiu. A w głębi lasu coś się rozkołysało, zatrzęsło, aż dech mu zaparło i wabiło, wabiło...

Ojciec z synem sunęli wolnym krokiem w milczeniu. Nagle Awrum położył rękę na ramieniu Mordchego i przycisnął go do piersi:

— Wiesz, jedynaku mój, pomimo wszystko lubię cię! Wrodziłeś się zupełnie w ojca! Wykapany ojczulek, taka grzeszna dusza, jak ja, cha-cha-cha!

Mordche uszom własnym nie wierzył i wybałuszył oczy na ojca. Nigdy jeszcze takich słów od niego nie słyszał.

— Cóż-eś tak oczy wytrzeszczył? — stary uśmiechał się miękko, ujmując syna pod rękę. — Dziwisz się, co? Powiedz mi tak po prawdzie, jak ci się podoba reb Icie? Prawdziwy z niego cadyk, co? — stary nagle wtrącił, jakby chciał syna zagadać — Mówiąc między nami, podoba mi się bardziej, niż reb Mendele. Reb Mendele, rozumiesz, ma dokoła siebie za dużo bab, czem ludzie nawet nie gardzą. Reb Icie zaś, synu mój, to anioł! Kto wie może przez jego święte zasługi... Wszak mieszkamy pod jednym dachem... Na Rosz-haszana wysłę cię z reb Iciem do Kocka.

Awrum puścił Mordchego, tarł rękę o rękę, rozebrał długą brodę i uszedłszy kilka kroków, odwrócił się:

— Przecież widzę, że cię ciągnie do tych rybaków, co? Nu, to idź sobie, idź! Tak, co jeszcze miałem ci powiedzieć? Uważaj, szkocie, groził Awrum palcem, uśmiechając się — nie zaczepiaj dziewczuch, nie zadawaj się z szyksami, słyszysz?

Mordche spuścił oczy, zawstydzony, jak młoda dziewczyna, z powodu ostatnich słów ojca. Przystanął i spoglądał za oddalającym się ojcem, który złościł za sobą głębokie ślady, stąpając hardo z zadartą do góry głową i wymachując rękoma, niby

skrzydłami. Jakaś ciepła fala zalała jego serce. Lecz po chwili, spostrzegł, iż głowa ojca z wolna opada ku dołowi, równe dotąd plecy poczynają się garbić, nadając całej postaci ociężałość i wygląd starczy. Przez głowę Mordchego przemknęła myśl, iż ot, niedługo pozostanie sam w dużym lesie, ostatni w całej rodzinie. Myśl ta zdjęła go wstydem, nienawidził siebie i smutek rozsączył się po jego matowej, wydłużonej twarzy i wyzierał skroś jego dużych, siwych oczu. Zapalał bolesną i silną miłością ku ojcu. Kochał go teraz za jego gniew, za jego wieczne swary, za razy, jakie mu się dostawały i — przeszył go ból, iż z ojcem niemal kończy się ród cały.

ROZDZIAŁ IV.

Procesja.

Mordche udał się do chałup rybackich.

Stary wyschnięty buk, jedyny w całym lesie, stał na wzgórzu, czerniąc się korą tak popękaną, jak zaschłe grzyby. Całe drzewo od góry do dołu pokryte było wyrytymi nazwiskami nieznanym, zakochanych par i datami. Pomiędzy nazwami rzucały się w oczy żydowskie litery dziadka i pradziadka Mordchego, którzy je przed wiekami wyryli i grzejąc się tu, pocieszali się pewno, że wnuczek albo prawnuczek odczyta ich imiona, zamyśli się i wspomni Mordche przystanął. W szesnastoletnim chłopcu rozigrały się duże, szare oczy i naraz, nieświadomie, jakby dotknął minionych za sobą wieków i poczuł w sobie siłę do dalszego przedzenia nici pokoleń. Wierzył wraz ze drwalami, iż buk, jedyne może pozostałe w całej Polsce drzewo, gdy znika w jednym kraju, to zaraz wyrasta w innym kraju i po kilku wiekach znowu się ukazuje w Polsce.

Po lesie unosił się śpiew.

Mordche przyłożył ucho do korzeni drzewa, chcąc się w

ten sposób dowiedzieć, skąd dochodzi pieśń. Lecz głosy się, zmieszały, płynęły ze wszystkich stron, jak brzęczenie ulów.

Szedł sobie lasem, zrywając po drodze zeszloroczny, czarny jałowiec, podobny do dużych, czarnych jagód. I gryząc go w ustach, myślał o ojcu, o procesji, o tem, iż chłopci moczą gorzki jałowiec w wodzie, cedzą go przez słomę i, mieszając z chmielem, wyrabiają zeń domowe, czarne piwo.

Mordche wyszedł z lasu i patrzył na stare sosny, jeszcze z przeszłego roku rozkwitłe. Na wierzchołkach ułożyły im się korony z podłużnych liści, podobne do orlich gniazd, oznaka iż nie będą już więcej rosnać. Zadarły dumne główiska i nieme, jakby na śmierć osądzone, czekały na topór drwali.

Mordche wspiął się na sosnę i szukał rybaków. Przed wzrokiem jego kłębił się odwieczny, gęsty, wyniosły las, snując się hen, na mile... Ze spróchniałych dębów wypierały się młode dębczaki, nagie pola migały zieleniejącą runią, a z małych chatynek rybaczych wytaczały się na czworakach po długiej, ciężkiej, zimie nowe stworzenia, jakby dopiero co z jaj wylęgłe i, zdziwione, otwierały pyszczki, mrugając jasnymi oczkami do niebieskich lasów i do jeszcze bardziej niebieszczejących obłoków. Mordchego zdjęło jakieś zapomnienie i, przyciskając do piersi drzewo, z głową zadartą ponad koronę, patrzył z radością ze wschodu na zachód, napawając się bożym światem.

Rybacy, młodzi i starzy, tworząc pochód, szli ze śpiewem z chłopskiego lasu do pańskiego, a stamtąd do rządowego. Na przedzie stąpało czworo dziewcząt w krochmalonych, czerwonych sukienkach i nosiło na ramionach bałwana ze słomy. Białe, tiulowe szale, zwisające z ich główek, unosiły się i łopotwały nad tłumem, jak chorągwie.

Rybacy bronzowi, o stalowych oczach, sunęli z żonami, śpiewając z pełnej piersi. Ptaki zerwały się przerażone z krzaków i, wisząc w powietrzu na przeciw słońca, rozćwierkały się i ratrelowały zrazu cicho, potem głośniej i głośniej, aż śpiew

ich huknął i rozpękł świergotaniem, które rozprysło się po lesie, po szerokich, nagich polach i, zmieszane ze śpiewem rybaków, miotano do każdej hen, zarzuconej chałupy bryzgi radości.

Za procesją sunął wóz, na którym siedzieli kalecy—przeważnie dzieci z nabrzmiałymi od wodzianki głowami, z wychudłymi, jak tyczki, nóżkami i ze sztywnymi, spuchniętymi, jak bębny, brzuchami od jedzenia surowych kartofli.

Procesja zatrzymała się przed Matką Boską na rozstaju wzniesioną przed laty dla zażegnania cholery. U podnóżka figury złożono bałwana i młodzież ją rozpalać ogniska.

Matki pozdejmowały z wozu swe kaleki dzieci i zanosiły je do świętej figury. Kaleki zawieszały na niej wieńce z papierowych kwiatów i zielonego jałowcu. Chore dzieci wyciągały swe chude rączka do Matki Boskiej, patrzyły w Jej rozmarzone, dobre oczy, patrzyły na Jej piękne, ledwo przymknięte wargi i szczęśliwe, rozpromienione, czuły, iż zstąpiło na nie jakieś polepszenie i wierzyły, iż Matka Boska ulituje się nad niemi.

Nieszczęśliwe matki wraz z dziećmi - kalekami padały krzyżem do nóg figury i do nóg chochoła, ze łzami w oczach długo i cicho modliły się, wciąż wycierając zrenice dzieci świętymi, kolorowemi jajami i djablemi paluszkami.

— No, hajda, baby, dosyć - ta! — krzyknął jakiś rybak—zabierajta się z kalekami na wóz!

— Ano—drugi podrapał się pod czapkę—pomoże, jak zmarłemu kadzidło.

— Pomoże, czy nie pomoże—nie wiadoma rzecz! To wola Boska!—jakaś chłopka zerwała się z ziemi i, schwyciwszy dziecko na rękę, stanęła zawadjacko—ino śmiać się tobie, ptaszku wara! Jeszcze ci kulasy uschną i zegną się w pałak, że cię do izby na taczkach zwióz!

— Oduść mi, Najświętsza Panienko! — jakaś chłopka wskoczyła nagle z ziemi, przeżegnała się kilka razy — ino za takie pyskowanie, oby mu jęzor oajęto!

— No! hajda, baby, kuniec! basta!—rozlegało się ze wszystkich stron.

Jakiś starszy rybak wsunął ręce do spodni, splunął siarczyście i zanucił, jakby dla siebie:

Modli się pod figurą,

A ma djabła za skórą.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Matki z ociekłymi oczami i boleściwymi twarzami zanosily z powrotem kaleki na wóz. Starsi rybacy oblewali sobie wzajemnie ręce wodą z butelek, rozsiedli się dokoła ognisk, raczyli się święconem jajkiem, gawędzili, narzekając, iż wśród młodzieży coraz większe zepsucie, iż święto z każdym rokiem słabnie.

Młodzież oblewała się całymi wiadrami, lecz nie po rękach, a po karkach. To też niósł się wizg i pisk biegnących po lesie dziewcząt, które jak przerażone ptaki, ukrywały się pod drzewami.

A za dziewczętami uganiali się chłopcy, chwyтали je i wśród krzyków i śmiechów rozsypywały się parki po borze, pod staremi dębami, gdzie tuląc się do siebie, wraz z odwiecznym, gęstym lasem święcily gody Marzanny, oddającej się ziemi.

Pomiędzy parkami siedział też Mordche. Jedną ręką obejmował bladą, smagło-wdzięczną Rachelę, córkę pachciarza, a drugą gładził jej rozplecione, czarne włosy, które prawie zupełnie pokrywały jej twarz.

Mordche siedział z zapartym tchem, nie wierząc, że to jawa i nie mogąc sobie uprzytomnić, jak to się stało.

Gdy wraz z parobkami puścił się w pogoń za dziewczuchami, obejrzał się dokoła i upewnił, że nikt z domowych go nie widzi. Dopiero w głębi lasu spostrzegł, że biegnie za Rachelą i mocno się zawstydzil. Wiedział, iż Rachelę ma go za młokosa, nie zwraca nań uwagi, choć ciągle przyprowadza go o rumieńce. Mordche usiłował wmawiać w siebie, że jej nienawidzi. Bo i naprawdę—kim-że ona jest? Córką biednego pachciarza! Gdyby przyszła mu ochota, poprosiłby ojca i wypędzonoby pachciarza na cztery

wiatry. I w miarę, jak Rachelę coraz bardziej go unikała, tem silniej wmawiał w siebie nienawiść ku niej i jednocześnie posyłał dla koni pachciarza zamiast, jak zwykle, jednego worka owsa na tydzień— dwa worki. Gdy Mordche spostrzegł, że się znajduje z Rachelą sam na sam w lesie, cała krew uderzyła mu do skroni i zamierzał ukryć się pod drzewem, aby go nie zauważyła. W tej samej chwili jednak Rachelę przystanąła i odwróciła się doń. Spojrzenia ich skrzyżowały się. Rachelę ze wstydu spuściła swe duże, mroczone, jak mroczone lasy, oczy, lecz wnet je podniosła i utkwiała w Mordchem wejrzenie tak miękkie i ciepłe— a las mroczył, a dokoła ani żywej duszy— że Mordche się zapomniał i mocno ją objął. Stali tak pod drzewem. Mordche z radości aż przytknął oczy, czuł, że krew mu się ze skroni zlewa w nogi, co prężej, jakby w ziemię korzeniami wrosły, że w mózgu czyni mu się jasność i przezroczystość, skroś której widzi na mile zdala. Mocniej przycisnął do piersi Rachelę, całował jej oczy, szyję. Dziewczyna nie wzbraniała się, zawisała mu na ramieniu omdlała, z ledwo rozchyłonymi wargami. Mordche czuł jej włosy, pasmami opadające na jego twarz, jej oddech muskający go nad uchem, jak strusie piórko. Uniósł ją lekko i usiadł z nią pod drzewem.

Las szumiał cicho.

Olbrzymie sosny pod zorzą zachodzącego słońca podobne były do miedzianych i bursztynowych kolumn, wspierających swojemi szczytami kopułę niebieską. Chude jałowce, opasane gąszczami, jakby krynolinami, chwiały się rozkołysane pośród sosen, jak gromadki modlących się kobiet. Płaty obłoków, rozwłócone po niebie, zwolna opadały ponad lasem, usiłując okutać wierzchołki drzew, lecz wierzchołki przedziurawiały je i niebo krwią zabroczyło.

Rybacy schylili się nad korzeniami drzew i, przykładając do ust ręce, czapki, jęli krzyczeć, wrzeszczeć, aż huczało tępem echem wzdłuż lasu, jakby z pod ziemi. Tak starzy zwolowali młódz.

Rachela wysunęła się z ramion Mordchego w pół zawstydzona, w pół rozgniewana, poprawiła włosy, i wyrwijąc oburącz mech, z udanym gniewem obsypywała nim Mordchego.

— Idź, jesteś niedobry!

Ze wszystkich stron lasu niósł się odzew młodzieży: gwizdanie, śpiewy. Z za drzew wytaczały się parki. A wszystko razem wyglądało, jakby w głębokich pieczarach i wykrotach zmartwychwstali leśni bogowie i wraz z mrocznym borem puścili się do Wisły na spotkanie Wandy.

Mordche szedł z Rachelą, chciał ją bawić, opowiedzieć jej coś ucieznego, lecz nie wiedział co.

Raz po raz brał jej rękę, wypuszczał ją, znowu brał, patrząc na stary, rozszumiały las, w którym każde drzewo go mamiło. Mordche zwolnił kroku i wkrótce został się w tyle za procesją. A gdy śpiew rozbrzmiewał coraz ciszej i ciszej, usiadł z Rachelą pod drzewem.

Dokoła Wisły wzbijały się w górę słomki, wodne ptaki, z długimi dziobami, zawisały w przestworzu, jak białe plamy, pozdrawiając noc przeciągłem: cir - cir..

Noc rozparła się po lesie, przeto las wydawał się jeszcze bardziej gęsty i głęboki. Ptaki nocne otrząsnęły się i, spozierając ze szczytów drzew zielonemi oczyma, łopotwały ciężkimi skrzydłami. Z nadmiaru szerzy las zapierał dech w piersi i nawiewał zgrozę.

Zdaleka Wisła zwierciadliła się, jak poczerniała, gęsta stała, zdawała się przysuwać coraz bliżej i bliżej. I wyglądało, jakby czarownik leśny przestawił drzewa, wodę, ze swych szerokich rękawów wypuścił nietoperze, przysposobił wszystko, czego trzeba i czekał na północ.

Rybacy, jak snop cieni, sunęli nad brzegiem wody, naraz gdzieś zapadli i ich rzewny śpiew tłukł się do północy po szczyrych polach, po borze, aż stuletnie dęby rozjękły się cichym pomrukiem.

...Dawno temu, przed wiekami, gdy ludzie jeszcze byli młodzi, rozumieli mowę drzew, żył Krakus, młodszy syna Lecha.

Krakus wraz z młodą żoną swoją Landaną obrali sobie za siedlisko jamę nad źródłem Wisły. Podobna do czaszki ludzkiej jama jego słynna była po dalekich krainach.

Za onych czasów ludzie byli dobrzy. Wiedzieli, iż jedyny włodarz boru, siwy dziadek leśny, który ze starości aż omszał i ośniedział, hołubi każdą krzewinę, pieści i całuje każdą gałązkę, kocha bór, jak matka dziecię swoje. Wiedzieli, iż dziadek leśny mieszka w każdym drzewie, w każdym konarze w każdym liściu, i że dusznota i cieśń własnego schronu nie płużą mu. Nie budowali mu tedy nowego siedliska w boru, lecz co noc dziadek zwoływał wszystkie wiatry, zwierzęta i ptaki, powierzał im bór, a sam pomykał po grotach i pieczarach, kędy ludzie mieszkali i całował ich niebiesko-okie córki. Tako bogowie poczęli chadzać po lasach, siadać na drzewach, na gałęziach.

I widział Krakus, iż miecz jego rdzawieje na ścianie—zdjął go ból. Zwołał hufce swych owłosionych wojaków, poszedł z nimi na łup za śnieżyste góry, po tamtej stronie Wisły, ostawiając w samocie urodziwą Landaną, albowiem Krakus bardziej rad był mieczem siec głowiska ludzi, niżli mieć u boku w łożnicy cudo-cudną Landaną.

I tęskniła Landana po Krakusie. I wyglądała go, wyczekiwała, wyplakując po nocach swoje oczy bławe—Krakus zasię nie wracał.

Dziadek leśny nie mógł już dłużej patrzeć na jej udręczenie i całunkami osuszał jej lzy rzęsiste.

I wonczas narodziła się Wanda, dziecię wodne o zielonych oczach.

Lata płynęły a Krakus wciąż nie wracał. Wanda piękna, jak siedmioro słońc, wzrastała ze smętnicą w sercu, z tęsknicą za ojcem.

Z za śnieżystych gór, z tamtej strony Wisły naciągnęły

hurmy wraże, jak szarańcza. Lęk ogarnął owłosionych ludzi i jęli przystawać do Wandy.

— Króluj nad nami!

Wanda zgromadziła swe hufce nad brzegiem Wisły i, czekając na wroga, śpiewała pieśń Wiśle. Wionęła dłonią po harfie, ruń na łęgach zakwitła, drzewa w boru wyrosły, las i rzeka poczęły wtórować pieśni.

Wraże szyki pochód swój wstrzymały. Książę Rytger wystąpił przed Wandą, miecz wraził w ziemię i głęboki złożył pokłon:

— Urodna księżniczko! Jeszcze-m nigdy kotwicy nie zarzucił czasu burzy, hufce moje szydzą z wichrów, [pośmiechowskiem dla nich — góry śnieżyste — — — spójrz, za moim skrwawionym mieczem naciągają gromady wron — — — księżniczko cudolica!

I wzniosła Wanda oczy swoje:

— Nie będę twoją, przeklęty Niemcze!

Książę miecz z ziemi wyciągnął, po trzykroć machnął, aliści żołnierze oczarowani urodą Wandy nijak nie mogli wejrzeć w jej lico, niby w słońce płomieniste, i nie poruszyli się z miejsca.

Z boleści i sromu rzucił się książę do Wisły.

— Teraz będę twoją! — wykrzyknęła Wanda.

I tako stała się królową Wisły.

ROZDZIAŁ V.

Reb Icie-kabalista.

Mordche stał przy oknie w beth-hamidraszu i nie spuszczał wzroku z dębowego stołu, za którym siedział reb Icie, recytując z zapamiętałością ze świętej księgi.

Reb Icie miał lat trzydzieści, był wysokiego wzrostu, chu-

dy, z parą ściąjących, głęboko osadzonych oczu. z woskową twarzą, okoloną czarną gęstą brodą i z jamą ustną, w której tłoczyły się białe, krzywawe zęby, niby drzewa po burzy. Reb Icie był biegły w kabale, należał do typu chasydzkich głowaczy. Dziś się już takich nie napotyka. Pojawili się oni wraz z chasydyzmem. Z tłumoczkami, składającym się z tałesu i tefilim pod pachą, wędrowali z miasteczka do miasteczka i, gdzie tylko istniało osiedle żydowskie, prawili o chasydyzmie. Wkrótce dzięki swej żarliwej wierze i płomiennej miłości podbili Polskę, Galicję, Wołyń. Aliści, gdy wojna pomiędzy chasydami i misnagdami dobiegła kresu i chasydyzm stał się objektem mody, znikł też typ chasydzkiego dociekacza. Dawniejsi „cadycy” niezmiernie rzadko przekazywali „stolec” swoim dzieciom. Każdy „cadyk” miał swoich uczniów, młodzieńców, którym przewodził do chasydyzmu, z którymi dociekał tajemnic kabaly, których odcieleśniał, wprawiając ich w stan uniesienia i ekstazy. A gdy „cadyk” umierał, chasydzi jeździli do jego uczniów.

Reb Icie należał do grona owych uczniów, będąc powiernikiem „kockiego”. Lubo był samotnikiem, odludkiem, szukał „iched” — „odosobnienia i obcowania z Bogiem”, wszelakoż każdy, kto się zetknął z nim, wnet go obdarzał miłością. A kochano go za jego dostępność, za to, że zamykał oczy na przywary ludzkie, darząc każdego ciepłym słowem. Jego czarne, głębokie oczy z pierwszego wejrzenia przenikały człowieka nawskroś, natychmiast dostrzegając w nim to, co dla innych wymaga długich lat, a dla większości ludzi pozostaje niespostrzeżone na zawsze. Każdy człowiek w chwili rozpoczęcia z nim rozmowy czuł, iż reb Icie zaziera w najdalsze zakamarki jego duszy, iż najskrytsza tajemnica jest dlań otwartą kartą, więc w poczuciu grzechu czynił przed nim spowiedź serca, jak dziecko przed matką. A odchodząc odeń, człek nie żałował swego wyznania, co przecież tak rzadko się zdarza, i pragnął czem skorzej znowu z nim przebywać i obcować.

W Kocku wszyscy wiedzieli, iż reb Icie unika ludzi, szuka, „niched”—„odosobnienia i obcowania z Bogiem”, gdyż pogrążony jest w „kec”—w sprawach, dotyczących końca świata, sądu ostatecznego i przyjścia Mesjasza. „Cadyk” już nieraz rzucał słówko, dając do zrozumienia, iż Icie powinien teraz oddać się „hisbojdedes”—„samotności i kontemplacji”. Ludzi już zna nadto, powinien teraz poznać drzewa. A że w Kocku gościł wtedy Awrum — „pisarz” i skarżył się przed „cadykiem”, iż mieszka zdala od ośrodka nauki bożej, „cadyk” rzekł: „zabierz do siebie reb Iciego, będziesz w posiałaniu Tory i bogosławieństwo boże spocznie nad twoim domem”.

Awrum z uradowaniem zaprosił do siebie reb Iciego. Oddał mu najpiękniejszą komnatę, w której stała szafa ze świętymi księgami i strzegł go, jak perły urjańskiej. To też siedział już reb Icie drugi kwartał w lesie, ani razu nie pojechał do Kocka, ciągle pogrążony w świętej nauce.

Mordche wiele się już był nasłuchiwał o reb Iciem od ojca i chasydów, wiedział, że jest kabalistą, wielkim dociekaczem. Aliści reb Icie zaraz pierwszego dnia zbliżył do siebie chłopca, rozmawiał z nim, jak z dorosłym, odnosił się doń, jak do równego sobie, nie akcentując nigdy swojej mądrości, nie wykazując, iż jest wielkim głowaczem—to też z miejsca zaskarbił sobie miłość chłopca.

Reb Icie prosił go, aby, ilekroć przyjdzie mu ochota, zawiątał do jego komnaty bez obawy, że będzie mu w czemkolwiek przeszkadzać. Niebawem tedy chłopiec przyzwyczaił się doń i powoli zaczął mu wszystko opowiadać o sobie, wtajemniczać w swoje myśli. Reb Icie nigdy mu nie prawił morałów, nie strofował go: tego nie wolno, lecz po wyznaniach chłopca, zaczął z nim gawędzić o chasydyzmie, przyczem tak gawędził, iż Mordchemu odsłaniała się w słowach reb Iciego odpowiedź na jego grzeszne myśli. Z czasem chłopiec tak się doń przywiązał, iż musiał go codziennie widywać. Wchodził więc do jego komnaty i, nie prze-

szkadzając mu, siadał przy oknie i wpatrywał się weń, długo — długo, czując, iż dopóki przebywa z reb Iciem pod jednym dachem, nie stanie mu się nic złego. Uspokojony, wychodził w milczeniu, doznając w duszy uczucia błogiej pogody.

Po procesji Mordche zupełnie przestał zajmować się nauką bożą. Po całych dniach błakał się po lesie, myśląc o Racheli. Długimi godzinami przesiadywał w gołębiarni i przyglądał się, jak gołębie gzą się i parzą. Z nadejściem wieczoru, jakiś płomień rozgorzał w jego ciele, tak, że nie mógł usiedzieć w domu. Co chwila wchodził pod różnemi pretekstami do leśnika i rzucał okiem na łóżko, w którym leśnik spał z żoną. Niby naprzekór noc jakoś jeszcze nie zapadała i nikt w domu nie kładł się do snu. Mordche, jak pojmany zwierz, biegał z pokoju do pokoju, ze złości rzucił się na łóżko i zasunął kołdrę aż po głowę. Mózg mu płonął, jak w febrze, nieustannie coś bełkotał mówił do Racheli. Gdy wszyscy już pogrążeni byli we śnie, cichutko, bezszmerne wylazł boso przez okno i pomknął do Racheli, która mieszkała od nich o pół wiorsty drogi. I odtąd już czynił tak noc w noc. Na początku Mordche czuł się szczęśliwym, był zajęty sobą i wszystkich omijał, nawet reb Iciego.

Mordche wywahał, że w domu poczęto go śledzić, spostrzegł, iż ojciec Racheli, pachciarz, stał się nazbyt częstym gościem w ich domu i postanowił zwierzyć się ze wszystkiego przed reb Iciem. Lecz ze wstydu, iż tak długo nie odwiedzał go, począł go zupełnie unikać. Później, gdy sprawki jego były już na języku wszystkich i gdy matka dała mu do zrozumienia, iż jeśli nie przestanie się włóczyć z „tą dziewuchą”, to pachciarza wypędzą, wówczas Mordche cały wzburzony, rozgorączkowany udał się do reb Iciego.

Zastał go zagłębionego nad księgą. Znużony upałem siedział bez chałatu, tałas-koten podgięte, koszula roztarmoszona, jedną ręką tarł po cwłosionem ciele i, raz po raz zaciskając powieki, recytował z zapalem, nieomal krzyczał:

— — — „Tu chazyj!” — „Przyjdź i spójrz!” Wstań, śmiertelniku, i spójrz! W Gan-Ajden Hatachtojn—w Ogró;cu Ziemijskim znajduje się miejsce, którego niczyja żrenica jeszcze nie zoczyła I ono miejsce wymalowane jest najpiękniejszemi tęczo - barwy, tysiące pałaców wznosi się tam skrycie, lecz dla nikogo niemasz tam wnijscia okron. Mesjasza, którego siedliskiem jest Gan-Ajden. Gan-Ajden zasię jest opasan rydwanami cadyków, nad którymi panuje Mesjasz, królujący rad wieloma armiami dusz cadyków W dni roś-chojdes, w dni sabatu i świąt wstępuje Mesjasz do onych pałaców dla spędzenia świętego czasu. W głębi onych pałaców znajduje się jeszcze jedno tajne miejsce, nikomu nie znane, zowiące się Ajden — Ogrójec i nikomu zasię nie wiadomo, co się tam dzieje. Mesjasz stąpa dokoła Ajdena, aż objawione mu zostaje inne miejsce, zowiące się Kan-Cyper — Ptasie Gniazdo. W Kan Cyperze wymalowane są podobizny wszystkich obcych narodów, które żywiły złe zamiary wobec żydów. Mesjasz wstępuje tam, wznosi wzrok i widzi przed sobą naszych świętych Praojców, przebywających tam od czasu zburzenia świątyni. Widzi matkę Rachelę ze łzami w oczach, sam Pan Bóg ją pociesza, aliści jest ona niepocieszona. Wówczas Mesjasz podnosi głos i wybucha płaczem. I wstrząsa się cały Gan-Ajden i wszyscy cadykowie płaczą z nim współ. Mesjasz krzyczy, skarży się, kołace w dźwierze niebieskie, aż niebo nad Ajdenem wraz ze stu pięćdziesięciu tysiącami zastępów drgnie, aż głos jego sięga Tronu Bożego. W onej chwili Bóg mruga okiem do ptaka, stojącego na trzecim szczeblu Tronu Bożego, ptak wstępuje do swego gniazda i siada przy Mesjaszu. I rozlega się z Tronu Bożego zew trzykrotny: „Kan-Cyper“ i Mesjasz wstępuje do nieba. I Bóg przysięga, że za pomocą Mesjasza wytraci wszystkich złych królów świata i weźmie odpłatę za krzywdy żydowskie. I Bóg wylicza wszystkie łaski, miłosierdzia i dobrodziejstwa, jakimi pobłogosławi swój naród. I wszystko powraca do swojego pierwostanu i Mesjasz ponownie

ukrywa się w swoim schronie, jak poprzód. — — — —
— — — — — — — — — — — — — — — —

Mordche widział, że woskowa twarz reb Iciego, jak również jego duże, pobróżdzone czoło przy wymawianiu imienia Mesjasza rozpromienia się świetliscie i po ciele chłopca przebiegły ciarki. Poczul się nagle taką małą, mizerną istotą, taką nikłą, grzeszną duszą i, trzęsąc się, jakby mu ręce i nogi odjęło, zapomniał w jakim celu przyszedł, całą duszą i ciałem obrócony w słuch:

„ — — — Dwanaście miesięcy minie, Mesjasz objawi się w Gan-Ajdenie i cadykowie ukoronują go i uzbroją w oręż, na którym wyrte będą Święte Imiona Boga. I złowieszczą gwiazda o barwie purpurowej wszędzie na samym środku nieba i świecić i gorzeć będzie za dnia przed obliczem całego świata. I słup ognisty wzniesie się z północy i spiętrzony aż do nieba stać będzie przed oną gwiazdą czterdzieści dni i zgrozą wionie po całym świecie. I wszem wobec gwiazda ona stoczy bój ze słupem ognistym. I głos zahuczy wśród gromów i łykań, aż ziemia w posiadach się wstrząśnie i mnogie hufce i wojska będą uśmiercone. W onym dniu zasię wystrzeli w Rzymie płomień, który spali mnogie zamki, pałace i wieże. Wówczas głos rozłame się o konary drzew w Ogrójcu, wołając gromko: powstańcie, święci, powstańcie przed Mesjaszem! Oto nastał dzień, w którym mąż pojmie swoją żonę, poweźmie od świata odpłatę za nią, podźwignie ją ku sobie i otrząśnie pył ziemski z jej stóp ... Wówczas cadykowie wszyscy powstaną i ponownie go uzbroją w oręż. I stanie po jego prawicy Abraham, po lewicy Izaak, na przedzie Jakób, a Mojżesz, wierny pasterz, będzie szedł i pisał ze wszystkimi cadykami w Gan-Ajdenie. I Mesjasz przyozdobion wniędzie znowu do Kan-Cyperu, zoczy obraz zburzenia świątyni, jako też wszystkich cadyków-męczenników. I wydobędzie stamtąd dziesięcioro szat zemsty i skryje je na przeciąg czterdziestu dni. Wówczas z Tronu Bożego wezwany będzie Kan-Cyper wraz z Mesja-

zem. Wniebowniją i Bóg ujrzy króla-Mesjasza odzianego w szaty zemsty, uzbrojonego w oręż. I Bóg ucałuje go w czoło. Wówczas zadrzą wszystkie niebiosa w liczbie trzystu dziewięćdziesięciu. I Pan Bóg mrugnie okiem do jednego nieba, co było ukryte od sześciu dni stworzenia świata i wydobędzie z pałacu koronę, na której wryte są Jego Święte Imiona. W oną koronę Bóg się wieńczył, gdy Izrael przechodził przez morze, oną koronę Bóg nosił, gdy powziął pomstę na Faraonie, oną też koronę wdzieje na Mesjasza iłoży na jego czole drugi pocałunek. I otoczą go święte rydwany i aniołowe zastępy. I będzie przez wszystkich ukoronowan. I wnijdzie do pałacu, zoczy aniołów, zowiących się pokutnikami Cyjonu, wiecznymi płaczkami zburzenia. I wynijdzie stamtąd ukoronowan, przyodzian w całą krasę i przepych dolnych i górnych sfer, otoczony świętymi armiami. I cały świat ujrzy jedno światło zwisające od nieba do ziemi. I pałac będzie siedem dni, świat cały zadrzy ze zgrozy i oszołomień i nikt okrom mędrców, którzy dociekli tajni, nie będzie świadom rzeczy. W one siedem dni będzie ukoronowan na ziemi, na Kan-Cyperze — grobie Racheli. A matka Racheli stoi na drogach rozstajnych. I oznajmi jej wieść, pocieszy ją i będzie pocieszona. Powstanie i ucałuje go. Wówczas ustąpi światło i stanie w Jerycho, w mieście palm. Dwanaście miesięcy ukryty będzie w jaśni Kan-Cyperu, poczem ustanowi światło pomiędzy niebem i ziemią, spocznie w Galilei, objawi się skroś światła Kan - Cyperu i powróci do swego schronu. W onym dniu ziemia i niebo znowu się wstrząsną od krańca do krańca i świat zoczy, iż przyszedł Mesjasz.

— — — — —
„Szczęsny, kto wówczas żyć będzie i szczęsny, kto wówczas żyć nie będzie!”
— — — — —

Mordche patrzył na reb Iciego, głęboko wierząc, iż ma przed sobą „alijes nesume”, — „wzniesienie się duszy” — najwyższą ekstazę.

Poprzez otwarte okno widział skraw lasu w płomieniach — słońce zachodziło. Przed stajnią leśnik ochędożał konie. Syn jego, Wacek, podrostek czternastoletni, siedział boso i, ciągnąc Filuta za uszy drażnił się z nim. Cisnął kamyk. Psina wyrwała się, z im petu przeskoczyła kamień, schwyciła go w pysk i niezadowolona ze szczekaniem przywłóczyła się do swego pana.

Mordche spoglądał na leśnika, na Wacka, litował się nad nimi, że o niczem nie wiedzą, że żyją, jak bydło, gdy tuż za ścianą siedzi reb Icie, który buduje i burzy światy. I zdjęła go wielka, przelewna litość.

Reb Icie zamknął księgę i, ujrawszy Mordchego, powiedział czule:

— Dobrze, żeś przyszedł, Mordche!

Reb Icie wstał z krzesła, włożył chałat, tarł rękę o rękę, uporządkowany, zaczął chodzić po komnacie tam i z powrotem. Mordche czuł się teraz, jak ze swojakiem i jął mu wszystko opowiadać. Jąkał się, czerwienił, i, nie mogąc się wygmatwać, zaczął jeszcze raz od początku, jeszcze bardziej się zaplątał i krótko, strzępami słów opowiedział mu swój romans z Rachelą. Mordche spostrzegł, iż reb Icie przez cały czas opowiadania nie patrzył nań, ażeby się nie zmieszał lub stracił, za co go jeszcze bardziej pokochał.

Reb Icie wysłuchał, przystanął i zaczął mówić, jakby ciągnął przerwana pogawędkę:

— Znaczy się, osiągnęłeś pierwszy szczebel — — — inni i tego nie dopinają — — Dobrze! Dobrze! Wiedz o tem, iż cnotliwy żyd winien się odćać we władanie cadyka duszą i ciałem, albowiem cadyk ogniskuje w sobie mądrość, rozum, łaskę miłość — — — Cóż rzekłem? Daleko więcej! Cadyk jest zbiornikiem wszystkich cnót, albowiem nad sercem jego nie ma władzy lewa komora, w której gnieźdzą się siły nieczyste, która i jest właściwie tem, co się zwie „klipo“ — skorupą zła, powłoką grzechu. Albowiem wiedzieć winieneś, iż człowiek po obu stro-

nach serca ma dwie komory: komorę prawą i komorę lewą. W komorze prawej mieści się czysta duchowość, w lewej zaś—krew, w której pławią się „klipes” i sprowadzają człeka z prawej drogi.

Zagłębiony w myślach reb Icie chodził po komnacie, gryząc swą czarną, gęstą brodę, poczem znowu przystanął.

—Albowiem wiedzieć winienes, że im więcej wyzuwasz się z ziemskości, tem snadniej oddajesz się we władanie cadyka, czyli powierzasz cadykowi swoją wolę, swoją duszę. Twoja wola, twoja dusza kojarzą się, zespalają z cadyka wolą i duszą, które są pełne miłości. Miłość zaś to serce świata. Miłość podzielona jest na różne szczeble, najniższy szczebel to miłość Amnona i Tamary. Zdusić w sobie jakowys szczebel, choćby najniższy, jest zakazane. Nie wolno! Trzeba przejść poprzez wszystkie szczeble, a gdy zgromadzisz w sobie wszystkie szczeble, nie będziesz tedy więcej niewolnikiem chuci.

I tedy, oczywista, twoja lewa komora zmniejsza się, krew stygnie, „klipo” zczzenie i zaczynasz wspinać się z niższego szczebla na wyższy, aż poczujesz w sobie górną wolę, własną duszę, dostępujesz zrozumienia, czem jest cadyk, a gdy ogarnia się płomień, w ślad za nim budzi się w tobie pragnienie, aby go zgasić słowem cadyka, spojrzeniem cadyka.

Reb Icie przerwał rozmowę i, sunąc po pokoju, gryzł wąsy. Potem marszcząc brwi, mówił, jakby gawędził ze sobą.

— Warto posłuchać! — reb Icie stanął w drugim końcu pokoju. — Dwanaście lat temu, zaraz po mojej żeniactce nie mogłem się wyzwolić od grzesznych myśli, po uszy siedziałem na pierwszym szczeblu. Jeździłem wówczas do „przysuskiego”. Reb Mendele zażywał już wtedy sławy i rozgłosu na całym świecie. Więc myślę sobie: zabiorę się do Kocka! Jak pomyślałem, tak zrobiłem. Przybywam do Kocka, piszę „kwitek” i modłę się o moc dla służby bożej. Wołają mnie. Zaledwie wszedłem, pyta mnie „cadyk”: „dokąd jeździłeś dotychczas?” Odpowiadam:

do „przysuskiego”. „Więc czego chcesz odemnie?” krzyczy „cadyk”. Gdy ja na to milczę — więc on jeszcze głośniej: „Ośle jeden, jeśli „przysuski” nie pomógł ci, to ja napewno nie pomogę. Pojeźdź z powrotem, oddaj się w jego władanie, jeszcze jest dla ciebie ratunek, przechodzisz teraz pierwszy szczebel. Póty człowiek czuje się grzesznym, póki materja obleka duszę, a gdy doświadczysz własnej woli i dostąpisz zrozumienia, kim jest „przysuski”, wówczas przyjeżdżaj!”.

Mordche jeszcze dłuższy czas siedział przy oknie, jakgdyby, zasłuchany, choć reb Icie już dawno nic nie mówił.

Niebo nad lasem rozplómięniało się coraz silniej, czerwieniąc, jak purpura. I Mordchemu przyszło na myśl, że to są owe szaty zemsty, jakie Mesjasz wdziewie, gdy wynidzie z Kan-Cyperu.

Mordche uszczęśliwiony patrzył na płomień, zapominając, gdzie się znajduje. I widział skroś tych płomieni, jak Mesjasz wysoki, żółty żyd z ognistą brodą, spowity w purpurowy tałas z czarnemi pasami, kroczy w Gan-Ajdenie.

Nagle wstrząsł się, jakby zbiegał z góry, i zdjęło go zdziwienie. W istocie bowiem—dlaczegoż-to Mesjasz ma być rudy? Zawsze wyobrażał go sobie z czarną brodą... Jakiś smutek rozplynał się po jego matowej twarzy. Z jego dużych, siwych oczu wyzierał ból, coś mu się w duszy darło na strzępy, chciał krzyknąć. Gwałtownie zerwał się z miejsca, pragnął coś powiedzieć reb Iciem — lecz w komnacie już nikogo nie było. Przez chwilę patrzył na puste miejsce, na którem przedtem stał reb Icie, patrzył z oczyma, jakby się jeszcze unosiło tam tchnienie kabały i, usiadłszy z powrotem przy oknie, wsparł głowę na rękach i nasłuchiwał rzewnego myczenia bydła w oborach.

Zapadała noc. Żrałe sosny roz tuliły się, sącząc żółte krople żywicy. Od lip biła upojnie - nużąca woń, a w głębokich wykrotach lasu miliony porostów zionęły ostatnie tchnienie w ośme nocy. Mordche z dusznoty nie mógł dłużej usiedzieć w domu.

Drzewa się tuliły do siebie, gałęzie z gałęzmi się splatały, a Wisła błyszcząca, jak stal, mrugała. I przed oczyma Mordchego wyłoniła się biała Rachela, o czarnych, jak noc, oczach o cichych, giętkich krokach—i wabiła go, i przyciągała, jak magnes. I Mordche chciałby się w tej chwili nazywać Jakóbbem, być pastuchem, siedzieć na polu z fujarką w ustach—i grać, i wołać ku sobie bladą Rachelę..

ROZDZIAŁ VI.

Noc w lesie.

Późno w nocy, gdy wszyscy już pogrążeni byli we śnie, Mordche cichutko wykradł się przez okno i bosy pomknął po mokrej trawie. Przy najłżejszym szmerze zdawało mu się, iż ojciec z reb Iciem gonią się za nim. Drżący rzucał się na rosną ziemię i, czując pod twarzą, wykapaną w perlistych kroplach trawę, wdychał w siebie rzeźwość, która wyprężała mu ciało.

Zaledwie dotknął okna, tuż się ukazała biała twarz okolona lasem włosów, duże, czarne oczy, luźna, roztargnięta bluzka o krótkich rękawach, lekka, króciutka halka. Rachela oplotła się dokoła jego szyi i tak pomknęła z nim do boru.

Szczęśliwi szli w lesie obok siebie dłoń w dłoń i nie czując pod stopami kolącego igliwa ani zeschniętych gałązek ściskali sobie coraz mocniej dłonie. Raz po raz przystawali pod jakimś drzewem, całowali się i szczebiotali:

— Moja Rachelo!

— Mój chłopcze!

Las drżał w cichem rozkołysaniu, skroś szczytów drzew, jakby skroś wyciągniętych strun, kiedyniekiedy przewijał się wietrzyk i rozedrgany falował poszmerem dalekim i głębokim.

Księżyc stał nad lasem i igrał z gałęzmi, z liśćmi—a cienie

czołgały się pomiędzy śmigłymi drzewami, jak chrome zwierzęta, jak roje białych ptaków.

Parka usadowiła się pod rozkwitłą lipą. Nagle ośnieżeni drobnym, białym puchem, schwycili się ze szczęścia za ręce i z młodych serc, z ledwo odchylonych ust biła w noc — niema pieśń, milcząca radość.

Wargi Mordchego, jak woniejące lipowe kwiecie, ukołysały Rachelę do sennej błogości. Było jej tak, jakby ostatnie tchnienie miała wyzionąć w noc, czuła, iż rozplywa się w wiotki, lekki wietrzyk, więc oplotła się mocno dokoła Mordchego i poczęła się pieścić.

— Tak się boję twego tatusia . . .

— Nie bój się nic a nic, Rachelo . . .

— Przecież twój tatuś jest taki bogaty . . .

— Więc cóż?

— A ja jestem córką pachciarza . . .

— No, nie mów tak, Rachelo! Chcesz, powiem jutro memu ojcu, że kocham cię, dobrze?

— Broń Boże! Nie mów!

— Dlaczego?

— Bo jestem biedną dziewczyną—a twój tatuś — — —

— Co mój tatuś, powiedz?

Rachel zagryzła dolną wargę białymi zębami i oplotła Mordchego obiema rękoma:

— Kochasz mnie?

— Moja Rachelo . . .

— Mocno kochasz?

— Moja kocino!

— A jeśli on nie zechce?

— Kto?

— Twój tatuś!

— On zechce!

— A jeśli nie?

— Jeśli nie?

— Porzucisz mnie?

— Ja — ciebie? Nigdy w życiu!

— Moj dobry chłopcze! Zuchu mój!

Pocałowali się. Mordche przytulił ją do łona.

— Jeśli mój ojciec nie zechce, uciekniemy oboje, dobrze?

— Dobrze!

— Zamieszkamy w „izbie leśnej”. Skoszę świeże siano, napelnię niem całą izbę i oboje rzucimy się w siano, jak w wodę. Widzisz, o tak!

Wyciągnęli się na mchu. Mordche przycisnął jej głowę oprószoną białym okwieciem lipowem, do swej piersi i, wyrwawszy grzyb, przyłożył jego wilgną, puszystą główkę do twarzy Racheli, chłodząc jej rozpłomienione policzki i znużone brwi. Racheli zmrużyła oczy i wyduła dolną wargę:

— Nie chcę mieszkać w „izbie leśnej”. Przylapią nas tam.

— A gdzie?

— Zamieszkamy w grocie!

— Tam!.. Tam — mieszkają duchy.

— Boisz się?

— Ja?

Nagle zawirowały przed oczyma Mordchego iskry. Wykręcił głowę, aby zobaczyć, skąd spadł nań policzek, lecz wnet poczuł na twarzy jeszcze jedno huknięcie, aż mu wszystkie zęby zadzwoniły. Wskoczył z ziemi. Przed nim stał ojciec w jednej kamizelce, z krymką na głowie i wrzeszczał w niebogłosość. Jego rozdzierające krzyki, jakby niepowstrzymane, wytaczały się same z gardła:

— Czarny rok na twoją głowę! Wyrzutku Izraela! Gnaty ci połamię! Przeklętniku, ty! Dam ci nauczkę, jak się z dziewczuchami po nocach włóczyć! Przechero jeden! Za szewczyka cię oddam! Do terminu — zakało Izraela! Nie chcesz się słuchać ojca rodzonego — to wypędzę na łeb i szyję, na cztery wiatry!

Mordche stał z zaciśniętymi pięściami, krew biła mu w skro-

niach młotem, w sercu tłukła się jakaś pustka, jakby tam coś wydarto. Opanowywał się ze wszystkich sił, aby nie rzucić się na ojca, choć wiedział, iż nie jest tak łatwo go zmóc.

Tymczasem pachciarz, który przywłókł się za ojcem Mordchego schwycił córkę za warkocz i wśród krzyków i przekleństw ciągnął ją do domu.

Mordche, jakby zapomniał o obecności ojca, o tem, że może go na miejscu trupem położyć, i jednym skokiem, jak zwierzę rzucił się na pachciarza, zwałił go z nóg i począł dusić:

— Bić będziesz! Bić!

Ojciec ledwo go oderwał od pachciarza. Pokrwawiony, z zaciśniętymi pięściami, z drżącymi kolanami. Mordche czuł, że ot, za chwilę, rzuci się na ojca. Zziajany dyszał, jak zmordowany pies:

— Ojczy! Na nic się nie zda! Nawet rzemieniem nie wskórasz! Nic z tego... Ożenię się z Rachelą!

— Nie za mojego życia, Mordche! — ojciec pogroził ręką —. Jeszcze jestem twoim ojcem i chyba mam jeszcze coś do powiedzenia, zatracę cię jeden! Pamiętaj — wypędzę na złamanie karku, na cztery wiatry, słyszysz? Chcesz mi taki wstyd narobić? — huknął stary i schwycił Mordchego za gardło. — Prędzej żywcem cię pogrzebię, niż Symcha-pachciarz miałby zostać moim mechtm, twoim teściem.

— Puść! — Mordche wyrwał się z rąk ojca. — Jeśli nie chcesz, bym popełnił grzech!... Idź lepiej do domu, ojczy, bo pasja mnie pożera, nie ręczę za siebie! Idź do domu, ojczy!

— Podniesiesz rękę na ojca? — stary grzmotnął i poskoczył ku Mordchemu.

Mordche rzucił okiem dokoła, spostrzegł gałąź i, odłamawszy ją wraz z pasmem kory, zmierzył się na ojca:

— Zabiję, jeśli podsuniesz mi się pod rękę!

Awrum cofnął się w tył i, patrząc na syna, czyhającego z gałęzią w rękę, pomyślał sobie, że on w jego latach też nie

był lepszy, że synalek jego jest wykapanym ojczulkiem, że mają to we krwi: niedarmo przecież są kohenami—i gniew mu się ugłaskał.

Gdy Mordche się uspokoił, w lesie już nikogo nie było. Obezsilony włókł nogi, potrząsając głową, jakby odpędzał brzęczące owady. Odpoczywając co kilka kroków, przystanął na dłuższą chwilę pod drzewem, nasłuchując całym jestestwem, czy to w uszach mu brzęczy, czy to las szumi. Poszmer strumienił się ze wszystkich stron — z drzew, z nieba, z Wisły. Z chłopskiego lasu rozlegało się trzepotanie podobne do łopotu skrzydeł lub chrzęstu zębów. W głębi lasu kwilił kszyk, jak łkające dziecko. A Wisła pod księżycem raz po raz gorzała między drzewami, jak wilcze ślepią. Mordchem wstrząsnął zimny dreszcz i z przerażenia wdrapał się na drzewo.

Wzrok jego obejmował szmat lasu, ciągnącego się ze wschodu na zachód, aż za Płock. Pośród drzew skrzyły się zielone ogniki, zdala turkotały potężne skrzydła młyńskie, olbrzymi, groźny las ocykał się ze snu. Z poświstem nadbiegł wiatr, jakby bies umknął z grotty. Las się otrząsał. Przestrzenne, zarosłe pola, bór, niebo najeżone wałami chmur — całe okole i otocze tak wyolbrzymiało, rozwaliło się w noc, dysząc tysiącem woni, że Mordche poczuł się słabem, niezaradnem dzieckiem. O uszy jego obily się odgłosy kroków, przylgnął mocniej do drzewa i widział sunących ku niemu ze wszystkich stron wysokich ludzi. A tam, gdzie brzozy majaczeją, dziewczęta w długich, białych koszulach plotły srebrzyste warkocze i wabiły go ku sobie.

Mordche wiedział, że to sylwety drzew, że nie ruszą się z miejsca, aby się doń zbliżyć, że głupio jest lękać się, jednakże w mózgu jego płatała się opowieść o wiejskim rzezaku, który w siarczysty piątkowy podwieczór spieszył się do żony na sabat. Rzezak szedł wybrzeżem Wisły z workiem wątroby na plecach, wtem z boru wypadł wilk i zastąpił mu drogę. Rzezak schwycił nóż do ust i wskoczył na wilka. Wilk w przerażeniu pomknął z

rzezakiem przez śnieg i lód po Wiśle wprost do miasteczka.

Mordche widział przed oczyma umykającego po śniegu wilka i siedzącego na nim okrakiem rzezaka. Wysoki, chudy rzezak siedzi, jak anioł śmierci, z błyszczącym nożem w ustach, a śnieg unosi się obłokiem wzwyż, wzwyż — —

Mordche spostrzegł nagle, że wspiał się na drzewo i roześmiał się na głos, lecz śmiech jego ktoś podchwycił w głębi lasu i przedrzeźniał, jak chochlik.

Naprzeciw niego, na drugim drzewie uczeplił się gałęzi kruk z czarnym, krzywym dzióbem i z parą ślepi, świecących, jak zimne ogniki, któremi przeszywał Mordchego. Mordche podniósł rękę, aby go spłoszyć, lecz ptak ani drgnął i dalej wwiercał w Mordchego swe ślepie, aż po nim ciarki przebiegły. Mordche ze strachu zeskoczył z drzewa i rzucił się do ucieczki. Nagle uprzytomnił sobie, że ojciec go wygnał, że zabrano mu Rachelę, więc schwycił się oburącz za głowę i zaczął wyć, jak głodny zwierz.

Szum w lesie coraz się wzmagał.

Mordche biegł w kierunku chłopskiego lasu. W ustach, jakby miał sól, zęby mu krwawiły. Każdy szelest liścia, trzepotanie ptaka wydawało mu się pogonią wilka. Wiedział z księgi „Rezyjel”, iż gdy wymawia się imiona aniołów, mających władzę nad wilkami, nie uczynią one nic złego. Szedł tedy i szeptał: „Masnyjel, Afsyjel, Siamsijel!” „Masnyjel, Afsyjel, Siamsijel!” Nieopodal Wisły spostrzegł pale, wbite w ziemię w formie koła. Pale obwiązane były luźnym sznurem z żelaznymi hakami. Na hakach wisiały łódki. Ktoś tu polował na dzikie kaczki. Pięć kaczek miotало się, bijąc skrzydłami i czerwonymi łapkami. I im mocniej trzepotały, tem głębiej wpijał się hak w ich główki.

Mordche schwycił pierwszą kaczkę i, choć wyciągnąć hak, przełamał jej dziób, ze złości klął na leśnika i skierował się wprost do „izby leśnej”. Znużony, rzucił się na świeżo skoszone siano i przy kwileniu kszyka, podobnem do płaczu dziecka, zaraz zasnął.

ROZDZIAŁ VII.

Dwojrele.

Dwojrele nawpół rozebrana siedziała na skraju łożka w białym, jedwabnym czepku z koronkami na głowie i cicho płakała. Naprzeciw na wąskiej, brzuchatej komodzie stearynowa świeca w srebrnym lichtarzu oświecała nłkłym blaskiem dużą sypialnię. Z nadmiaru płaczu twarz jej nabrała przezroczyści, a w oczach omdlewała jakaś miękkość. Dlaczegoż-to Pan Bóg ją tak karze? Wszak Mordche ma się, bez uroku, w kogo wrodzić... Toć ród jego wywodzi się aż od znakomitego cadyka Tojsfes-Jomtef!

W żelaznym kufrze, w którym przechowuje swe perły, spoczywa stara księga, spuścizna po matce. W księdze tej znajduje się rodowód całej parenteli. Nie rozumie wprawdzie stamtąd ani jednego wyrazu, lecz przekazane ma od matki, aby w złej godzinie, w chwili — nie dopuść, Boże! — nieszczęścia otworzyła tę księgę, i budziła przodków po grobach, i szlochała póty, aż jej ojcowie - cadykowie usłyszą i pobiegną za nią orędownąć przed tronem niebieskim i aż będzie jej okazane łaski bożej wspomnienie. Co prawda z trudem, z niezmiernym mozołem udaje jej się rozmówić ze swymi przodkami! Gdy wertuje po księdze, widzi przed sobą jeno olbrzymie jarmułki i długie brody. Z przeżalenia zaczyna się jąkać, zwłaszcza, że nie wie, jak wszcząć rozmowę z mężczyznami. Ach, gdyby to były babunie, jakżeby łatwiej poszło i jakżeby więcej wyznała przed nimi! Toć nie wszystko przecież można opowiedzieć mężczyźnie!

Gdy Dwojrele szykowała się do połogu, trzymała księgę tę u węgłowia i zanosila błagania do przodków swych, aby urodził jej się syn. Najgoręcej błagała Gecla, wierzyła bowiem, iż jest u Pana Boga godniejszy od innych. Toć niedarmo poniósł śmierć męczeńską! Gdy Chmielnicki ze swymi hajdamakami w

roku „tach”—„5408 wedle ery żydowskiej”, zburzył Kock i, otoczywszy bóżnicę, w której ukryli się od rzezi ocaleni żydzi, żądał, ażeby przyjęli chrzest, inaczej podpali bóżnicę, to reb Gecl, naonczas rabin kocki, podszedł do ołtarza, otworzył Arkę i w obliczu świętych rodaków i całej gromady żydów poderznął sobie gardło. Reb Gecl'em Dwojrele chełpiła się i drożyła przed Panem Bogiem...

Z rabinem wolskim, reb Fajwusiem, nie wdawała się nigdy w rozmowę, tak go się bała. Nie chciał wydać córki za chasyda, a gdy najmłodszy syn jego pojechał do „cadyka”, siedział po nim na pokucie, jak po zmarłym. Na łożu śmierci — przywołał synów i ci złożyli przysięgę, iż pozostaną misnagdami i będą tak prześladować chasydów, jak o n.

Lubiła natomiast swego wuja reb Majera—„Dwasza”. Nie przelewki! Sam wielki cadyk Kidysies-Lajwe był jego przyjacielem. Przyjeżdżał do niego w goście do Sierpca. Co prawda, ojciec jej nie trzymał z reb Majerem! Lecz z kim-to ojciec jej wogóle trzyma, kogóż-to wogóle ma w cenie? Nazywa go „kobiecy cadykiem”, a to dlatego, że brał „kwitki” w Dobrzyniu, w Bieżuniu i w Sierpcu. Lecz cóż wie tam Dwojrele? Czyż może ona, grzeszna kobiecina, ogarnąć jego myśli, przeniknąć jego drogi? Żydzi jadą—chyba nie popróznicy! Więc jeździła też Dwojrele co rok cichaczem, w tajemnicy przed wszystkimi, do Sierpca na rocznicę śmierci reb Majera, składała ofiarę w kwocie 18 złotych na świece i pozostawała sama w grobnicy cadyka. I w grobnicy — sam na sam — spowiadała się przed nim z pod serca: z własnych utrapień i z tego, co miała komuś za złe—nic nie tała! Przecież krew z własnej krwi! I ilekroć żegnała się z cadykiem, przypominała mu wszystek ród, całą koligację, wyliczając na pierwszym miejscu reb Gecla.

Wobec ojca swego Dwojrele trzymała się zdaleka, z wielkiego respektu aż drżała przed nim, nie przypomina go sobie zgoła uśmiechając się do niej.

Wiecznie pograżony był w nauce bożej i zajęty sprawami dotyczącymi ogółu, zajmował się bowiem rozdzielaniem podarunków i datków, gromadzonych u niego przez ludność dla ubogich żydów, przyczem w domu jego prawie zawsze panował niedostatek.

Za to miała czem się szycić: reb Mojsie! Nie w kij dmuchał! W całej okolicy bowiem ojciec jej, reb Mojsie, słynął, jako „majkl”—rabin łagodny, stosujący przepisy co najpobliższe. Raz całą noc przesiedział z rzezakiem nad wołem i żadną miarą nie mógł znaleźć dostatecznej zasady dla orzeczenia: „koszer!” Rzezak padał już z nóg, nie miał więcej sił dąć w płuca wołu. Reb Mojsie patrzył i patrzył na płuca, oglądał je ze wszystkich stron, zachodząc w głowę, jakby tu orzec: „koszer!”. Wiedział bowiem, iż jeśli orzeknie „tref!”, rzeźnik będzie zrujnowany do cna. Wreszcie wziął to na siebie i rzekł: U jednego z „ostatnich komentatorów” powiedziane jest w takim wypadku: „koszer!” przeto ja, reb Mojsie, także orzekam „koszer!”

Natomiast wydawał zawsze orzeczenie: „tref!”, ilekroć szło o sprawę własnej żony. To też matka Dwojrele, gdy miała mu coś pokazać dla orzeczenia, nie czyniła tego sama, lecz za pośrednictwem sąsiadki.

Dwojrele pamięta, jak jej starszy brat reb Bejryś dwa tygodnie po ślubie stęsknił się do Kocka. Minął miesiąc, drugi, trzeci, a brat wciąż nie wracał. Młoda żona ze łzami w oczach weszła do pokoju teścia i wyznała przed nim swój ciężki frasunek. Reb Mojsie wysłuchał synowej i napisał list do „kockiego”. Treści tego listu nikt nie zna po dzień dzisiejszy. Wiadomo tylko, że reb Mendele po przeczytaniu tego listu uśmiechnął się i kazał bratu wrócić do domu. „Nie gwoli czci dla ojca” — powtarzał kilkakrotnie — „lecz gwoli żonie”. A gdy reb Bejryś wrócił, ojciec nie chciał mu podać ręki na powitanie—„szulem”. Matka w płacz: dlaczegoż? Rabin uczynił jednak ślub, że nie chce go widzieć na przeciąg trzech dni, czwartego zaś dnia ma się przed nim zjawić, jak pokutnik, w pończochach. Reb Mojsie był za-

wzięty misnaged, w stosunku do chasydów nieubłagany. Gdy reb Bejrys czwartego dnia zjawił się przed ojcem w pończochach, reb Mojsie nie podając mu ręki, zapytał:

— Cóż-eś tak długo bałamucił w Kocku ?

— Pouczałem się przy „cadyku”. „Cadyk“ wykładał mi księgę „Ajen - Jankew”.

— Co, „Ajen - Jankew? — ojciec się uśmiechnął, jakby rzekł: „Też mi nauka!” i rozmówił się z synem na temat świętych ksiąg.

Po godzinnej gawędzie wyciągnął doń rękę na powitanie— „szulem” i zawołał rabinową :

— Ite - Fajge, podaj wódkę z piernikiem! Nasz Bejrys nie narobi nam wstydu!

Każda gałąź rodu Dwojreła była odrębnym skrawem życia, legendą żydowską, przekazywaną przez ojca pamięci syna, przez matkę pamięci córki, legendą o żydach w Polsce.

Dwojrele wytarła oczy i narzuciła na odsłonięte plecy jedwabny, turecki szal. W zamysleniu rozejrzała się po sypialni, jakby się tu znajdowała po raz pierwszy. Nagle spostrzegła złoty zegarek Awruma, wyslizgujący się z pod poduszki na rozrzucone posłanie.

W przerażeniu jeszcze raz obrzuciła pokój wzrokiem i, nie dojrawszy nikogo, zacisnęła cienkie wargi, załamała ręce, a na jej bladej, wydłużonej twarzy rozsunęło się pasmo cierpienia.

Czuła się winną. Postępki Mordchego z pewnością zakłócają spokój jej dziadkom w grobach. Za czyje przewiny ściga ją kara boża? Syn Dwojrele miałby pojąć za żonę córkę pachciarza — — — nie przeniesie takiej sromoty! Dożyła czasów! Gdy wiecznie przebywa wśród gojów! Gdy chodzi samopas i pustopas! Nie dziwota — że lezie na równe ściany! A może nie należało obudzić Awruma? Oczywiście, że nie! Popelniła głupstwo! Przedtem trzeba było rozmówić się z reb Iciem, niech go wybeszta, wystrofuje! Przed nim ma wielki respekt. A teraz — nawarzyła pi-

wa! I kto wie, czy Awrum chłopca nie zamorduje? Gdy on wpadnie w gniew, to niech Pan Bóg chroni i broni!

Dwojrele zesła z łóżka i wyrzała przez okno, czy Awrum nie nadchodzi. Nie widząc nikogo, nieświadomie wsunęła zegarek za poduszkę i zalawiona, położyła się z powrotem do łóżka. W sąsiednim pokoju rozlegał się szmer kroków, Dwojrele zaczęła wołać:

— Brajno, czy śpisz?

— Nie, paniusiu, ano idę!

— Niczem matka! — westchnęła Dwojrele — Już nie spocznie, powlecze się tak z pokoju do pokoju aż do powrotu Mordchego. Czy to dziś pierwszy raz?

Brajna była na służbie u rodziców Mordchego przeszło dwadzieścia lat. Wyswatali ją z wiejskim łaciarzem i dali jej w posagu pięćset złotych i krowę. Gdy Brajna szykowała się do połogu, mąż jej nagle rozniemógł się i zmarł. Z rozpaczny Brajna poroniła, wydawszy przedwcześnie na świat martwe dziecko. W tym samym czasie Dwojrele urodziła Mordchego. Brajna powróciła na służbę do Awruma i, jako jedyna nieomal gospodyni domu, prowadziła gospodarstwo według swojego uznania.

Brajna weszła do sypialni boso, w halce, z zarzuconym na siebie fartuchem i stanęła we drzwiach.

— Paniusia jeszcze nie śpi?

— A któraż to godzina?

— Abo ja wiem? Pewnikiem już po dwunastej — reb Icie tylko co pogasił świecę.

— Byłaś na dworze?

— A któżby tu uleżał? Wyszłam pomiarkować się, a nuż idą.

— No i co?

— Ani widać żywego stworzenia.

— Powinni już być z powrotem — odparła Dwojrele z

niepokojem — boję się, czy chłopca nie zabił! Przecież wiesz, co to za pasjant!

— Nie frasujcie się, paniusiu, ojciec nie zabije swojego dzieciaka! — Brajna uspokajała Dwojrele, zbliżając się do jej łóżka — Abo ja wiem? Choć niby to wielkie ukrzywdzenie! Nie trza było przed panem gadać i wysyłać go po nocy do lasu.

— Jakto nie trzeba było? — Dwojrele usprawiedliwiała się przed nią, czując jednocześnie, iż Brajna ma słuszość i jej blada twarz jeszcze bardziej zbladła — myślisz może Brajno, że już wiesz o wszystkim — przecież tak mnie przestraszył!

— A kto taki — pachciarz?

— Właśnie! Wpadł zdyszany, pół żywy, pół martwy, jakby — nie daj Boże — nieszczęście spadło. I zanim co, jak — ze strachu zbudziłam Awruma! Choć, co prawda, wcześniej, czy później to musiało się przecież skończyć! Małoż się nagadałem, leż to razy mu przekładałam, perswadowałam? Zaraz pierwszego dnia błagam go, jak zbója, aby nie narobił mu wstydu. I co? Jakby groch na ścianę! Powiedz sama, Brajno, wszak jesteś kobieta z rozumem — Dwojrele ujęła Brajnę za rękę i posadziła ją na łóżku obok siebie — czyż poto zachowywałam posty, kołatałam do grobów przodków, mąciłam spokój wuja Majera w grobnicy? Mówię ci po szczerości. Brajno — Dwojrele z ręką na sercu nieomal krzyczała — przecież nie mam więcej, jak tego jedynaka, jak to jedno wypiąstowane dziecko! Lecz gdybym nawet życiem miała przyplacić, córka reb Mojsiego nigdy nie będzie teściową córki Symchy-pachciarza.

W toku rozmowy Awrum cicho wsunął się do pokoju i, stanąwszy we drzwiach, przysłuchiwał się w milczeniu, a gdy Dwojrele skończyła swoją perorę, Awrum wybuchnął:

— A właśnie, że tak! Będziesz teściową córki Symchy — pachciarza! A właśnie, że tak!

Kobiety z przerażenia zamilkły. Po chwili jednak Dwojrele, wyciągając rękę w kierunku męża, zapytała.

— A gdzie Mordche? Gdzie?

— Twój świętoszek żyje! — Awrum z gorzkim uśmiechem wzbudzony począł chodzić po pokoju — Właśnie nam na przekór, aby nam żółć pękła — — ożeni się — tak mówi — z nią — — z tą dziewczką! Czy dasz wiarę, przecież ten szkot rzucił się na mnie do bicia! Tak, pociechy dożyliśmy na starość, ha - ha - ha!

— A gdzieś go zostawił, gdzie? — Dwojrele zeskoczyła z łóżka — gdzie chłopak?

— Ot, spójrzcie-no! Co matka—to matka, widzicie-co?! — Awrum stanął na środku pokoju i wskazując z ukosa grubym palcem na Dwojrele, zwrócił się do Brajny — Masz! Można boki zrywać od śmiechu! Przed chwilą gwałtowała, że nie dopuści do małżeństwa — „gdymbym nawet życiem miała przypłacić!”? Nu, gadaj tu z babami! Daleko z niemi zajdziesz — co? Nie warte to niucha tabaki. — Potem zwrócił się do Dwojrele — I poco posłałaś mnie do lasu, po co, na co? Abyem pogłaskał gagatka po buzi? Spójrzcie, jak to drży! Lękasz się o synalka? Żyje! „chłopak” żyje! Twój „chłopak” tak poturbował pachciarza, jak zbój, a nie jak „chłopak”! O mało co, a skoczyłby też na mnie! Płacz, płacz! Płacz na swój gorzki los, moja żono, żeś mi takiego szkota wychowała! Widać, jak twoi cadykowie wstawili się za tobą!

Dwojrele nić nie odpowiedziała. Usiadłszy na łóżku, wycierała sobie łzy tureckim szalem.

— A może ty wiesz, czemu się tak rozbeczała? — Awrum rozgorączkowany zwrócił się do Brajny.

— Takiej uciechy oby moi wrogowie pokosztowali! — Brajna wysmarkała się w fartuch i zaczęła mrużyć oczy.

— Nu, nu, potrzebowałem tego — co? — Awrum z udanym uśmiechem jął suwać krymkę z karku na czoło. — Wszyscy przeciw mnie! Wszyscy na mnie! Dobrze! Dobrze! — — —

— Wszak jesteś ojcem dziecku! — Dwojrele wskoczyła —

Jak można chłopca zostawić samego w lesie? Gdzie twoje sumienie? Przecież trza mieć serce... Nawet goj by tak nie postąpił! Jeszcze sobie czegoś złego narobi!

— Cóżecie tak na mnie nasiadły? — Awrum wrzasnął — Popelnilem wielki grzech—co? Śmiertelny grzech? Może miałem tego jołopa wziąć na ręce i przynieść go do domu, co? Niedoczekanie jego! Jeśli ten flądra trafił z dziewczką do lasu, trafi też z powrotem do domu, na moje słowo!

— Ale gdybyś się mnie posłuchał — Dwojrele uderzyła się w serce — od pierwszej chwili perswadowałam: odpraw pachciarza, pocóż nam to nieszczęście nad głową? Albo Mordchego wyślij do Kocka!

— Pachciarzowi nie mam nic do wyrzucenia! — przerwał Awrum — Spokojny człek! Jeśli go odprawię, znaczy odbiorę biedakowi kęs chleba z ust, zarznę go na sucho! I za co? Za to, że mamy synalka, wyrzutka Izraela — — —? —

Na wszystkie matki żydowskie takich synów! — Brajna rzuciła słówko, ot, tak sobie.

— Ojciec mój, błogosławionej pamięci, nigdy pachciarza nie odprawiał — ciągnął dalej Awrum — i ja tego też nie uczynię! Jedno tylko mogę cię zapewnić: jeszcze dzisiaj w nocy pachciarz wyśle córkę swoją do Płocka. Nu, kontenta-ś?

Dwojrele nic nie odparła i zaczęła się pospiesznie ubierać.

— Brajno, chodź ze mną, Brajno! Wszak nie mam więcej jak jednego syna!

— Zmitygujcie się, paniusiu, — objęła ją Brajna, obcałowując po rękach—A gdzież to będziemy go teraz szukać—przećcie noc!

— Nie prosź jej! — zwrócił się Awrum do Brajny — Puść ją — niech biegnie! A niech sobie bije głową o poduszkę wraz ze swym synalkiem!

Dwojrele przygryzła cienkie wargi, nerwowym ruchem

okręciła turecki szal dokoła głowy, schwyciła fartuch i, nie patrząc w stronę męża, zwróciła się do Brajny:

— Pójdiesz ze mną? Nie chcesz, to idę sama!

— Pewno, że idę! Abo dam paniusi iść samiuteńkiej?

Gdy kobiety stały już przed drzwiami, Awrum klasnął z całych sił w ręce:

— Co się tu dzieje? Jeszcze jestem tutaj troszkę, zdaje się, panem, jeszcze mam chyba cośniecoś do powiedzenia! Mordche jest akuratnie twój, jak i mój! Lecz musi — — —

I jednym skokiem zagroził im drogę:

— Nie pójdiesz, Dwojrele, słyszysz? Niech się nie nazywam Awrum, jeśli pójdiesz — — — Cóżes się tak rozbeczala? Licho go nie porwie! Spójrzcie, jak to piszczy! Idę już, idę po synalka, idę — nu, już dobrze?

Gdy Awrum wyszedł, Brajna odprowadziła Dwojrele do łóżka:

— Pan krzyczy, to już taka natura, a mówię po sumieniu: serce mu tak samo boleje, jak paniusi.

Dwojrele wsparła głowę na Brajnie i rozplakała się rzewnie, jak dziecko.

ROZDZIAŁ VIII.

Biczowanie.

Mordche kilkakrotnie budził się w nocy, chciał wstać, czując przez sen, że powinien pobiec do Racheli, która z pewnością go wyczekuje. Lecz członki zesztyniały mu z zimna i jakby przymarzły do leża. Z męki aż krzyknął i całym wysiłkiem woli zerwał się ze snu.

Był przedświt. Całe okole tonęło w szarzyźnie. Jeno na wschodzie niebo się przeczyszczało, a szczyty drzew pały.

Mordche dygotał z zimna, wsunął się w głąb siana, pewny.

że już nie zaśnie. I przez chwilę leżąc tak z zamkniętymi oczyma, czuł, że powieki mu się skleją i wszystko dokoła rozplywa się w jakąś mgłę.

...A cóż to? Spójrzcie! Dach się rozwiera — — — I oto Tron Boży — — — Któż tam zasiada? — — — Błękitny zwój opada i spowija mnie. — — — Serafowie łopocą ognistymi skrzydłami, wykrzykując ku sobie: „Kudeś, Kudeś, Kudeś” — „Święty, Święty, Święty!” — — — A od tych wykrzyków drzewa dygocą, padają i płoną. I dym strzelisty opasuje mnie, dławi — — — Cóż to? Ręka? Ach, jak straszliwie-wielka — — — Ojcze - rodzicu! W ręce — trzyma żagiew — — Kładzie ją na mnie, jak rozżarzoną górę — Ach, moje wargi! — — — Słyszę zew: — — — „Ogień oczyszcza z grzechu” — — — „Ogień oczyszcza z grzechu”. — — —

... Cóż tam tak modrzeje, ha? — — — Modry las? Któż tam idzie? Spójrzcie, jak mu broda płonie? — — — Kogóż prowadzą tam? Kogóż? — — — Rachelę? Wszak ojciec ją zawłókł do domu za warkocz — — — Tak, słowo daję Rachelu! — — — Uśmiecha się do mnie — — — A któż idzie tu? Ach, przecież to reb Icie! — — —

— Jak to dobrze, Mordche, jak to dobrze, że cię spotykam, szukam cię cały dzień — — — Chodź ze mną, Mesjasz na nas czeka — — — Prowadzi twoją narzeczoną — — — Jako napisane jest: „I nastanie czas, kiedy młodzian poimie swą narzeczoną”.

— Rabbi, gdzie Mesjasz?
 — Ot, stoi tam — — — Ten z płomienistą brodą — — —
 — A ja myślałem, że Mesjasz ma czarną brodę — — —
 — Tak, mój synu, dobrze-ś powiedział — — — Mesjasz z domu Dawida ma czarną brodę — — — Toć to Mesjasz z domu Józefa.

...Mordche szedł z reb Iciem. Czuł, że coś się w nim roz-
żarza, rozkipia, wrzątkiem rozpala krew — i zadrżał w wielkiem
uradowaniu. Nagle przypomniał sobie, że Mesjasz z domu Józefa
musi polec. Zdjął go niezmierny żal i z oczu jego trysnęły łzy
rzesiste.

— Czemu płaczesz? Żyd powinien być zawsze wesół — — —
Wszak idziesz na spotkanie swej narzeczonej! — — —

— Grzeszny jestem, rabbi — — — jakże mogę stanąć
przed oblicze Mesjasza? — — —

— Zzuj trzewiki. — — —

Mordche spojrział na swe bose nogi, jakgdyby nie rozumiał
słów Iciego, lecz po chwili połapał się:

— Toć jestem bosy — — —

— Jeśliś tego pewien, to pójdźmy!

Mordche jeszcze rzewniej się rozekłał!

— Wczoraj biłem żyda — — — ojca Racheli — — — Chcia-
łem targnąć się na własnego ojca — — — Zgrzeszyłem — — —

— Nle lękaj się Mordche! — — — — — — — — —
On jest samo miłosierdzie — — — — Chodź, narzeczoneja
czeka na cię! Jako napisane jest: „Oto Ja posyłam wam Eliego,
proroka i zwróci on serce ojców do synów“ — — — — —

— A cóż stanie się z Mesjaszem z domu Józefa?

— Polegnie — — —

Mordchem wstrząsnął ból. Rozpostarłszy ręce, rozszochał
się:

— Rabbi! — — — Rabbi! — — —

— Łzy oczyszczają z grzechu — — — Łzy oczyszczają z
grzechu — — — — — — — — —
— — — — — — — — —

Mordche zbudził się z. snu i oszołomiony pozostał w
pozie siedzącej na sianie. Ta sama szarość wchłaniała całe
okole. Przysięgłby, że wcale nie spał, jeno na okamgnienie przy-
warł powieki i w owej chwili coś mu się przyśniło. Usiłował

sobie przypomnieć sen, czując ostatnie słowa tego snu nieomal dotykalnie na koniuszeczku języka. Był głęboko przeświadczony, że, gdyby pamiętał ostatnie wyrazy, uprzytomniłby sobie cały sen. Siedział więc zamyślony nad doborem owych słów, lecz jakgdyby naprzekór właściwe wyrazy nie przychodziły mu na język.

Mordche ze złości splunął. Rozejrzawszy się dokoła, poznał, że w nocy padał deszcz. Chciał się umyć, lecz nie było czym. Nie zastanawiając się zgoła, w nocnym przyodziewku, boso począł biec w kierunku domu pachciarza.

Wśród drogi przypomniał sobie, że ojciec go bił w obecności Racheli i jakaś markotność śączyła mu się w serce. Przyszło mu na myśl, że nie on bieży, lecz ktoś go zaprzął i siedzi z tyłu, a on, Mordche, ciągnie tamtego i skacze, jak żreback, poprzez kloce i doły. Szarpnął go ból i w miarę, jak się zbliżał do domu pachciarza, za każdym krokiem cierpienie coraz bardziej go dręczyło.

Pod górą przy studni Mordche przystanął. Obejrzał swoje podrapane, guzami obrzmiałe, bosc nogi i ze wstydu nie chciał w tym stanie wejść do Racheli. Nie mógł sobie jednak poradzić, więc tylko obmył skrzętnie nogi, prosząc w duszy Boga, aby pachciarz już odjechał z mlekiem do miasta.

W oborach ryczały krowy—ciągnęło je na łąki.

Mordche zakradał się cicho pośród drzew. Z radosnem biciem serca spostrzegł z daleka, że wozu już niema, lecz zrazu też, nie wiedzieć czemu, przeszył go jeszcze ostrzejszy ból. Zbliżył się do domu pachciarza—drzwi i okiennice były zamknięte na wszystkie spusty. Nie wierząc jednak, aby o tak późnej godzinie jeszcze spano, zapukał do okna. Nikt nie odpowiadał. Począł mocniej kołatać we drzwi, nasłuchując skwapliwie. Zdawało mu się nawet, że w mieszkaniu rozlega się poszmer kroków, skierowanych ku niemu, lecz nikt się nie zjawił, aby mu drzwi otworzyć. Mordche stukał, bił, walił, błagając Rachełę, aby mu choć słówkiem odpowiedziała, aby ukazała mu swą bladą twarzą, czkę,

czarne warkocze, oczęta—nie było odpowiedzi. Podważył okiennicę, zerwał ją—okno pozostało otwarte jeszcze z nocy. Pokój był pusty, łóżko—rozrzucone.

Mordche z rozpaczcy osunął się na próg domu, otarł pot z czoła i, ścisnąwszy głowę rękoma, wodził wzrokiem dokoła, jakgdyby czegoś szukał.

Naraz spostrzegł, iż na placu, na którym zazwyczaj stał wóz, jest sucho i w głowie błysnęła mu jasna myśl. Przyjrzał się niebu na wschodzie—było około piątej nad ranem. Deszcz przestał około ozwartej — wmawiał w siebie, choć sam nie wiedział dlaczego. Gdyby więc teraz osiodłał siwoszkę i pognał galopem przez las, dopędziłby Rachelę wśród drogi.

Mordche zapomniał, gdzie się znajduje. Siedząc na progu z głową ściśniętą w rękach, snuł swój plan. Oto wsuwa się cichutko do stajni, wyprowadza okulbaczoną siwoszkę, wskakuje na konia i puszcza się cwałem przez las. Koń rwie z kopyta, przesadza oploty, skacze przez jary, wądoły i, mknąc jak bies, pruje gęstwinę leśną, smaga szosę—aż zdaleka ukazuje się fura, zaprzągnięta w szkapinę. Pachciarz na widok Mordchego pogania konisko co sił, Mordche zaś wypręża się na siwoszcze, gładzi ją po szyi, po grzywie, siwoszka miota przed się przednie i tylne nogi, wykrawa pod sobą półksiężycy. A Rachelę zapłakana rwie się ku niemu. Jeszcze jeden skok i — — —

Ktoś trzasnął z bicia. Mordche drgnął i rozejrzał się. To Wacek wypędzał bydło z obór.

Mordche zerwał się z miejsca, aby podejść do Wacka, lecz wtem ujrzał ojca, stojącego nieopodal z czapką w ręku. Spojrzenia ich skrzyżowały się przez chwilę. Mordche jakgdyby poczuł cios w serce, zachwiał się na nogach i znowu osunął się na próg. Choć był pewien, iż ojciec nie podejdzie doń ani nie przemówi, dygotał jednak ze strachu na całym ciele, wyczekując czegoś z zapartym tchem.

Wacek trząskał i wywijał biczem. Zabiegając drogę to krowie, to cielakowi, klął siarczyście i poganiał je na łąkę. Z za boru rozlegał się trzask jego bicza coraz ciszej, aż zupełnie umilkł, a w powietrzu jeszcze drgało ryczenie i meczenie przesycone tęgą wonią trzody, bijącą, jak tchnienie ranka.

Awrum stał i ścigał wzrokiem znikającą trzodę. Miętosząc w rękę czapkę, bił się z myślami, wreszcie machnął ręką, spuścił głowę i wolnym krokiem powlókł się w kierunku lasu.

Mordchego dławili łyzy w gardle. Oddałby taraz wszystko za jedno słowo ojcowskie, za jedno przekleństwo lub chłostę.

Uniosło go z miejsca. Wszystko się w nim rwało do ojca, rzuciłby mu się do nóg, przepraszałby go stokrotnie. Ojciec ze schyloną głową, z rozwartymi rękoma włókł się noga za nogą pomiędzy drzewami i zdawało się, że lada chwila potknie się i upadnie. Mordchego coś ukąsiło pod sercem i pobiegł za ojcem. Zaledwie uszedł kilka kroków, poczuł, że nogi mu się uginają. Zbolały, wygłodzony powrócił pod okno Racheli.

Jednym susem wskoczył do pokoju i pod wpływem głodu skierował się do kuchni. Otworzył spiżarnię, wyjął stamtąd gliniany garnek z zsiadłym mlekiem, bochenek żytniego chleba i kartofle. Z zapartym tchem, jak głodny zwierz, rwał kawały chleba, połykając je nie rozgryzione i popijając zsiadłym mlekiem. Wprawdzie uprzytomnił sobie, iż je, choć jeszcze nie zmówił modlitwy porannej, lecz tak był pochłonięty jadłem, że nie przejął się tem zgoła. Potem wypił kwartę wody, poczuł się rzeźko i nogi same poczęły mu podrygiwać, jakby chodził na szczydłach.

Rozkoszne lenistwo sączyło mu się przez wszystkie członki, jakieś znużenie zmogło go do cna, przeciągał się i, rozwierając ręce, z tęskności objąłby ściany i wspinałby się po nich. A że stał obok łóżka Racheli, które — obwieszane z obu stron białymi firankami — było rozesłane, bez namysłu rzucił się na

pościel i tuląc się do poduszki, skurczony we troje, począł lkać bez łez i szeptać: Rachelo, Rachelo! — — —

Z za okna rozległ się głos. Mordche gwałtownie podniósł głowę, ujrzał Brajnę i z powrotem się ułożył.

— Mateńko, gdzie załaził, gdzie? Pięknie! Pięknie! — Brajna ujęła się pod boki i potrząsała głową — inszego miejsca młody pan już nie znalazł, tylko tu, w łóżku Racheli! Ładnie! I tak robi dorosły chłopak, ba, cały narzeczony! Cóż-eś tak na mnie oczy wybałuszyl? A może nawet i już nie poznajesz mnie — co?

Mordche wyciągając się, zapytał z udanym uśmiechem:

— Późno, co — Brajno?

— A jużci późno! W Pinczowie już dnieje!

Mordche się przeciągał:

— Kto was tu przysłał? Ojciec?

Abo to potrza dopiero mnie przysyłać? A sama to rozumu nie mam, czy co? Wyrzyczowałeś nam noc, zupełnie jakby Tyszebuw.

— Cóż, matka płakała?

— Nie! Tańcowała! Z wielkiej uciechy! A jeszcze pyta! Matka lamentowała, szlochała, pana wśród nocy wygnała, aby cię pędem odszukał.

— No, i ojciec poszedł?

— A iluż to ojciec twój nieborak, ma raptem synalków? To-ć tylko jedynego jedynaczka! Jedno wychuchane, wypiastrwane dziecko — ciebie, Mordchele! Przez calusieńką noc oka nie zmrzył, poszukiwał cię bezustanku!

Mordche poczuł szczypcę na sercu i sól w krtani, wytarł zwilżone oczy i zeskoczył z łóżka.

Brajna przewiązała swoją trójkończastą chustę, którą nosiła na głowie, wsparła ręce, pełne szram od skrobania kartofli, na oknie i ciężko westchnęła:

— Jak się to wszystko raptem przewróciło do góry nogami

w jednusiańką noc? Z ojcem się poważnił, pachciarza przepędzą na cztery wiatry, chudy kęs chleba biednemu żydowi z ust wydzierają, a wiesz ty przez co najwięcej serce mi się kraje? Mówię ci po sumieniu — przez Rachelę — — — Taka cichutka dziewczyna, takie dobrunie dziecko, niby prawdziwa księżniczka.

— Patrz lepiej końca! — Mordche wzburzony gwałtownym krokiem chodził po pokoju.

— A niby co to znaczy?

— Znaczy — na moje słowo, Brajno, nic z tego! Nie postawią na swoim! Choćbym miał życiem przyplącić — ożenię się z Rachelą!

— Eh, już pleciesz androny — Brajna uśmiechała się — chcesz być większym mądrałą, niż cały świat? Na świecie, weź to na rozum, każdy ma sobie swój stan. Tak się już dzieje od wieków, od dziada pradziada. Trza ci było wiedzieć, iż ojczulek nigdy nie przyzwoli na to małżeństwo i nie trza było bałamucić biednej dziewczyny — — — Jak to tam napisane jest w naszych świętych księgach? Toć lepiej wiesz odemnie! Biedna dziewczyna żydowska porównana jest do gołębia, co to się nie broni, co to sam wyciąga główkę pod nóż — — —

— Czego chcecie odemnie? — Mordche wykrzyknął — Zostawcie mnie w spokoju i wracajcie sobie do domu! Mam dosyć i bez was!

— Dobrze, dobrze! — Brajna wysmarkała się w fartuch — całe zło, którego tobie życzę, niech na mnie spadnie, Ojcie niebieski! Za to żem cię karmiła, niańczyła, piastowała, żeś wyrósł bez uroku chłopak na schwał, chcesz mnie wypędzić! Chociaż niby, jeśli mnie skrzywdzisz, to — nie myśl sobie — na sucho ci nie ujdzie, z miejsca się pokwituję. Po sumieniu, toć nikt nas tu nie słyszy, jak-em się dowiedziała, żeś obił pachciarza, serce mi się ścisnęło! — — — Nu, było nie było, szlus! — — — Ano, pewnie nie zasłużyłam sobie na nic lepszego.

Brajna jeszcze raz się wysiąkła w fartuch, wytarła sobie oczy i znowu ciężko westchnęła :

— Mordchuniu, mam do ciebie prośbę — — — obyś mi tylko nie odmówił — — —

— Cóż to za prośba ?

— Bo kiedyś taki zły, rozsierzony — — —

— Ani troszkę! Mów!

— Proszę cię — — — zrób to gwoli mnie, twojej starej piastunce — — — przeproś ojca, a potem to już wstawisz się, aby nie wypędził pachciarza. Zobaczysz, dla ciebie ojczulek wszystko uczyni wedle twej woli. Niby co do tego właśnie chciałam cię prosić! Przyrzekasz mi ?

— Zapewniam was, Brajno, pachciarz pozostanie! Biorę to na siebie, dobrze? A teraz zostawcie mnie samego!

— Co do tego, to nie, Mordchuniu! Zabierzmy się razem do domu.

— Cóż, boicie się, że sam nie trafię.

— Niechże! A pamiętaj, powracaj pędem—błagała go braj na na odchodnem. Po chwili odwróciła się ukontentowana :

— A to ci dopiero! Całkiem przepomniałam!

Wyjęła z pod zakasanego fartucha parę półbucików z gumami.

— Masz, włóż! Matka by się umartwiła, gdyby cię tak widziała na bosaka!

Mordchego ogarnęło jakieś ciepło, jej wierność zdjęła go wstydem . . . Oniemiały, z nabiegłymi od łez oczyma patrzył w ślad za oddalającą się służącą i serce jego wezbrało dla niej wdzięcznością.

Na njebie dokoła wschodzącego słońca krzyżowały się i przecinały barwne smugi, obrzeżone perlistą masą. Mordche, patrząc na niebo, wchłaniał w siebie mleczną jaśń i stawał się dla siebie, jak to niebo, przeźroczy.

Posępny szedł lasem, myśląc o tem, że Brajna jest piękniejszą, wznioślejszą istotą, niż on i nagle poczuł pustkę w sercu.

Czy przeto, że obito go w obecności Racheli, czy przeto, że rwał się do bicia własnego ojca — sam nie wiedział dlaczego, miał jednak głębokie przeświadczenie, że już nigdy nie wróci do domu, lecz odszuka jakąś grotę, zamieszka tam i odda się nauce bożej. — A Rachelą? — Rachelą będzie mu przynosiła jedzenie! Gdy zaś nadejdzie dzień, w którym trzeba będzie objawić się światu, jako cadyk, wówczas wezwie Rachełę, roztoczy przed nią obrazy najpiękniejszych, kryształowych pałaców królów i władców. Rachelą wybierze sobie jeden z owych pałaców, który wraz ze służbą i niewolnikami przeniesiony zostanie do lasu, jak to ongiś uczynił wielki cadyk reb Udom-Balszem.

Pogrążony w rojeniach Mordche włókł się noga za nogą i im dalej wgłębiał się w las, tem większa i boleśniejsza pustka przytłaczała jego serce brzemieniem.

Naprzeciw niego nadjechał Symcha-pachciarz, siedząc na furze sam jeden. Mordche wstrząsnął się na myśl, że wczoraj rzucił się nań, bił go i walił pięścią po twarzy. Przypomniawszy sobie jego dygoczącą, żółtą bródkę, przerażone oczy, krew ciekącą z ust. Czem-że jest on, Mordche, lepszy od Kaina?

Chłopca przeniknął zimny dreszcz. Bał się, że zaraz migną przed nim przestraszone oczy pachciarza i znieruchomiały, jakby paralizem tknięty, wlepił wzrok w jego żółtą bródkę. I patrząc tak, nagle przypomniał sobie swój sen, całutki ze wszystkimi szczegółikami. Westchnął i rozjaśniło mu się w oczach. Byłoż to prawdą? Bez namysłu cisnął się, jak rozjuszony byk, ku furze i zatrzymał konia.

Pachciarz zerwał się z miejsca i jednym susem, jakby rzucając się do ucieczki, przeskoczył na koniec fury. Ze strachu wytrzeszczył oczy, jak człowiek na widok niespodzianej śmierci i, wydobywszy z piersi nieludzki ryk, począł okładać batem Mordchego, gdzie popadło. Mordche schylił głowę i, jakby bez przeciwu, przyjmował chłosty. Stał na jednym miejscu, jak osłupiały, co jeszcze bardziej rozdrażniało pachciarza, który,

wybyty lęku, nagle poczuł swoją obelgę i każdą chłostą spuszczoną na plecy Mordchego, odpłacał mu za wczorajsze razy, za lzy córki. I w miarę tego, jak pachciarz go smagał batem, kłęb sromoty i hańby, napęczniały w jego piersi w przeciągu całego żywota, rozsnuwał się i pierzchał. I ręka mu się rozhuściła lekko, zwinnie, jakgdyby uroniła jakieś ciężkie brzemię. Mordche stał, jak przygwożdżony do ziemi. Z nadmiaru bólu już nie czuł, jak batóg wpija mu się w ciało. Osunął się na czworakach, jak żyd, gdy poddaje się w wilgę Jom-Kipuru „małkes“ — „biczowaniu“ i myślał o tem, że pachciarz teraz mu przebaczy, że zgrzeszył przeciwko niemu, że uda się z reb Iciem do ojca i z pokorą przyjmie wszelką pokutę, jaką mu reb Icie zada.

Pachciarz przestał go już smagać. Może ze wstydu, że Mordche się nie broni, a może już nasycił swój gniew, zatarł swoją sromotę. I stojąc na furze, obejmował teraz Mordchego wzrokiem miękkim i lęklwym. I jakże trudno byłoby uwierzyć na widok tych zbolałych oczu żydowskich, iż człek ten przed chwilą tak się rozjuszył i walił biczyskiem co sił po plecach chłopca. Pachciarz zaczął coś bełkotać, jąkać, patrzył na Mordchego i — czmychnął z furą. Mordche wznosił swe siwe oczy, gonił wzrokiem za pachciarzem, a w sercu jego płonęła wiara, iż ostatnie słowa Symchy brzmiały: — przebacz mi!

ROZDZIAŁ IX.

Kidysies-Lajwe i Antychryst.

Przed wzrokiem Mordchego fura pachciarza wsiąkała w obłok kurzawy i tam się rozplynęła, turkot zaś coraz słabszy rozcięnczył się w szumie lasu. Wokół ważyła się cisza tak stężala, że aż dzwoniło w uszach.

— Przebaczam ci, przebaczam ci — — — cała istność Mordchego dygotała nieustannym szeptem...

Zerwał się na równe nogi i patrzył w przepastną, lazurową toń nieba. Barwiste pasma dokoła słońca zczeszły, tylko tam i sam wytryskały mleczne, perliste bryzgi.

Wypogodzony wracał do domu. Ufny, że wszystko będzie mu przebaczone, widział się małym chłopcem w domu ojcowskim. Co sabat ojciec wzywał go do komnaty, w której umieszczone były rodale i opowiadał mu dzieje jego przodków: pradziadka reb Awruma, prababki Surele i dziadka reb Mordchego, którego imię odziedziczył. Dziadek reb Mordche był to dumny żyd. Sąsiad jego hrabia Kosiński raz wyprawił bal, posłał po dziadka i prosił o pożyczenie mu swej atlasowej kapoty i jarmułki. Chce się przebrać gwoli zabawieniu gości, dziadkowi zaś obiecał kiedyś się odwdziżyć. Reb Mordche przyrzekł, że mu wszystko przygotuje—jakże bowiem inaczej?—i przysłał mu w zawiniątku habit ojca-benedyktyna ze sznurem. Od owego czasu więc się już nie witali.

Mordche żywił uczucie miłości dla swego dziadka i, ilekroć myślał o nim, serce jego wzbierało dumą. Dziadka swego nie znał, wszelakoż z opowiadań ojca wyobrażał go sobie, jako żyda rosnącego z długą, siwą brodą — w czarnej, aksamitnej kamizelce, zapiętej pod samą szyję, na której bieleł się przełożony kołnierz z koszuli.

Gdy chłopiec podrośł i rozpoczął już naukę Rasi, zdarzało się, że w obecności ojca natrafiał na „bełaz“ — wyrazy cudzoziemskie — wówczas Awrum, kładąc rękę na ramieniu chłopca uśmiechał się z zadowoleniem:

— Babcia twoja — nam ku dłuższemu żywotowi — wszystkie słowa te znała, ha-ha-ha!

Surele pochodziła z Wielkopolski, słynęła ze swej uczoności i urody. Ze szlachtą rozmawiała po francusku i wprowadziła zwyczaj, aby w sabat przed rybą raczono się ciastem z kawą.

Cała rodzina Mordchego po ojcu szczyliła się babcią Surele i przy każdej sposobności opowiadała i wciąż powtarzała cudow-

ną bajkę o pewnym szewczyku, który został królem. Król-szewczyk z obawy, żeby nie wytknięto mu niskiego pochodzenia, podbijał jeden kraj za drugim, tak, że został jedynym prawie władcą świata. I im więcej państw opanowywał, tem silniejszą miał chęć zatarcia swego pochodzenia. Wziął tedy rozwód ze swoją pierwszą żoną i pojął księżniczkę. Aliści wówczas koło fortuny odwróciło się i wszystko już szło mu naopak.

Raz w siarczysty mróz — krąży opowieść w rodzinie — reb Majer „Dwasz” przybył do dziadka w lesie w sprawie ofiary dla ubogich. Działo się to w miesiącu tajwes roku „teka” — „5573 wedle ery żydowskiej”. Reb Mordche zatrzymał reb Majera na noc. Więc siedzieli sobie, grzejąc się przy piecu, pykając fajki i gawędząc o tem i owem, co na świecie się dzieje. Reb Majer powierzył dziadkowi w tajemnicy, że już nastały czasy Mesjaszowe, że na żydów już naciągają kłęski: srogie gwałty i okrutne kaźnie „nieznane naszym ojcom”. Król-szewczyk opanował cały świat. Już zaszedł za tamtą stronę Moskwy i zapędzi kacapa do Oceanu Lodowatego. Aliści smutny czeka go koniec. Magid z Kozienicy pasuje się z nim już od dnia Jom - Kipuru, z chwilą rozpoczęcia modlitwy Misef. I gdyby nie „cadyk” — błogosławionej pamięci — z Berdyczowa, który w roku zgonu w modłach swoich prosił Boga o pomyślność dla króla-szewczyka, magid dawnoby go zmógł. Oznakę po temu reb Majer znalazł w Medraszu, w rozdziale, w którym jest mowa o siódmym cudzie przed przyjściem Mesjasza. Napisane jest, iż w Rzymie znajduje się posąg marmurowy dziewczyny wielkiej urody. Posągu tego nie wyrzeźbiła dłoń ludzka, jeno sam Bóg go stworzył. Grzesznicy z pośród wszystkich ludów świata, najwięksi bezecnicy przywędrują do tego posągu, położą się podle niego i będą się przy nim grzać. Wówczas Pan Bóg żar ich ciała wsączy do posągu, marmur pęknie i wyłoni się wielki Grzesznik-Przeklętnik. Będzie to Armilus-szatan, przez ludy świata zwany Antychrystem. Rosły będzie na dwanaście

łokci wzwyż, na dwanaście — wszereż, między oczami przedział na piędz, zaś oczy przepastne, czerwone, włosy żółte, jak złoto, stopy zielone, a na kadłubie głowy dwie. Armilus—Przeklętnik przybędzie do Francji, gdy dokona się tam wielki przewrót i rzeknie, że jest zbawcą. Ludy świata uwierzą mu — i będzie ukoronowan i okrzyczan cesarzem. I podbije wiele krajów i państw. I przywróci żydom Synedrjon. I na całym świecie pozostaną tylko dwa państwa jeszcze nie ujarzmione: Edom i Moab. A gdy zagarnie też owe dwa państwa, pośle gońca do żydów i do dziesięciu pokoleń po tamtej stronie Sambatjonu z rozkazem, iżby żydzi wydali mu Torę i obwołali go bogiem. Powstanie tedy siłacz Nechemia na czele trzydziestu tysięcy siłaczy z rodu Efraim, otworzy Torę i odczyta mu: „Jam Wiekuisty Bóg Twój; nie będziesz miał bogów obcych przed obliczem mojem.” Tedy Armilus odrzeknie, iż w jego torze nie jest to napisane i rozkaże, iżby wszyscy żydzi wierzyli, iż on jest bogiem, jako już wierzą w to inne ludy. Tedy Nechemja-ben-Chasijel na czele trzydziestu tysięcy siłaczy stoczy z nim bój i wytnie dwa kroć sto tysięcy żołnierza. I Armilus w srogim gniewie wezwie wszystkie swe armje z całego świata i będzie wojować z żydami. Wojska jego padać będą, jak muchy, aliści polegnie też Mesjasz z domu Józefa, w jednej osobie Nechemja-ben-Chasijel. I przyfruną aniołowie służebni i pogrzebią go obok praszczurów. Wówczas serca żydów zmiękną i zadygocą ze strachu, wszelakoż Armilus-zatraceniec nie domysli się zgoła, iż Mesjasz nie żywie, albowiem starłby tedy plemię żydowskie w proch i pył — —

Gdy reb Majer siedział tak i snuł swoją tajemną opowieść, niespodzianie podjechały pod okno sanie. Kilkoro ludzi zakładało do drzwi.

Reb Majer podskoczył z miejsca:

— Mordche, prowadzą go!

— Kogo?

— Grzesznika - Przeklętnika.

Ze drzeniem Mordche otworzył drzwi. Kilkoro ludzi czerwonych z mrozu, z białemi, zamarzłemi brodami weszło do pokoju i wzięło Mordchego na stronę. Coś mówili, szeptali, to ze sobą, to z nim, potem Mordche kazał otworzyć świetlicę i posłać łóżko.

Dygocąc na całym ciele, z zapartym tchem wyczekiwał chwili, kiedy będzie wniesiony Armilus — Przeklętnik o dwóch głowach, rosły na dwanaście łokci wzwyż, na dwanaście wszere — istny wielkolud — „Gog-Mogog”. Przybysze wniesli małego człowieka, owiniętego w futra i powiedzieli, że to wielki generał — francuz — ziąb go zmorzył — — —

Mordche na widok tego człowieka lżej odetchnął, pewien, iż nie jego reb Majer miał na myśli, choć też nie zbyt ufał, żeby to naprawdę był generał. Wszak ledwo zipie! Mordche rozejrzał się, jął szukać reb Majera, lecz cadyk nagle zczepił.

Surele pozostała przy chorym, okrywała go piernatami, coraz nagrzewała flaszki z wodą, które kładła mu do nóg, czuwając przy nim całą noc. Wsłuchiwała się, jak chory, bredząc z gorączki, wysyłał armje, komenderował, zaciskał pięście, śmiał się, płakał, że wszyscy opuścili cesarza, że teraz pójdzie chyba z torbą po świecie. Z lęku serce Surele załomotało. Z litości nad chorym zdjęła z szyi swojej kameę-amulet z wrytym napisem: „Ja, Lajwe Icchok, syn Sosie rzekłem: niech choroba przepadnie”, chciała kameę włożyć choremu, lecz ogarnął ją wstyd niewieści więc zawiesiła kameę nad jego łóżkiem. W tej samej chwili drzwi się roztworzyły i buchnęło światło. Bezszermy krokiem wszedł wielki cadyk Kidysies-Lajwe, spowity aż po stopy w tałas ze srebrnym wylogiem, stanął przy ścianie u wezglowia chorego i z jego nabrzmiałych od łez oczu sączyło się światło.

Chory zalany potem rozwarł powieki i rozejrzał się dokoła. Wszystko mu się w oczach rozwiało. Gdzież on? Któż przy nim? Przy jego łóżku? A-a! Wszak wczoraj rozniemógł się! Wpadł w

reęce nieprzyjacielskie? Nie, dobrzy ludzie udzielili mu noclegu. Już tak dawno nie spał w łóżku — — — ach, jak ciepło!

— Jak się monsieur czuje? — zapytała Surele.

— Lepiej, madame, dziękuję wam z całego serca, nigdy nie zapomnę — generał jękał się, oglądając z uśmiechem swą ciężką, pierzată koldrę, pod którą się poccił, jak w łaźni. — Pod taką derką nawet w Moskwie nie byłoby zimno. Przeziębilem się. To-ci u was tęgie mrozy — — — Tak, madame, czy słyszeliście o Napoleonie? Nie wiecie czasem, czy nie wygrał wojny z Rosjanami? Już tak dawno jestem chory — — —

— Oczywiście, że wiemy — odparła Surele — mówią, że już jest za Moskwą.

— Kto?

— Napoleon!

— Generał gorzko się uśmiechnął i prosił, aby wezwano jego ludzi.

Utulono go w futra, a gdy już siedział w koczku, ustawionym na saniach uściskał rękę Surele i, dziękując jej, podarował swoją złotą tabakierkę, na której pokrywce umieszczony był jego portret wraz z podpisem. — — — Był to sam Napoleon.

Ilekróć ojciec opowiadał Mordchemu to zdarzenie, zawsze kończył w te słowa:

— Tabakierka ta jest skarbem bezcennym! Już nie jeden magnat polski chciał ją odkupić, lecz słowo babci jest jeszcze cenniejsze — nie kazała jej nigdy nikomu sprzedać!

Mordche żywił utajoną miłość dla tego niezwykłego człowieka. Radowały go jego zwycięstwa, smuciły — klęski i nieustannie żałował, dlaczego Napoleon nie urodził się żydem. Ciągłe spierał się z ojcem, iż on nie był „szewczykiem“, iż opowieść o Armilusie nie tyczy się jego, iż nie urodził się wcale w Rzymie. Wszelakoż w głębi serca wierzył, ukrywając to przed ludźmi, że Napoleon popełnił jeden błąd — nie powinien się był rozwieść z żoną.

Mordche przypomniał sobie, że będąc dzieckiem, podzielił las na dwie armie. Dęby były armią Napoleona, a niskopienne, krzywe olszyny — wojskiem nieprzyjacielskiem. On — Napoleon dowodził dębami, zaś Wacek — wróg olszynami. Z drewnianym mieczem w rękę, z grotą na plecach Mordche rzucał się na Wacka, czując, że za nim biegną dęby i, strzelając swemi podłużnymi szyszkami, jak kulami, miażdżą olszyny — — —

Idąc teraz lasem, Mordche doznawał wyniosłej dumy, że babcia jego rozmawiała z cesarzem, że w ich domu znajduje się jego obraz i być może na tej samej drodze, po której on teraz kroczy, jeździł Napoleon.

Upał dogrzewał. Z obu stron lasu pozostałe po nocnym deszczu krople migotały, skrzyły się i płonęły pod słońcem, jak skrawki tęczy. Nagie korzenie, podobne do kręgosłupa potwornego zwierza, gdzieniegdzie przerzynały piaszczystą drogę i kłębiły się pomiędzy drzewami.

Mordche przystanął. Na drodze wlokła się chłopska fura z drzewem. Bosy chłop jedną ręką popychał furę, drugą zacinał biczem, popędzając zdżozone, zaspane szkapiny, jakby w obawie, że gdyby stanęły, to ugrzęzną w piasku i już stamtąd się nie wygramolą.

Chłop z furą zginęli w oddali. Cisza i skwar coraz się wzmagają. Mordche mrużył oczy i szedł dalej przed siebie.

W księdze leśnej, będącej rodzajem annałów i liczącej już ze sto lat, zapisywane były najważniejsze zdarzenia rodzinne, jak również daty: kto kiedy się urodził, kto kiedy umarł. Mordche lubił wertować po księdze leśnej i, oglądając charaktery pisma, uśmiechał się, jako że jego dziadkowie i wujowie w przeważnej mierze ledwo umieli się podpisywać, nazwy zaś rozdziałów Tory, przypadających na każdą datę, roiły się od błędów. Wertując po tej księdze, Mordche głęboko odczuwał, iż przemawiają doń minione wieki i zgasłe pokolenia.

Wiedział, iż ród jego po matce jest znakomitszy, niż ród

po ojcu, iż rodzina jej ubolewa, że wpadła pośród prostaków i nieuków. I gdy ojciec nieraz mawiał, iż Mordche wrodził się w dziadka, matka zazwyczaj milczała, lecz twarz jej przybierała taki wyraz, jakgdyby odpowiadała: Też mi szczęście!

Mordche nie lubił rodziny matki, trzymał się od niej z daleka, jak wobec obcych i, niby naprzekór, szczyił się tylko koligacją ojca. Dlatego też wciąż szperał w księdze leśnej, szukając tam jakiegoś splendoru rodzinnego. I znalazł też splendor nie lada - jaki!

W księdze leśnej zapisane było, że wielki cadyk Kidysies-Lajwe przejazdem do reb Majera w Sierpcu, zatrzymał się w ich lesie na modlitwę „mincho”. Dziesięć znaków jego palców zachowało się jeszcze na ołtarzu po dziś dzień. Gdy stanął bowiem do modlitwy, w wielkiej ekstazie objął obiema rękoma ołtarz akurat świeżo malowany. Od tamtego dnia strzeżono odcisków tych palców, niby pereł urjańskich, bacząc, aby nie zostały zatarte.

I gdy Mordche, zdarzało się, zachorował, to matka przeprowadzała go przed ołtarz i, przykładając jego ręce do znaków po palcach cadyka Kidysies-Lajwe, płakała, zanosila błagania do wielkiego cadyka, wyliczała mu cały swój ród, przyjaciela jego reb Majera i przypominała mu, że przed tym ołtarzem się modlił. I w zdrowiu chłopca następowało polepszenie.

Mordchego zdjęło jakieś zapomnienie i, idąc tak zagłębiany w siebie, zapatrzony w własny cień, myślał, o tem że „berdyczewski” tuła się od miasta do miasta, rąbie drwa dla biednych wdów, oczyszcza i naprawia grzeszne dusze—i pocieszał się, że goje nle mają swojego cadyka Kidysies-Lajwe.

Co prawda, słyszał od chłopów, że oni też mają świętego męża, że ich Paweł także się tuła po drogach i bezdrożach z tłumokiem na plecach i, gdy chłop zabłądzi na bagnisko z furą ciężarną, to zjawia się nagle, jakby z pod ziemi wyrósł, pomaga chłopu wyciągnąć wóz, smaruje mu koła, na dodatek uracza go paczką tytoniu i — znika.

Mordche nie mógł objąć myślą, lecz przenikał uczuciem, iż — choć sam nie wie dlaczego — porównanie to jest zgola chybione, iż niema między nimi żadnego podobieństwa. Zaiste, skąd Paweł do cadyka Kidysies-Lajwe? I ogarnęła go litość nad chłopami.

Żał mu było, że „berdyczewskiego“ już niema pośród żywych, zazdrościł staremu wiejskiemu rzezakowi, który, jako mały chłopiec, widział na własne oczy cadyka Kidysies-Lajwe i zapalał dlań wielkiem poważaniem, dla siebie zaś pogardą, że nie urodził się w owych czasach, że żyje w wieku tak powszednim.

Nie miał wprawdzie urazy do Pana Boga, lecz trawił się tem i dręczył aż do łez. I zanim zdążył przeniknąć kłęb swych uczuć, usłyszał w sobie głos duszy, rozdygotanej strofkami z modlitwy „Hallel“ — „Psalmy Wielbiące“:

„— — — Nie umarli chwałą Boga, ani wszyscy, którzy zstępują do ciszy grobowej. Ale my błogosławić będziemy Boga, odtąd aż na wieki. Halleluja! — — —”

W głuszy lasu coś drgnęło. Mordche, mrużąc oczy, nasluchiwał. Drganie roztrzepotało się w cichy, smętny śpiew... Śpiew wzmagał się, rósł coraz silniejszy, głośniejszy i, tchnąc z każdego drzewa, z każdej gałęzi, z każdej trawki, wchłaniał w siebie niemy krzyk serca Mordchego. Chłopiec przymknął zupełnie oczy i skroś zawartych powiek widział tysiące porostów, które ciągnęły się ku niemu, jak żywe istoty, oplatały go, jak nici, owiewały wonnym aromatem. I całym swem jestestwem — każdym nerwem, każdą kością — począł wtórować tej pieśni — — —

A tam, w błękitnej dali, na szerokim, piaszczystym szlachu sunęli obok siebie — ramię przy ramieniu — Kidysies-Lajwe w talessie ze srebrnym wylogiem i Cesarz w trójgraniastym kapeluszu.

Mordche skłonił głowę i szeptał słowa błogosławieństwa, jakie się odmawia na widok panującego:

„—Błogosławionyś Ty, Wiekuisty, Boże nasz, Królu wszechświata, który udzieliłeś z Majestatu Twojego człowiekowi —”

Nagle wstrząsł się, jakby spadał z góry, rozwarł oczy—nikogo nie było i mocno się zawstydził.

Słońce prażyło. Mordche nasunął czapkę na oczy, przypomniał sobie Rachelę i, jakby zraniony w samo serce, obolały na całym ciele, nieomal biegł do domu.

ROZDZIAŁ X.

Nici.

Gdy Mordche ujrzał z daleka dom swój, ogarnęła go radość człowieka, który po długiej nieobecności wraca do swoich. Zwolnił kroku, przekładając sobie, co powiedzieć rodzicom, nic jednak nie przychodziło mu na myśl. Na chwilę przystanął i znowu doznawał pod sercem pustki. Ze wstydu nie chciał wrócić do domu i z gniewu, iż nie może się opanować, począł się szczypać, aż do bólu. Wreszcie postanowił zawrócić na krótko do lasu i tam obmyśleć na trzeźwo wszystko od początku, lecz w tej samej chwili poczuł na sobie czyjś wzrok i uśmiech.

Brajna stała w oknie kuchni i szorowała garnek wiechciem słomy.

Mordche w zmieszaniu skierował się wprost do domu. Brajna z wielkiej radości przestała szorować garnek i, szukając miejsca, gdzie go odstawić, poprawiała chustkę na głowie, przyczem wymazała sobie czoło i skronie sadzą. Z zapartym tchem wbiegła do Dwojrele, trzymając garnek w ręku.

— Paniusiu, idzie! Mordchunio idzie!

Dwojrele odmawiała modlitwę, i, aby nie przerwać sobie modłów, jeła pytać wymachiwaniem ręki i pomrukiem zaciśniętych warg: — u — u — nu — nu?

Widząc jednak, że Brajna nie rozumie, o co jej idzie, wybuchnęła krzykiem oburzenia:

— Nawet modlić mi się nie dają! Ot, już popełniłam grzech z powodu tego dryblasza! — Lecz po chwili zmięła — Gdzież on, gdzież?

— Ot, idzie! — Brajna wskazała przez okno.

— Brajno, zaklinam cię na Boga, nie przypomnij mu ani słówkiem, co zaszło — Dwojrele błagała służącą, zbliżając się do niej i załamując ręce w podnieceniu—Wiesz najlepiej, co to za uparciuch! Szkoda słów, gdy nawet kara nie skutkuje!

— Abo to ja mam go karać?—Brajna obraziła się—Wszak ma, bez uroku, matkę rodzoną, oby żyła sto dwadzieścia lat!

Mordche wszedł w milczeniu, i stanąwszy we drzwiach, rozglądał się, jakgdyby w oczekiwaniu wrażenia, jakie wywarło jego przybycie. Matka załamywała ręce i, zacisnąwszy wargi, kiwała głową, jakby go oplakiwała. Mordche z uśmiechem na ustach zbliżył się do stołu:

— Dzień dobry, matko!

Dwojrele nie odpowiedziała i, ścisnąwszy ramionami, rozplakała się cicho. Brajna, która stała dotychczas w kącie, nagle spostrzegła, że trzyma wciąż garnek w ręku. Więc postawiła go na podłodze i jęła wycierać sobie oczy fartuchem.

Mordche czuł się winnym, chciał przeprosić matkę, lecz wstydział się i ze złości gniótł stronicę modlitewnika, który leżał otwarty na stole:

— Nie rozumiem, dlaczego mnie tak oplakujecie?

— A jużci! Weselić się ma! Wieleż to pociechy doczekała się po tobie, co? — Brajna nie mogła się powstrzymać i, wycierając wciąż nos, umazała sobie całą twarz sadzą.

Mordche spostrzegłszy naraz, że matka mruga na służącą, aby zamilkła, jak również, że Brajna ma całą twarz wysmarowaną sadzą, zapomniał o wszystkim i wybuchnął śmiechem:

— Co z wami, Brajno? Gdzieście się tak wysmoliły? Lepiej, niż kominiarz!

Brajna ze wstydu suściła oczy, chciała się przekonać, czy

Mordche nie stroi z niej żartów, lecz spotrzegłszy nagle swe czarne ręce, podniosła je przed oczy pani, jakby dla usprawiedliwienia się i, schwyciwszy w pośpiechu garnek, wybiegła z niewinnym uśmiechem na obsmarowanej twarzy.

— Tyle utrapień i jeszcze mu się na śmiech zbiera—szepnęła Dwojrele, jakby do siebie i, wycierając sobie oczy, zbliżyła się do syna:

— Słuchaj, Mordche, ojciec kazał, żebyś się stawił przed nim, ma z tobą o czemś pomówić.

— A gdzież ojciec?—Mordche spieszył się do wyjścia.

— Poczekaj - no chwilkę—Dwojrele rzekła ciszej, rozglądając się, czy nikt nie podsłuchuje i zamknęła drzwi od kuchni—słuchaj, mam do ciebie prośbę — — —

— Co jest?

Dwojrele ujęła syna za rękę.

— Mordchele, wszak tyś u mnie jedyny, błagam cię, nie narabiaj mi wstydu, nie okrywaj mnie hańbą, miej litość nad swoją słabą matką — — —

Nie mogła domówić, zagryzła wargę i, ucałowawszy syna w czoło, rozelkała się, jak dziecko.

Mordchemu zakręciły się łzy w oczach, usadowił matkę i, całując ją po rękach, obiecywał, że wszystko spełni—byleby się uspokoiła.

— Słuchaj, synu mój—Dwojrele ocierała sobie oczy — co prawda, obiecałam ojcu, że nic ci nie powiem. Lecz trudno, serce nie sługa — z oczu jej znowu polał się strumień łez — postanowiliśmy wysłać cię z reb Iciem do Kocka. Jutro — jak Pan Bóg da doczekać — wyjedziecie razem — — —

— Wszystko dla was uczynię — Mordche bełkotał — ale — — —

— Co za ale?

Mordche się stracił i unikał spojrzenia matki:

— Chcę, żebyście nie wypędzili pachciarza!

— A któżby śmiał? Co ci do głowy strzeliło? Nikomu się nawet nie śniło wypędzać go!

— W takim razie, to już idę do ojca!

Dwojrele odprowadziła go do drzwi i uszczęśliwiona, że rozmowa, której się niezmiernie bała, przeszła tak gładko, głęboko wierzyła, że syn jeszcze będzie jej pociechą. Czyż to dziwota? Żyje się pośród chłopów, daleko od osiedisk ludzkich, od żydów i Tory — najdelikatniejszy nawet człowiek zgrubieje. Tem bardziej — młoda krew! Rozszumi się czasem, rozbryka! Pocięczała się też, że rozmowa z ojcem przejdzie chyba spokojnie. Wiedząc jednak, że spotkanie syna z ojcem to jakby natrafiła kosa na kamień, zwróciła się błagalnie do chłopca:

— Mordche, nie zadzieraj z ojcem! Jeśli ci nawet ubliży, puść to mimo uszu, przecież to twój ojciec! Wszak znasz go: taka natura — krzyczy, wykrzyczy się, lecz jak — nie daj Boże — dojdzie do czegoś, to już po nocach nie śpi!... Miałam ci coś jeszcze powiedzieć!... Czyś już odmówił modlitwę? Jeśli tak, to przedtem śniadaj, chyba serce ci już z głodu omdlało — co?

— Odmówię zaraz modlitwę.

Uładzony, Mordche gwałtownie otworzył drzwi. Ktoś pisnął i z powrotem je odepchnął. Z miną, jakby nadeptał na kociaka, wybiegł, mówiąc do matki:

— Pewno-m kogoś już zakatrupił!

Pod drzwiami stała Brajna. Zawstydzona, że spuszczone mi oczyma, jakby ją pochwycono na kradzieży, podtrzymywała czoło.

— Mocnego guza nabiłem wam, co? Niechąco, słowo daję! — Mordche usprawiedliwiając się, zdjął ze ściany ręcznik, zamoczył go we wodzie i podał służącej — przyłóżcie do guza, zaraz wyciągnie!

— Nic mi nie będzie, nie trza, nie trza — Brajna jeszcze bardziej się zmieszala, że krzątają się koło niej — A dobrze mi tak! Rzetelnie zasłużyłam! Sama sobie nawarzyłam! — zwró-

ciła się do Dwojrele — Niby wiem, paniusiu, że to paskudnie podsłuchiwać, a nijak nie mogę się strzymać — już taka natura! Djabli mnie niosą!

Mordche z uśmiechem skierował się do komnaty, w której umieszczone były rodale. Na progu odkurzył obuwie, poprawił czapkę i, przybrawszy poważną minę, otworzył drzwi. Ilekroć wchodził do tej komnaty, zawsze doznawał uczucia, że wstępuje do starej, opuszczonej bóżnicy.

Komnata z rodalami, w której rodzina przez długie wieki zgromadzała się w święto Chanuka, aby tam obrachowywać się, waśnić, na czem świat stoi i kojarzyć małżeństwa — spowita była w półcień i wiała chłodem.

Mordche rozejrzał się dokoła i, nikogo nie spostrzegłszy, pozostał przy drzwiach. Reb Awrum, który stał w kącie i zwijszał tałas, zwrócił się doń takim tonem, jakgdyby między nimi nic nie zaszło:

— Mordche, chodź tutaj bliżej!

Mordche drgnął. Zauważywszy ojca, zbliżył się doń ze spuszczonemi oczyma.

— Odmówiłeś już modlitwę?

— Jeszcze nie!

— To pomódl się! Ale żywo, nie bałamucić! Weź moje tefilin! — Awrum zdjął tefilin z ręki — Tak, już wiesz? Jutro rano jedziesz z reb Iciem do Kocka — — Nu, kontent? I dziadkowi pieniędzy wykładać już nie trzeba będzie! Jedynek Awruma powinien wdać się w ojca! Szeroki gest — niech ludzie wiedzą, że miał się w kogo wrodzić!

Mordche ze zdumieniem patrzył na ojca. Już po raz wtóry słyszy odeń podobne słowa. Awrum zdjął naczółki tefilin i, kładąc rękę na ramieniu syna, rzekł:

— Słuchaj, Mordche, co było to było! Zapomnij o tem! O jedno cię tylko proszę, zaklinam na Boga — nie narabiaj mi więcej wstydu! Przrzekasz mi?

Reb Awrum, nie czekając na odpowiedź, wyprostował się i rozebrał brodę. Każdy jego ruch znamionował bogacza z bogaczy. Sama postawa budziła respekt. Rozpiął kamgarnową kaptę, wsunął rękę do kieszeni i zadzwonił głośno monetami:

— Powiedz sam, przecież nikt nas tu nie słyszy, skąd ja do Symchy-pachciarza? Czyż to przystoi mi, aby on został moim „mehcytn“, twoim teściem, co? Ojciec jego całe życie był oprawcą wołów u dziadka, błogosławionej pamięci, a Symcha we własnej personie, niech go tylko pošlę, za złotówkę pogna-ci cielaka, ciągnąc go za ogon, aż do Płocka! Zatem co? Dziewczyna ci się podoba? Ale ciekaw jestem, jaka dziewczyna ci się nie spodoba? To już, uchowaj Boże, taki feler rodzinny! W twoich latach nie byłem lepszy! To też sprowadziłem dla ciebie reb Iciego, abyś miał z kogo wziąć wzór i przykład.

W tej samej chwili wsunął się cicho reb Icie i, zdjawszy z półki jakąś księgę, pograżył się w czytaniu. Reb Awrum go spostrzegł i oczy mu się rozigrały. Przyszła mu naraz ochota, jak za dawnych, dobrych czasów młodzieńczych, podrwić sobie z reb Iciego i wystrychnąć go na dudka. Stanąwszy w ten sposób, aby Mordche nie spostrzegł reb Iciego, zaczął podniesionym głosem:

— I ty wierzysz w to, że reb Icie wyzbyty jest wszelkich grzesznych myśli? Widzisz, co się tyczy reb Mendele, to nic nie powiem. „Cadyk” ma żonę, przyczem nie zbyt stosuje się względem zakazu rabiego Gerszona co do wielożeństwa.. — — — Cóż-ęś tak na mnie oczy wywalił? Nie wierzysz? Spuść się na mnie! Wszak sam rozum dyktuje, że jeśli to już nie jest dlań nadzwyczajnym specjałem, więc rozmyśla nad tem rzadko kiedy i, co wynika samo przez się, jest mniej opanowany przez grzeszne myśli. — — — Natomiast reb Icie, weź to na rozum, już od dawien dawna jest anachoretą i pokuta już mu pewno kością w gardle stoi. Przecież sam wiesz najlepiej... Ileż lat sobie liczysz? Jeszcze nie ukończyłeś

szesnastu — a do ożenku rwiesz się już nie od wczorajszej nocy, ha — ha — ha!

Mordche nie wierzył własnym uszom, oblał się rumieńcem wstydu i nic nie odpowiedział.

— Dobrze, że jeszcze się wstydzisz. To cnota żydowska! Reb Awrum po ojcowsku poklepał go po plecach i, odsuwając się, nieomal krzyczał — Więc do czegoś to zmierzałem? Tak, to też utrzymuję zawsze, że jest to wystawienie na ciężką próbę, aby człowiek rankiem i nocą wiecznie wojował ze swemi namiętnościami—ze swoją żądzą. Ja-bym z tej próby nie wyszedł zwycięsko.

— Ojcie!—Mordche drgnął, jakby nieszczęście nań spadło— Ojcie, ciszej, reb Icie stoi tu—przy księgach, spójrz!

— A cóż to takiego rzekłem, co? — Awrum jeszcze wyżej podniósł głos — Gdzie stoi, mówisz? A — a — kiwnął nań ręką z udaniem zdumieniem, jakgdyby go dopiero teraz dojrzał— Dzień dobry, reb Icie! Chciałem się was, za przeproszeniem, o coś zapytać, wybaczcie mi, że was trudzę — — —

Mordche zbladł, nie wiedział, gdzie oczy podziać i drżący prosił Boga, aby się pod nim przepaść rozwarła, byleby nie był świadkiem, jak ojciec zelży reb Iciego.

Reb Icie atoli nie straciwszy się zgoła, podszedł do Awruma, jakby nie o niego tu szło, jakby go wezwano dla orzeczenia jakiejś sprawy religijnej albo dla zasiągnięcia rady. Jakkolwiek wiedział, iż Awrum stroi zeń żarty, wszelakoż udawał nieświadomego rzeczy. Lecz zanim Awrum zdążył otworzyć usta, reb Icie jakgdyby go wyprzedził:

— Tak, reb Awrum, trafiliście w sedno rzeczy. Jestem właśnie opanowany przez grzeszne myśli.

— Za przeproszeniem, reb Icie — Awrum się stracił — Nie powiedziałem tego! Mówiłem tylko, jeśli kto żyje bez żony, to sam rozum dyktuje, iż jest owładnięty przez nieczyste myśli.

— Właśnie, reb Awrum, że jest nim! — odparł spokojnie

reb Icie — Im więcej pożądliwych pragnień w człeku się gnieździ, im groźniejszy jest jego lęk, aby nie ugrzązł w chuci, tem silniejsza jego skrucha, tem żarliwsza pokuta, tem człek bardziej zdolen jest otrząsnąć z ziemskości wszelaką nieczystą myśl i pojąć Wiekuistego.

— Na cóż w takim razie to całe poddanie człowieka do świadczeniu—uśmiechnął się Awrum—jeśli można go uniknąć? Jak tam napisane jest?—„Przeto człek opuści ojca swego i matkę swoją”

— Jak wam tu rzec — reb Icie zmarszczył czoło i podparł na rękach czarną bródkę — czy widzieliście, jak dzieci się huśtają? Aby wzbić się huśtawką w górę, wzwyż, trzeba za każdym razem wesprzeć się nogą o ziemię. Dziecko, które nie wspiera się nogą o ziemię nigdy się ponad nią, t. j. ponad ziemię, nie wzniesie. Z dorosłymi tak samo. Gdy człowiek próżen jest nieczystych myśli, znaczy, że już tak głęboko ugrzązł w ziemskości, tak zgrubiał, iż nic zgoła nie odczuwa, niema w sobie nic do naprawy. Albowiem w każdej nieczystej myśli tkwi „Nicoc Eleka”—„Iskra Boża”, upadła na niskie szczyble i pożądająca „tykn”—naprawy i wybawy. Człek nie powinien się lękać grzesznej myśli, powinien atoli wyjść jej na spotkanie z rozwartemi ramionami, rozebrać ją do naga, odrzucić jej szatę. Albowiem tylko szata jest grzeszna. A gdy rozbierze ją — myśl ona—do naga, wtedy zespoli się z „Iskrą Bożą” i tako dokona dwojakiego spełnienia: po pierwsze, wzniesie upadłą Iskrę na wyższy szczybel, powróci ją do praźródła, podda ją naprawie; po drugie, przeto, iż człek ową „Iskrę Bożą” wywyższy, sam też będzie podźwignięty i stanie się obcownikiem Pana Boga, pojmujecież to?

Reb Icie na chwilę zamilkł, czarne oczy jego pały, usta się rozchyliły, a mokre, krzywe zęby łyskały dziko. Przecierając białą rękę po wysokiem czole, ciągnął dalej:

— Teraz właśnie wracamy do huśtawki. Im mocniej się rozkołysziesz, czyli im silniej chutne myśli cię opanują, schwyca

cię za gardziel, tem wyższe jest twoje wspinanie się, gdy tę chuć poskromisz i zmożesz.

— Za przeproszeniem, reb Icie—uśmiechnął się Awrum—znaczy się, jeśliś was dobrze zrozumiał, grzech jest cnotliwym uczynkiem, ha—ha—ha! I gdym wczoraj złapał mego synalka z córką pachciarza na gorącym uczynku, miałem go pogłaskać po główce—„Smach bucher bejałdysejchu” — „Ciesz się, młodzieńcze, młodością swoją”, co?

Reb Icie nagle zmienił się na twarzy, płomień w jego oczach przygasł, na bladej twarzy rozsunęło się znużenie, a dokoła ściśniętych warg dygotał gniew, jakgdyby żałował całej rozmowy.

Otóż, pojmijcie-że mnie wreszcie! — Reb Icie odparł gniewnym tonem i natychmiast żalując, rzekł miękko, nieomal błagalnie — Nie myślę przez to, broń Boże, iż człowiek winien się oddać w niewolę żądzy. Nie mówiłem tego. Rzekłem tylko, iż w każdej żądzy, w każdej „skorupie zła”, „powłoce grzechu”, co zowiemy „klipo”, tkwi „Iskra Boża”. Iskry te tęsknią za swoim źródłem, jak dzieci za matką, wołając niemyym krzykiem po świecie od krańca do krańca. Gdy ktoś, usłyszawszy to nieme wołanie, wyzwoli iskrę ze skorupy grzechu lub żądzy i wzniesie ją do pierwostanu, to zostaje przez to sam też wzniesiony.

Mordche w przerażeniu serca błagał Boga, żeby ojciec nie zelżył reb Iciego. Utkwił w nim swe duże, siwe oczy, wezbrałe miłością i oddaniem, jakgdyby pocieszał go: nie bierzcie tego do serca, rebe, ja was pojmuję — —

— Jakże więc? Wszak zaprzeczacie sobie samemu! — Awrum się uśmiechał — Czyż trzeba być obarczonym przez większe „klipo”, niż żona, wy zaś — — —

— Zapewne, reb Awrum, musi tak być—reb Icie przerwał mu również z uśmiechem na twarzy.

Brajna wsunęła głowę przez drzwi.

— Niech pan pójdzie śniadać! Jedzenie już na stole!

— Chodźmy, reb Icie, lepiej przekąsimy nieco!— Awrum

trąc rękę o rękę, zwrócił się do syna — Na co czekasz? Stań do modlitwy! Późno już!

Mordche pozostał sam i, stanąwszy przy oknie, włożył naczółki tefilin. Czuł się zelżony za reb Iciego, choć nie mógł zrozumieć, w jakim celu ojciec wyciągnął go na tę rozmowę. Utkwiły mu w pamięci i raz po raz przypominał sobie ostatnie słowa reb Iciego:—„Zapewne, reb Awrum, musi tak być!” I zadumał się głęboko nad sensem tych słów.

Z brzęczeniem przyfrunęła pszczoła, która bijąc o szybę zamkniętego okna, kołowała z rozpostartymi skrzydełkami nad szybą i szukała uporczywie szczeliny, aby dostać się do komnaty.

Mordche z założonemi w tyle rękami chodził po pokoju, świadom, iż modli się bez żarliwości. Kilkakrotnie chciał zebrać myśli, lecz bez skutku. Ujrawszy kołatanie pszczoły, pomyślał sobie:—Kto wie? Może on też stoi przed ścianą, jak ta pszczoła, w nadziei, że głową ją przełamie, lecz w rzeczywistości nigdy nie zdoła chyba przez tę ścianę przestąpić. Z rozpacz, iż nie może odpędzić od siebie grzesznych rozmyślań, Mordche naraz uderzył pięścią w ścianę z taką siłą, że zdarł sobie skórę do krwi, poczem uspokoił się w zupełności.

Ukojony kroczył po pokoju, zaglądając do każdego kąta, przypatrując się każdej rzeczy, jakgdyby się żegnał ze wszystkim. Oglądał wełnianą oponę, zawieszoną na Arce Rodałów, którą jego prababka Ester-Rywke sama przędła, barwiła i wyhaftowała żółtą bawełną. Poczem stanął przed ołtarzem, przylgnął oczyma do kapy, tkaney srebrzystemi liśćmi, które babunia Surele sprowadziła z Jerozolimy i odczytywał na zrebie jej imię, przez nią własnoręcznie wyszyte srebrnymi nićmi. Cicho poroztwierzał Arki, jedną za drugą, i ogarnął wzrokiem zwoje rodałów, poznając zrazu, które rodady przez jakiego dziadka lub wujka zostały sprawione.

Z trzepocącym uradowaniem stał przed temi świętościami, zdobnemi w aksamit i srebro, jakgdyby piękne oblubienice i,

pochyliwszy się ku Arkom, wszystkie rodają, kolejno, jedno za drugim—ucałował. Mordchego zdjęło zapomnienie. Za lat chłopięcych ozdobione rodają wyglądały w oczach jego, jak jenerałowie, strzegący ich domu przed leśnymi rozbójnikami. Jenerałowie na głowach dźwigali korony z dzwonekami, na piersiach—srebrne pancerze z małemi, złotemi Tabliczkami Przymierza, na których wrytych było „Dziesięcioro Przykazań”, nad plecami zaś każdego jenerała tkwiła srebrna grota—ręka z wyprężonym palcem.

Mordche na wspomnienie dziecięcych wyobrażeń uśmiechnął się dobrotliwie. Wyjął z blaszanego futerału, wpółokrągły, karbowany róg—„szofar”, obejrzał wryte słowa: „Ašrej haam jodeej terije”—„Błogosławiony naród, który zna dźwięk trąby” i przyłożył go do ust. Głos „szofaru” huknął po komnacie. Mordche się przeraził i co prędzej wsunął róg do blaszanego futerału. W uszach jego jakgdyby załopotał poszmer kroków — jął się rozglądać dokoła pałającym wejrzeniem.

Z Arek Rodałów, z ołtarzy, z Tablic Przymierza, ze wszystkich kątów, ze szarych ścian sunęła ku niemu gromada dziadków wujków, babuń i ciotek. Mordchego ogarnęła głęboka swojskość i gorąca rodzimność. Gdy wzrok jego padł na srebrne i złote lwy z wywieszonymi językami, z zadartemi ogonami, rwące się nieomal z opon i nawiewające strach, pomyślał sobie, że nie na próżno przodkowie jego byli „kohenami”. Po chwili wszczął z nimi gawędę, jakgdyby nie pomarli zgoła, lecz pozostawszy w tej komnacie, tak podobnej do starej bóżnicy, oddawien dawna przedli tu opowieści rodzinne i oto teraz wyszli ze swoich schronów, aby dać wnuczkowi błogosłowieństwo na nową drogę żywota, aby ślubować, że nigdy go nie opuszczą. Z każdego kąta, ze wszystkich ozdób, kosztowności, gzemsów, z czarnej, tłustej ziemi poczęły się snuć jakieś nici. Nici te oplatały Mordchego i spowijały go, jak w pancerz, aby wichry życia go nie złamały. I nici te, dokądkolwiek rzucały go późniejsze losy, zawsze ciągnęły Mordchego z powrotem do rodzinnego domu.

CZEŚĆ II:

K o c k .

ROZDZIAŁ I.

W drodze do „cadyka“.

Dwojrele stanęła u nóg Mordchego i wpatrywała się w syna, który spał smacznie, zasunąwszy lewą rękę pod głowę, zyczajem swego ojca.

Nagle uraziło ją boleśnie, dlaczego wrodził się całkiem w ojca, jakgdyby nie był wcale jej synem. Jedwabna krymka zesunęła mu się na poduszkę. Dwojrele chciała ją z powrotem włożyć mu na głowę, lecz z obawy, aby się nie obudził, stała wciąż na miejscu z krymką w ręku, medytując rozżalona — iż nawet włosy ma ojcowskie—równe, czarne, opadające na oczy, jak pasma. Ona zaś ma włosy cienkie, kędzierzawe.

W miarę patrzenia na Mordchego, na jego świeżą, choć matową twarz, na której igrał uśmiech, zaczejony w kącikach ust, coraz gorętsza opływała ją fala.

Jej serce matczyne zmiękło, stajało, a z oczu puścił się strumień łez. Nie wiedziała, czy płacze z radości, że wychowała takiego — bez uroku — rosłego, pięknego syna, chłopca na schwał, czy ze smutku, iż jej jedynak teraz ją opuszcza. Taka daleka podróż — nie przelewki! Z pięć dób wlec się końmi! Gdyby — broń Boże — na drodze — oby nie w złą godzinę — coś się przydarzyło... Nie chciała myśleć o tem i, szepcząc wargami nad głową Mordchego, odczyniała mu uroki.

Brajna cicho się wsunęła, trzymając w ręku świeżo upieczone ciasto, które wypełniło pokój przyjemną wonią, łaskoczącą w nozdrzach.

— Ciasto, bez uroku, piękniuso udało mi się — Brajna uszczęśliwiona podsunęła ciasto do oczu Dwojrele, przebierając

palcami po brązowej, wypieczonej gładzi — A co, prawda, paniusiu, jakie letkie?

— Naprawdę, lekkie — Dwojrele spróbowała ciasta na koniuszku palca — A jak tam, Brajno, z boczkim?

— Jeszcze-m wczoraj opakowała, już-m ułożyła nawet na bryczce!

— Chwacka z ciebie kobieta!

— Niby to od dzisiaj paniusia się na mnie poznała? — Brajna odparła z niewinnym uśmiechem.

— Słuchaj, Brajno, — Dwojrele wskazała na dużą skórzaną walizę przy łóżku — Daję mu bieliznę na dwanaście tygodni. Bądźcobądź — jedzie daleko — do obcych... Gdzież tam chłopiec będzie oddawać do prania? — Jak myślisz, starczy?

— Starczy... podostatkiem...

— Brajno, chociaż to grzech tak mówić — Dwojrele położyła rękę na sercu — Wszak Mordche jedzie do „cadyka“. Jednak, mówię ci po szczerości, serce mi się rozdziera, już czuję, że brak mi czegoś w domu!

— Pewnie, że to prawda, paniusiu, ja sama też chodzę bez ducha, a coż dopiero — matka? Jeno, że do serca nie wolno brać. Zobaczycie, paniusiu, Mordche jeszcze będzie nam pociechą, zobaczycie, da Bóg doczekać!

— Oby tak było, Ojczy niebieski! — Dwojrele ocierała sobie łzy i, biorąc do ręki kamizelkę Mordchego, wskazała Brajnie — Widzisz, zaszyłam mu tutaj pięć dukatów. Bądźcobądź — jedzie daleko — do obcych, będzie tam miał obliczony grosz, a matki u boku już nie będzie, kogóż poprosi? Więc niech ma na wszelki trafunek, prawda, Brajno? Nic mu nie powiem. Sam znajdzie, będzie mu milej, pozna, co to — matka, kamizelkę nosi przecież codzień — jak myślisz, Brajno, co?

— Abo ja wiem — Brajna wzruszyła ramionami. Lepiej nawet — jak mu się powie... Mało co... Ach, gadu-gadu, a tam się jeszcze przypali! Polecę..

— Już ja dopilnuję pieczywa — Dwojrele westchnęła — a ty, Brajno, zwiąż walizę i otwórz okiennice. Już czas mu wstać!

Brajna otworzyła okiennicę. Fala światła wdarła się do pokoju, na chwilę załala Brajnie oczy i obudziła Mordchego.

Mordche prawie nie pożegnał się z matką. Stała cały czas na werandzie, załamując ręce i zalewając się łzami. Tyle miała synowi do powiedzenia! Lecz gdy doszedł do niej i, całując ją w rękę, powiedział: „bądź zdrowa, matko!”, Dwojrele objęła syna i zapomniawszy, co chciała mu powiedzieć, nie puszczała go od siebie.

— Niech się to już raz skończy! — Awrum rozgniewany wyciągnął Mordchego z pod matczynych rąk — Nie idzie przecież za żołdata! Już dziś tak szlochasz, a cóż dopiero będzie, gdy się ożeni? Ach, baby, baby!

Ujawszy Mordchego pod pachę, odprowadził go na stronę i podał mu rękę:

— Bądź zdrów, Mordche, jedź z Bogiem, niech ci szczęście sprzyja! Jeśli zabraknie ci pieniędzy, to weź od krewniaka reb Josla. Da ci z pewnością, ale co najważniejsze: pisz listy, pamiętaj!

Ojciec i syn przez chwilę zwarli się spojrzeniami i, nie wypuszczając rąk, czuli, że mają sobie jeszcze coś do powiedzenia. Obydwaj naraz spuścili oczy, jakgdyby przeniknęli wzajem swoje myśli i w milczeniu rozeszli się niezadowoleni, iż czegoś nie dopowiedzieli.

Mordche rozgorączkowany żegnał się z Brajną, z kilkoma rybakami, chciał już wszystko mieć poza sobą i co prędzej wsiąść do bryczki, wten: poczuł między nogami płaczącego się Filuta: psina, jakby również przybiegła, aby się z nim pożegnać. Mordche schwytał Filuta za mordę i, gaskając go, poczuł, że mu żal wy-

jechać, że gdyby teraz ze strony ojca lub matki padło jedno słówko, ażeby nie pojechał, z pewnością pozostałby w domu.

Mordche wszedł do bryczki i zajął miejsce obok reb Iciego, który już dawno się tam usadowił. Marcin ruszył wolno. W uszach Mordchego rozbrzmiewały okrzyki nawoływań i życzeń, a przed oczyma jego migają czapki, którymi wywijali rybacy. Filut przegonił bryczkę i pędził na przedzie z radosnem szczekaniem. Jakiś rybak złapał go i przytrzymał za uszy. Mordche nagle spostrzegł Brajnę, która jedną ręką czepiała się bryczki a drugą wymachiwała do Marcina, ażeby wolniej jechał. Zaczęła wgadywać w Mordchego, w którym worku i w jakiej paczce co leży: tu—mięso, tam —ciasto, a worków niech nie wyrzuci, lecz odeśle z Marcinem, niech często pisze, niech nie martwi matki, gdyż takich matek jest niewiele na świecie! Zaszła mu do kamizelki pięć dukatów! Gdy będzie przebierać w piątki na sabat czystą bieliznę, niech brudną wkłada do poszwy, bo na taką bieliznę każdy się połakomi — czysta weba! Gdy Marcin już dojechał pod kamienny parkan, Brajna wyciągnęła z zanadru płócienną torebkę i zawstydzona wsunęła ją Mordchemu do ręki.

— Masz, Mordchele! Abo ja wiem... Na obcowiźnie.. Zda ci się na orzechy... Nie wymawiaj się, zrób to dla mnie... Raptem dziesięć złotych polskich — — — Co tak spozierasz na mnie? Po sumieniu mówię — musisz wziąć! Nu, schowaj-że, schowaj, nie bój się, jak Bóg da— odbiorę — jeszcze z procentem — — Bądź zdrow, szczęść Boże, szczęśliwej drogi! — — — Poczem zwróciła się do reb Iciego — Nie bierzcie mi za złe, reb Icie, może wam w czemś ubliżyłam, to mi przebaczcie, jedźcie z Bogiem i dajcie baczenie na chłopca. — — —

— Dobrze, dobrze, bądźcie zdrowa, Brajno—uspokajał ją reb Icie.

Brajna puściła bryczkę, chciała się znowu ucześcić, lecz bryczka już odjechała.

Stojąc tedy z wyciągniętą ręką, Brajna wykrzykiwała za nimi:
Jedźcie zdrowi! Bądźcie z Bogiem!

— Dobra kobiecina — rzekł reb Icie, jakby do siebie.

Mordche odwrócił się w stronę reb Iciego. W gardle dławily go łzy. Siedział w milczeniu. Patrzył na konie, ządzierające ogony i miotające głowami. Zaraz pojedą pod górę, tymczasem bryczka pędzi z takim turkotem po gościńcu, wiodącym od domu do lasu, że, zda się, zeskoczy z resorów.

Słońce stało wysoko na niebie i zapowiadało skwarny dzień. Powietrze było czyste i błękitne, a po dłuższem wpatrywaniu się w ten lazur, oczy jakgdyby oślepiały i omamione przestawiały drzewa i gąszcze. Raz po raz błyszcząły w powietrzu ogniste krople — to Wisła igrała, pluskała, wabiła, śmiała się miljonem ócz—płonęła zielenią, lazurem, ponsem—dyszała i kołysała się, jak spławione srebro naprószone bryzgami tęczy.

Marcin skręcił na piaszczystą drogę, przerywając las i, zdjawszy czapkę przed figurą, przeżegnał się i gwizdnął:

— Hajda, żarłoki!

Konie poniosły bryczkę, pędząc klusem po piaszczystej drodze, osypanej liśćmi i gałązkami. Rżąc od czasu do czasu, smagały się długimi ogonami po wypasionych, błyszczących bokach.

Mordche wiedział, że przejadą obok domu Racheli. I choć był pewien, iż niema jej tam, jednakże czuł, że mu nie staje tchu, że w miarę zbliżania się do jej domu, kolana mu drżą. Postanowił nie spoglądać w tamtą stronę i zamknąć zupełnie oczy. Lecz, jak naprzekór, lewe oko odwróciło się i patrzyło.

Dokoła domu panowała cisza. Okna były zamknięte. Gdyby nie kury w przestrichu umykające z drogi, gdzie się kąpały w gorącym piasku i gdyby nie kilka serków w workach, które przytłoczone ciężkimi kamieniami, schnęły na desce pod oknem, mogłoby się wydawać, iż w domku tym nikt nie mieszka.

Jakiś cień ludzki mignął przy stodole. Mordche, nie zdążywszy mu się jeszcze przyjrzeć, osłupiał. Z przerażeniem poznał w tym cieniu pachciarza, który zdawał się przed nim chować. Mordche doznał uczucia, jakby mu ktoś plunął w twarz. Zagryzł wargi i pomyślał sobie:—Kto wie? Może Rachela już wróciła i, uwięziona w pokoju zamkniętym na kłódkę, wypłakuje swe oczy, wyczekuje jego przyjścia — — Wszak obiecał jej, przysiągł — — O, tutaj, w tem oknie.. Zda się, ktoś wygląda — — Rachela?... Krew mu w głowie łomoce... Zda się, wołają go — — — Co? Byleby ręce wyciągnąć i Rachela będzie jego, byleby usta otworzyć i Marcin stanie. Lecz któż mu usta zakneblował? Któż mu ręce związał?

— — — Rachelo! Rachelo! — Jakiż straszliwy krzyk wydziera mu się z piersi! Jakiż okrutny wrzask! I nikt go nie słyszy! Jakby wszystkim uszy zarosły — — — — —

Serce mu się krwawiło i tylko ze wstydu przed reb Iciem nie rozplakał się z męki. Cierpienie jednakże nie imaćo go się długo. Wszystko dokoła było rozpieśnione i wrzące życiem. A w Mordchem kipiała młodość, więc wystarczyło, aby blaski słoneczne go omżyły, i wnet ukołysało go zapomnienie. Mrużył oczy, osłaniał się przed blaskami słońca. Nagle przed wzrokiem jego wyłoniła się Rachela, osypana płatkami kwiecica, bielejącami wśród czarnych włosów. Trzymając ręką za krótką halkę, zatapia w nim swoje duże, przeźrocze, głębokie oczy. Nie mógł tedy dłużej usiedzieć w bryczce, zeskoczył i — owiała go woń jej włosów, ciała — — —

— — — Wstydz się, tak długo na ciebie czekałam — — Wszyscy w domu drażnili się ze mną, mówili, że nigdy już nie przyjdiesz! — — — Tak płakałam — — — Widzisz, jak oczy moje są zaplakane? Idź sobie, jesteś niedobry! — — — — —

Mordche wstrząsł się i rozejrzał. Marcin wstrzymał konie. Z łąki nadbiegł Wacek — bosy, bez czapki. Trzaskał z bicia, a ślepy na jedno oko Burek pędził naprzód.

Wacek był w kłopotcie: pocałować młodego „pana” w rękę—jakoś się wstydził, wszak razem wzrosli, razem się bawili, zaś powiedzieć coś—to nie wiedział co, więc stał sobie i uśmiechał się bezmyślnie.

— Cóżeś tak stanął i sterczysz, jak ten drąg, bydlaku! — ojciec łajał go — Kiej to nigdy czleka na oczy nie widzi, dziecięje, jak zwierz w boru, nie potrafi gęby otworzyć! Cóże się tak gawronisz? Krowinę wydoją, a nie ciebie! Pocałujże pana w rękę i idź do krów! O, patrz „kraśna” już zalazła w szkodę!

Mordche nie pozwolił się pocałować, dał mu odjezdnego i, schyliwszy się z bryczki, poklepał go po plecach. Głowy ich się zetknęły, niechcąc pocałowali się i naraz mocno się zawstydzieli.

Marcin pogonił konia, poczęstował „kraśną”, która wyszła na drogę, kilka razy biczykiem. Ślepy Burek umykał ze szczerkaniem napowrót ku łące.

Opustoszała droga wila się ku mrocznemu borowi. Gdy konie wstąpiły do lasu, zarżały, jakby się napiły zimnej wody, mocniej wierciły ogonami i, pędząc, odgarniały z pod kopyt grudki miękkiej ziemi porosłej mchem. Pociągnęło chłodem. Z obu stron gęstwiał się stary, odwieczny las. Drzewa były tak rosochate, rozłożyste, że gałęzie z obu stron omal się nie zczepiały i nie przepuszczając słońca, splatały się nad drogą, jak sklepienie. Gdzieniedzie tylko słońce wkładało się, drążąc sobie poprzez liście ścieżkę do boru, a w głębokich gęszczynach lasu ważyły się srebrzyste owady.

Las zionął ciszą i chłodem. Stuk kopyt coraz bardziej wyraźniał i bił po mokrej ziemi, która chlastała grudkami, jak rozklaskane ciasto. Od czasu do czasu głośił się ptak. Z boru, ze wszystkich haszczy i zarośli, ze wszystkich tworów, gnieźdzących się w lesie szło jakieś szmerne brzęczenie, które nie dawało myśleć, jeno usypiało i cykało w uszach, jak rój świerszczy i koników.

Cisza wżerała się Marcinowi w kości. Wypuściwszy lejce,

rozkołysał się na kielni. Pod górę konie szły stępą. Wśród drzemania Marcin poczuł, iż konie wloką się, z nawyku smagnął je biczem po łbach, burcząc: hajda, żarłoki! — i znów się rozkiwał.

Na wzgórkę pod próchniejącym dębem, na którym wisiał blaszany, wytarty krzyż, żebrak z siwą, gęsto obrośniętą głową modlił się na klęczkach. Nad krzyżem, na nagiej gałęzi stała czarna wrona z rozpostartymi skrzydłami, z zarzuconym dzióbem i krakała, jakgdyby pragnęła złowieszczym łyżkiem obudzić ciemne siły starego boru i zagłuszyć cichą modlitwę żebraka.

Wnet ozwały się krakaniem wrony ze wszystkich stron. Z łopotem skrzydeł, gromada kruków w formie trójkąta puściła się na drogę, podobna zdaleka do jednego, czarnego ptaka — potwora.

Marcin się ocknął, zaciął konie i, rozpedziwszy biczem stado wron, splunął ze złości:

— Dusze zatracone!

Zaległa znowu cisza. Droga słała się pod górę, w dół i znów pod górę. Mordche chciał myśleć o Racheli, o rodzicach, o Kocku, lecz nie mógł się skupić i wątek myśli wciąż mu się urywał. Z nudów odszukał, hen, jak okiem cisnąć, najdalsze wzgórze i począł liczyć, ileż to się nabierze, gdy bryczka tam podjedzie. W miarę zbliżania się, wzgórze coraz bardziej malało, aż wyrównywało się z ziemią. Mordchego ogarnął wtedy żal, jak po czemś straconem i jeszcze raz odszukał najdalsze wzgórze w przeświadczeniu, iż więcej go już nie straci. Lecz wkrótce zabawa ta znudziła go, zaczął kręcić się na siedzeniu, lecz nagle drgnął:

— Przecież to ptak! — uspokajał go reb Icie.

Jakiś ptak gwałtownie zerwawszy się z drzewa, opadał nad bryczką, jak kamień. Mordche wstrząsł się i odchylił głowę, jakby dla omińnięcia ciosu.

Bryczka wytoczyła się z lasu, w oczy uderzyła jasność.

Z obu stron pola falowały zarosłe zagony, niby kolorowe pasma płótna. Marcin się rozciągnął i, wyjąwszy puszkę wystruganą z kory, zażył dobrego niucha tabaki i rozkichał się siarczyście.

— Chwała Bogu, urodzaj latoś! — Marcin odwróciwszy się do Mordchego, wskazał na pola—Chóć, niby-to, panie nie można jeszcze wymiarkować! Abo jak to było łońskiego roku? Dwie niedziele przed żniwami wszystko spaliło się w perz. O, uchowaj Boże! Dostyc już ludziska nacierpieli się głodu — —

Smugi żyta, przywabiające oko, krzyżowały się i lekko rozfalowane skłaniały swe żółte główki. Ledwo wzrosłe kłosa opasane były małemi kwiatuškami, niby koronami. Gorący, cichy wietrzyk ledwo powiał — rozkołysały się łany, wezbrały na piaszczystej glebie, jakoby pieniające się morze, przynosząc woń krupy i świeżego chleba. Aromaty ciężły w powietrzu, jak mgła pyłu, łaskocąc w gardle. Gryka rozkwitła na biało, połyskiwała, niby oprószona cieniutkim śniegiem. Nad polem ważył się ptak i, jakby w cichym śnie, żeglował w cichym poszumie zboża.

Raz po raz jakiś barczysty chłop wyprostowywał się na łęgu i wsparty o błyszczącą kosę, wycierał płócienną koszulą pot z twarzy, nasuwał szeroki, słomiany kapelusz i wpatrywał się, kto jedzie. Goniąc wzrokiem za bryczką, kłaniał się, jakgdyby zasyłał pozdrowienie do dalekiego miasta. A gdy bryczka już pierzchła w tuman kurzawy, chłop zadumany znowu rozkołysał się w ramionach i pobrzękiwał kosą.

Marcin skręcił na bok. Droga stawała się coraz szersza i bardziej piaszczysta. W miarę oddalania się od osiedli, rzadziej napotykało się łany zbożne, a coraz częściej kępiny i bajora. Gęste kępinki porośnięte były sitowiem lub tatarakiem i jak okiem sięgnąć — wszędzie prężyły się nieskończone, rozmokłe łąki, zczerniały z wilgoci i skrzące się pod słońcem, jak szyby.

Naraz zaległa taka cisza, jakby wszystko wymarło, jakby najlżejszy bodaj podzwięk roztajał w dżdżystym powietrzu. Jakaś

smętnica chwiała się na szerokich, dymiących polach i wyzierała z pod jedyne go, krzywego drzewa, które, jak okulałe, sterczało w trzęsawisku.

Z pod kłębowiska sitowia wzbila się dzika kaczk a, przez chwilę zawisła w powietrzu, jakby czegoś wypatrywała, i z klaszczącymi skrzydłami uniosła się nisko nad łąką.

Pod górą z obu stron drogi rozsiadło się kilka chałup okrytych słomą. Jakiś pstrokaty pies rzucił się za bryczką, zaszczekał kilka razy i umilkł. Blade, rozczochrane dzieci z czerwonymi oczami, które tarzały się wśród drogi obok jakiejś potwory z głową, jak duży arbuz, zerwały się z miejsc i, zostawiwszy, kalekę rozpierzchnęły się na wszystkie strony, jak przestraszone zwierzątka.

Marcin zatrzymał bryczkę i krzyknął na kalekę:

— Cóżeś się tak rozparł, jak ta kura na jawkach? Przepuść bryczkę.

— A nie widzita, człeku, żem przeklęty — potwór huknął tępym głosem, jakby z pod ziemi — siedzę se w gorącym piachu, rozgrzewam nogi — to moje ulżenie.

Olbrzymia, kołtunowata głowa pogrążona była do połowy w piasku tak, jakby ten potwór wyrastał z ziemi i pępkiem wsysał wilgoć stojących, zatęchłych wód. Wszystko w potworze tym zdało się krzyczeć: patrzcie, jestem kłątwą błot!

Reb Icie wysiadł z bryczki i, położywszy rękę na głowie kaleki, zapytał:

— Jak dawno już jesteś chory?

Dzieci, które się rozsypały na różne strony, powoli przysuwały się i ośmielone zaczęły odpowiadać za kalekę:

— Już jest taki od urodzenia!

— Stara Krajewska. co to mieszka tamuj, na błotach — przekłęła go!

— Ona jest czarownicą!

— On ma siostrę, to ona kracze jak wrona.

Potwór rozdziawił gębę i uśmiechnął się swą twarzą księżycową, jakby był rad, iż wszyscy się nim interesują. Wtem złapał chłopca za nóżkę, wysunął jęzor i wybuchnął chichotem.

Reb Icie przywołał Mordchego i obaj przenieśli chorego na stronę, a po przejeździe bryczki posadzili go z powrotem na piasku. Reb Icie dał mu trojaka i pogładziwszy go po głowie, życzył mu, aby Bóg go wspomógł, poczem wsiadł z Mordchem do bryczki.

Marcin puścił konie stępa i, odwróciwszy się do pasażerów, wskazał na domek czerniący się na malej kępinie wśród trzęsawisk, podobny do rozwalonej kuczki

— Ot, tamuj mieszka!

— Kto?—zapytał reb Icie.

— Krajewska, czarownica! Mieszka z djabłem, panie! Nie wierzy pan, co? Już w całym świecie o tem głośno! Chłopi na własne oczy widzieli ją, jak spacerowała z djabłem. W mig go poznali—chudy taki, jak chart i wywija ogonem, jak małpa.

— A do kościoła chodzi?—zapytał Mordche.

— Ni razu, panie, nie przyjdzie do wioski, gdzie jest kościół. Za dnia całkiem rzadko wychodzi, ino w nocy za to, panie, jakie tam harce się wyprawia—wstyd to nawet opowiadać! Toć na całą okolicę rzuciła klątwę i niechaj się w jakimś domku na błotach jakie dziecko narodzi, to zara z kołtunem.

— Dlaczegoż chłopci nie wypędzają jej stąd?—zapytał znowu Mordche.

— Ba! — — —

Marcin nie dokończył, odwrócił się — splunął siarczyście i zaciął konie.

Zające przykucnięte i nasłuchujące na płatkach trawy przy drodze spuściły swe klapiaste uszy i przestraszone pomknęły na pola.

Mordche patrzył na dymiące mętnemi oparami łąki, na domek sterczący ponuro wśród błotnistych bródz, jakby mącił

ciszę dookołą i, schyliwszy ze smutkiem głowę, poczuł trzepocący między powiekami sen.

O świcie przybyli do Pragi i zatrzymali się w zajęździe. Zajazd był natłoczony furami, bryczkami i koczami. Na furach leżeli chłopci rozwaleni na wznak i tęgo chrapali. U żłobów na słomie tarzały się konie, bijąc bokami i wydymając brzuchy, jak miechy. Tu jakaś hetka gryzła koryto, tam gniady, wysunąwszy tylne nogi, rżał przeciągle. Na środku podwórca, na długim, zardzewiałym łańcuchu wisiała latarnia, w której gruba, łojowa świeca skraplała się, migocąc nikłym światelkiem. W kącie wyjazdu czerniła się stara, omszała studnia, w której woda tryskała aż do skraju. Mroczna dziura studni wyzierała z nawpół ciemnego kąta, podobna do wybitego oka.

Marcin wyprzągł konie, napał je, nasypał owsa i skierował się wraz ze swymi pasażerami do gospodarza zajazdu. Gospodarz zajmował duży, kwadratowy pokój, w którym ustawione były dwa łóżka w formie litery „daleth”. W pierwszym łóżku spał właściciel zajazdu, stary żyd z siwą brodą — w drugim jego żona, leciwa żydówka w białym czepku aż po oczy. U jej wężłowia leżał czarny kot. Z łóżka rozlegało się jakieś dziwaczne burczenie i trudno byłoby orzec, skąd pochodzi — czy od kobiety, czy od kota.

Na podłodze walali się chłopci w ubraniach, sapiąc i chrapiąc twardym snem. Olbrzymi piec z cegieł zajmował prawie trzecią część pokoju. Na piecu dokoła dużego, żelaznego garnka tlił się ognek. Na ścianach wisiały łopaty, widły, topory, piły i z dziesiątek najróżnorodniejszych batów. W kącie obok półki z wyczyszczoną miedzią zwisał na białej wstążce mały krążek macy. Pułap, ściany i łóżka okryte były muchami, niby czarnym całunem.

W pokoju czuć było zaduch, dym i chłopską maohorkę, od której szczypało w gardle.

Gospodarz wkrótce nadszedł i, obejrzawszy swych gości, kazał im postawić rzeczy do olbrzymiej, drewnianej skrzyni. Wskazując grubym palcem na garnek, stojący na kuchni, zapytał:

— Może szklaneczkę herbaty?

Reb Icie nie odpowiedział, zapytał:

— Czy do beth-hamidraszu daleko stąd?

— Nie daleko. Poczekajcie krztynę—właściciel począł się ubierać—pójdę z wami.

Ulice spowijała cisza. Z drugiej strony mostu łopotał daleki szum—Warszawa budziła się ze snu. Z bocznej uliczki zaturkotała fura pachciarza z nabiąłem. Wnet zaczęły się wysypywać z podwórzy kobiety, dziewczęta — wszystkie prawie w czerwonych, pasiastych halkach, w niezapiętych trzewikach, z rozczochranemi włosami—widać, dopiero co z łóżka się zerwały—i, jak rój pszczół, opadły pachciarza. Jedne z dzbankami, inne z rondelkami wdrapywały się na koła, na wóz i, wyciągając ręce, krzyczały, wrzeszczały jedna przez drugą

— Mleka! Masła! Sera!

Pachciarz odpędzał kobiety, klnąc i bijąc je po rękach — lecz pachciarz swoje, a baby swoje.

Jakiś tłustobruszek spieszył się z beth-hamidraszu z tałesem pod pachą. Po drodze kupił w straganie wiązkę cybuli i rozpromieniony kroczył do domu — rozpamiętując snać o talerzu kartofli ze szczawem, który mu żona pewno przygotuje na śniadanie, o tem, jak chlaśnie cebulę do śmietany i „zasunie“ aż się zakurzy.

Przed beth-hamidraszem stał żyd nad dwoma koszami jajeczników. Miał na sobie białe płócienne spodnie i zamączoną koszulę—wyglądał jak z pieca wyjęty.

Tłum żydów, który już skończył modlitwę, tłoczył się w przedsiönku beth-hamidraszu przed szatą z pobożnemi księgami,

obstępował „szamesa”, stojącego z flachą w rękę i sprzedającego sznapsa bądźto za gotówkę, bądźto na borg. Żydzi rozłapywali świeże jajeczniki, przekasali je po wódce i umykali co spieszniej do domów.

— Nie darmo mówią: warszawscy żarłocy! — właściciel zajazdu zwrócił się do reb Iciego ze śmiechem.

Beth - hamidrasz był natłoczony ciżbą modlących się żydów. Tłum w tałasach i tefilin kiwał się, popychał i ścisnął wzajemnie. Jedni z zadartymi do góry głowami, z zarzuconymi w tył rękami, inni zaś z ukrytą w tałasie twarzą, z bijącymi w wytarte ściany pięściami wylewali swe serca przed Panem Bogiem — każdy na swój sposób.

Przy ścianach za szerokimi, dębowymi stołami siedzieli nad gemarami młodzieńcy, jak również podrostki z powagą na twarzach i tonem rzewno-śpiwnym recytowali traktaty talmudyczne z przejęciem i żarem.

Zawodzenia żydów, na chwilę wyzwających się z trosk o chleb, otrząsających się z powszedniości w obliczu Wszehmocnego, westchnienia, jęki, ściskanie ramion, klaskanie w ręce, cichy pogłos, tęskliwy pośpiew młodzi nad gemarami—wszystko to unosilo się nad beth - hamidraszem, jak krzyk bólu, urywający się dopiero u pieca, gdzie siedziała kompanijka włóczęgów i żebraków, którzy zwijali sobie tutki, z próżnowania kłócili się, klnęli i obmawiali cały świat.

Reb Icie, jak to było jego zwyczajem, prędko skończył modlitwę, wsunął ręce do rękawów i zatopiony w myślach chodził po beth-hamidraszu. Stał przy piecu. Jakiś odór uderzył go w twarz aż do mdłości. Zajrzał pod piec. Na strzępiastym worku ze słomą leżał stary żyd i jęczał. Najbliżsi sąsiedzi objaśnili mu, iż leży tam chory starzec, obcy, przybyły z Litwy, już tarza się tak pod piecem przeszło tydzień, „załatwił się“ pod sobą i niema nikogo, kto by mu posłanie zmienił.

— Jakto niema? — Reb Icie zdziwił się — A wy? Wszak jesteście też żydami! Jak można tak zostawić chorego?

— To-ci piękne kazanie prawi—jakiś żebrak rzucił uszczypliwie.

— Pewno „magid” — zauważył inny.

— Wujaszku, możecie sobie sprawić tę przyjemność — jakiś włóczykij ślepy na jedno oko szepnął mu do ucha — kiedyż to jeszcze wań się nadarzy takie „mycwo”, taka świętobliwa okazja..

Jakiś bosy urwis, stojący w pobliżu, już związał szmatę i miał ją cisnąć w głowę reb Iciego, lecz w tej samej chwili reb Icie odwrócił się i przywołał Mordchego.

— Słuchaj, wydostań skądciś garnek i balję. I to natychmiast. Rozpalimy w piecu ogień i nagrzemy wodę. Zresztą, daj „szamesowi” kilka groszy, to wszystko załatwi.

Żebracy obrzucili się spojrzeniami. Widząc, że to nie „magid”, każdy z nich gotów był „ofiarować się” do usług. I rozpoczęła się wnet „konkurencja” — kłócili się, klnęli i spuszczaali cenę. Wreszcie jeden z żebraków zupełnie młodziutki, jakby dla wystrychnięcia swych kompanów na dudków, podjął się przynieść wszystko za darmo.

Gdy woda się nagrzała, reb Icie sam rozebrał chorego, posadził go do balji i obmył skrzętnie.

W beth - hamidraszu zaległa cisza. Wszyscy zerwali się ze swych miejsc i skupieni przed piecem, przyglądali się, jak reb Icie obmywa chorego. Z zatkniętymi — z powodu odoru — nosami stali, patrząc w zdumieniu, jak nieznamy żyd zaradnie krząta się koło chorego, wdycha odór bez najmniejszego grymasu na twarzy.

Reb Icie wobec całej rzeszy żydów rozebrał się, jakby u siebie w domu, zdjął koszulę i gatki, przywdział w nie chorego pobłogosławił go i, wytrząsnąwszy z kieszeni wszystkie pieniądze dał je starcu — potem zaczął się ubierać.

Tłum rozdziawił usta z podziwu. Ten i ów, jakby nie wierząc własnym oczom, zbliżał się do Mordchego :

— Twój ojciec?

Tłum utopił wzrok w reb Iciem, przylgnął oczami do jego matowej twarzy, czarnej bródki i białych, krzywawych zębów. Każdego przytulał do siebie cichy uśmiech opromieniający jego wargi, a z jego dużych, ćmiących źrenic zdroj miłosierdzia bił z taką siłą, że nie jeden drgnął, jakby nagle go poznał, choć nigdy w życiu nie widział go na oczy.

Reb Icie już był ubrany i szukał oczyma Mordchego, aby co prędzej opuścić beth-hamidrasz i pozostać w samotności. Wtem wszedł do beth-hamidraszu jakiś krępy żyd i, wpatrując się w reb Iciego, przepychał się łokciami przez ciżbę z okrzykiem:

— Przecież to reb Icie!

Tłum, który w tej chwili wiedział o reb Iciem tyleż, ile pierwiej, znalazł jednak w słowach tych wielką podniechęć — rzucił się ku reb Iciem i otoczył go kołem. Naraz wyciągnęły się doń ręce na powitanie—„szulem“, zaczęto go przeproszać i dotykać jego szat. Reb Icie w pierwszej chwili stracił się i błagał wzrokiem, aby zostawiono go w spokoju.

Mordche nie spuszczał zeń oka, wsysał w siebie promienie jego oczu, pałających miłością do tej ciżby, wchłaniał jego powitania i błogosławieństwa, jakie szeptał nad tłumem, który, patrząc nań, zapominał o powszedniości bytu i rozjaśniał swe ponure twarze pogodą.

Naraz reb Icie skierował się do Mordchego i położył na nim rękę:

— Chodź, Mordche, już czas pojechać! I to natychmiast! Tłum już nazbyt wzrasta, nazbyt, chodź!

Po obiedzie Mordche odprawił Marcina do domu; zamówiona została bryka do Kocka i udano się w dalszą podróż.

Mordche był zagłębiany w siebie, nie rozglądał się po drodze, cały pochłonięty myślami o reb Iciem. Nie zauważył nawet, że wehikuł coraz przystaje, zabiera nowych pasażerów—owych żydów, którzy z talesem i tefilin pod pachą, tułają się po drogach polskich i, pozostawwszy w domu żonę, dzieci, włóczą się piechotą z jednego końca Polski na drugi, pielgrzymując do „cadyka”.

Konie pędziły rączo, piętrząc przed sobą góry kurzu. Wehikuł skrzypiał, kubeł zawieszony między tylnymi kołami postukiwał. Ktoś zanucił melodję chasydzką. Pasażerowie podchwycili ją i, wtórząc piosence, uraczali się sznapsem. Raz po raz rozbrzmiewały chasydzkie piosenki, zaintonowane na nutę to wesołą, to smutną i zakrapiane kieliszkami wódki — czuć było, że jedzie się do „cadyka”...

Mordche siedział na uboczu, rozmyślając nad tem, iż nie byłby zdolny nawet do takiej drobnostki, jak umyć chorego żyda w beth-hamidraszu. Przypomnił sobie, jak cała ciżba stała z zatkniętymi nosami, on sam też nie mógł tchu złapać, reb Icie zaś ani się skrzywił, wdychał odór, dając ludziom wzór, iż można się wyzuc z ziemskości, podnieść się ponad materję. Postanowił pójść w ślady reb Iciego, do lasu już nie powróci, zostanie w Kocku i odda się całem sercem służbie bożej. A Rachela?

Przymknął powieki i naraz cisnęła mu się myśl do głowy: że wóz się złamał, albo — toć wypadki chodzą po ludziach — nagle zaniemógł, obłożnie zachorował, na tyfus naprzykład, lub na zapalenie płuc. Cóż wtedy? Nie pojechałby już do „cadyka” Wykręconoby dyszel i hajda z powrotem — do lasu. I oto ojciec rzekłby do matki, że Mordche jest chory, niebezpiecznie chory, i to właśnie z powodu Racheli... Ale przyprowadzić jej do niego — nie wypada... Leżałby trawiony gorączka... Po całych nocach by majaczył i bredził... I nagle umarłby...

Mordche, jakby się ocknął, i zły, że zaprzęta sobie głowę takimi banialukami, przetarł oczy i rozejrzał się dokoła.

Kilku chasydów, siedzących nad otwartymi tobołkami, zająłoby cebulę z chlebem i wsłuchiwało się w opowieść starszego kompana — chasyda.

— — — Na podwieczerek weszła rabinowa, wyjęła z szafki księgę Joba i podała „cadykowi”. „Cadyk” zerwał się na równe nogi, udał się do „mykwy” i wieczorem po modlitwie — a zdarzyło się to w wilię sabatu — kazał Chaimowi zaśpiewać. Chaim, stary domownik „cadyka” zapytał w zdumieniu:

— Jakże to, „cadyku”, wszak w domu leży nieboszczyk, toć jesteście żałobnikiem.

— Chaimie! — odparł „cadyk” — w dzień sabatu żyd powinien się radować—zaśpiewaj! — — —

Mordche przypatrywał się tym chasydom, którzy już od długich tygodni odbywają podróż, żywiąc się cebulą, którzy opuścili żonę, dzieci i, gnani miłością do „cadyka”, puścili się w drogę pieszo, włączając się tak pomimo wszelkich trudów i znojów. On zaś, Mordche?

Jedzie, jak hrabia, wiezie ze sobą zapasy, jak dla dziesiątka ludzi, ma huk pieniędzy i nadmiar wszystkiego jeszcze mają go się grzeszne myśli.

Mordche przygnębiony wyciągnął się na wiązce słomy, czuł że jest grzeszny i myślał o tem, iż musi się odmienić, iż ucieknie się pod skrzydła cadyka, którego ubłaga, aby mu przewodził — aby — — —

Z polnych szerzy nadbiegł z gwizdaniem wiatr. Stał na środku szosy, i okręcając się dokoła siebie, jak śruba, zagarniał liście, słomę, wszystko, cokolwiek się nawinęło, podbijając kurz aż do nieba. Nagle ściemniało — czarna chmura rozesała się nisko nad głowami, jakby miała za chwilę runąć na dół. Konie, pędząc kłusem, poczęły prychać, smagać ogonami, strzyc uszami, jakby w obliczu niebezpieczeństwa. Chmura zapłonęła. Po chwili stoczył się piorun, trzasnął, jakby niebo pękło na dwoje —lunęły krople duże, jak grad. Kompania chasydów stroiła żarty,

podrwiwała sobie, nie bojąc się deszczu, gdyż był przejściowy, letni. Po chwili deszcz się wzmógł, lał jak z cebra. Wehikuł stanął. Pasażerowie ukryli się pod nim. Mordche przykrył reb lciego grubym workiem, sam zaś odwiązał kubek zawieszony pomiędzy tylnymi kołami i, usiadłszy na nim, przyglądał się ulewie.

Konie się splukiwały i stulone do siebie, spuściły łby, a z ich niemych, bezmyślnych mord wyzierała taka tępa bezradność, iż budziła litość.

Rozjaśniło się, deszcz ustał. Pola, drzewa, trawa—wszystko po deszczu jakby się roztuliło, rozwarło, a powietrze dyszało rzeźwością.

Mordche obudził się wśród nocy. Pasażerowie spali z głowami wspartymi na tłumoczkach. Załomotała w nim nagle wielka, nieodporna tęsknota, miał ochotę obrócić brykę, gniewało go, że konie się tak wloką noga za nogą i że furmanowi nic do tego. Furman, siwy żyd, zgięty w kabłąk siedział z dziwnym spokojem na kozle, zezując prawem okiem na pasażerów, a lewem na konie. Mordche spostrzegł swój cień, biegnący za bryką: to podrygiwał, to tańczył, jak chochlik. Mordche się tulił do siebie, czując że coś mu z serca wyrasta, ciska się do gardła i oczy zachodzą mu mgłą. Ochłonął z gniewu i tylko wielka tęsknota go żarła. Oddałby wszystko, byleby być przy Racheli — — — Paliła go pewność, że już nigdy z nią nie będzie rozmawiać, że wyjdzie za mąż za kowala czy za pachciarza — — — Dalej nie mógł już snuć wątku myśli i, gryząc wargi, leżał oniemiały, choć wszystko w nim lkało.

Mordche się zetknął z prawem okiem furmana i drgnął z przerażenia. Dlaczego furman nie śpi? Włóczy się całe życie po szosach, wiecznie siedzi na kozle i miota oczyma, jak bies.

— Dziadku, śpicie?

Starzec nie poruszając się z miejsca, jakby nie do niego się zwrócono, odparł:

— Nie! Abo co?

— Zdawało mi się, że drzemiecie.

Teraz furman odwrócił się i wraził oboje oczu w Mordchego.

— Aj, dziecko moje, minęły dawne czasy! Starość nie radość — już nie ma się śpiku. Co prawda, modlimy się do Pana Boga o wiek sędziwy, wszakże — wierzaj moim słowom — chłopcze, niżeli stać się jak ten stłuczony garnek, to już bodaj — — — hm—Toć nie wolno dopuścić się grzechu... Jak tam napisane jest: „Nie porzuć w czas starości” — — — Ot, gdy moja staruszka — oby nam ku dłuższym latom! — żyła, tom puścił konie na trakcie stępa i uciałem sobie drzemkę. Ino od czasu, jak pomarła, to chodzę bez ducha. Nie mogę nijak miejsca sobie znaleźć. Do mieszkania ani zajdę. Goni coś, bracie! Jakby te djaski z łańcucha się oberwały! Pusto w każdym kącie! Ni dzieciątka, ni zwierzątka, z kimby słówko pogadać! Sam na starość muszę sobie łyżkę strawy uwarzyć! Widzisz, bracie, tutaj—ta kielnia jest mi w nocy największą uciechą! Siedzę sobie, puszczam konie stępa i myślę o mej staruszce, gawędzę z nią — — —

Przy tych słowach głos mu ochrypl. Odwrócił się.

Słowa furmana nawiąły na Mordchego zimno, zastanawiał się, co mu powiedzieć, chciał go pocieszyć jakimś słowem na wzór reb Iciego, lecz nic mu nie przychodziło na myśl. Uczucie miłości tknęło go dla starca. Wydobył z walizy flaszkę i uraczył furmana kilkoma kieliszkami wódki.

O świcie bryka zatrzymała się w jakiejś wsi przed szynkiem. Pasażerowie otrząsnęli się ze snu, nie wierzyli, że już przejechali Siedlce, że znajdują się niedaleko Łukowa i z zadowoleniem weszli do szynku.

Kilku chasydów w tałasach i tefilin, chodząc po szynku, modliło się na głos. Na podłodze, na długich ławkach spali młodzieńcy, jeszybotnicy, starsi chasydzi z chłopcami—wszyscy wsparci głowami bądźto na swych tobołkach, bądźto na swych

rękach. Za długim stołem kilku chłopów nad kufkami piwa toczyło ożywioną gawędę. Coraz jakiś inny żyd stawał przy tych chłopach, zasuwał tałes i, nie przerywając sobie modlitwy, przysłuchiwał się ich rozmowie.

W kącie przy małym stoliku siedział krawiec wiejski. Krawiec z parą czerwonych oczu i parą okularów bez jednego szkiełka na wierzchołku nosa, ze zmiętą, papierową miarą na szyi, cały skurczony, tuląc do krzesła bosc nogi, szył chałat dla szynkarza.

Szynkarz — zdrowy, czerwony żyd z długą, rudą brodą siedział za szynkwasem na plecionem krześle i, trzymając na rękę małe, tłuste dziecko w krótkiej koszulinie, karmił je bułką, moczona w słodzonej herbacie. Dziecko zadarło krótką, pulchną nóżkę i zagapiło się na kociaka, który bawił się długimi nićmi „cyces“ szynkarza. Szynkarz nabrał łyżkę „papu“, długo dmuchał, kilka razy próbował swym długim językiem i, otworzywszy dziecku usta, przemocą wpychał w nie jądło tak, jak się tuczy gęsi. Dziecko dławiąc się, połknęło i rozplakało się przeraźliwie.

— Jeszcze sobie czegoś narobię, zobaczycie — krzyczała szynkarzowa, mała, czarna kobietka, która, biegnąc pośród gości, chwiała się pod ciężarem brzemiennego brzucha — Co znowu? Żeby to nie można się było na nikogo spuścić! Ani na włos!

Szynkarz nic nie odpowiedział. Pobrzękiwał łyżką o szklankę, dziecko zapatrzyło się w łyżkę i wreszcie umilkło.

Reb Icie z Mordchem stanęli do modlitwy. Chasydzi powoli budzili się ze snu. Jedni powstawali z podłogi, inni zlazili z ławek, wyczołgivali się z pod stołów i — szynk wkrótce zamienił się w istny jarmark.

Chasydzi skupiali się w grupy według miast. Środek szynkowni zajęli „warszawscy“. Odrazu z pierwszego wejżenia, można było ich rozpoznać. Kapoty repsowe, długie aż do stóp, leżące na nich, jak włane — pończochy białe, jakby świeżo

uprane — aksamitne lub jedwabne czapki o szerokich denkach, spadające na uszy — pasowane jarmułki z kołyszącymi się chwostami — wszystko na nich zdało się wołać: respekt przedemną! Jestem „warszawski”! Wszyscy mówili naraz, jeden przez drugiego, przekomarzali się, kłócili podług szerokiej, nadętej wymowy warszawskiej, kotłowali się, gorączkowali z byle czego, wpadali w zachwyty byle czem i mizdrzyli się do szynkarzowej, jak również do „szyksy”, stojącej nad balją bielizny w alkierzu. Nie mieli ze sobą prawie żadnych tobołków, tłumoczków, jeździli do „cadyka” tak, jak stali, z laseczkami w rękę, a płacili za wszystko gotówką — więc też byli w szynku najmiej widzianymi gośćmi.

Dokoła „warszawskich” grupowała się „prowincja” — zachmurzeni, posępni żydzi w ciężkich, repsowych kapotach, którzy raz stanąwszy gdzieś, stoją już, jakby ołowiem nalani — buty nieobrobione, z jednego kawała skóry — sukienne lub aksamitne czapki z guzikami pośrodku — szerokie kołnierze z koszul, wykładane na ramionach, związane były pod szyją sznurkami lub sterczały otwarte. Wozili ze sobą całe worki żywności i, siedząc na tłumokach, strzegli swego majątku, wymijali „warszawskich”, jakby się mieli na baczości, aby „warszawscy” nie podeszli ich, nie wyprowadzili ich w pole. Sami nie wydając złamanego szeląga, jeszcze się dziwowali i gorszyli, że „warszawscy” sypią pieniędzmi, marnotrawią do ostatniego grosza.

Coraz to w innym kącie grupowała się gromadka chasydów dla odmówienia modlitwy porannej. Nadziewano tałas, wkładano tefilin, prędko je zdejmowano i butelka wódki krążyła z ręki do ręki.

Na uboczu jakiś młodzieniec okutany w tałas bił się w piersi, miotał się na wszystkie strony, walił głową o ścianę i raz po raz dobywał z piersi nieludzkich okrzyków.

Na jego widok, jedni stroili sobie żarty i drwinki, inni zaś z rozmarzonymi twarzami wpadali w zadumę i radowali się zbożnie: taki młody i taka ekstaza!

Jeden z „warszawskich” w aksamitnej czapce zasuniętej aż po uszy podszedł do owego młodzieńca i szepnął mu do ucha tak, żeby wszyscy słyszeli:

— Czego się tak mordujesz? Śniła ci się tej nocy — Lilit?

Młodzieniec nic nie odpowiedział, jakby to nie jego tyczyło, dalej się kiwał.

— Jak nie postawisz wódki — „warszawski” ujął go za taś — nie damy ci się modlić!

Młodzieniec wyprostował się, utkwiał w „warszawskim” wzrok, pełen błagania, aby zostawił go w spokoju i, przykładając palec do ust, dał mu do zrozumienia, iż jeszcze nie skończył modlitwy, więc nie może doń przemówić.

Mordche, który akurat zdejmował naczółki tefilin i ściągał rękaw, nie mógł już dłużej przyglądać się zaczepkom i pastwieniu się nad młodzieńcem; uniesiony gniewem, podbiegł do „warszawskiego”, schwycił go za kołnierz i cisnął z takim impetem, iż tamten, przewróciwszy dwóch sąsiadów, runął jak długi.

Wszczął się wrzask, tumult, rwetes. „Warszawscy” otoczyli Mordchego i, wznosząc laski do góry, krzyczeli — jeden przez drugiego — aby rozciągnąć go na stole i wsypać mu „na pokładankę”. Mordche stał spokojny i, schwyciwszy z szynkwasu kufel, czekał — co dalej nastąpi.

Wysoki żyd, bosy, w podartej na strzępy kapocie, z kudłami włosów na głowie wytoczył się z pod stołu i, przepychając się łokciami przez ciżbę, klął na całe gardło:

— Obżartuchy! Opoje! Mało wam, że sami nurzacie się w grzechach — kłuje was w oczy, gdy ktoś modli się z sercem, z żarem? Do kogoż to jedzicie? Czyż nie do wyrzutka Izraela? Toć przepędza was od siebie precz! Siedzi w swojej komnacie — zachodzi w głowę i bije się w mózg! Niemasz już tam Ducha Bożego, pozostała jeno mózgownica, wysuszony szpik — słyszycie?

Wszyscy zapomnieli o Mordchem i otoczyli bosego Sruela, znanego pod nazwą: „kocki moralista”. W wilię Jom-Kipuru „cadyk”

wzywał go do swej komnaty i kazał siebie strofować, karcąc biczującymi słowy. Chasydscy birbanci nienawidzili go i gdyby nie wstawiennictwo pobożnych chasydów, noga jego już dawno nie postąpiłaby w Kocku. A że teraz klął i złorzeczył „cadykowi”, „warszawscy” podnosili laski do góry i zaciskali pięście:

— Stul pysia! Bezczelniku! Respekt!

— Na pokładankę!

— Cóż tak sterczycie?

— Przysunąć ławkę!

— Przerzucić go! Rozciągnąć!

— O! O, tak!

W tej samej chwili, gdy „warszawscy” podnieśli do góry bosego Sruela, reb Icie jakby wyrósł przed obliczem wszystkich i, stanawszy na środku, nie wyrzekł ani jednego słowa, lecz z matowej twarzy jego tchnęła taka udręka i uznojenie, z oczu wyzierało tyle bólu, iż wszyscy się zmieszali i powoli zaczęli się cofać.

„Warszawscy” puścili bosego Sruela. Sruel zeskoczył z ławki, wciągnął spodnie uszyte z woreczków po soli — w okamgnieniu rzucił się, jak długi, reb Iciem do nóg, obłapił je i, całując, krzychał:

— Rabbi, przewodź nam! Wszak wiesz, iż jesteśmy bez pasterza, iż prawdziwi chasydzi włóczą się po obcych stołach, już nie dla nich Kock. Dalej jeździć tam nie mogą już! — — — Niemasz tam więcej ducha świętego! Majestat boży stamtąd pierzchł, nieczysty tam tańczy, szatanów płas, djabła uciecha! — — — Rabbi, przewodź nam!

— „Biada uszom, które to słyszą” — kilku chasydów wykrzyknęło naraz.

— Wytępić go! Zetrzeć w proch! Wyrwać z korzeniem! — Rozlegał się wrzask dokoła.

Jakiś starszy chasyd z zacisniętymi pięściami rzucił się na bosego Sruela, jakby chciał zdeptać go nogami, położyć trupem

na miejscu, lecz naraz zatrzymał się przed reb Iciem, nie mogąc kroku postąpić, niby paraliżem tknięty.

Twarz reb Iciego jeszcze bardziej oblekła się w błądź. Schylił się, podniósł Sruela i cicho rzekł:

— Nie popełniaj grzechu, Sruelu! Reb Mendele to „cadyk pokolenia”. Pojeźdź doń i proś, aby zadał ci pokutę.

Tłum wspinał się na palcach, zwałił się dokoła reb Iciego, aby podchwycić jakieś słówko z rozmowy.

Reb Icie ujął bosego Sruela za rękę i, wprowadziwszy go do bocznego pokoju, zamknął za sobą drzwi.

Zawrzało jak w ulu. Tłum rozbity na gromadki, wrzeszczał, huczał, dał gardło, co się zowie.

Utworzyły się dwie grupy, z których jedna utrzymywała, iż nie należy Sruela wpuścić do Kocka, druga zaś twierdziła, iż skoro reb Icie posyła go tam na pokutę, nie trzeba się do tej sprawy wtrącać.

Mordche stał na uboczu i przyglądał się tłumowi chasydów, który wrzał i kipiał. Zapomniał zupełnie, że to on jest przyczyną całego „ambaru”, rozmyślał nad tem, czy byłby zdolen przeciwstawić się całej rzeszy żydów, skarcić ich tak, jak to uczynił bosy Sruel. Wtem Mordche poczuł, iż ktoś z kąta przeszywa go spojrzeniem. Mordche skierował tam wzrok swój, ujrzał nieznanego, lecz po chwili tknęło go, iż twarz tę skądś zna. Nie mógł się uwolnić od przenikliwych spojrzeń nieznanego, doznając uczucia, jakby ktoś siedział mu w mózgu i, jak z książki, czyta jego myśli. Naraz przemknęło mu przez głowę: dziadek — kradzież celem wyjazdu do Kocka. Rozjaśniło mu się w oczach: nieznanym był owym młodzieńcem, któremu został poruczony do nauki w czasie choroby dziadka. Mordche dla ominięcia go zamieszał się w tłum.

Lecz młodzieńiec, zbliżywszy się doń, zagadnął go:

— Mordche, nie poznajesz mnie?

— Ach, Szmuel!— Mordche udawał zdziwienie — Już dawno z Płocka?

— Jestem już prawie trzeci tydzień w drodze — Szmuel wsunął grube palce za „gartel”, kołysząc się z nogi na nogę— znaczy, znowu się spotykamy! Jak się to mówi: — „Człowiek z człowiekiem się zetknie”. Jedziesz sam?

— Nie, z reb Iciem!

Mordche spostrzegł, iż, gdy wymienił imię Iciego, na twarzy Szmuela przemknął ledwo uchwytny uśmiech.

— Jak ci się podoba Sruel?—zapytał Szmuel—Już od kilku chasydów słyszałem, że w Kocku jest coś nie wszystko w porządku.

— Co chcesz przez to powiedzieć?—Mordche patrzył mu wprost w oczy.

— Chcę powiedzieć...—Szmuel rozciągał słowa, jakby dla nadania im ważkości — Opowiadają, że „cadyk” nikogo nie przyjmuje, nikomu nie podaje ręki na przywitanie—„szulem”, siedzi zamknięty w swej komnacie—od czasu... tego nieszczęścia.

— Jakiego nieszczęścia?—Mordchemu rozszerzyły się oczy.

— Nic nie wiesz?—Szmuel zdziwił się i rozejrzał, czy nikt ich nie słucha—Jakto, jedziesz z reb Iciem i o niczem nie wiesz?

Wziął Mordchego pod pachę i, wyprowadziwszy z szynku, chodził z nim po podwórzu.

— Znaczy się, nic nie słyszałeś, co zaszło w Kocku?

— Nie.

Szmuel zaczął mówić ciszej i, nachyliwszy się do Mordchego, jakby mu szeptał sekret do ucha, przystanął.

— Krążą wiadomości, iż „cadyk” wszem wobec wykrzyknął: „Les din weles dajen”—„Niema Sądu i niema Sędziego“. Ludziska, oczywista, zdębieli, zesłupieli— — — rodzina w obawie, by „cadyk” nie przepędził precz chasydów, nikogo doń nie dopuszcza. Na „dworze” „cadyka” pono—rozpacz i popłoch. „Cadyk” chce wystąpić przed tłumem, wali pięściami w zamknięte

drzwi, przeklina — — Rozumiesz, co to, znaczy? Czy możesz to pojąć? Toć reb Mendele jest przecież tym prawdziwym gaonem, „cadykiem pokolenia” i właśnie w tym czasie, gdy jego ostry, jasny rozum przeniknął, odklął w sobie prawdziwe słowo, akurat wtedy więżą go w komnacie, przez co, oczywiście, oddalony zostaje „kec” — przyjdzie Mesjasza, koniec świata. — — — Wielu chasydów przestało do niego jeździć — — — — Już idą słuchy, że brać chasydzka zacznie teraz jeździć do reb Iciego — — —

Mordche był oszołomiony, nie wierzył własnym uszom. Widział przed sobą Kock — opustoszały, wymarły, „dwór” — zarosły ostem i pokrzywą, a na ruinach siedzi „cadyk” — opuszczony, samiućki i przeklina cały świat. Mordchego szarpnęła bolesna, litość, postanowił udać się wprost do reb Iciego i błagać go, całować w ręce, ażeby nie odebrał reb Mendele jego rzeszy wiernych. Dufał w głębi serca, iż reb Icie nie uczyni tego.

— Nie wierzysz? — Szmuel przerwał mu myśl — zdaj się na mnie! Zresztą, niebawem będziemy w Kocku. Czy-ś już śniadał? Jeszcze nic dziś w ustach nie miałem.

— Chodźmy, wejdźmy do szynku — Mordche położył rękę na ramieniu Szmuela — zjemy razem śniadanie.

W szynku wrzawa jeszcze trwała. Chasydzi, biegnąc od gromadki do gromadki, kłócili się, pili „lechaim”. Każda gromadka usiłowała za pomocą wszelakich sposobów i forteli przeciągnąć przeciwników na swoją stronę.

„Warszawscy” fundowali piwo, wódkę, uraczali najlepszym tytoniem. Uparta prowincja stała kamieniem — niepodkupna i nieruchoma, unikając rozmowy na temat reb Mendele. Ślubowała sobie w duszy, iż jeśli reb Icie nie będzie tym razem obwołany „cadykiem”, to przestaną całkiem jeździć do Kocka.

Mordche zamówił śniadanie i, usiadłszy ze Szmuelem w kącie za stolikiem, dołapał się wraz ze swym towarzyszem do jadła, jakby po chorobie. Szmuel nieustannie mówił. Mordche zauważył, że jego były „rebe” nie oplukał sobie rąk do jedzenia!

że wiele rzeczy zbywa uśmiechem, jakby mówił—e, tatalaszki!

— Zachodzisz czasem do mego dziadka?—zapytał Mordche.

— Co do twego—Szmuel dławił się kąsem—dziadka, widzisz, uczciwy to i bogobojny żyd! Na starość staje się coraz bardziej „misnagdem”—nie śmieję się! Pierwszego dnia Pesach postawił na oknie talerz z knedlami: niech żebracy jedzą „moczone”. W mieście powstał krzyk, alarm! Nie pytaj wcale! Chasydzi zgrzytali zębami, lecz jawnie nikt nie śmiał słówkiem pisnąć. Bądźcobądź—reb Awrejml!—miasto ma przed nim respekt. I po prawdzie, mówmy otwarcie, czem się biedny żyd nakarmi, jeśli nie „moczonem”? Zwykle jadało się kartofle z barszczem, ale w tym roku któż może sobie pozwolić na kartofle? Taka drożyzna, nawet za pieniądze trudno dostać!

— Wiesz, dziadek mój jeździł kiedyś do Kocka — odezwał się Mordche.

— Wiem, a jakże, lecz chasydem nigdy nie był—uśmiechał się Szmuel pod płowym wąsem. Kilka razy otworzył usta, jak by z zamiarem zapytania o coś, wreszcie zaczął bełkotać—Ciekaw jestem... chciałbym wiedzieć... myślę... jak ty uważasz... będzie brać w Kocku „kwitki”?

— Kto?—Mordche wytrzeszczył oczy.

— Myślę... reb Icie— — —

— Kto wie—Mordche ścisnął ramionami—a ty jak myślisz?

— Ja... nic nie myślę—Szmuel uśmiechnął się, jakby był w posiadaniu jakiejś tajemnicy—ot, zapytałem, tak sobie— — — Sądzi się może, że syn reb Mendele, Duwid puści to płazem? A inni synowie? Każdy z nich zechce objąć po ojcu „stół”. Po „strykowskim” objęli „stół” wszyscy czterej synowie — każdy z nich ma swoją rzeszę chasydów. Wkrótce w każdym miasteczku będzie rezydować „cudotwórca”— — —

Mordche słuchał pełen tajonego gniewu, gdyż w uśmiechu Szmuela wyczuł drwiny; postanowił przerwać rozmowę, lecz niechcąc odpał:

— Jeśli „cadyk” bierze „kwitki”, to chyba dzieje się taka z woli nieba.

— Pewnie, pewnie! Wszystko dzieje się z nakazu nieba, z woli nieba!—Szmuel zerkał lewem okiem na swe wąsy, w których jakby ukrywał uśmiezek—Czy wiesz o tem, że na grobie „przysuskiego” zaraz po pochowie stanął ptak i nie chciał ustąpić z miejsca, nie jadł, nie pił, lecz wciąż śpiewał, i tak wśród śpiewu wyzionął ostatnie tchnienie na grobie „przysuskiego”! Czy to też z woli nieba?!

— Pewnie!—Mordche prawie krzyknął.

Szmuel oblał się rumieńcem, górna warga nadeła mu się i drgała. Na twarzy jego malował się wyraz niezdecydowania, jakby bił się z myślami, czy uczynić jakieś wyznanie, powierzyć mu jakąś tajemnicę. Wreszcie ujął Mordchego za ramię i z wyraźnym uśmiechem na wargach schylił się do jego ucha:

— Niech to zostanie między nami! Nigdy tam żaden ptak nie stanął! Reb Hirsz Plinsker, bogacz, jeden z tego „kółka” „maskilim”, którzy uczą się biblji z komentarzami Mendelsohn^o i posyłają dzieci swe do „gimnazjum”, powierzył mi tajemnicę, że nazajutrz po pochowie „cadyka” sam położył na grobie martwego ptaka. Nu, cóż ty na to? Spróbuj to opowiedzieć chasydowi, to cię natychmiast wyklnie, na miejscu trupem położy! Chasydzi twierdzą, że to znak z nieba, że nie był to zgoła zwyczajny ptak, lecz anioł Gabrjel, który przybrał kształt ptaka. Rozumiesz? Ptak ów jest-ci taką samą oznaką, jak Sulamit z „Szyr-Haszyrym”, oznaczająca rzekomo „lud Izraela“ — — —

W tem miejscu Szmuel spostrzegł, że nazbyt „zagalopował się” i, rzuciwszy okiem wokoło, czy nikt go nie podsłuchuje, chciał jakoś wygładzić ostatnie słowa, lecz wtem podszedł reb Icie i, patrząc na nich z miną, jakby podsłuchiwał rozmowy, zwrócił się do Mordchego:

— Jedziemy!

— Może znajdzie się też dla mnie ździebko miejsca —

Szmuel z pokorą prosił Mordchego —niech będzie nawet w kielni, byleby się dowlec do Kocka.

Mordche pałał doń nienawiścią, już mu się na usta cisnęła odpowiedź, że na furze niema miejsc, lecz ociągając się przez chwilę, skinął głową:

— Dobrze! Zrobię dla ciebie miejsce.

— Może masz kilka złotych, pożycz mi na krótko, muszę zapłacić szynkarza — Szmuel powiedział zlekka, jakby od niechcenia.

— Ile?

— Pięć starczy

Mordche dał mu srebrną pięciozłotówkę. Szmuel znikł w tłumie. Mordche się zadumał, nie mógł pojąć, w jakim celu Szmuel opowiedział mu zdarzenie z ptakiem. Jeśli nawet jakiś „apikojres” — „heretyk” położył martwego ptaka na grobie, czyż jest to ujmą dla czci „cadyka”? I po cóż tu wtrącił „Szyr-Haszyrym”? Czyż wierzy naprawdę, iż „Szyr-Haszyrym” należy rozumieć zwyczajnie, tak, jak jest tam wyłożone? Wszak nie dawne to czasy, gdy Szmuel wtajemniczał go w naukę chasydzką, gdy z taką żarliwością objaśniał mu najdrobniejsze słówko reb Mendele? Dajmy na to, że zepsuł się w tak krótkim czasie, więc pocóż w takim razie jedzie do Kocka?

Z uczuciem niesmaku i niezadowolenia Mordche wyszedł z szynku, w mózgu otworzyła mu się jakaś skryta śrubka, która zaczęła wiercić pytaniami, jednym od drugiego cięższem. Pytania te obsiadły go, jak uprzykrzone . uparte muchy, a wargi jego cicho szeptały przypowieść talmudyczną o czterech tanaitach, którzy wstąpili do Ogrójca Poznania. — — — — —
„— — —Czterej wtargnęli do Ogrójca Pardes: Ben-Azej, Ben-Zome, Acher i reb Akiwe. Ben-Azej zoczył Ogrójec i wyzionął ducha, Ben-Zome zoczył Ogrójec i postradał zmysły, Acher zoczył Ogrójec skruszyła się w nim wiara i został bluźniercą,

Ben-Akiba zoczył Ogrójec i wyszedł zeń nietknięty ani na ciele, ani na duchu — — —”

Przedwieczorem wehikuł natłoczony pasażerami ruszył ze wsi. Chasydzi byli rozochoceni, rozradowani, zapomnieli o swarach, kłótniach, wciąż śpiewali, spodziewając się przybyć — jak Bóg da — do Kocka o świcie.

Mordche kilkakrotnie wdawał się w rozmowę ze Szmuelem, lecz spostrzegłszy, iż nie odpowiada chętnie, iż trzeba go ciągnąć za język, usiadł na uboczu, przypuszczając, że Szmuel pewno nie chce mówić z obawy, aby ich nie podsłuchiowano.

Szmuel, siedząc pomiędzy chasydami, cytował, komentował różne ustępy i orzeczenia ze świętych ksiąg — „mówił Torę”

Wszyscy, nadstawiając uszy, łowili słowa jego ze skwapliwością i respektem. Mordchego zdumiewało zachowanie się Szmuela, nie rozumiał jego postępowania i w miarę myślenia o nim coraz dotkliwszy nurtował go smutek. Ogarnął wzrokiem przestrzenne, milczące pola, gęstwiny leśne, podobne zdaleka do czarnych mur. Słońce, ciekąc krwią, zachodziło w płomieniach które na chwilę zapaliły wierzchoły lasu. Widok ten rozniecił w nim jeszcze bardziej piekący ból. Reb Icie siedział z zamkniętymi oczami, nucąc sobie coś pod nosem. Płomienie powoli się stłily. Zmroczniało i zszarzało. Spiew chasydów się ściszył, wyserdeczniał, a z duszy Mordchego jakby coś pierzchało, ginęło wraz z zachodzącym słońcem. Spuścił głowę, ręce wsunął w rękawy i, zacisnąwszy wargi, poddał się trzęsieniu bryki.

Furman skręcił, wehikuł wjechał w łukowskie lasy i zaraz się ściemniło. Konie szły stępa, wlokąc się w piachach noga za nogą, zdaleka majaczyły jakieś kontury podobne do ludzi, którzy jakby wyszli z boru i stanęli na środku drogi.

Bosy Szmuel, który siedział przez cały czas w milczeniu na koźle, ozwał się pierwszy:

— Już czas na modlitwę „marew”.

Wehikuł stanął. Chasydzi zsiadli, oporzędzili się, otarli ręce o zroszony mech i, opasani bądźto chustkami, bądźto „gartlami”, weszli całą gromadą do lasu.

Jeden ze starszych chasydów stanął ku wschodowi, wsparł obydwie ręce o gałęziste drzewo, rozkiwał się i wzniesionym głosem rozpoczął modlitwę wieczorną — „marew”.

„— On miłosierny, odpuszcza winę i nie zatracą, a często odwraca gniew swój i nie pobudza całej zapalczywości swojej. Wiekuisty wspomóż! Król oby nas wysłuchał w dzień wołania naszego — —”

Gromada podchwyciła słowa modlitwy, dobywając głosu coraz bardziej donośnego i gromkiego. Po chwili okrzyki unosiły się wzwyż od szczytu do szczytu, odbijając się o wysokie sosny, jak o wyprężone struny, hucząc długo po lasach łukowskich, jakby zaplątały się wśród rozłożystych konarów starych drzew.

Nagle wyrósł jakiś chłop, zdjął czapkę i ze strachu zaczął się przeżegnawać. Aliści połapał się zrazu, że to żydzi się modlą— przyglądał się chwilę i, spokojny, jako że ludzie nieopodal modlą się do Pana Boga, krokiem pewnym wszedł do lasu.

Po modlitwie pasażerowie z powrotem wsiedli do wehikułu, konie znów się powlokły. Kilku chasydów rozłożyło się na tłumokach i wlepiło wzrok w rozgwieżdżone niebo, rozpięte nad gęstym lasem. Zdawało się, że bryka już nigdy nie wydobędzie się z tych pomroczy. Niektórzy zdrzemnęli się, inni zaś zbici w kupkę, oprószeni błyskami światła, które księżyc miotał, nie patrząc na las, tuląc się do siebie, w poczuciu bezradności i przerażenia wobec nocy, opowiadali sobie cudowne zdarzenia z żywota „cadyków”.

Bosy Sruel siedział na kozle w milczeniu — cknęło mu się na duszy. Niby brzęczenie dręczonych owadów, rozlegało się jego lekkie klaskanie rąk i cichy pośpiew—tak rzewny, bolesny i

tęskliwy, iż wszyscy na bryce zamilkli. Mordche poczuł, że prze-
latują po nim ciarki i jakby ktoś trysnął na jego ciało lodowatą
wodę, wstrząsł się zimnym dreszczem. Nagle bosy Sruel zaczął
rwać sobie włosy, szarpać swe kołtuniaste kudły, mrużyć skroś
zaciśniętych warg, jakby go ciężkie kurcze schwyliły i, splótszy
palce w węzeł, nastawił je, jak palmę sukosową, miotał ku
wschodowi, zachodowi, północy, południu, a z piersi wydierały
mu się nieludzkie krzyki i szlochy:

„ — — — HaWaJeH — beabe, ELoHajny — beime, Ha-
WaJeH — tifejres, ECHoD — bemałchys — — — ”.

„ — — — Czteroliterowa nazwa boża JHWH — o Ojco-
stwie, trójliterowa nazwa boża ELH — o Macierzyństwie, cztero-
literowa nazwa boża JHWH — o sferze Wspaniałości, Jedności
ECHD — o sferze Królestwa — — — ”.

Szlochanie jego tłukło się w uszach, a od jego lamentów
stężyła się cisza, wyolbrzymił strach, pogłębił mrok. Gromada
chasydów — struchlała. Mordche nagle uprzytomnił sobie, że
siedzi obok reb Iciego i naraz błękitny nieba w oczach mu się
rozjarzyły, gwiazdy powiększyły, rozpromieniły i słońce obok
siebie, jakby ktoś pełnemi garściami ich nasypał, chwiałały
się rozchybotane tak, że zdawały się rozsypywać i spadać
wszystkim na głowy.

Reb Icie ujął Mordchego za rękę i, wzniosłszy oczy do nieba,
chwilę milczał, poczem zapytał szeptem:

— Słyszysz ?

Mordche w olśnieniu rozszerzył oczy i, przylgnąwszy źre-
nicami do nieba, słyszał tysiąckrotne tony, tchnące ku niemu
migotnym szmerem. TONY sunęły ku niemu z lasu, z mroku, z
gwiazd. Czuł na sobie lekki dotyk dłoni reb Iciego i słyszał
szelst jego słów, muskających jak pióra:

„ — — — Poprzez istotną melodię człek mocen jest do-
siąć sfery prorocstwa, wieszczby. Albowiem w melodji ogniskują
się wszystkie więzy harmonii niebiańskiej. Istotny cadyk zespała

się w miłości z Panem Bogiem jedynie poprzez melodję———”.

Mordche nie słuchał go, przed oczyma jego gwiazdy płsały, skakały. ustawiając się w rzędy i układając w litery. Z prawej strony wyrósł ognisty wyraz „JHWH”, z lewej—, „ELH”.

„Ojciec” zgina się na troje, kurczy się w bolesnej tęsknocie ku „Macierzy”. I oto „Macierz” wybucha płaczem, że jest związana. Podnosi się wrzawa. Gwiazdy się rozsuwają, torując drogę. Śpiew bije w niebiosa — wtórzą mu mirjady gwiazd, wtórzy mu las. Śpiew spowija „Macierz”, jakoby szata jasności, rozrywa Jej troki i wiedzie Ją płasającą ku „Ojcu”. „Ojciec” zaś się sunie na spotkanie „Macierzy”. Obejmuje Ją i zespala się z Nią. Zrazu nastaje cisza. Skroś tej ciszy nadciągają mirjady tworów: i te, które bytują w niebie, i te, które żyją na ziemi — na suszy i we wodzie. Wszystkie twory otrząsają się, wznoszą niemą pieśń i — zespalają się w milczeniu.

Mordche obudził się z pierwszym brzaskiem. Oczy miał nabrzmiałe łzami, a twarz mu pałała od pocałunków Racheli. Z sercem przepelnionem goryczą jał zastanawiać się, dlaczego rodzice odrywają go od niej i wysyłają do Kocka. Lecz po chwili uprzytomnił sobie, że Rachela zwidziała mu się we śnie, z którego dopiero co się ocknął i, drżąc na całym ciełe, rzucił wzrokiem dokoła. Wehikuł stał na miejscu. Staruszek na drewnianym koszturze, z torbą na plecach włókł się zdrożony.

— Dzień dobry! Zabierzta żyda do miasta!

Gromada rozsuneła się i pomogła staruszkowi wdrapać się do bryki. Ktoś rzucił pytanie:

— Skąd jesteście? Z Kocka?

— Bezmała — staruszek się uśmiechał — Niby to rodem, tom-ci jest z Pragi, ino że w Kocku mieszkam czterdzieści z czemś roków.

— Ile lat liczycie sobie, dziadku? — Jakiś młodzieniec pociągnął go za rękaw.

— A mus ci wiedzieć, co? — starzec się obraził, lecz natychmiast zmiękł — po prawdzie mówiąc, sam też nie wiem akuratnie: gdym służył pod Berkiem pod Pragą miałem ci tedy szesnaście roczków, znaczy się, w kupę będzie... wnetek.. Mie-liśwa tedy roczek nasz, pięć tysięcy pięćset pięćdziesiąty, nu obliczta tera? — starzec uśmiechał się, wyszczerzając pozostałe dwa zęby, sterczące jak widły.

— Więc już blisko osiemdziesiątka?

— Żle-śta obrachowali, wujaszku — starzec wciąż się uśmiechał — już-em leciwszy.

— Pewno, pewno — Szmuel zauważył — ma już osiemdziesiątkę z okładem.

— Ot, młodzik trafił akuratnie — starzec skinął głową — na pierwszy dzień świąt Szewijes, w sam raz jak-em ukończył ośmdziesiątkę.

Konie wstąpiły na szosę i, pochwycawszy brykę, uniosły ją z dudnieniem. Wehikuł jęczał, trąc się o suche osi i skrzypiąc, aż zęby jęczały.

Mordche przyjrzał się staremu żydowi, który brał udział w bitwie pod Pragą i poczuł w głębi duszy jakieś więzy, łączące go z nim. Przynął się doń bliżej i w oszołomieniu nie wiedział od czego wszcząć z nim rozmowę. Niejednokrotnie sły-szał od swego ojca, iż ich krewniak Szloma ze Zbytkowa wy-płacał kozakom po srebrnym rublu za martwego żyda i po złotym dukacie za żywego.

— To wyście właśnie służyli pod Berkiem Joselewiczem — jakiś chasyd, cały czas rozwalony na tłumoczkach, zerwawszy się ze swego leża, przecierał oczy — to ten sam Berek, który pochowany jest pod Kockiem?

— Ano, ano — starzec wydobyl puszkę z kości rogowej, zażył dobrego niucha tabaki, i skrzywiwszy się, kichnął w brodę, poczem dał puszkę chasydom, aby zażywali „kolejką” — Właśnie ten sam, co to pod Kockiem, pod Berkiem Joselewiczem służyłem.

— A prawda to, że była tam rzeź, co? — Jakiś chasyd nasu-
nął swój aksamitny kaszkiet — Opowiadają wszak, że działały się
tam okropności... Mówią, że ponoś cały pułk żydowski został
tam wymordowany..

— Prawda to, prawda — starzec wskazał na swą kulę —
Ano tamuj postradałem nogę!

— Tak? Naprawdę? Aj, aj — kilku chasydów podziwiała
kosztur, który jakby teraz w oczach ich nabrał większego
znaczenia.

Starzec chwilę się zadumał i westchnął:

— Eh, siła lat, siła lat...

— I miarkujecie, że niby on, jak mu tam, Berek właśnie—
chasyd z nasuniętym kaszkietem znowu zapytał — był takim
wielkim wodzem? To musiał-ci mieć głowę na karku! Tęgi
rozum, co? Pi, pi, bagatela: taktyka wojenna! Ciężki to kawę-
łek nauki!

— Był wyrzutkiem Izraela — ktoś rzucił—znieważał sabat
jawnie i publicznie.

Tyś nie wart, abyś go na gębę brał — starzec zawrzał
gniewem. — A ktoś ty zacz, patrzcie no—to-ci „ważny cadyk“
Pogrzebaj tam we własnych grzechach!

— W sam Jom-Kipur bił się — inny chasyd rzucił podnie-
sionym głosem.

— Ano tak, bił się! — starzec oburzony do żywa podniósł
kosztur, jakby zamierzał się na chasyda — reb Majer Dwasz dał
dyspensę, stul pysk, jak nie wiesz!

— Tylko nie klócić się, nie klócić— Szmuel usiłował udo-
bruchać starca.

— Abo to kto z nas klótlivy, kto? — starzec krzyczał na
całe gardło — Ino nie lubię, jak człek gada, a ciemny jest,
jak tabaka w rogu.

Mordche wyjął flaszkę słodkiej wódki i podał ją staruszko-

wi. Starzec pociągnął duszkiem więcej, niż połowę butelki, rozgrzał się i ożywił.

— A po jakiemu to z wami rozmawiał—Berek ten — po żydowsku? — zapytał Mordche.

— Tyż-ci pytanie! Pewnikiem, że po żydowsku — starzec się uśmiechał—Pomnę go, jakby tera stał mi na oczach: miał-cię parę wąsów, nie jednego polaka zazdrość brała, wąsiska jego — mówię wam akuratnie — sięgały aż do ramion, a jak siedział sobie na tej białej szkapinie, to niby król jakiś.

— Byli też w pułku starsi żydzi?

— Starsi?—starzec, przymknąwszy jedno oko, zamyślił się chwilę, jakby nie rozumiał pytania — Nie sporo było starszych. Najwięcej to młodych. Ano pułk nasz niema się czego sromać, nie narobił sobie wstydu. Nawet ułany raz drapnęły, nie strzymały ognia kacapów, a my żydzi cały miesiąc leżeliśwa podle starego kirkutu w okopach i dali kacapowi prochu wachać — ani na krztynę nie dopuszczali do naszej pozycji, nawet w sam Jom-Kipur nie ostawili okopów. Reb Majer dał uroczystą dyspensę. Pomnę, jakby to tera, po modlitwie „Kol-Nidre” niebo się zagwieździło, nocka była jasna, gwiazdy leżały se jedne podle drugich, gęsto obsypane, jak ospa wietrzna, nikt z nas oka nie przymrużył. Siedzieliśwa kupkami przy małych ogniskach, gawędzili, odmawiali kawałki modlitwy i inne strofki żydowskie. Wiedzieliśwa, że nieprzyjaciel, rychło patrzeć, jak puści szturm do naszych okopów. Berek tyż był z nami, chodził od ogniska do ogniska, temu powie dobre słówko, z tamtym pożartuje, a gdzie się ukaże, zara tam wesołość i ochota! Abo wam tam wiadomo? Toć był to prawdziwy djament! Pokróćce mówiąc, znaczy się na czem to stanąłem? Ano, tak! Nieprzyjaciel — wymiar-kował sobie, że żydzi w Jom-kipur nie będą się bili i jak tylko zrobił się brzask, tak tr-rach, tr-rach na nasze okopy. Ano, co tu dużo gadać, dzieciątka moje! Powietrze gorzało, ogień ział i ział. Ino, że im tyż nie uszło tak na sucho. Odpłaciłiśwa

rzetelnie. Raz w raz, jak nieprzyjaciel puszczał się z lasu, to tak, jakby sam bór się na nas obruszył. Aż strach obłapiał. A jak kacapy podlażyły już bliźutko okopów, to-ci ich nasze harmaty tak przywitały, tak ścięły ich z nóg, jak kosą. Trwało to tak już dobrze na dzień. Berek biegł z jednego okopu do drugiego, trzy konie w ten ranek pod nim padły, a co raz, jak krzyknął: „pal” — harmaty huknęły, aż bębunki w uszach się trzęsły. Kacap posuwał się coraz bliżej. A tu — w drewnianych domkach żydowskich powstał-ci pożar, więc byliśwa wzięte w dwa ognie — i z przodu i z tyłu. Nie bacząc na to, trzymaliśwa się kupą i stali jak jeden mąż, aż do samego ostatka i nawet popóźniej, jak kacap już wdarł się w okopy, ani jeden z nas nie drapnął. Biliśwa się o każdą piędź ziemi, a krew się lała, jak woda. Bo weźta ino na rozum — dziesiątek kacapa na jednego żyda! Jak ta szarańcza, sypało się to z lasu, dopiero-ci tera Berek nakazał się cofnąć. Z caluńskiego pułku ostało się raptek kilka dziesiątków, ino że ani jeden z nas się nie poddał, a mnie tedy, jak-em tak uciekał, trafiła kula akurat w samą nogę.

— Podobno, że Szmul ze Zbitkowa — ktoś wszczął.

— A może wedle tego, czy-m znał Szmula ze Zbitkowa? Ha, ha, ha! Toć był to anioł! — starzec przerwał chasydowi zaczęte zdanie — Abo wam tam wiadomo? Jak kozaki weszły do Pragi, to wyprawiły taką rzeź, niech Pan Bóg broni i chroni! I jakby nie Szmul ze Zbitkowa, kto wie, abo to choć jeden żyd na Pradze ostał się żywcem? Wysłał-ci gońce reb Szmul ze Zbitkowa, ten sam właśnie, a te gońce rozgłosiły, że kuźden kozak za kuźdego martwego żyda dostanie srybrnego rubla, a za żywego złotego dukata. Pewnie, że poprzynosiły mu więcej żywych...

Starzec zamilkł, z nawyku pomacał kosztur, czy stoi przy nim, i westchnąwszy, spuścił głowę.

— A gdzie się Berek podział? — zapytał Szmuel — został w Polsce?

— A to byłby z niego kiep! — starzec się uśmiechnął — W ten sam dzień uszedł do inższego kraju. Abo wam tam wiadomo? Jakby ostał się w ten dzień na Pradze, toby go wnetek obwieszono! Nie bójta się, wszyściutko było obrachowane, co do włosa, pod całą sprawą — trza wam wiedzieć—stały wielkie pany, tęgie głowy!

— Przecież wrócił. Nu... Berek ten...—jakiś starszy chasyd przerwał staruszkowi.

— Za pozwoleniem, wujaszku — staruszek kiwnął nań ręką na znak, aby umilkł — nie łówta ryb przed niewodem! Co do tego właśnie chciałem wam opedzieć? Ano tak! Wpródzi nie było o nim, o Berku niby, słychu, jakby w wodę przepadł. Niezadługo potem ludzie gadali, że został — adjutantem Napoleona, że zawojował wiewa państw, zdobył wiewa krajów i nawet chrześcijany wierzyły, że nasz Berek pewnikiem odbierze napowrót Polskę. Tera, panowie, ostawmy w spokoju na moment

Berka i opowiem wam coś niecoś o mojej nodze. Posłuchajta co to za wypadki chodzą po świecie — przeleżałem tak w szpitalu już dobrze na zimę. Noga paskudziła się, paskudziła i nijaką miarą nie mogłem się wylizać. Pokróctce mówiąc, bo i poco się przed wami rozwodzić, odjęli mi nogę, aż po kostkę. Nie trza wam chyba opedzieć, żem wyszedł na chudzinę i kapcana, kaleka — bez grosza przy duszy, a tu — Pesach za pasem. Nie zostało mi nic inższego, jak wziąć torbę i pójść na dziady. Ino że mamy Pana Boga w niebiesiech, który „leje miodem przed wrzodem”. Akurat w ten sam dzień, jak-em miał wyjść ze szpitala, zjawia się jakiś nieznamy pan, pyta o mnie i daje mi sakiewkę: patrzę — dwieście złotych. Nim się połapałem, nim co, jak—pan ten znikł, przepadł — i już więcej po nim ni widu ni słychu. Po niejakiem czasie wywiedziałem się, że był-ci to magnat żydowski, że posłał dla kuźdego, kto ino pozostał żywy z pułku Berka, po jednako: dwieście złotych. Za tamtych czasów, moi panowie, była to kwota ładnusia, więc

zaczęli mnie swatać z dziewczyną w Kocku, z najmłodszą córką Szlamy - łąziennika. Co tu dużo gadać — ożeniłem się. Po ożenku, teść mój Symcha, mądry był to żyd, mówi do mnie: moja rada — zabierz się do balwierstwa! Jak się to inższemu oplaci, to i tobie pewnikiem! Troszkę postrzyżesz, troszkę krwi upuścisz i — Bóg da — nie frasuj sobie głowy, będziesz miał utrzymania aż po uszy. Za tamtych czasów, trza wam wiedzieć kuźden żyd raz na miesiąc w łaźni strzygł się i upuszczał sobie krwi. Cała ta uciecha kosztowała raptem trojaka, ha, ha, ha! Pokróctce mówiąc, bo widzę, że się rozgadałem przydługo... Ano — na czym to stałem? Niby, znaczy się, zostałem balwierzem, na początku zaharowałem się, zamordowałem, aby zarobić na chleb, potem spadły na mnie frasunki domowe, rodzinne, bo dzieci — nie daj wam Boże — nie chowały mi się... Co prawda, nie to wam chciałem opedzieć. Pokróctce mówiąc, bo to tak nie robi się odrazu, jak to się gada — raz w nocy posyłają po mnie aż z pod Łukowa, ze wsi. Arendarz rozniemógł się i ma życzenie, abym ino ja upuścił mu krwi! Za tamtych czasów była-to podróz, uj-cięzka! Kock, trza wam wiedzieć, przynależał do Austrjaków, a Łuków do kacapów: podróz taka to trąciła nastawieniem głowy. Ale-ć nic to! Myślę sobie: mnie, kaleki, nie zaczepią. Pokróctce mówiąc: upuściłem arendarzowi krwi, zara mu ulżyło. Ledwo wyjeżdżam ze wsi, patrzę, a tu idzie mi na spotkanie — Berek! Ani o ździebko się nie zmienił: te same wąsiska, ta sama blizna na czole, ino, że inszą czapkę nosił — futrzaną, z niedźwiedziej skóry. W te pędy, jak-em się nie zdrapał z wozu, jak-em nie stanął przed nim z koszturym u boku, cał-em się wyprostował „na bacność” i jak za dawnych dobrych czasów ręką zasalutowałem tak i owak, panie pułkowniku, jak potrza, wedle całego tytułu — — — Co tu dużo gadać? Nie uwierzyta! Obląpił mnie, uścisnął, w oczach miał lzy, wypytywał co robię, jak mi się wiedzie, wspomniał, jak to leżeliśwa w okopach. Nie puścił mnie odrazu, musiałem wypić z nim

sznapsa i mówię wam po sumieniu, niechby tedy rzeknął, że mnie potrzebuje, to rzuciłbym żonę, dzieci, a pozostał przy nim. Przed wyjazdem pedam-ci ja do niego:—panie pułkownika, ułany austriackie gnębią nas, ciemiężą. — Cierpliwości — odepdział —niezadługo odbierzewa z powrotem Polskę.—I ktoby się tu spodział, że czeka go taki marny koniec? Pokróćce mówiąc, jak tam było z nim w ostatniej chwili, to całkiem dokładnie nie wiem po dziś dzień. Pewnie że go złowili w pułapkę za kocki szlaban, a jak ino wszedł z kupką swych żołnierzy na rynek, wnetek spuścili szlaban i z przodu dali ognia. Uciekać, nie było gdzie zatem gołą szablą otwierał sobie drogę. Żydzi, kramarze, co, to byli wtedy akurat na rynku, opedzieli mi, że ścinał głowy jak głąby kapuściane. I jakby nie koń, co pod nim padł, pewnikiemby się uratował. Abo wam tam wiadomo? Na stojąco bronił się, nie wypuścił szabelki z ręki, aż jeden ułan podkradł się za nim z tyłu i żelaznym łomem trach go po głowie! A jak Berek broczył już w rzece krwi, ułany - huncwoty, „obliczyły się” z nim za wsze czasy: posiekły go na miazgę. Wnetek nadeszło wojsko polskie, wypędziło austriaków precz z Kocka i z wielką paradą, z honorami pochowało Berka przy samiuteńkim wjeździe do miasta. Ot i jesteśwa przecie u jego grobu!

Starsi chasydzi, którzy już nie poraz pierwszy jechali do Kocka, nie rzucili nawet okiem na grób, lecz spoglądali z uśmiechem na kalekę, mówiącego z taką czcią o tym—„wyrzutku Izraela”. Młodszy zaś, zasłuchani z roztwartymi ustami, wybałuszili oczy.

Przy drodze, skręcającej do miasta wznosił się pagórek, zarośnięty wysoką trawą. Na środku pagórka odcinała się krzywa jabłoń. Dokoła panowała cisza, rozedrgana jeno szmerem Wieprza, który — tutaj najszerszy — lasił się do łąk, pluskał i szemrał, jakby opowiadał bohaterskie czyny Berka.

Z ubocznej dróżki wytoczył się wóz, napełniony chasydami. Wyminąwszy wehikuł, podjechał pod pagórek i przystanął.

Bosy Srueł wśród jazdy zeskoczył z kozła. Kilku chasydów

z tłumoczkami na plecach poszło za jego przykładem. Mordche się rozejrzał dokoła i, nie rozumiejąc, co zaszło, kazał furmanowi przystanąć.

Chasydzi, ustawivszy się dokoła grobu, zaczęli hałasować, krzyczeć, czynić bezeceństwa, potem wszyscy naraz się rozkiwali jak podczas modlitwy na poświęcenie nowiu i rozkrzyczeli wrzaskliwie:

„ — — — Siakec tesiakcenyj, wesaew tesawenyj, ki chaj rem hyj! — „Brzydzić się tem będziesz, a pogardzać niem, bo przekłete to — — —”.

Mordche dygocąc na całym ciele, szarpnął za rękaw reb Iciego, który siedział z zamkniętymi oczyma, blady, jak chusta:

— Rebe, odpędź ich stamtąd, bo jeszcze któremuś łeb rozłupię, jak-em żyd!

— „Biada oczom, które to widzą” — jęknął reb Icie zbolały.

Tymczasem starzec zdrapał się z bryki, podniósł kamień i cisnął go wprost w głowę Sruela. Wszczął się popłoch, harmider—chasydzi rozsypali się na różne strony, nie miarkując się, skąd kamień spadł.

— Kacapy by nawet tego nie zrobiły! — starzec włókł się ku wzgórz, sycząc zdławionym głosem. — Jakże ważą się na to żydzi, na dodatek chasydzi, co to jadą do „cadyka”, jakże to mają sumienie „znieważyc nieboszczyka”. Obyśta się spaliły w popiół! Obyśta nie doczekały wejść do miasta! Bodajby was Pan Bóg skarał! Bodajby — — — we krwi — — —!

— Czego on chce, ten kaleka? — ktoś się odezwał — chłopcy, zabierzcie mu kulę, zostawcie go na grobie Berka — tego „wielkiego cadyka” „pokoślawionej pamięci” i niech tam szczeka!

Starzec podniósł kosztur i zamierzył się, jakby w obawie żeby mu nie odebrano grobu. Stojąc wyprostowany, jak wierny żołnierz, ryczał:

— Ano, sprobójta, sprobójta! Wyrzutki Izraela! Co wy sobie myślitę, na świecie to już tak, jak kto chce, już taka samowola nastęła? Niech się ino kto zbliży, a trupem położy!

Jakiś młodzieniec zaczął się podkradać ku wzgórzu, aby wyrwać mu z ręki kosztur. Widząc to, reb Icie zeskoczył z bryki, podbiegł doń i, schwyciwszy go za rękę, spojrzęł mu wprost w oczy, przyczem cały zbladł, trzęsł się, a z oburzenia słowa mu w gardle więzły:

— Co chcesz uczynić? Wstydzilbyś się! — — — Prawdziwy chasyd powinien miłować grzesznego — — — miłować — — — Człęk bowiem, jakkolwiek byłby skalany grzechami, jest przecięż częstkę oblicza Bożęgo, na którego podobieństwo został stworzony. — — — Sruel myśli pewnie, że ujął się za krzywdę Pana Boga, więc mówię ci — reb Icie prawie krzyczał — to, co przed chwilę uczynił, było plugastwem, szkaradzieństwem i nie tylko sam popełnił grzech, jeszcze innych doprowadził do grzechu. Czemże tedy jest lepszy od Jerobeama?

Bosy Sruel, stojący wśród tłumu, przewięzał sobie sznury na nagiem ciele, na którym znaczyły się krwawe pręgi i, nie słyszęc słów reb Iciego, miotał przekleństwa i mówił jakby do siebie:

„ — — — Brzydzić się tem będziesz, a pogardzać niem, bo przekłęte to! — — — ”

„ — — — Brzydzić się tem będziesz, a pogardzać niem, bo przekłęte to! — — — ”

Nagle przed Mordchem wyrósł Szmuel, który z dziwnym uśmiechem na twarzy, jakby był zadowolony z całego zajścia, rzekł cicho, ot—jakby od niechcienia.

— Jak ci się podoba bosy Sruel? Słyszęłes tę litanię przekleństw i złorzeczeń? Ludzie twierdzą o nim, że jest „mężem bożym”, służy Wszechmocnemu duszą i ciałem, co zaś do reb Iciego, o tem się już nie mówi, wszak jest on prawdziwym cadykiem — każdy to widzi na własne oczy. Powstaje zatem

pytanie, któż z nich obu ma rację, komu z nich należy tę rację przyznać? Nic przez to nie myślę, ot, powiedziałem tak sobie, strzeliła mi do głowy taka myśl — Szmuel wciąż uśmiechał się nie spuszczać oka z Mordchego.

Mordche nic nie odpowiedział, uśmiech Szmuela drażnił go nie do zniesienia, niecąc w nim odrazę. Mordche odwrócił się, poczuł jednak, że słowa Szmuela zmąciły mu spokój ducha — w istocie bowiem: któż z nich obu ma rację? Wszak wzajemnie zaprzeczają sobie, stanowią dwa przeciwieństwa

Chasydzi, przerażeni gromkimi przekleństwami bosego Sruela i zmieszani cichym szeptem reb Iciego, wsiedli z powrotem do wehikułów i, wzajemnie wstydząc się siebie — ruszyli do miasta.

Mordche nie wsiadł do bryki, powiedział reb Iciemiu, że dojdzie do miasta piechotą. Zbolały, znieważony, jakgdyby mu skalano największą świętość w życiu, stanął pod drzewem i, pograżony w zadumaniu, wlepił wzrok w starca, w oczekiwaniu — co on uczyni.

Starzec stał chwilę z koszturą w rękę, szeptał coś wargami w stronę odjeżdżających chasydów, jakby zasyłał za nimi przekleństwo i powoli dreptał na dół ku grobowi.

Mordche podążył za nim w milczeniu, a gdy ujrzał starca, który, siedząc przy grobie, zalewał się łzami, serce mu się ścisnęło z bólu. Ze schyloną głową stanął przy nim i ocierał sobie żrenice.

Starzec, spostrzegłszy Mordchego, nie odezwał się ani słówkiem, jeno utkwiał w nim swe załzawione oczy, poczuł, że istnieje sprawiedliwość na świecie i ulżyło mu na sercu.

Ranek już na dzień sięgł klaniał, Słońce dogrzewając, śmigało w oczy bryzgami światła, stroiło igraszki nad głowami młodych i starych — to też piersi falowały rzeźko, oddychały lżej, troska i żalność na chwilę pierzchły i, jakby siłą czarów starość przedzierzgała się w młodość.

Mordche pomógł staruszkowi podnieść się i obydwaj, niby

dziadek z wnuczkim, niby dwaj towarzysze, stąpali obok siebie i razem weszli do Kocka.

ROZDZIAŁ II.

Reb Mendele „kocki“.

Nazajutrz Mordche przesiedział cały ranek w beth-hamidraszu „cadyka”. Niezmiernie go dziwiło, dlaczego chasydzi — pomimo późnej pory — jeszcze nie zebrali się dla odmówienia modlitwy porannej. Już było po dwunastej. Po pustym beth-hamidraszu kilku chasydów — obdartusów chodziło w pojedynkę, jakby zgoła nie znali się ze sobą i, zatopieni w medytacji, wykonywali gwałtowne ruchy i stroili dziwaczne miny, wymachując rękoma, ściskając ramionami i łypiąc oczyma. Mordche zatrzymał jednego z nich i spytał:

— Kiedy rozpocznie się modlitwa?

Chasyd z nawyku nadstawił ucha, lecz usłyszawszy pytanie, zawrzał gniewem, dlaczego przerwano mu rozmyślanie i ofuknął go:

— W Kocku nie modlą się wcale!

Mordche w zdumieniu przez chwilę ścigał go wzrokiem, potem zbliżył się do otwartego okna, wychodzącego na dwór. „Dwór“ czernił się od chmary chasydów, którzy częścią rozsiadłszy się na klocach, na kamieniach, częścią zaś rozłożywszy się na trawie, jedli popołu z rozwartych tobołków, tłumoczków i gawędzili ze sobą w nastroju swojskim. Stary żyd krążył wśród ciżby z koszem placków, większym odeń, wykrzykując na całe gardło werset z Hagady Pesachowej: „kto głodny — niech przyjdzie i pożywa” Tłum rozłapywał placki, niczem „wodę macową”. Był to Mojsiele chasyd, którego zatrudnienie polegało na tem, że co rano zbierał u piekarzy pełny kosz placków i rozdawał je przybyłym rzeszom chasydów.

Na uboczu, naprzeciw domu „cadyka” siedzieli żydzi wiejscy

w ciężkich kapotach — starsze żydówki z córkami — młode mężatki — matki z choremi dziećmi — kalecy. Cały ten lud przyjechał tu, przywędrował ze wszystkich krańców Polski — każdy ze swoim brzemieniem, ze swoim frasunkiem, ze swoją niedolą. Pielgrzymowali na „dwór” z żarliwą nadzieją, iż „cadyk” wspomůže. I choć wieczieli, iż reb Mendele od długich lat już nie przyjmuje „kwitków”, pątnikowali jednak z całej Polski, tarzali się całymi dniami pod oknem „cadyka”, wierząc, iż jedno „jego” wejrzenie może ich wspomóc, uleczyć, obdarzyć zmiłowaniem bożem. Zczerniali, pochmurni, siedzieli zbici w kupę ze zwieszonemi głowami, niby chorzy w poczekalni doktora. Wysłuchiwali wzajemnie swych utrapień i cierpień, wzdychali ze współczucia i udzielali sobie rad.

Mordche naraz usłyszał szczekanie i wstrząsł nim zimny dreszcz. Jakaś młoda dziewczyna z pośród grupy chorych, starawszy na czworakach z zadartą głową i wylupiastemi oczami, zaczęła szczeekać, jak pies. Tłum cofnął się i przytulony do siebie bezradnie, jak w obliczu nieszczęścia, łypał obrzękłemi oczami i, miotał na wszystkie strony swe tępe, zczerniałe twarze, na które padł błądy strach — budzący litość. Dziewczyna, jakby rada temu, że tłum się odsunął, rozpięła kaftan, wyżej zadarła głowę i zaskowytała na podobieństwo psa, który, gdy wywęszy gdzieś ogień, staje na tylnych nogach i, stuliwszy ogon, zawyje jak gwizdzący z daleka wiatr.

Chasydzi zerwali się ze swych miejsc i obstąpili chorą.

— Przecież to „dybuk”, zmiłuj się Boże, oblejcie ją wodą rytualną, wodą, którą się oplukuje paznokcie! — jakiś chasyd poradził.

— Żydzi kochani, nie ruszajcie mego dziecka! — stara, zapłakana matka obiała córkę i całowała ją po twarzy — Łajesi, zlituj się nad swoją starą matką, toć spalę się ze wstydu! Cały świat na nas patrzy, nu, uspokój się, dziecino moja!

Tymczasem jakiś chasyd przyniósł z beth-hamidraszu kwat-

tę z wodą, służącą do oplukiwania paznokci i oblał dziewczynę. Chora pisnęła i oszołomiona przestała szczeekać. Zmoczone upadła na piasek bez tchu i tylko nogi jej podrygiwały.

Matka zaczęła cucić swą córkę, rwała ją za włosy, za nos, lecz nie mogąc jej docucić, wskoczyła z ziemi i, załamując ręce, darła się lamentującym krzykiem, jakim się oplakuje zmarłego:

— Coście uczynili z moją córką? Oddajcie mi moją córkę!

Nagle podbiegła pod okno „cadyka” i, bijąc w mur obiema rękoma, aż szyby drżały, zanosila błagania wśród lamentów i szlochów.

— Rebesi, świętobliwy rebe, zlituj się nad biedną matką! Toć ona u mnie jedyna! Toć ona u mnie oczkiem w głowie! z dziesięciorga pozostała mi jedynaczka wyplakana! Rebe!

Gdy kobiecina stała pod oknem „cadyka”, na „dworze” zaległa taka cisza, iż słychać było podrygiwanie nóg dziewczyny. Wszyscy nastroszyli uszy, rozdziawili usta, pewni, że „cadyk” nakaze przynieść do siebie chorą.

„Cadyk” mały, siwy, z twarzą zanurzoną w gęstwinie włosów, tak, że była całkiem niewidoczna, stał w oknie z zaciśniętymi pięściami i krzyczał do tłumu:

— Osły, bydłęta! Precz, precz z moich oczu! Nie jestem doktorem! Chciałem być lekarzem ludzi, a uczyniliście ze mnie konowała! Czegoż więc chcecie teraz?

Tłum struchlały ze słów „cadyka” zapomniał o chorej dziewczynie. Dziewczyna tymczasem ocknęła się i, stanawszy znowu na czworakach, jakby naprzekór, wybuchła psiem wyciem na przeciw twarzy „cadyka”, wyciem tak żalosem, że po wszystkich przebiegły ciarki.

Mordche obejmował wzrokiem wykrzywione, omroczone twarze, błagające o litość każdego przechodzącego mimo nich chasyda, wychudzone dzieci, czołgające się koło swych biednych matek, kaleki z nabrzmiałymi, pałającymi oczyma, które patrzyły

na tłum chasydów z rezygnacją i jakby się drażniły: ot, szczeniaka na „cadyka“, szczeniaka na „cadyka“!..

Mordche stał z nawpół przymkniętymi oczyma i wierzył, że zaraz ktoś się ukaże. W źrenicach mgliła mu się jakaś postać, świetlista postać, sunąca wśród tłumu, lotna, jak wiatr, dotykająca każdego swemi blademi palcami, którymi rozrywa to kłębowisko — mąk i niedoli.

Na środku podwórza jakaś kobieta zdarła z siebie aksamitny kaftanik i nawpół naga rzuciła się na piasek, rozdziawiła spienione usta, z których poczęły się wić kłęby śmiechu, niby chichot starego żyda. Po chwili rozległ się jeszcze jeden śmiech drugi, trzeci—śmiechy co raz głośniejsze, straszliwsze, bezwstydniejsze. I wyglądało tak, jakby wśród tłumu stali starzy żydzi z długimi brodami i, trzymając się za brzuchy, parskali śmiechem. Przed oczyma wirowały kręgi śmiechu, które zczepiając się w łańcuchy, splatając się i mieszając ze szczeniakiem, odhukiwały rozpasanym wizgiem. Wszystko to razem zaś podobne było do sabatu czarownic, jakby zgromadzonych pod oknem „kockiego“ aby dzikim jazgotem rzucić nań trwogę i popłoch.

Z pośród tłumu wystąpił reb Icie i, zbliżywszy się do chorej, położył rękę na jej głowie:

— Jak ci na imię?

— Łaje!—dziewczyna odparła, poszczekując po psiemu.

— A co ci jest, Łaje!—zapytał reb Icie.

— Siedzi coś tu—dziewczyna wskazała na serce i rozplakała się głośno.

— Nu, nie płacz, córuniu—reb Icie ujął ją za rękę: i uspokajał—wstań, o, tak! Bóg ci pomoże, będziesz zdrowa.

Chora dziewczyna zaczęła się uśmiechać, potem śmiać, chichotać i, pochwywszy reb Iciego w swe objęcia, krzyczała mu w twarz:

— Mój narzeczony! Mój narzeczony!

Reb Icie nie wyrwał się z jej uścisku, lecz stojąc tak w

objęciach dziewczyny, ogarnął ją wejrzeniem swych cierpiących oczu, jak ojciec—chorą córkę, i uciszał:

— Nu, uspokój się, Łaje! Jestem twoim narzeczonym! Jestem twoim narzeczonym!

— Warjatka! — stara matka oderwała ją od reb Iciego — Czy ty już wstydu w oczach nie masz?

Chora potoczyła wzrokiem dokoła i, jakby dopiero w tej chwili ujrzała tłum chasydów, nagle uprzytomniła sobie swój postępek. Zmieszana, ze spuszczonei oczyma, przytuliła się do starej matki.

— Przestała czekać—ktoś ozwał się z ciżby.

— „Dybuk“ nie ma władzy w obecności cadyków! Przepada wtedy ten „przeklętnik“!

— Gdzie reb Icie?

— Przecież stoi tu!

— Gdzie?

— Reb Icie to prawdziwy „cadyk pokolenia“! — wykrzyknął bosy Sruel.

— Patrzcie, reb Mendele jeszcze stoi w oknie! — Ktoś wskazał palcem.

Reb Mendele cały czas stał w oknie ze wzrokiem utkwionym w reb Iciem, a jego nasrożone czoło i pobródźzona twarz rozpromieniały się świetliście.

Reb Icie zaprowadził chorą dziewczynę do sterty belek, spiętrzonych na podwórzu i, usadowiwszy ją tam, począł ułagadzać i uspokajać. Nagle spostrzegł „cadyka“ w oknie, utopione w sobie oczy — zawstydził się i, zostawiwszy chorą dziewczynę samą, skierował się wzdłuż belek.

Wszedł do beth-hamidraszu i, przygryzając bródkę, szybkim krokiem prawie przebiegał salę kilkakrotnie tam i z powrotem. Nagle zatrzymał się, zdjął gwałtownie z półki księgę i, wsparty nogą o ławkę, wertował stronice, podśpiewując sobie melodję

chasydzką. Po chwili jednak wstawił księgę z powrotem do półki i znowu jął chodzić po beth-hamidraszu.

Naprzeciw niego nadszedł Mordche. Reb Icie zmierzył go wzrokiem, jak nieznanomego i, choć wlepił weń oczy, zdawał się wcale go nie widzieć. Mordche zmieszany już chciał się odwrócić, lecz nagle reb Icie go objął:

— Nu, Mordche, czyś już śniadał?

Mordche skinął głową, choć od wczoraj przedwieczorem jeszcze nic w ustach nie miał.

— To zajdziemy do „cadyka“ — reb Icie wziął Mordchego pod pachę i wyszedł z nim z beth-hamidraszu.

— Szames „cadyka“, starszy żyd z długimi, ciężkimi pejsami przeszedł obok nich szybkim krokiem. Jego długie pejsy rozwiały się, niby rozpostarte skrzydła bociana. Reb Icie zatrzymał go.

— Oh—wykrzyknął szames, chciał wyciągnąć rękę na powitanie, lecz wtem przypomniał sobie, że w palcach trzyma niucha tabaki, więc wepchnął go w nos i, skrzywiwszy się, wytarł ręce o repsową kapotę—dzień dobry, reb Icie!

— Jak się rebe miewa?

— Słabowito, reb Icie, słabowito! — szames westchnął — od wczoraj jeszcze nic do ust nie brał.

— Czy można teraz wejść do niego?

— Wejść to można—szames się jąkał — tylko że jak teraz wejdziecie, to już całkiem jeść nie będzie. Wejdźcie tedy, za przeproszeniem, wprzódy do reb Duwidł, a gdy rebe skończy posiłek, natychmiast wezwę was, dobrze?

— Dobrze, dobrze, doskonale!—reb Icie tarł rękę o rękę i skierował się z Mordchem do reb Duwidł, najstarszego syna „cadyka“ reb Mendele.

Reb Duwidł, piękny mężczyzna lat czterdziestu, o pełnych, lekko rumianych policzkach, o kędzierzawych pejsach, giętki

jak sprężyna, odstawił szklanę herbaty, którą trzymał w ręku, podniósł się z krzesła na powitanie gości. Miał na sobie jedwabny szlafrok, na nogach — perskie, miękkie pantofle. Podając reb Iciem rękę przy pozdrowieniu — „szulem“, zapytał o Mordchego:

— A któż to za jeden — młodzieniec ten? Jakaś znajoma skądciś twarz...

— To syn reb Awruma „pisarza“.

— Tak! Podobny do ojca, jak dwie krople wody — reb Duwidł wsunął Mordchemu miękką i ciepłą rączkę. Nie wyjmując jej odrazu, zaprowadził go do stołu i wskazał na krzesło — Siądź! Zdaje się, jednak, co? A jak ojciec się miewa?

Mordche się zmieszał i, nim zdążył coś odpowiedzieć, reb Duwidł już prowadził z reb Iciem ożywioną rozmowę.

Reb Duwidł uchodził za człowieka chorego — cierpiał na nogi, miał kamienie żółciowe i obawiał się astmy. Co rok jeździł za granicę do badów, lecz wracał wciąż ze zdrowiem jeszcze bardziej nadwątlonem, niż przed wyjazdem, raz po raz przywożąc ze sobą jakąś nową chorobę, o której nikt nigdy nie słyszał i z którą obnosił się, jak z perłą urjańską. Opowiadając o swoich dolegliwościach, niezmiernie się ożywiał, lubił chorobami swemi napędzać ludziom strachu i pragnął, aby wszyscy okazywali mu litość i żal. Ilekroć na „dworze“ wynikały jakieś swary, klótnie, zawsze groził, że ot, zaraz pójdzie poddać się „operacji“. Cały „dwór“ żył chorobami Duwidł. Żona jego po całych dniach rozmyślała nad przyrządzeniem potraw dla podtrzymania jego słabego serca, dzieci stąpały w pokojach na palcach, nie wymawiając — broń Boże! — głośnego słowa, nie czyniąc najłżejszego szmeru, jakby przebywały w szpitalu, i wiecznie pamiętały, że tatuś jest chory. Reb Duwidł nie poświęcał się nazbyt nauce bożej, natomiast grzebał się codzień w swej aptece, krzątał się koło półek, na których ustawione były setki słoików, flaszek,

najrozmaitszych leków, trzy razy na tydzień grał w szachy, a gdy nadchodziła do Kocka „Gazeta Codzienna“, Szloma — lekarz przynosił ją i odczytywał przed nim, co słyhać na świecie. Przed reb Duwidł nie ukrywała się najdrobniejsza płoteczka, najmniejsza intryżka, tycząca się „dworu“, bacznie pilnował, aby nikogo nie dopuszczono do ojca i rządził we „dworze“ silną ręką.

Duwidł zwrócił się do żony, która, siedząc przy otwartym oknie w głębokim pluszowym fotelu, piła herbatę:

— Surele, wiesz kto to jest? Przecież to syn Dwojrele, ten jedynak!

Surele odziana w czarną, jedwabną suknię, w czarną chustkę do połowy czoła podniosła się zdumiona wraz z fotelem, jakby z zamiarem przysunięcia się bliżej do Mordchego, lecz wnet opadła z powrotem na fotel:

— Bez uroku, chwacki chłopiec! Wiesz, Duwidł, on jest jedynych lat z naszą Rywkele!

Rywkele, która, siedząc nieco schylona za stołem, haftowała na czarnym jedwabiu srebrnymi i złotymi nićmi, zwisającymi długim pasmem dokoła jej szyji, otworzyła parę świetlistych, niewinnych oczu, tak często napotykanych u córek rabinów, zerknęła z ukosa na Mordchego, niżej spuściła głowę nad robótką, przyczem jeszcze wyraźniej zarysowała się jej cieńka szyja, bieląca się pomiędzy pasmami nici i smugami włosów.

Surele, odstawwszy przeźroczą szklankę herbaty, błyszczącą, niby szklanka wina, na czarny, ośmiokańcisty stolik, zwróciła się do córki:

— Rywkele, przynieś tort z winem!

Rywkele wstała z krzesła — śmigła i gibka, jak młoda krzewina. Mordche odprowadził ją wzrokiem, widział ją znikającą w drugim pokoju, widział biały skraj jej halki, wyglądający z pod sukienki i odbijający się swą bielą na czarnej, jedwabnej pończosze — i nagle poczuł, że jest mu tak dobrze, jakby powiał

chłodny wietrzyk w upalny dzień, gdy skwar jest już nie do zniesienia.

W drugim oknie siedziała młoda kobieta w kapeluszu, w białych, długich rękawiczkach—wargi jej nerwowo drgały, jakby coś szeptała do siebie. Mordche zauważył, iż kobieta owa cały czas nie rzuciła nawet na nich okiem, lecz siedząc nad książką, stroiła miny, jakgdyby znajdowała się sama w komnacie. Spojrzał na jej bladą, podłużną twarz i przyszło mu na myśl, że tak powinna była wyglądać w młodości—Surele. Domyślił się zrazu, że to starsza, zamężna córka Duwidł. O mężu jej reb Danijelu Eibeschetzu bardzo wiele słyszał.

Kobieta w czepku wniosła srebrną tacę z pieczywem, kossyk z winem, opleciony srebrnym sznurkiem—postawiła wszystko na stole i oddaliła się na palcach.

Rywkele, wróciwszy do pokoju, postawiła na stole kilka szklanek i, po chwili, jakby nie wiedząc co z sobą począć usiadła przy matce na oknie, Uchyliła tiulowych firanek, opadających faliście nad podłogą, wyjrzała do gęstego sadu, zerwała liść, rozgryzła go, potem szepnąwszy coś matce do ucha, uśmiechała się niewinnie.

Reb Duwidł nalał wina do szklanek, wypił „lechaim” i wskazał na tacę z pieczywem:

— Zakaściel

Po pierwszej szklance oczy reb Duwidł zaszyły mgłą. Zakaścił kawałkiem tortu i, przysunąwszy się do reb Iciego, wszczął z nim rozmowę szeptem.

Mordche się rozejrzał dokoła, toczył wzrokiem po ciężkich meblach, gdzieś tam popękanych ze starości, jakby przekazane były w spuściznie od dziada pradziada — po podłodze, zasłanej perskimi dywanami, na których szmery kroków wsiąkały w mięksiz, a niespokojne tik-tak rzeźbionego zegara, stojącego w kącie, oddzwieczało tępo, jakby zegar też był spowity w kobierzec. Skroś tiulowych firanek zaglądały gałęzie, splecione, jak robótka

filigranowa, gałęzie, umajone liśćmi, które wraz z nieuchwytnym drzeniem przynosiły daleki, cichy szelest, co usypiał. Staroświeckie, matowe srebro w serwantkach i na stolikach, miękkie dywany, dama w białych, jedwabnych rękawiczkach, siedząca, jak ulana i poruszająca wargami — wszystko to było jakies oniemiale, umilkłe, jakgdyby z respektu przed wiekami starych, gdzieniegdzie popękanych mebli.

Surele wsunęła się w głąb fotelu i, oparłszy nogi na małym, wysłanym podnóżku, zwróciła się z godnością do Mordchego:

— Do kogoś zajechał?

Mordche nie zrozumiał od razu pytania, zmieszany wstał ze swego miejsca i, przesiadłszy na krzesło, obok Surele, wznosił na nią zakłopotany wzrok, lecz natychmiast spostrzegł się, że zrobił głupstwo i, zapłonawszy ze wstydu, cicho odpowiedział:

— Do reb Josła.

— Zupełnie wyszło mi z pamięci — Surele skinęła ręką, jakby sobie coś przypomniła — reb Josel to przecież wasz krewniak.

— Tak! — Mordche kiwnął głową.

— Reb Josel to wypchany worek, bogacz, jakich mało — Surele mrużyła oczy i potrząsała głową, jakby dla nadania swym słowom większego znaczenia — owszem, dobroczyńca, filantrop: co do tego nie można mu nic wyrzucić, rozdaje jałmużnę, łoży na to i owo, a zawsze pełną garścią! Jednak wyrządził ciężką krzywdę! Wszak jesteśmy między swoimi, przecież nikt nas nie słyszy. Nie powinien był zadzierać z dziećmi i pobrać się na starość z młodą dziewczyną! Z niego już stary grzyb, przeszło sześćdziesiątka, a ona? Z pewnością nie ma więcej, jak dwadzieścia trzy, cztery lata!

— Jej ojciec też był przeciwny małżeństwu — odezwał się Mordche — lecz nie miał innego wyjścia. Cukrownia zrujnowała go ze szczętem i, gdyby reb Josel nie dał mu owych trzydziestu

tysięcy złotych, cukrownię już dawnoby wystawiono na licytację.

— Ach, tak? W takim razie, to zupełnie co innego! Znaczą się, kupił ją! — Surele rozciągała słowa, jakby się jej teraz wszystko rozjaśniło.

— Mówią, że jest bardzo wykształcona—zauważyła Rywkele.

— A jeśli się jest wykształconą, to już nie należy nosić peruki, to już trzeba chodzić we własnych włosach i włączyć się z gojami?—Surele mówiła z oburzeniem.

— Co prawda, gdyby mi nawet dano złote góry, tobym też nie wzięła takiego starego męża — Rywkele roześmiała się i zapłonila ze wstydu.

— Patrzcie-no, patrzcie, jak to się rozgadało — matka gładziła ją po głowie i dla zwrócenia rozmowy na inny temat, rzekła do Mordchego— A jak się mamusia miewa, wszak zawsze była chorowita?

Mordche nie wiedział, co odpowiedzieć, nieustannie dziękował, spoglądał na Rywkele, która, siedząc na oknie, zrywała dłońią liście jeden za drugim i rozgryzała je zębami. A gdy wreszcie wybierał się coś powiedzieć, nikt się już jego słowom nie przysłuchiwał.

Surele zwróciła się do córki:

— Ja z jego mamusią jesteśmy rówieśnikami, razem wzrastałyśmy, byłyśmy przyjaciółkami od dzieciństwa..

Rywkele, podniósłszy oczy na Mordchego, patrzyła nań śmieiej, jakby to, iż ich matki były przyjaciółkami, zbliżyło ją do niego. Mordche zamyślił się i niechętno słyszał, jak reb Duwidł w rozmowie z reb Iciem mówi o swoim ojcu, o kockim „cadyku” tak zwyczajnie, z taką powszednością, że pełen zdumienia nastawił ucha, aby się lepiej przysłuchiwać. Wtem nadszedł szames.

— Reb Icie, już możecie wejść!

Reb Icie wstał z krzesła i kiwnął ręką na Mordchego, aby z nim poszedł.

— Poco go potrzebujesz? — reb Duwidł zatrzymał reb Iciego—niech tu zostanie!

— Nu — zwrócił się reb Icie do Mordchego i wzruszył ramionami—jak chcesz?...

Mordche w zakłopotaniu patrzył to na reb Duwidł, to na reb Iciego, bijąc się z myślami i nie wiedząc, jak zadecydować. Wreszcie z dziwnym uśmiechem na wargach zwrócił się do reb Duwidł tonem, nabrzmiałym błaganiem i wdzięcznością:

— Pójdę z reb Iciem.

— Jeśli chcesz...—reb Duwidł zatrzymał się na progu drugiego pokoju, do którego wchodził — Nie bądź gościem u nas, słyszysz?

— Zajdź do nas dzisiaj na kolację — zaprosiła go Surele.

Mordche się pożegnał, był szczęśliwy i nie rozumiał dlaczego w domu reb Duwidł tak się nim zainteresowano. Odchodząc, nagle poczuł, że rodzina reb Duwidł, dom jego stają mu się bliskie. Nie mógł jedynie pojąć tej obojętności i powszedniości w stosunku do „cadyka”, z którym przebywa się pod jednym dachem.

Szames przeprowadził ich przez kilka pokoiów, a gdy znaleźli się w komnacie pełnej świętych ksiąg, kazał im zaczekać, a sam, postąpiwszy na palcach ku drzwiom, wiodącym do komnaty „cadyka”, przystanął i nadśluchiwał, jakby po raz pierwszy amierza tam wejść. Chciał właśnie spytać się, czy „cadyk” przyjmie gości.

Mordche zdumiewał się nad czcią szamesa dla „cadyka”, z którym obcuje już przeszło trzydzieści lat, wobec czego jeszcze bardziej dziwnym i zagadkowym wydawał mu się stosunek reb Duwidł do swego ojca, sposób mówienia o nim tak, jakby „między innymi”, od ręki, niby o jakimś przeżytku.

Już trzynaście lat, jak reb Mendele nie przypuszczał do siebie chasydów, przebywał w oddzielnej komnacie, rzadko kiedy przyjmował pozdrowienia—„szulem” i nikt prócz krewnych nie

miał do niego wstępu. Na początku wielu chasydów przestało jeździć do Kocka, pozostali na dworze jeno rezonerzy chasydscy, głowacze, mózgowcy. Ci kontentowali się tem, że reb Mendele przebywa tuż za ścianą. Obdarci, obrośnięci, strzegli i podtrzymywali dogasający ogień polskiego chasydyzmu.

„Dworscy“ bali się, aby „cadyk“ nauką swoją nie przepędził pozostałej rzeszy chasydów, to też strzegli samego „cadyka“, również baczyli, aby nie dopuszczano przed jego oblicze większej gromady wiernych. Brać chasydzka zaś, która opuściła Kock, tułała się u obcych „stołów“, odbywała pokutę. A że nie mogła pokroić łaknienia i głodu „prawdziwego słowa“, więc wracała pojedynkiem do Kocka. Raz nawet w przystępie gwałtownego gniewu, iż nie dopuszcza się ich do „cadyka“, rozegnali szamesów, wylamali drzwi i chcieli oswobodzić „cadyka“ — aliści było za późno! Sam „cadyk“ odpędził ich od siebie precz i, miotając na nich śmiertelne przekleństwa, nie pozwolił nikomu zbliżyć się do siebie, stanąć przed swoje oblicze.

Reb Mendele widział, że chasydyzm kruszeje, duch jego ulatnia się. Niemasz już tam więcej treści! „Stolec“ staje się własnością dziedzictwa. Prawdziwa intencja chasydyzmu zanika, a chasydzi biorą się tylko do wypełnienia nakazów i obrzędów przepisowych—nie rozumiejąc już symbolicznego znaczenia nauki Bal-Szema, stosują ją dosłownie, dogmatycznie, jakgdyby naukę Mojżesza.

Reb Mendele trawił się w głębokiej męce, całych siedem lat szukał samotności i medytacyi, poświęcał się kabale, mistycznym dociekaniom, a gdy już poczuł, że mocen jest podnieść naukę Bal-Szema na wyższy szczebel, wlać w chasydyzm polski nową treść, wtedy spostrzegł, że jest niezrozumiany, że ludzie są zadowoleni ze siebie, że niepotrzebna im jest „treść“, że — tylko jednostek tyczy się werset: „Nie tylko samym chlebem człowiek żywie“.

Reb Mendele wpadł w omroczenie, nie spożywał jadła, nie pił, jeno nieustannie mawiał w żalości serca:

— Ojcie - Rodzicu w niebiesiech! Jeśli już nawet zgromadzę grono chasydów, one jednostki, które tęsknią za Tobą, i ujdę z nimi do lasów, azali to miałożby Cię zadowolić? Cóż bowiem poczną grzeszni, one istoty, które ugrzęzły w ziemskości aż po uszy, grzeszni, którzy nazbyt są słabi, aby Cię poznali, coż oni poczną, Ojcie - Rodzicu w niebiesiech?! Toć oni właśnie są podstawą i budowlą narodu!..

Od owego czasu „dwór” trzymał silną straż nad „cadykiem”, nikogo prawie doń nie dopuszczając. I oto już trzynasty rok, jak „cadyk” siedział w odosobnieniu, czuł odrazę do rodziny i domowych i żył jedynie sobą — rozmyślaniem i rozpamiętywaniem. A gdy nachodziło go omroczenie (co często się zdarzało), wybijał szyby, kaleczył się do krwi, roztwierał okno na ścieżaj i — cały obrośnięty, jak uwięziony zwierz — odpędzał od siebie tłumy chasydów, ciskał przekleństwa na cały świat. I jakże trudno było dać wiarę, aby ten człowiek, będący uosobieniem litości, przykładający grzesznego nad cnotliwego, siedział teraz zawarty pod kluczem, pałał nienawiścią ku ludziom i nie miał dla nich nic okrom przekleństwa.

— Za przeproszeniem, reb Icie! — „szames” otworzył drzwi, wiodące do komnaty „cadyka” i kiwnął na nich ręką na znak, aby weszli.

„Cadyk” szedł im naprzeciw. Mordche dygotał, jakby mu ręce i nogi odjęło. „Cadyk” był malutki, obrośnięty, jakby nigdy wśród ludzi nie przebywał. Pod owłosionem czołem jarzyła się para dzikich oczu, okrytych krzaczastymi brwiami. Na nogach miał tylko pończochy, a w lewej ręce trzymał srebrną puszkę z tabaką, bez pokrywki. Zmierzywszy wzrokiem reb Iciego, potem Mordchego, powąchał z tabakierki i odezwał się, jakby do siebie, prawie z gniewem:

— Cóż to za młodzieniec?

— To syn reb Awruma - „pisarza“ — odparł reb Icie. „Cadyk“ zmarszczył poorane czoło, usiłował sobie przypomnieć, a że nie mógł, machnął ręką i rzekł już zupełnie rozsierdzony:

— Znajome imię.. Znajome skądciś, lecz nie pamiętam.. A! — „cadyk“ nagle wykrzyknął i podał Mordchemu rękę na powitanie — „szulem“. Już wiem! Pewnie chwacki z oiebie ohłopak! Znałem twego dziadka.. Może nosisz imię po nim, co? „Cadyk“ postawił przed nimi dwa krzesła, a sam usiadł na łóżku.

Była to duża i jasna komnata. Dokoła ścian na półkach, zbitych z białych, sheblowanych desek, piętrzyły się pobożne księgi. Łóżko, stół, krzesła — wszystko z takich samych sheblowanych desek, nie w tym pokoju nie było malowane. Na stole leżało kilka puszek z tabaką, miedziany kałamarz, w którym tkwiła świeca i kilka gęsiich piór.

— Fawel-Mojisie, gdzie są moje pantofle? — „cadyk“ krzyknął na „szamesa“, który stał przy drzwiach, poczem zwrócił się do reb Iciego — A z oiebie zrobił się cudotwóroa! Wypędzasz „dybuki“, oo?

Reb Icie się zmieszał i, spuściwszy oczy, jak winowajca, nie odpowiedział.

Szames przyniósł pantofle, chciał je włożyć „cadykowi“ na nogi, lecz „cadyk“ odepchnął go ręką i schylił się. Wtem zamąciło mu się w głowie — więc siedzi tak chwilę zgięty w pałak.

Powoli się wyprostował i, zmęczony, wyczerpany, potrzęsał głową, jakby chciał się przed reb Iciem usprawiedliwić ze swojej niemocy:

— Przecież mnie zawarli, uwięzili! Wszyscy, wszyscy uwięzili się na mnie, biorą się na wszelkie fortele, wciąż jeszcze truchleją ze strachu, aby moja nauka nie sprowadziła „kockich“ z prostej drogi! Cielaki! Wmówili w świat, że człowiekowi dana jest wolna wola. Jeśli nawet kiedyś posiadał wolną wolę, to już

oddawna złożył ją w nasze ręce! To my ją mamy w całości, my, „cadycy“, którzy chcieliśmy świat wyzwolić od gaonów wileńskich. To my zabraliśmy ludziom wolną wolę, a jednak nie mieliśmy tyle siły, aby postąpić jak ojcowie nasi, gdy służebnicy nie chcieli pójść od nich wolno, nie mieliśmy tyle siły, „aby wziąć szydło, przekoleć uszy” naszych chasydów „na drzwiach, jako znak, że będą już sługami naszymi na wieki”. A gdybyśmy nawet przekłuli uszy ich szydłem, przyjęliby to z miłością, tak nisko bowiem człowiek już upadł.

Na czoło wystąpiły mu krople potu, na przezroczych skroniach wyprężyły się białawe, nabrzmiące żyły, niby wężyki po deszczu, brwi najeżyły się, okrywając oczy chmurą, twarz mu żółkła, zniekształciła się zgoła. Reb Icie porwał się z miejsca odparłszy ręką głowę „cadyka“, błagał go:

— Rebe, może troszkę wody? Za dużo przebywacie w mieszkaniu! Wyjdźcie trochę na podwórko!

„Cadyk“ wniósł brwi i, utkwivszy w reb Iciem nabiegłe oczy, odparł słabym głosem:

— Przecież mnie zawarli! Trzynaście lat mogli się obejść bezemnie, to już do nich nie wyjdę!

— Rebe, upewniam was, iż lud łaknie waszego słowa. Całemi tygodniami przesiaduje w Kocku, a gdy któremuś uda się rzucić na was okiem, jest uszczęśliwiony! Prostota żydowska ciągnie do was z całej Polski! Nikt was nie opuścił, rebe! Spójrzcie—reb Icie wskazał ręką przez okno—na podwórku mrowi się od chasydów!

„Cadyk” wstał z łóżka. Reb Icie zaprowadził go do okna. Chasydzi spacerowali po podwórzu parami. Atlasowe kapoty błyszcząły w słońcu, długie, białe pończochy jaskrawiły się, lśniąć prawie z bieli, kędzierzawe pejsy spływały na plecy. Przy uważniejszym jednak przyjrzeniu się można było dostrzec, że atlas na wielu chasydach był spłowiały, wystrzępiony, że z niejednej kapoty pozostała już tylko podszewka. Na trawie w cieniu grupki chasydów

grały w karty „gwoli odwróceniu uwagi swej od doczesności”, tu jakaś kompanijka raczyła się czystą okowitą, tam zaś gromadka intonowała piosenkę tak smętną, wnikliwą i serdeczną, że wszyscy nadstawiali uszu.

„Cadyk” stał oburącz wsparty o okno. Pełne światło dnia tak go uderzyło, jakby mu z oczu spadła błonka. Po raz pierwszy po długich latach patrzył na rzesze swych chasydów i nie rzucał na nich przekleństw. Przed wzrokiem jego snuły się leżące pokotem gromady chasydów, rozciągniętych na ziemi— jak trupy, odzianych jedynie w „tales-kutn” i pograżonych we śnie. Bosy Sruel chodził po podwórzu w podskokach i, zatopiony w medytacji, miętosił krymkę na obrośniętej głowie, załamywał rękę, jak z wielkiej rozpacz. Na ten widok „cadykowi” jakby łuski spadły z oczu: coś mu się rozjaśniło i—wpadł w zadumę. Jego słaby wzrok nie mógł znieść blasku atlasowych kapot, lśnienia białych pończoch, więc spuścił brwi i, zapomniawszy o obecności reb Iciego i Mordchego, przysłuchiwał się śpiewom chasydów i—nagle ujrzał siebie w Przysusze.

...Zatopiony w medytacji bieźw po beth - hamidraszu, przewraca stoliki, przeskakuje przez ławki i, sunąc jak żywioł, odrzuca wszystko, co staje mu na przeszkodzie. Ciżba się rozdziela, rozstępuje, torując mu drogę—wszyscy bowiem myślą, iż naszła go świątobliwa godzina, iż odprawia teraz służbę Bożą. W rzeczywistości zaś był to wybuch zawiści o „cadyka” reb Bojnema. W skrytości serca wierzył, iż — pomimo swych lat młodzieńczych—większym jest „łamdenem”, niż „cadyk” Bojnem, rozleglejszą posiada biegłość w nauce bożej oraz przenikliwszy rozum, głębiej ujmujący wszelaką świętą sprawę i pobożną rzecz. Jednakże czuł, że czegoś mu brak, że aby zostać „cadykiem”, nie wystarczy wcale być uczonym i biegłym w księgach bożych, potrzebna jest po temu umiejętność odczytywania „kwiteków”. On zaś, gdy bierze „kwitek” do ręki, nie widzi tam nic zgoła! Udręczał się myślą, że nikt doń nie będzie „jeździć”, że

nigdy nie osiągnie wziętości reb Bojnema. Gdy przebywał w samotności, gdy pozostawał z duszą swoją sam na sam, czuł, że piastuje w sobie wielkie słowo, które dokona przewrotu na świecie, czuł, że przewyższy Bal-Szema. Powinien atoli odnaleźć „naczynie” ducha, kształt swoich medytacji. Dufał, iż lada dzień — dziś, jutro — odnajdzie owo „naczynie“, wtedy imię jego rozejdzie się po świecie i okryje sławą wiekopomną. Wszelakoż, ilekroć przychodził pośród chasydów, którzy swe wygłodniałe oczy zawieszali na jego ustach, wyczekując odeń nowego słowa, zawsze milczał, nie umiejąc pary z ust puścić. A gdy już nieraz, zdarzało się, omawiał jakiś święty werset, jakąś strofkę bożą, tkwiła w tem jeno erudycja i rezonowanie. Zda się nic nie opuścił, dociekł sedna rzeczy, poruszył bystro, przenikliwie wszystkie szczególiki, aliści brakowało w tem sprężyny najgłówniejszej istoty rzeczy, która się nie daje wyrazić słowami, lecz ujawnia się w ujęciu brody, w rozblasku oczu, w podniesieniu czoła — brakowało w nim tego, co tak ujmuje podbija i zniewala tłum.

A niechże tę samą strofkę wyłoży reb Bojnem! Bez przy., długich omawiań, mędrkowań, za pomocą dwóch, trzech słówek — jednego przykładu, a strofka przybierała inne oblicze, nabierała rumieńców, życia! Nauka reb Bojnema, jak niewyczerpane źródło, orzeźwiała i rozweselała dusze rzesz chasydzkich, które przekazywały ją ustnie dzieciom swoim, a chwała „cadyka” szerzyła się i rosła z pokolenia na pokolenie.

Reb Mendele znosił wtedy męki bezgraniczne. Zaniechał nauki bożej, nie jadł, nie pił, oddał się samotności i kontemplacji, dociekał księgi kabały — atoli bez skutku! Oprócz kilku młodzieńców „bystrogłówków” nie pozyskał zwolenników i nikt więcej z nim nie trzymał. I może nigdy w życiu nie zostałby „cadykiem”, gdyby nie reb Bojnem, który — na kilka lat nim oddał Bogu ducha, całkiem zgarbiony, oślepy z starości — ozwał się raz za „stołem”, że Mendele już go przerósł, już siedzi

na jego garbie. Dosyć było tych kilku słów, ażeby chasydzi, którzy w przeważającej mierze nie trzymali z nim, jeszcze za życia reb Bojnema wybudowali mu dom w Kocku. I reb Mendele wkrótce miał większy „stół”, niż reb Bojnem.

Reb Mendele żywił jednak dla tej ciżby chasydów obojętność, przeczuwał, iż przy pierwszej sposobności opuszczą go tak samo, jak reb Bojnema i zaczął przepędzać od siebie tłumy chasydzkie. Wystarczy — mawiał — rzucić tłumowi, jak dziecku, cacko, a porzuci ojca, matkę i pójdzie do obcych. I w miarę wzrostu tłumy jego wiernych, wzmagало się w nim rozpaczliwe omroczenie. Otoczył się gronem młodzieńców „ostrogłówków” niby żelaznym murem, który wydzwignął pomiędzy sobą i światem. Pędził dni w samotności i kontemplacji, prawie nie przyjmował pozdrowień — „szulem” i wciąż skarżył się przed Bogiem w żalości serca: — Jeśli „zamysł serca ludzkiego zły od młodości jego”, jeśli wolna wola, dana ludziom, została przez nas, „cadyków”, im zabrana, jakoż człek niema popełniać grzechów, jakoż niema krok za krokiem zadawać pytania: „ma łemale, ma łemate”? — „co nad, co pod“?

— — — — —
— — — — —

Reb Mendele na widok bosego Sruela, który sunął po, podwórzu zatopiony w medytacji, na widok tłumy, który rozstępował się przed nim, śledząc go wzrokiem, pełnym bojaźni i czci, pomyślał sobie: Kto wie? Może Sruel doznaje teraz takich samych powątpiewań, jakie on niegdyś przeżywał, może trawi go chęć przewodzenia rzeszy chasydzkiej, wielkim gromadom, także sama chęć, jaka niegdyś jego nękała za młodu, może Sruel też wierzy, że przechowuje jakieś wielkie słowo — — — A reb Icie? — przewinęło mu się nagle przez głowę. Reb Iciem — zapewne! — już nie potrzebne jego zezwolenie, toć jest już „cadykiem”. Dziś — jutro już nie postanie na jego „dworze” ani jedna noga chasydzka, gdy wyrzy oknem, przed oczami jego

wzrostoczy się pusty plac, a tuż w sąsiednim miasteczku, reb Icie już będzie siedzieć za swoim „stołem” i „głosić Torę..” Przed tem samem byłem! Aj, to-ci będzie prawić przednie, kazać mędrze! Będzie też „cuda” czynić! Wszak dopiero co „dybuk” wypędził! Już bródka mu się trzęsie, a w oczach taka bogobojność! — — —

Reb Mendele dygotał, czuł, że mu coś wydzierają przemocą, pocieszał się jednak, że grono młodzieży, chasydzi „bystroglówki” pozostaną przy nim. Zaraz wystąpi przed nimi, ma dla nich nowe „dziwo”, już nosi się z tem długie lata.. Oni nie pójda za reb Iciem.. A może—po owłosionej twarzy „cadyka” przeslizgnął się uśmiech—spłatać figla, pokazać Panu Bogu, że jest większym mocarzem od Niego? Gdy zechce, to z bosego Sruela, nieuka, uczyni „cadyka”, przed którym wszystkie atlasowe kapoty będą się schylać, wierząc, że to — „z woli nieba”.

Reb Mendele odwrócił się—drnął, jakgdyby nie oczekiwał obecności ludzi, lecz wnet opanował się i odezwał do reb Iciego:

— Wyjdź ze mną do nich! Ha, jak myślisz, wysłuchają mnie?

Reb Icie nie pytając nikogo, czy może wyprowadzić „cadyka” na podwórko, wziął go pod pachę i, otworzywszy drzwi, wyszedł z nim z komnaty.

Mordche podązał za nimi w tyle.

Zaledwie „cadyk” ukazał się na podwórzu, wyrósł dokoła niego szpaler ze splecionych rąk. „Cadyk” poznał wielu z dawnych młodzieńców, którym przewodził do chasydyzmu, których wdrażał w swoją naukę. Tłum coraz wzrastał, gęstniał, Chasydzi zbiegali się gromadami ze wszystkich krańców podwórza, wypadali zewsząd, przelewając się wzburzoną i zgiełkliwą falą ku „cadykowi”. Znajdujący się w tyle, stawali na palcach, zadzierali do góry głowy, wspinali się na ramiona sąsiadów, byleby rzucić spojrzenie na „cadyka”, byleby ujrzyć go na kamgnienie. Na widok ten reb Mendele niezmiernie się wzruszył

i zapomniał, w jakim celu wystąpił przed tłumem swoich chasydów.

Stojąc tak wsparty na reb Iciem, „cadyk“ nagle się wyprężył, poczuł się odmłodzonym. Umysł mu się odświeżył, jakgdyby owe brzemienne, ponure myśli, które wirowały w nim w przeciągu trzynastu lat, wżerając się w jego mózg, jak rdza, naraz pierzchły. Wszystko teraz wystąpiło przed nim klarownie i wyraziście. Ściągnął brwi i skroś przywartych powiek widział na mile z daleka, mocen był teraz samą myślą, jak czarodziej, przenosić z miejsca na miejsce ludzi, domy, drzewa—czuł, że mu się ziemia pod stopami rozchwiewa, on zaś wznosi się coraz wyżej i wyżej. Oto stoi już ponad głowami tłumu. Im wyżej się wzbija, im głębiej się wgrąża, tem szerszy, tem potężniejszy rośnie pod nim tłum. Tłum całuje pył jego stóp, obmywa go łzami, lecz jednocześnie ciężkim i rdzawym zawisa łańcuchem u jego nóg i już go nie puszcza. I tłum raz po raz, gdy mu od tej wyży w oczach się zamroczy, w głowie zamąci, przerażony ściąga go z powrotem na padół ziemski starym zewem synajskim „Nose—wenyśme“—„Uczynimy—wysłuchamy“.

Stojąc tak teraz z nawisłemi brwiami, poczuł w sobie owo wielkie słowo, które niegdyś w łonie swem taił, którem pierwszej pragnął świat obdarzyć, potem zaś poniechał. W owej chwili zaś poniechania ściągnął na się karę i ono wielkie słowo zostało mu odebrane... Teraz czuł, że ono wielkie słowo wnet rozkłębi się przed nim na mile w dal, oto wyluskuje się zeń, wylega. Już zatargaly nim „boleści porodowe“ ducha, za chwilę słowo dotąd zakłete będzie odkłete—poczęte i zaraz obdarzy tłum, który żenął od siebie precz, onem wielkiem, oczyszczonem słowem.

„Cadyk“ stał rozpromieniony, dufny, iż oto wybiła godzina, iż dotąd nie był zgoła „cadykiem“, oszukiwał siebie samego, teraz dopiero nastąpiła chwila „objawienia się“. Przed wzrokiem jego zamigotał odbłask rozżarzonego słowa, które w nim pałało,

które parło mu się do krtani. „Cadyk” zakasłał i poczuł, że wraz ze słowem rodzi się „naczynie”, kształt onego słowa. Chasydzi otaczający go kołem wessą w siebie jeno odbłask onego słowa, przez co zostaną oczyszczeni.

Lecz w tej samej chwili, gdy umysł jego bryzgał skrami, miotał błyskawice, zionął ogniem, oczy jego ujrzały, że nad tłumem—nieruchomym, stłoczonym, podobnym z daleka do starego, rosochatego lasu, którego drzewa zlały się w ścianę — wyrosło dziwaczne stworzenie. Stworzenie to zaczęło się posuwać na czworakach po ścianie z ludzi, jak kudłaty pies, jak skrzat, torując sobie drogę ponad głowami i ramionami ciżby wprost do „cadyka”. „Cadyk”, rozszerzywszy oczy, drgnął, jakgdyby spadał we śnie z góry, przypomniał sobie, w jakim celu tu przybył i— poznał w tem stworzeniu bosego Sruela, który parł się ku niemu. I w tej samej chwili reb Mendele poczuł ziemię pod stopami.

Bosy Sruel, siedząc na ramionach kilku chasydów, niby szczyt strzelający z pośród morza głów, wraził w „cadyka” swe czarne, ogniste oczy i rozdziawił obrośnięte usta, jakby zamierzał kogoś połknąć. I z ust jego wytaczały się słowa, ziejące zgrozą:

— Kocki rebe, czyń pokutę!

Powstał tumult. Tłum się rozkołysał, zapienił, jak morze. Podnosiły się ręce, fruwały jarmułki, „gartle”—ciskane w Sruela. Ten i ów usiłował go ściągnąć. Lecz bosy Sruel siedział na wiernych ramionach i, mocno przechylony ku „cadykowi”, nie zwracając uwagi na pomruk tłumu, jakby to nie jego się tyczyło, coraz głośniej krzyczał:

— Twoi chasydzi, warszawscy żarłocy i opoje cudzołożą, wyprawiają sprośności sodomskie...

— Ściągnij go!—Ktoś wrzasnął.

— Nie dajcie mu pyskować!

— Zuchwalec! Bezczelnik!

— Zapchnąć mu gębę „gartlem”!

— Chłopcy! O tak, narzućcie mu jarmułkę na twarz!—stary chasyd w krymce ofiarował swoją jarmułkę.

„Cadyk” podniósł rękę na znak, aby tłum się uciszył. I wnet zaległa taka cisza, że możnaby było usłyszeć spadanie szpilki. Reb Mendele zwrócił się do tłumu:

— Zostawcie go w spokoju, nie ruszajcie go, niech mówi.

Cizba na pozór się uspokoiła. Chasydzi kręcili się dokoła siebie, przestępowali z nogi na nogę, nie mogąc ustać na miejscu, w każdej chwili gotowi poświęcić bosa Sruela.

Wielu też powstrzymywała myśl: nie respektuje „cadyka”, będzie-że się bać chasyda? Bosa Sruel siedział dalej z wyciągniętą szyją, z rozdziawionymi ustami, jakby nic nie zaszło, i coraz donośniej krzyczał głosem:

— Teraz sam czas po temu, kocki rebe, iżbyś odbył pokutę! Twoi uczniowie, „bystroglówki”, noszą na sprzedaż rzemyki i naczółki tefilin, twierdzą bowiem, że tego roku w Kocku była tanizna na skórę! Tacy poważani żydzi, jak Hirsz Farcywer, Chaim-Ber Grapicer wzięli z ciebie przykład, rebe, i uczynili ślub, iżby trzy dni modlić się bez tefilin, a to gwoli naocznemu przekonaniu się, jakąż to pociągnie za sobą zmianę w ustroju wiata! Zięć twego Duwidł, Danijel Eibeschuetz, najlepszych młodzieńców sprowadza z prostej drogi, a ty na to milczysz? I jeszcze ma czoło głosić wszem wobec, przed całym zgromadzeniem i gminem żydowskim, iż jego połowica jest „bebchines zejr-ampn”—iż promienieje z niej „Miniatura Boża”. Już ty wiesz, co myślę! Odwróć się, kocki rebe, za tobą stoi „cadyk pokolenia”, reb Icie, prosz go, aby zadał ci pokutę!

Reb Icie dygotał, nie mógł słuchać jak Sruel lży i bezcześci „cadyka”, więc rzucił mu się do nóg i tarzał w prochu. Chciał przez to pokazać tłumowi, że „cadykiem pokolenia” jest reb Mendele.

Lecz „cadyk” odepchnął go od siebie, odtrącał każdego, kto mu się w ręce napatoczył i zaczął przeklinać. Chasydzi bali się

przekleństw „cadyka”, wierzyli bowiem, iż na kogo spadnie jego klątwa — biada temu! Tłum jął się rozstępować i cofać. Po chwili „cadyk” został na olbrzymim podwórzu prawie sam jeden. Reb Icie stał obok niego z głową spuszczoną, jakby był wszystkiemu winien. „Cadyk”, zacisnąwszy pięści, tupał nogami, krzyczał i miotał przekleństwa:

— Cielaki, czego chcecie odemnie? Obyście zgorzeli! Cóżęście na mnie nasiedli, nie jestem „cadykiem”. Bierzcie sobie Iciego i niech się na was wszystkie czarne roki zwałą, słyszycie?

Gdy „cadyk”, zżymając się z gniewu, kłął tak oniemiałych ze strachu chasydów, wyszedł z mieszkania swego reb Duwidł. Zaspany — w miękkich, zamszowych pantoflach na nogach — zbliżył się do ojca i ujął go za rękę:

— Ojcze, chodź do mieszkania! Nie zdrowo dla ciebie stać tak na słońcu!

ROZDZIAŁ III.

„Apikojres“ — „Heretyk“.

Mordche wzruszony do łez odwrócił się od ciżby—pragnął samotności. Trapił się tem, co zaszło, i ubolewał nad reb Mendele.

Ominąwszy reb Iciego, skierował się wzdłuż belek, porzucanych na uboczu, sunąc pod brzemieniem chmurnych, oliwianych myśli. Wtem usłyszał, że ktoś go woła po imieniu, poznał głos Szmuela i niechętno odwrócił się.

— Nu, jak ci się podoba reb Icie?—Szmuel uśmiechał się—Wszak jest niebezpieczniejszy od bosego Sruela!

Mordche, obrzuciwszy go niechętnem spojrzeniem, nic nie odpowiedział.

— Toć w całym tem „weselisku” na podwórzu — Szmuel ciągnął wzburzony — była głowa reb Iciego! Gdyby nie on, czyż

„Sruel-moralista“ miałby czoło wobec całej rzeszy chasydów wyrządzić „cadykowi“ taki despekt, obrzucić go takimi obelgami? I warto było widzieć, jak potem ten skromniś, reb Icie właśnie, rzucił się „cadykowi“ do nóg! Lecz reb Mendele odepchnął go, doskonale zna się na farbowanych lisach!... I po prawdzie—Szmuel ujął Morchog^o za klapę — chodzi sobie młodzieniec i przewraca oczyma. Cóż z tego, że jest biegły w nauce? Ja też jestem biegły—czyż mam przez to wylazić ze skóry, stroić cudaczne miny? Mówię ci po szczerości, reb Icie pragnie zostać „cadykiem“! Nie cofnie się przed niczem! Każde jego słówko już krąży z ust do ust i niech tylko ziewnie, a znajdą się tacy, co z tego uczynią „cudowny znak“. Czyż trzeba więcej—wszak nie minął jeszcze dzień, jak reb Icie przybył do Kocka i już całe, bez przesady, miasto kobiet wybiera się do niego. Ha, cóż ty na to? Reb Mendele kobiet do siebie nie przypuszczał.

— Słuchaj, Mordche mu przerwał — jestem śmiertelnie głodny, iść do domu nie mam ochoty, może wiesz, gdzie można tu coś przekąsić?

— Pewnie, że wiem! Chodź, zaprowadzę cię! — Szmuel pociągnął Mordchego za rękaw.

Weszli na rynek. Kramarze siedzieli we drzwiach nawpół rozmarzeni, przygryzając bródki i wąsy, patrząc na pusty rynek, na którego środku wznosił się stary kościół o dwóch wysokich wieżach, strzelających krzyżami w niebo. Dokoła rynku przysiadły maleńkie, bielone domki, a stary olbrzymi kościół, na którego tle domki jeszcze bardziej malały, zdał się rzucony tu przez omyłkę.

Gromada chłopców przebiegła przez rynek z zadartymi do krzyżów główkami — pewni byli, że kościół z każdym dniem zapada w ziemię na włos.

Pod ratuszem grupka żydów z laseczkami pod wachą toczyła ożywioną gawędę.

Naprzeciw nich szedł jakiś kupiec zboża ze słomką w

ustach. Zbliżywszy się do gromadki, wyjął kolorową chustkę, rozłożył ją — ten i ów brał po kilka ziaren, oglądał je i wypowiadał swoje zdanie.

Zwisała cisza. Kury leniwo spacerowały po rynku, grzebiąc łapkami, dziobami. Młody kogucik bezczelnie kukuryknął, nastroszył malutką czerwoń i jął się uganiać za starą kurą. Kupcy zboża z ziarnkami w ręku zagapili się na kogucika i umykającą przed nim kurę, aż parka pierzchła za kościołem. Lecz za chwilę przyfrunęło stado gołębi i, zdarłszy ciszę gruchotaniem, kołowało spokojnie, kołysało się nad rynkiem, pieszcząc miękko oczy swem biało-siwem upierzeniem.

— Ot i jesteśmy u celu! — Szmuel zatrzymał Mordchego.

Weszli do nawpół mrocznego korytarza. Woń wina i miodu uderzyła ich w twarz. Ciemne ściany, nawet powietrze było lepkie. W winiarni stał właściciel z zakasanemi połami, opasany „gartlem” i ściągał wino z beczki do kwarty. Na ścianach wisiał wyblakły Napoleon i dwaj myśliwi z chartami. Wyszorowana podłoga bielą swoją aż raziła oczy. Przez otwarte drzwi, prowadzące do drugiego pokoju, widać było starszego żyda w krymce, grającego w szachy ze szlachcicem, jak również dwóch polaków, siedzących za okrągłym stolikiem nad szklanicami wina. Szmuel z Mordchem zajęli boczny stolik. Ponieważ nikt się nie zjawiał, Mordche stuknął w stolik:

— Wujaszku, czy dostaniemy u was coś przekąsić?

— A co będziecie jedli? — właściciel, nie przerywając ściągnięcia wina, zaczął wyliczać z przyśpiewem: — jest świeżo pieczona kaczka, jest ćwiartka gęsiny, jest —

— Dajcie pół kaczki — Mordche mu przerwał — dajcie też dzbanek wina, ale kwaśnego!

Właściciel zakręcił kran u beczki. Wychodząc z pokoju, przeszedł obok ich stolika i wpatrzył się uważnie w Mordchego.

Po chwili zjawiła się dziewczyna z lokiem włosów na czole

¹ śmiejącemi się oczami. Nakrywszy do stołu, przyniosła bronzową, parującą kaczkę, która podniecała apetyt.

Szmuel i Mordche wypili po szklance wina. Rwąc kawały bułki, moczyli je w sosie i zjadali łapczywie, jak po poście. Szmuel prędko się nasycił, wpadł w dobry nastrój i, rozejrzawszy się dokoła, czy nikt ich nie podsłuchuje, zaczął szeptem:

— Wiesz, już oddawna wybierałem się pomówić z tobą. Nie nadarzała się okazja. Zresztą, zauważyłem, że unikasz mnie. Dziwisz się pewnie, żem się tak zmienił..

Szmuel przysunął się bliżej do Mordchego i jeszcze raz rzucił wrzokiem dokoła. Czoło jego wciąż się fałdowało zmarszczkami, jakgdyby nie mógł powziąć decyzji: powiedzieć czy też nie.

— Więc, słuchaj — Szmuel odkasłał, nie wiedząc od czego rozpocząć — jeśli nawet nie podzielisz moich mniemań, to jednak, proszę cię, nie przerywaj mi, aż nie skończę. Nie bój się, nie chcę cię, broń Boże, sprowadzić z równej drogi! Chcę ci tylko opowiedzieć, jakim to sposobem, ja, twój były rebe, który przewodził ci do chasydyzmu, wyrobiłem sobie sąd.. doszedłem do zrozumienia, że wszystko to bzdury i brednie! Już się krzywisz zawczasu? Eh, bądź cierpliwy! Przecież nawet cadyk Majer poszedł za swoim rebem, Elisze-ben-Awije w sabat poza staj, dozwolony w dzień sabatowy, i aczkolwiek Elisze-ben-Awije w sabat jechał konno, reb Majer słuchał jednak jego nauki! Coż-eś tak na mnie oczy wytrzeszczył?

— Przyrównujesz się do Elisze?

— Więc, przypuśćmy bodaj, nieudany to przykład! — Szmuel wsparł głowę na rękach i dziwnie się uśmiechnął—lecz rozumiesz przecież moją myśl? Właśnie chciałem ci powiedzieć...—nagle wyprostował się i spoważniał — Te tysiączne rzesze chasydów, porzucające żony i dzieci, wyruszają w drogę bez grosza przy duszy, włóczą się do „cadyka“ po to, aby używać sobie na jego „dworze“. Wszak tobie nie potrzebuję tego wykladać, jak na talerzu... Większość z nich nie ma nawet wy-

obrażenia, czem jest „cadyk”. Wiedzą, że u „cadyka” jest się wolnym od trosk, jadła mają tam wbród, kieliszka sznapsa też nie brak, pocóż więc dźwigać jarzmo rodzinne — żonę i dzieci, harować, frasować się — kiedy tutaj życie lekkie? Gdyby brać chasydzka, oddawała się choć nauce bożej! Gdzież tam? Czyż wgłębiają się w księgi święte? Nie! Wgłębiają się we własny mózg, zachodzą wciąż w głowę! Spróbuj w bóżnicy przejrzeć rozdział z ksiąg „Proroków”, spojrzą na cię, jak na „apikojres” — „heretyka”, a jeśliś biedny chłopiec, jeszcze oberwiesz po bokach! Abo to raz się już tak zdarzyło?! A „dwór” ze swojej strony też ma rację, że nie dopuszcza do studjowania ksiąg „Proroków”. Albowiem gdy zbliżysz się do „Proroków” to już samo przez się oddalisz od chasydyzmu, przestaniesz wierzyć w „cadyka”, niby w świętego!.. Polski ksiądz — nie przymierzając — gdy znajdzie u chłopca Biblię, to mu ją zabierze. A to dla tego, że ksiądz boi się tego samego, czego i „dwór” — boi się, że gdy chłop zacznie czytać Biblię, to przestanie wierzyć w księdza.

Szmuel wypił swoją szklanicę wina i ciągnął dalej:

— Kiedy księga „Zohar” jest dla nich świętsza, niż Tora! A może myślisz, że z „Zoharu” rozumieją coś? Ani w ząb! Toć recytowanie z tej księgi stało się dla nich jakimś czarem, zaklęciem, które się odmawia, nie rozumiejąc zgoła sensu. Dla prawdziwego żyda, dla żyda, wierzącego w podstawę naszej religii, w jedność Stwórcy, studjowanie księgi „Zohar” jest grzechem. Wedle „Zoharu” bowiem żydzi wierzą w „Trójcę”... Słyszysz, żydzi, odmawiający co dnia „any mamen” — „Trzyście siedemdziesiąt i trzy”, wśród których jedna przecież głosi: — „Wierzę wiarą pełną, że Stwórcę, niech będzie błogosławione imię Jego, jest jedyny i niema jedności Jemu podobnej pod żadnym względem, i że On sam jeden jest Bogiem naszym — był, jest i będzie”. Jakże to żydzi — zważ to — wykrzykujący co dnia jednym tchem: „Wiekuiesty, Bóg nasz, Wiekuiesty jest Jedyny”, mogą

dopuszczyć myśl, że oznacza to: troje w jednym? Gdy w „Zoharze” jest mowa o „Ojcu” i „Macierzy” Boga, to czemu jesteście my lepsi od chrześcijan? Poczekaj, jak tam napisane jest w „Zoharze”—Szmuel, zmrużywszy oczy, szczypał rzadkie włosy na podbródku, — — — Majestat równa się Bogu... Panowanie równa się Szechino.. Wszystko stanowi jedno... Jako płomień, który spowija knot — —”. Nu, czyż nie jest to, powiedz sam, bałwochwalstwo? Kiedy Pan Bóg wedle nich — weź to pod rozwagę — ma ciało, namiętności, jak — nie przymierzając — człowiek, choć codzień wśród tych „Trzynastu Zasad” powtarzają: „Wierzę wiarą pełną, że Stwórca, niech będzie błogosławione imię Jego, nie jest ciałem, że nie ograniczają go granice cielesne i że niema doń podobnego”.

Mordche nie rozumiał uśmiechu, czającego się na twarzy Szmuela, nie mógł mu przebaczyć, że tak szkaluje i znieważa księgę „Zohar” i cierpiał, że nie umie mu dać odprawy. W duszy jego rozbłysła jakaś świetlana smuga, niecała w nim pewność, że Szmuel nie ma racji, że nie chodzi tu o sprawę, podlegającą rozumowi. Oczywiście, że nie! O, co się tyczy rozumu, to Szmuel ma go już nadto! Każdy członek kipiał w nim odpowiedzią na słowa Szmuela, niby bijące źródło, co pieni się, przelewa i wre. Lecz nie był mocen zespolić bryzgów myśli, tak, aby mu wyłożyć, iż dla wyzbycia się ziemskość chasydzi podjejmowali jedną szatę za drugą, aż pozostała „Nieskończoność”, zaś „bystrogłówki”, mędrkowie posunęli się jeszcze dalej i rozebrali aż do „Nie”, byleby nie przyłgnęło do nich źdźbło cielesne, byleby nie uczeplił się ich pył ziemski — jakże więc może tu być mowa o bałwochwalstwie?

Mordche schwycił Szmuela za rękę, przerwał mu rozpoczęte zdanie, jednocześnie poczuł, że myśl jego nazbyt daleko pomknęła i już się unicestwiła.

Z grymasem na twarzy, jakby cierpiał fizycznie, pobudzony

przyrodzoną krnąbrnością, choć ani przez chwilę o tem nie myślał, odezwał się:

— Przecież to samo napotkasz nie tylko u proroków, lecz nawet u tanaitów! Że Bóg, na przykład, ukazał Mojżeszowi węzeł tefilin, czy komuś wpadnie na myśl wyłożyć to, iż Bóg wdziewa naczółki tefilin?

— Eh — Szmuel nie dał mu dokończyć — to jest zgola co innego! We wszystkich ustępach „Proroków”, gdzie mowa o Bogu, jak — nie przymierzając — o człowieku, to wedle komentarza Iwn-Ezro, ma to na celu ułatwienie pojmovania, dzieje się to, „gwoli naklonieniu ucha”. Majmonides posuwa się jeszcze dalej, twierdząc, że ukazanie Mojżeszowi przez Boga węzła tefilin znaczy retorycznie, iż człek ogarnie i przeniknie rozumem wszystko, co znajduje się pod Bogiem, wszystkie szczeble i sfery, wiódące ku Niemu, lecz Opatrzności żaden śmiertelnik nigdy nie pojmie... Przecież to piękna myśl — Szmuel roztoczył ręce — głęboka myśl!... Rozpatrzmy to teraz z drugiej strony, bo jeśli chcesz, to cała opowieść o węźle tefilin jest tylko alegorją, a przecież nie opiera się zasad wiary na wyłożeniu alegorycznym Midraszu, na omawianiach i wstawkach komentatorów! Pomimo to — oni, chasydzi, najdrobniejsze bzdurstwo w „Zoharze” poczytują za „Misterjum Tory”. Bo nie wiesz o tem, iż nawet reb Jakób Emden już zaznaczył, że w „Zoharze” jest wiele ustępów wstawionych. Nie myśl, że tak łatwo zadzierać z żywymi, lecz jeszcze trudniej zadzierać ze zmarłymi! Dlatego też spór w tej materji między Jakóbem Emdenem i Jonatanem Eibeschutzem skończył się na otwartej wojnie.

— Z pradiadem reb Daniela?

— Tak! Reb Jakób Emden oskarżał Jonatana Eibeschutzę o czarodziejstwo, bałwochwalstwo i o to, że jest stronnikiem sekty Szabsaj Cwi. A że był to spór toczony w imię Boże, to przecież ostatecznie prawda musiała wyjść na wierzch. I właśnie teraz nie ulega najmniejszej wątpliwości, że autorem

„Zoharu“ nie jest zgola uchodzący zań wśród wszystkich chasydów reb Szymon—ben—Jechue, już wiadomo co do tego z całą Pewnością...

Przy ostatnich słowach Mordche się zmieszał i, wlepiwszy wzrok w Szmuela, dziwił się, iż nie wymierza mu policzka, jednocześnie zaś czuł wszystkimi fibrami, że nie chce wiedzieć, kto jest prawdziwym autorem „Zoharu”. Zdawało mu się, iż z chwilą, gdy się o tem dowie, przestanie być wierzącym żydem. Nagle przypomniał sobie reb Iciego i nie dał Szmuelowi dalej mówić:

— Wiesz, w zeszłym roku zimą ktoś przysłał księgę reb Iciemiu do Iasu. Nosila nazwę, zdaje się: „Żywot człowieka swy-wolnego”. Gdy się wręczyło ją reb Iciemiu, był bardzo wzburzony, nie dokończył rozdziału gemary, który studjowaliśmy. Powiedział mi, że jest to dziełko Jakóba Emdena o kabaliście reb Jonatanie. Rzadkość, perła urjańska!.. Poprosił mnie, abym zamknął go w pokoju na klucz i nikogo tam nie wpuszczał, aż nie skończy tego dziełka. Zanim jednak zabrał się do czytania ze łzami w oczach zaniósł błaganie do Boga, aby najdrobniejszy pyłek nie przylgnął doń, jeśliby było tam coś uwłaczającego czcį reb Jonatana. Całą dobę przesiedział nad tem dziełkiem, a gdy opuścił pokój, był w dobrym nastroju, złożył podzięki Bogu, że nic doń nie przylgnęło. Potem zwrócił się do mnie z temi słowy: „obrzydliwa książka—żyd nie powinien jej czytać!”

— Widziałem to dziełko — Szmuel uśmiechnął się — być może, reb Jakób Emden nieco przebrał miarękę, lecz miał rację. Kiedy lada bzdurstwo chasydzi uznają za „misterjum Tory”. Oto mam przy sobie książeczkę — Szmuel wyciągnął z kieszeni kilka zmiętych, nieoprawionych stroniczek — autorem jej jest nauczyciel reb Jonatana, niejakiś Chajun, szabsańwinnik, swy-wolnik i rozpustnik. Patrz, bierze się sprośności, bezceństwa i czyni z tego „Tajemnicę Współjedni”. Masz, czytaj, oto w jakie błoto już zabrnęli! To gorsze od pogaństwa, bo wszeteczeństwo, porubstwo!

Mordche czytał:

„...Wiedz, że narzędy zewnętrzne czyli zewnętrzne atrybuty Boga podobne są do członków ciała. Teraz zasię z powodu grzechów naszych w goluście spoczywa Wiekuisty—niech imię Jego będzie błogosławione—wraz ze Szechino swoją, jako pogrążeni we śnie. I owóz, jako mąż i żona, gdy pogrążeni są we śnie, a chciałby ktoś sprzęgnąć ich społem i położyć rękę na ręce, usta na ustach, członek na członku, nie wywoła tedy należnego spółkowania, albowiem pogrążeni są we śnie. Śpiący zasię wyzbyci są pożądliwości, także nie zaznają lubieży przy wznieceniu w nich chuci. Aliści, gdy ktoś śpiącego obudzi i wniędzie weń znowu dusza, która podczas snu przebywała w niebiosach tedy poduszczy się on sam do spółkowania, tedy będą się społem radowali i uczynią rzecz swoją z własnej woli...”

Szmuel wyrósł w oczach Mordchego na jakiegoś biesa, który zabiegam u drogę, drażni się z nim, podsuwa mu dręczące podniety, wystawia na pokusę, aby go męczyć, torturować—schwyć za gardło, Nie chciał się przyznać, że w tej chwili sprawy nabrały dlań innego oblicza, że już spogląda na nie innemi oczyma. Odparł z gniewem:

— Wszystko zależy od intencji, z jaką przystępuje się do czegoś! Jesteś złym człowiekiem, Szmuelu, i masz nieczyste intencje.

— Czy aby zdajesz sobie sprawę, że pleciesz głupstwa? —

— Być może — Mordche odpowiedział z prosta — Ale za to ty zdajesz sobie sprawę, że plotę głupstwa. Ja zaś siedzę już z tobą przeszło godzinę, przysłuchuję się twoim mądrościom i nie wiem, czego chcesz, nie wiem, z kim mówię. Na cóż mi mądrość, skoro pod nią może się ukrywać „sytre-achre” — „strona przeciwna” — siła szatańska.

Szmuel się zmieszał, unikał spojrzenia Mordchego i, udając jakby to nie jego się tyczyło, ciągnął dalej:

— Nu, miał-że Jakób Emden rację, co? A wszystkiemu, mówię ci po sumieniu, winien jest „Zohar”. Przed chwilą, kie-

dym cię wtajemniczył, że autorem „Zoharu” nie jest Szymen - ben-Jechue, toś taką krzywą minę nasrozył, zem pomyślał sobie: pewno zerwie się z miejsca i zostawi mnie samego. Bo ja na początku też nie byłem lepszy! Trzeba-ż ci więcej, pamiętasz przecież, obaj ślęczyliśmy nad księgą „Megałe Tmirym” — „Odkrywający skrytości”, w każdej modlitewni ją znajdziesz, każdy chasyd wierzy, że to stara, święta księga... Ba, jakiś wielki pewnie tanaj ją napisał! — — Więc wystaw sobie, że księga „Megałe Tmirym” jeszcze nie liczy nawet dwudziestu lat! A napisał ją nie żaden wielki tanaj, lecz zwyczajny, galicyjski żyd! Ha, cóż ty na to? Jeżeli to jest możliwe, dlaczego nie miało- by być również możliwe, że reb Szymon-ben-Jechue nie jest zgoła autorem „Zoharu”? Co, myślisz może, że stroję żarty? Broń Boże! Twój krewniak, reb Josel, zna osobiście autora „Megałe Tmirym”. To żyd z Tarnopola, bogacz, „maskil”. Czyż trzeba przedniejszego figla? A gdy widzi się, że naród nasz z dnia na dzień coraz głębiej grzęźnie w bzdurach, marnieje, ginie — czyż wolno przyglądać się temu obojętnie? Cała żydowskość spoczywa teraz w „stolcu”, o który wszyscy biją się i kłócą ze sobą, toć każdy ma apetyt na „cadyka” — na „cudotwórcę“!... Gdybyś wiedział, jakie sprawy tu się działy, jakie rzeczy wyprawiał Duwidł? Przecież on był jednym z tej kompanji która zamieniała się żonami. Wszak ludzie mówią, że jego starsza córka, żona Danijela nie jest wcale jego córką. A Danijel? Myślisz może, że bosi Sruel łgał? Ani na włos! Nie jeden chasyd sam ci opowie, że z żony Danijela, nawpół obłąkanej — znam ją dobrze — promienieje „Miniatura Boża”, co wedle nich znaczy, „małe, kobiece oblicze Boga”... Gdy bogobojność zanurza się w plugastwie, świątobliwość w sprośności, to czemu Danijel jest lepszy od Franka? Tamten miał świętą Awacę, zaś wnuczek reb Jonatana Eibeschueta ma żonę, z której promienieje „Miniatura Boża”... I tacyż to mają nam przewodzić? Tacyż właśnie wodzą cały lud za nos!...

Szmuel porwał się z krzesła, usiadł z powrotem i, klaszcząc w ręce, ciągnął dalej:

— Trzeba się wyrwać z tego bagna.. Trzeba uciec do Berlina lub Frankfurtu na Meinem. Tam też istnieją wielkie jeszyboty, w których prócz nauki żydowskiej wykładają też i inne przedmioty. A gdy powrócimy stamtąd, musimy się zabrać do młodego pokolenia. Starzy już są straceni, cóż im do treści w życiu, byle mają kieliszek sznapsa! Musimy pochwyć cugle nad młodem pokoleniem, lecz przedtem powinniśmy się sami wiele uczyć! Istnieje tu grono młodzieży, grupa oświeceniów — „maskilim“. Zbieramy się kilka razy na tydzień, czytamy razem, toczyliśmy rozprawy, dyskursy. Chcesz, możesz do nas zajść. Pokładziesz się od śmiechu, gdy powiem ci, że właśnie w Kocku, pod nosem „cadyka“ jest najpewniej. Wszak tu nikomu przez myśl nawet nie przejdzie.. Najmniejszego nie ściągniemy na siebie podejrzania.. Wiesz, to źle świadczy, że młodzież żydowska już więcej nie idzie w świat. Dawniej puszczano się z Polski do jeszybotów we Francji, Hiszpanji, już nie mówiąc o Niemczech!.. Każde wielkie miasto słynne było ze swoich gaonów, łamdenów, sławne swemi jeszybotami. Czasem wydaje mi się, że gdybym bodaj dzisiaj przybył do Metzu lub Warmacji, to spotkałbym tam znajome twarze, poznałbym ulice, domy, beth-hamidrasze, tak, jakgdybym wrócił do swego miasta rodzinnego, które dzieckiem opuściłem.. A przecież nigdy w życiu jeszcze tam nie byłem!.. Bo każdy kamień tam, każdy kirkut to kawał życia żydowskiego..

Szmuel wyrósł teraz w oczach Mordchego na nowego człowieka, jeno że nie mógł wyjść z podziwu, skąd bierze się do człowieka tyle miłości i czci dla kirkutu, a tyle złości i nienawiści dla żywych.

Zaległo krótkie milczenie. Szmuel zerkał nań z podełba, przeświadczony, że ma go już po swojej stronie. Nagle zwrócił się doń tonem, jakby czegoś zapomniał:

— Mam do ciebie prośbę!

— O co idzie?

— Ponieważ twój krewniak reb Josel, jest starym „maskilem”, jednym z tych, którzy popierali jeszcze pierwsze pismo „maskilów”, „Bikire Huitym”, więc możebyś od niego wy dostał dla mnie list do Berlina, do... A możebyś mnie tak wprowadził do jego domu...

— Owszem—Mordche był zadowolony, że może Szmulowi wyświadczyć przysługę.—Jeszcze dziś opowiem mu o tobie.

W otwartem oknie stała córka właściciela winiarni i rozmawiała z dwiema dziewczynami. Jedna z dziewczyn, znajdujących się na podwórzu, wskazała palcem na Mordchego!

— Ładny chłopak! Trzeba go wyciągnąć na gawędkę.

— Widać nie goły—dodała córka szynkarza.

Mordche się uśmiechnął i niechcący zabrzączył widelcem w talerz. Dziewczyna się zbliżyła.

— Co płacę?—zapytał Mordche.

— Pół kaczki, dzbanek wina — co jeszcze? — dziewczyna patrzyła mu wprost w oczy, aż się stracił.

— Bułki.

— Pięć złotych — dziewczyna ściągnęła usta w dzióbek.

Jakiś żyd z koszykiem strączek stanął pod oknem. Jedna z dziewczyn kupiła za grosz strączek. Po chwili huknęła:

— Temre, łap!

I zanim córka szynkarza odwróciła się, kilka strączek spadło Mordchemu na twarz. Dziewczyny wybuchnęły śmiechem i skryły się pod oknem.

Z alkierza ukazał się starszy polak. Chwiejąc się na nogach, zastąpił drogę córce szynkarza.

— Panno Rachelo, muszę cię pocałować!

— Ej, bo wydrapię panu oczy!

— Co? I ty jeszcze nie chcesz? — stary błysnął okiem i

objął ją wpół.—To honor dla ciebie, że ja, wielmożny Karpiński, chcę pocałować córkę szynkarza!

Mordche wsunął się między nich:

— Gdy się jest pijanym, to najlepiej położyć się do łóżka!

— Ty, chałaciarzu, jak śmiesz? Hej, Stachu!

Z alkierza wyszedł młody polak.

— Zastrzel go, Stachu, zastrzel tego parchatego żydka!... Ubliżył twojemu ojcu, staremu, polskiemu herbowi Karpińskich!.. Zastrzel go, Stachu, zabij, jak psa! Dam ci pieniądze, uciekniesz do Ameryki, zastrzel go!

Szynkarz błagał młodego polaka, aby zabrał ojca i, pocałowawszy go w rękę, lajął Mordchego.

Mordche drgnął, odepchnął szynkarza z taką siłą, że tamten upadł na ścianę i jakgdyby miał ochotę, aby młody polak wszczął z nim zwadę, powtarzał kilkakrotnie:

— Gdy się ma ojca pijaka, to go się trzyma w mieszkaniu

— Ależ, panowie, panowie—syn nawpół pijany zwracał się do wszystkich błagalnie i wziął ojca pod pachę.

— Ustrzel go, ustrzel!—stary, łypiąc oczyma, wyrwał się z ramion syna. Gdyby nie ta k... Esterka, Haman wymordowałby wszystkich żydów.. I uważasz, Abramek nie miałby tu teraz szynku i żydy nie ubliżałyby polskiemu herbowi Karpińskich, gdyby nie ta k... Esterka...

Mordche opuścił winiarnię z uczuciem, że został zelżony. Nie mógł się pogodzić z myślą, iż gdy przeciwnik napiera na słabszego, to ostatni powinien schylić głowę, przyjąć razy z umiłowaniem i jeszcze okazać za to wdzięczność. Miał żal do Boga, jako że nie mógł pojąć we wzburzeniu duszy: azali jest na świecie sprawiedliwość. Jeśli zaś taka ma istnieć sprawiedliwość, to on takiej sprawiedliwości więcej nie uznaje.

Nie wiedział, dokąd kieruje swe kroki, czuł jednak, że Szmuel zarzucił dokoła niego sieci, które rozsnuwają się i oplatają go uściskiem coraz mocniejszym. Teraz zdawało mu się, że

jeśli ma jakiś żal do kogoś, to jedynie do siebie, dlaczego tak łatwo się poddał, nie usiłując się bronić.

Dręczyła go myśl, że wszyscy dokoła wiedzą, czego chcą, mają grunt pod nogami, są pewni siebie, pewni, iż jakkolwiek cel sobie zakreślą, to go w zupełności dopną. Tylko on nigdy nie jest pewien siebie, basuje każdemu, brak mu czelności, aby być mocnym, zadowolonym ze siebie, przeto wiecznie wisi w powietrzu. I lubo myśl ta dojmowała mu i dopiekała niewysłownie, wszelakoż z nikimby się nie zamienił. Coś mu podszeptywało, że choćby Szmuel cieszył się największem powodzeniem w życiu, będzie to miał do zawdzięczenia tylko zdolnościom jednego ze setki kupczyków, maklerów i faktorów, którzy się wiecznie wiercą i płaczą koło jego ojca, reb Awruma.

ROZDZIAŁ IV.

Ostatni.

Reb Josel Strahl przerwał pisanie, przejrzał arkusz papieru, nakreślony rzędami drobnych, hebrajskich wyrazów, naszpikowanych krągłymi literami, tak, że faliste strofki podobne były do wykrawanych półksiężyców.

Odczytując sobie wiersz za wierszem, dodawał tu zakręt, tam—ogonek i pewien był, iż przekład jego jest nie gorszy od oryginału. Zajęty był właśnie przekładem „Fausta“, pracował już nad nim od długich lat i jeszcze nie ukończył nawet pierwszego aktu. Leżał przed nim egzemplarz „Fausta” w weimarskiem wydaniu, w miękkiej, skórzanej oprawie. Stronice grube, jakby włochate, wytłoczone koronami i zdobnymi literami, przesiąknięte były plamami tabaki.

Położył przed sobą świeży arkusz papieru, wykaligrafował czerwonym atramentem cyfrę 307 i zaczął czytać oryginał. Gdy

doszedł do owego miejsca, w którym Mefisto zwraca się do kobiet

Fuer euch sind zwei Dinge
Von Koestlichen Glanz,
Das leuchtende Gold
Und ein glaenzender — — —

postanowił nie przełożyć tego czterowiersza na hebrajski, opierając się na tem, że w późniejszych wydaniach niemieckich ustęp ten też był opuszczony. Odczytał kilka razy ten czterowiersz, uśmiechnął się i, położwszy srebrną tabakierkę na książce, wsunął się w głąb fotelu.

Nie trzeba było żenić się na stare lata... Gdyby choć pojął za żonę zwyczajną dziewczynę — kontentowałyby się jego bogactwem. Felicja zaś nie może zaznać przy nim szczęścia. Przecież z jej strony było to jedynie ofiarą gwoli rodzicom. Gdyby ojcu jej nie groziła ruina i bankructwo, nigdy wszak nie oddałby mu ręki swej córki. Toć kupił ją za cenę długów ojca. Jest jej zgoła obcy. Czuje to, choć jest mu we wszystkim powolna. Co wieczór zaprasza go do salonu, dziś zapewne też to uczyni. Chce, aby rozerwał się nieco w gronie jej gości.. Lecz skądże on do nich? On, stary, zwiędły żyd do towarzystwa polskich arystokratów, co prawda—liberałów oraz wyzwolonych młodzieńców, co prawda—żydów? Toć każdy na jego widok u jej boku ubolewa pewnie nad nią i myśli sobie, że nie trudno zcapić staremu Shyloкови taką młodą i piękną żonę.. To też nie wchodzi do nich — do salonu, siedzi sobie w swoim pokoju, czyta i czyta, aż do zawrotu głowy i niech się tam dzieje, co chce! Wstydzi się jej, wstydzi się w jej obecności nawet westchnąć. Nie wie dlaczego, lecz gdy Felicja staje przed nim, to opanowuje go nieprzeparta chęć wydawania się młodszym.. Już od szeregu miesięcy nie żyją ze sobą. Co zaś do jego bogactwa? Wszak opływała w bogactwo od urodzenia.

Goethe ma słuszość, iż „pożąda kobiety jednokrotnie, a modlitwy—dziesięciokrotnie“.

Zasunął okulary na czoło, wyrzał przez szerokie, rozwar-
te okno na spokojny, pozłocisty Wieprz, fałdujący się pod zorzą
zachodzącego słońca.

Pogrążył się w zadumie. Otworzył zapadłe usta, utkwił
oczy w łunie zachodzącego słońca, które coraz bardziej opadało
nad rzeką, zwierciedląc się w karbowanej gładzi i centkując
krawędzie nieba żyłami złota i miedzi. Jedno oko mu się przym-
knęło, a drugie bez drżenia patrzyło na dzień, który gasł, który
konając, jakby chciał powlec za sobą jego schyloną głowę.

I tylko jedno miał teraz pragnienie: niech nikt mu nie
przeszkadza, niech mu dadzą tak siedzieć bez końca.

A gdy luna się już stliła i na niebie pozostało jeno
kilka rozwłóczonych, osmalonych smużek, z piersi starca wy-
rwało się westchnienie. Nagle usłyszał turkot zajeżdżającej pod
jego dom karety — wyciągnął rękę, jakgdyby błagał kogoś, aby
mu nie zmącił ciszy i zaczął wkładać zapisane arkusze do
szuflady. Z beczynności przekładał i porządkował wszystko, co
leżało w szufladzie, wyjął paczkę listów, przewiązanych tasiemką,
i powoli je rozwiązał. Wodził okiem po wyblakłych adresach,
mając w żywej pamięci treść każdego listu.

Wąskie, zwinięte na kilkoro listy ze stearynowemi pieczę-
ciami pochodziły z Żółkwi, z zapadłego miasteczka w Galicji,
dokąd ściągali się „maskilim“ ze wszystkich krańców Polski na
pielgrzymkę, do swego „przewodnika“—reb Nachmana Krochma-
ja. Reb Krochmal stanął mu teraz przed oczyma—chudy, słabo-
wity, małomówny, ujmujący jądro najzawilszej sprawy pokrótce,
za pomocą dwóch, trzech słów. Oczy małe, promieniejące ciep-
łem, czoło wiecznie schylone, latem i zimą odziany w repsową
kapotę. Nachman właśnie namawiał go do tłumaczenia „Fausta“
na język hebrajski. Ilkroć Josel rozmawiał z Nachmanem, przy-
chodził mu zawsze na pamięć komentator Biblii Ibn-Ezro. Jeno

że ten był pewnie ruchliwszy, zwinniejszy, mówił jednym tchem, zionął słowami bez związku, myślami rozpiezchłemi, wiecznie się spieszył, nie miał czasu skupić myśli na jednym przedmiocie, pisał bowiem w drodze, podczas swych wędrówek z kijem w rękę, jakgdyby czynił to mimochodem, lub gwoli brawurze.

Ten oto szeroki arkusz papieru z delikatnym, chłopięcym charakterem pisma pochodzi z Padwy. Autorem jego jest Samuel Dawid Luzatti. Ot, tego żyda włoskiego nie może pojąć po dziś dzień!

W ostatnich czasach widuje go we śnie coraz częściej, całemi nocami toczy z nim pogawędki... Jeszcze się z nim nie oswoił, albowiem przed laty, gdy „włoski“ wystąpił przeciw Majmonidesowi i Ibnowi Ezro, on, reb Josel Strahl, został jego wrogiem śmiertelnym, przestał wysyłać mu, jak dawniej co roku, pięć tysięcy złotych na skupywanie starych, żydowskich manuskryptów i zerwał z nim wszelkie stosunki. Teraz żałuje tego. Przyznaje dziś z całego serca, że „włoski“ miał w pewnej mierze rację i wybiera się posłać mu pierwszą część Fausta. „Nieśmiertelność duszy“ Majmonidesa jest dziełem nazbyt arystokratycznym, przeznaczonem jedynie dla wybrańców, dla intelektualistów. I do czegoż właściwie zmierzał Majmonides przez swoje „Trzydzieści zasad wiary“? Trzecia naprzykład zasada jest zbyt abstrakcyjna, obca duchowi żydowskiemu. Lud nie rozumie zgoła takiego Boga, który jednocześnie jest i nie jest, nie może się doń modlić i, oczywiście tworzy sobie innego. Przewidzieli to już nawet metafizycy i zabezpieczyli się: jedni „Logosem“ inni „Synem Bożym“, ci „sferami“, tamci „cadykiem“, słowem różnymi meklerami, za których pośrednictwem możnaby było obcować z Bogiem! Co się tyeze zaś „Nieśmiertelności Duszy“ Luzattiego, którą obdarza on wszystkich, nawet grzeszników—czyżby to już miało być bezwzględna prawda? Kto wie? W każdym bądź razie jest z tem raźniej, robi się milej na duszy. Luzatti ma rację, gdy nie dowierzając djalektyce pod jakąbądź

postacią, nie podziela geometrycznej teorii Spinozy... Zaiste jakąż bowiem wartość posiada prawda ludzka? Gdyby on, reb Josel Strahl, nie był już tak stary i odznaczał się większą czelnością, to również zostałby wyznawcą innych prawd!... O, tak! Nie trzeba tedy kierować się jedynie rozumem, co jest (resztą bliższe duchowi żydowskiemu, głoszącemu, „nie wykład to rzecz najgłówniejsza, jeno uczynek”. Paweł, gdy odwrócił tę zwrotkę i pouczał Rzymian, iż rzeczą najgłówniejszą jest wiara, a nie czyny, to wyobcował się przez to nie tylko z pośród żydów, lecz także z pośród żydów-chrześcijan i skazał chrystjanizm przy powiciu—na śmierć...

Starzec tak się zachwycił ostatnią myślą, iż powstał z fotelu i powolnym krokiem począł chodzić po pokoju. Im bardziej zastanawiał się nad myślą tą — tem głębsze nieciała w nim olśnienie. Smutek na chwilę pierzchnął, poczuł się odmłodzonym. Wszak dokonał rewelacji, „odkrył” niebyłe jaką myśl. Postanowił napisać o tem do Luzattiego. Nie godzi się tak długo żywić gniewu...

Lecz wnet ogarnęło go zmęczenie i opadł na fotel. Leżał przed nim list od Geigera—od tego samego, który, wystąpiwszy przeciw „mile”—„obrzezaniu”, tak „obrzezał” judaizm, że stał się nazbyt krągły i nie wiele brakowało, aby się stoczył z powierzchni świata. Czego chce ten solidny Niemiec we fraku? Wyskakuje ze skóry, aby żyd się „uczłowieczył”, uczył się u gojów mądrości, pierze nasze brudy publicznie, twierdzi, że nie podobna ustać przy nas, nie zatknąwszy nosa i jednocześnie wierzy, że my, „brudasy”, mamy do spełnienia „misję”, naszym posłannictwem jest... udoskonalenie świata! Ha-ha-ha! Ciekawe—narody zwalone z nóg, narody udeptane chwyfają się „misji”, stają się „zbawcami”... Pomoże to im, „jak umarłemu kadzidło”. Pewien polak, który bywa w jego domu, też twierdzi, że polacy mają do spełnienia „misję”, że naród polski został „ukrzyżowany” za grzechy ludzkości i cierpieniem swoim sprowadzi Mesjasza

socjalnego Mesjasza. Oni też mają swojego Geigera, niejakiego Towiańskiego. Wprawdzie daleki jest od naszego Geigera, racjonalisty, za to prawdziwy z niego „cadyk” — uzdrowia chorych, jak nie przymierzając Baal-Szem, albo może wcielenie Jezusa. Pragnie zbawić polaków za pomocą cudów, lecz ma też wielką chętkę przyciągnąć do tego celu miliony Rotszylda. Mniema pewnie, że jego królestwo jest z tego świata, ha-ha-ha!

Czemu właściwie polacy tak przystali doń? Uwzięli się wszyscy i żona też, żeby został ich skarbnikiem, żeby w jego domu przechowywano pieniądze, napływające z całej okolicy. Z ochotą dałby im kilka tysięcy rubli, byleby go zwolnili od tego! Żydzi nie powinni wścibiać nosa, gdy wśród rodowitych polaków jest tylu przeciwnych. Jasiński, na przykład, stary hrabia, który w głębi serca uważa jego, reb Josła Strahla, za swego pachciarza choć zaciąga u niego pożyczki i rozprawia z nim o Heglu, nie chciał dać złamanego szeląga, twierdząc, że to nonsens, gdyż „wszystko, co istnieje jest rozumne”. Gojowska głowa! W takim razie powstanie trzydziestego roku też było rozumne, albowiem istniało i... zakończyło się klęską! Na takich to grzesznych prawdach buduje się i burzy światy. Ot, niedawno zwrócił się doń pewien młodzieniec z taką „koncepcją”: jeśli Rzym zrzucił z siebie jarzmo Austrii i poderwana została potęga papieża, nastał tedy czas, aby odbudować Jeruzalem... Słowa te nie wyszły z ust jakiegoś kabałisty, wypowiedział je bardzo mądry młodzieniec... Człowiek światły w naukach ogólnych i żydowskich, ukończył uniwersytet w Heidelbergu i takie bzdury plecie... Pan Bóg raczy ich wiedzieć!... Zresztą—nowe pokolenie nazbyt daleko odeszło, a może on już za stary, już nie zdoła za nimi podążyć, już nie rozumie, co się dookoła niego dzieje? Zaraz... Dopiero co w nim jakaś myśl zakiełkowała? Aj, aj, wszystko mu wypadło z pamięci — starzec przetarł ręką po czole — wszak miałem coś napisać do Luzattiego... W istocie zestarzał się... Już traci pamięć... Niegdyś za młodu jeździło się do

Lwowa, a stamtąd ze Szlojmem wpadało się do Krochmala w Żółkwi... Daleki, zamglony sen... Nachman już dawno oddał Bogu ducha, Szlojme jest rabinem w Pradze... Szlojme nie w ciemię bity... Żałuje chyba, dlaczego tak późno doszedł do przekonania, że nie należy zadzierac z całym światem, gdy można żyć w spokoju i dostatku. Zawsze bał się o swoją skórę, kierował swe kroki tam, gdzie było bezpieczniej, nie miał odwagi, inaczej bowiem, czyż mógłby człek w przeciągu dwudziestu lat jadać we Lwowie kiszkę, w dodatku tłustą kiszkę, pracować dla rzeźników. A gdy jeszcze przywdział szatę rabinicą, to już zerwał zupełnie ze starymi towarzyszami... Rabinostwo dobiło go z kretesem... Już nie może... nie wypada mu... nie przystoi... Jednakże chciały się z nim rozmówić!... Przecież rówieśnicy... U Krochmala zaczęli bywać w tym samym czasie. Latem podczas upałów leżeli w zbożu i czytali razem Woltera... Sen... sen... Kółko się obraca, kręci... Kto wie? Może kiedyś, po latach, jego krewniak, ten młodzieniec... Mordche... tak samo siedzieć tu będzie, jak on teraz i nad tem samem rozmyślać... Wieczny sen... Główkę ma sprytną. Jak dawno tu jest? Ze trzy miesiące. A już dobrze czyta po niemiecku... Niezgorzej też pojmuje rozdział z „Przewodnika dla błądzących“ Majmonidesa. Lecz poco właściwie Awrum przysłał tutaj swego jedynaka? Albo, albo... Jeśli znów chciał go posłać do „cadyka“ pocóż więc kazał mu zjechać do niego, reb Josla? Z tego „Pardesu“ już nie wyjdzie cały... Tak! — starzec wstał z fotelu, doszedł do czarnej, rzeźbionej szafy bibliotecznej i, wyjąwszy stamtąd najświeższą powieść Mapua „Miłość Sjonu“, położył ją na swem biurku—niech Mordche sobie przeczyta! Usadowił się z powrotem w fotelu, przymknął oczy i siedział tak spowity mrokiem komnaty. Z czarnych szaf bibliotecznych wzdłuż ścian, z rzeźbionych gzesów jeły czolgać się cienie, rozkładać na podłodze, pod ścianami, niby starzy znajomi.

Zgarbionego Josla nagle zmoгло znużenie i ciało jego zaczęło ciążyć ku łożu tak, jak żrały owoc ciąży ku ziemi.

— A, Joslu, jak się masz?

— Nachman?

— Nie poznajesz mnie?

— Zdaje się... umarłeś?

— Zapomniałeś snąć nauki Majmonidesa: „Człowiek osiąga nieśmiertelność duszy przez dociekanie spraw nadprzyrodzonych”

— Więc prawda to, co twierdził Majmonides...

— Prawda, prawda!...

— Więc Dawid Luzatti...

— Właśnie.. jak się miewa ten „włoch”?

— Żyje.

— Majmonides pragnie się z nim zapoznać. Codziennie, gdy wywołują imiona świeżo przybyłych, nadstawia ucha, może wymienione zostanie imię Samuela-Dawida.

— Zgotują mu piękne przyjęcie... Wystawiam sobie... Z jednej strony—Majmonides, z drugiej Ibn—Ezro, z tyłu—Spinoza... Za nimi pomniejsi! Rozdzióbią go, ha, ha, ha!

— Ach! kto tam? — Josel drgnął. Ujrzał przed sobą Felicję, zaczął przecierać oczy—zdrzemnąłem się...

— Dlaczego siedzisz pociemku?

— Pociemku?—schwycił dzwonek do ręki i zadzwonił—rzeczywiście, już ciemno!

Lokaj cicho wszedł i uklonił się.

— Ignacy, zapal światło!

Lokaj zapalił lampę olejną i zabrał się do objaśnienia świec w kandelabrach.

— Nie trzeba!—możesz sobie iść!

Felicja głąskając go po siwej głowie, żaliła się:

— Dlaczego osamotniasz się? Chodź do salonu—przyszli goście.

— A któż tam jest?

— Ci, co zawsze...
— Kahane?
— Kahane, Komarowski...
— Hrabia?—przerwał—Coż on porabia w Kochu? Przecież jest galicjaninem...

— Wszak wiesz, poco tu przyjechał.
— Chce mu się wypędzić Rosjan, nie inaczej, co?
— Czy to zła chęć?
— To szaleństwo!
— Jak dla kogo!
— Rozmawiałem wczoraj z Rudnickim, dwóch synów stracił w pierwszym powstaniu, jest tego samego zdania... Chłop, powiada, nie pójdzie!

— Kahane twierdzi—uśmiechnęła się Felicja—gdyby nawet powstanie miało się nie udać, to też należy je urządzić... Będzie jeszcze piękniej, tragiczniej..

— Ah, Ka-ha-ne — Josel z ironią sylabizował jego nazwisko— to już całkiem co innego! Wszak według niego teraz, gdy Rzym wyzwolił się od papieża, to również Jerozolima będzie wyzwolona i zwrócona żydom. Jeszcze dobrze, że nie każe żydom organizować powstańców i odbierać go zbrojnie Turkom.

— Ty ze wszystkiego szydzisz...

— Mówię poważnie — ujął Felicję za rękę—My, żydzi, jesteśmy ciekawym narodem. Albo trzymamy się zupełnie zdajeka, albo rzucamy się w sprawę duszą i ciałem, wprost na złamanie karku!

— Gdy się jest młodym—uśmiechnęła się Felicja— Czyś ty był lepszy?

Ujrzał się nagle rozbitym, starym, lecz bał się z tem zdradzić, więc zaczął głaskać Felicję, jak córkę, i prosić:

— Wybacz mi, Felicjo, czuję się dziś niezbyt.. Wejdz sama do gości, a ja się położę..

— Co ci jest?

— Nic takiego... Zmęczony jestem — pocałował ją w policzek — dobranoc.

— Dobranoc!

Wsunął się w głąb fotelu i, siedząc tak z założonemi rękoma, ze spuszczoną głową, z oczyma utkwionemi we drzwiach, za którymi znikła Felicja, doznawał wrażenia, że coś tu pozostawiła za sobą. Nagle wzruszył ramionami, jakgdyby chciał ze siebie wszystko otrząsnąć i znowu pogрузzył się w czytaniu „Fausta”.

ROZDZIAŁ V.

„Wielka Improwizacja“.

Felicja skierowała się do bocznej komnaty i, przystanąwszy chwilę z zachmurzonym czołem, z przygryzioną wargą, podobna była do krnąbrnej dziewczyny, która ma coś zrobić naprzekór rodzicom.

Czyniła sobie wyrzuty, dlaczego weszła do męża, dlaczego głaskała go po głowie, darzyła ciepłemi słowy, niby bohaterka z powieści, usiłująca pieśczołami stłumić poczucie grzechu i lęk wzbudzenia podejrzeń. Zapaliła światło i zaczęła czytać list, który wsunął jej do ręki Komarowski podczas przywitania się. Przebiegły po niej ciarki. Jeszcze zupełnie młodziutki Komarowski o blond wąsach, o niebieskich dziecięcych oczach, mówiący tak urwanie, strzępami słów, zaraz z pierwszego spotkania niezmiernie jej zaimponował. Rzadko kiedy mogła uchwycić jego myśl, skojarzyć jedno zdanie z drugim, co jeszcze bardziej ujmowało ją i stanowiło dla niej rodzaj wytchnienia po jasności, logice i równowadze, panującej w jej domu. Po pierwsze wizycie Strahl wyraził się wobec Felicji, że Komarowski przypomina rasowego cugowca, który, czując na sobie jeźdźca, już nie ustanie na miejscu. Porównanie to spodobało jej się wielce.

Nie mogła wyjść z podziwu, jak człowiek zdolny jest żyć w nieustannym olśnieniu, zachwycie, unosić się niewygasłym zapalem. Po całych dniach myślała o nim, coraz bardziej wikłając się w sieci. Na podobieństwo człowieka, który nie świadom istoty słońca, grzeje się jednak pod jego promieniami, tak Felicja czuła się szczęśliwą w obecności Komarowskiego, gdy bywał w jej domu.

Felicja wygładziła list, spojrzała do lustra i, zadowolona z matowej i spokojnej twarzy, jaka się tam odbijała, rozkwitła uśmiechem na myśl, że Komarowski błaga ją, aby czekała, że „jest jej niegodzien“, że „żydzi to najcudowniejsza rasa“, Jeszcze raz otworzyła list:

„Wierzę, iż tuż nastąpi ony czas... Ninie, tuż—gwoli nam... Świat musi być wyzwolony... Pośród onych trzech narodów, które sprowadzą Mesjasza także znajduje się naród żydowski. Żyjemy w cudownych czasach! Wierzę, iż wrychle, tuż... Padnę do twoich nóg, całować będę kroki twoich stóp, wetchnę w siebie pył ziemi, iżbyś Ty była oczyszczona, nieskalana, iżbym ja mocen był śmiało rzec—pójdź! Światłem twoich ocz wyżeniemy precz upiorne duchy, kłębiące się chmarami na ziemi. Promienistość siódmego gońca—który przez Boga zesłany z nieba na ziemię, bytuje już pośród nas—padnie na twoją głowę, anielico moja! Płomień twoich ocz tako rozgorze, iż wszystko zło na ziemi spopieli się, zaczeluści i ziemia w niebo się obróci.

Jeśli nie pójdiesz za mną, pozostanę tedy u twoich nóg i strzec Cię będę, jak wierny pies, iżby nikt nie zbliżył się do Ciebie, iżby pyłek ziemski nie spadł na Ciebie, moja Mater Dolorosa.

Ledwo wczoraj ochotny byłem oddać życie swe, iżby Rzym nie wpadł w ręce Antychrysta... Ja, którym poszedł był u boku, Austrjaków—z gwintówką na plecach, z „Petrus Apostolus Princeps Apostolorum“ na ustach gnębić niewiernych Włochów... Na jakież to koniec? Ja, wierny katolik, własnym karabinem pomogłem chrześcijaństwo wtrącić do grobu! I nikt nie śmie

plunąć mi w twarz słowem: „Antychryst”!. Kahane ma słuszność—żyjemy w cudownych czasach, stary Rzym się wyzwolił! Słyszysz? Wy—zwo—lił!

„A gdy zestarzeję się i już więcej nie będę silen, iżby leżeć u twoich nóg, rozedrę tedy własne serce i na skrwawionych strunach, na krwawej gęździe zagram przed tobą taką melodię, iżby wszyscy wokoło oszaleli—iżby dziadkowie przekazywali pamięci wnuczków, iż ongiś żył nieszczęsny hrabia Komarowski i cierpiąca Felicja... O, gdybyś Ty znała Komarowskiego! Gdybyś znała moc jego czucia! Gdybyś wiedziała, co znaczy ród czterdziestowiekowy! Za twoim trenem, Felicjo, za twojemi czar-nemi warkoczami, ciągnie się czterdzieści wieków! Czter-dzie-ści wie-ków! Chylę przed wami swą grzeszną, schorzałą głowę! Tak mi źle bez ciebie, tak źle, aniele mój... Czekam, iżby Polska mnie co skorzej wezwała... Póty tłukę jeno głową o ścia-nę—milczę i czekam...”⁷

Listy Komarowskiego doprowadzały ją do utraty zmysłów, tak jej w głowie przewracały, iż traciła grunt pod nogami. Frazes o tem, iż ma ona poza sobą ród czterdziestowiekowy, ród starszy od pierwszego króla polskiego, wrył się jej w pamięć piętnem niezatartem. Oto jakim jest Komarowski! Pomimo to nie miała doń zaufania i nie sprowadzała rozmowy na ten przedmiot, choć czasem, gdy już podejmowała ten temat, Komarowski starannie go wymijał. Na pierwsze wezwanie poszłaby za nim, nie doznając wyrzutów sumienia, bo nie widziała w tem nic zakazanego, ani nie myślała przy tem o rodzicach. Z powodu bankruc-twa sprzedali ją, wydali za dziadka, nawet nie za dziadka, gdyż, dziadka kocha się, lecz za surowego, mądrego wuja. Miałaby się nad nim litować? Wprawdzie považala swego męża, nieraz żywiła wobec niego skrupuły, czuła się winną. wtedy obdarzała go pieśczo-tami i—znosiła cierpienia. Lecz wogóle rzadko kiedy zaprzętała sobie nim głowę.

Komarowski dziś właśnie wyjeżdża, a ona pozostanie z

niczem? Czemu nic nie mówi? Nie wytrzyma rozłąki, nie puści go od siebie. Odruchowo spojrzała na swą rękę: na pierścionku zwiisał biały orzełek. Powiodła wzrokiem dokoła, jakby w obawie, że ktoś podchwyci jej myśli. Takby nie chciała pozostać sama w tym wielkim, cichym domu. Kahane? Krasnopolski? I kto jeszcze?

Wzruszyła okrągłemi ramionami — na jej ciemnej twarzy rozwłóczyła się obojętność. Niejednokrotnie zauważyła, iż w obecności Komarowskiego młodzieńcy żydowscy zmieniali się na twarzy i w obejściu, jakby było dla nich wielkim zaszczytem, iż hrabia toczy z nimi rozmowę. Złościło ją to i z tego powodu niemal znienawidziła Krasnopolskiego. Chasydzki młodzieniec, Mordche, który u nich zamieszkał, już daleko więcej się jej podoba — patrzy każdemu wprost w oczy, czerwieni się i jest prawdomówny. Lecz niema za to manier, obejścia, nie umie się trzymać w towarzystwie i czemu tak ciągle wlepia w nią swoje oczy?

Przypomniała sobie, że w salonie pewnie czekają na nią. Jeszcze raz przejrzała się w lustrze, wsunęła list za gors i z ożywieniem weszła do salonu:

Przepraszam niezmiernie... Przebaczyście mi, panowie, żem waś zostawiła samych...

— Zapewne—hrabia się uklonił.

— Czy pani wychodziła?—odezwał się Kahane i nie czekając na odpowiedź, prowadził dalej żywą rozmowę z Komarowskim. Felicja nic nie odrzekła. Stanąwszy przed pianinem dobyła kilka akordów, potem zwróciła się z uśmiechem:

Panie Kahane, czy nie zdarza się czasem, że pan siebie samego szuka?

— Co pani przez to myśli?

— To znaczy—odezwał się Krasnopolski, że [gd]y człowiek błąka się na grzesznym padole, a głowa jego buja w niebiosach to nieraz może zgubić nogi...

— Świetnie, świetnie!

Krasnopolski dobrze nastrojony wsadził binokle na krótki nos i począł pobąkiwać jakąś piosenkę brukową, którą przywiózł na wakacje z Paryża:

Mo'ssien c'est m'u'amant — — — — —

— Daj pan spokój z tą piosenką — Felicja osunęła się leniwo na taburetkę.

— O, pardon, madame, ukłonił się po frantowsku.

Mordche siedział przy stole zaploniony, rzadko brał udział w rozmowie. Wszystko było tu dlań nowe.

Dopiero co widział, jak z tym samym zapalem, z jakim on opowiada o „kockim“, goj mówił o jakimś Towiańskim, którego dwanaście zasad przed chwilą właśnie odczytał. Miał nawet ochotę odezwać się, że Towiański nic nowego nie odkrył, owe dwanaście zasad to nic innego, jak urywki z „kabały“, że to nic nowego, nie mniej jednak czuł, że w recytacji Komarowskiego brzmi to zgoła inaczej i zdawało mu się, że mógłby tak słuchać młodego goja przez całą noc.

Ognisty miecz „Zoharu“ zmienił się w jego oczach na ostry, stalowy miecz, który ujęła ściśnięta pięść muskularnej ręki.

Widział przed sobą Towiańskiego, starego, obrośniętego goja z torbą na plecach, z sękatym kijem. Zupełnie taki sam jak Paweł, którego sobie niegdyś wyobrażał.

Stało się dlań jasnym, że hrabia nie jest jedynym zwolennikiem Towiańskiego i że w Polsce istnieją chyba tysiące takich jak on, Mordche, niezadowolonych. Zakołysał nim gorzki żal i, nie przysłuchując się więcej rozmowie, wodził wzrokiem po miedziorycie z wizerunkiem Felicji, wiszącym na ścianie. Serce jego wezbrało wdzięcznością, że znajduje się z Felicją pod jednym dachem. Ubóstwiał ją, nigdy nie myśląc o niej tak, jak siedm-nastoletni młodzieniec myśli o pięknej kobiecie. Tkwiła w nim pewność, iż jest ona inna, niż wszystkie kobiety, iż jest — Felicją. Nigdy mu przez głowę nie przeszło, aby można było w stosunku

do niej zastosować słowo „cielesność”. Ilekroć rozmyślał nad „niched” — „sam na sam z kobietą”, stawała przed oczyma jego niewieścia postać, spowita w niebiańską jaśń — „szechino”. I powoli zaczął w siebie wmawiać, iż widzi wtedy nie postać zwykłej kobiety, lecz tęsknotę, wyglądającą z oczu Felicji.

Tocząc wzrokiem po miedziorycie, czuł, że w sercu coś mu łomce, wrywa się, jak uwięziony ptak, zaś nad nim kołują strzępy jakiejs gorącej rozprawy, słowa bez formy, bez treści, które, opadając, piętrzyły się w stos. Nie miał siły dla skojarzenia zdań nad nim rozklebionych, z żalu rzuciłby się na ową górę słów, aby ją czołem przebić, a młode serce chłopca ociekało łzami, pławiło się we krwi...

Komarowskich już nie zadowala dawna wiara, szukają tedy nowej. Aliści obiedwie wiary to jeno osierocona myśl, zrodzona przez ból żydowski, myśl, której nie dane było „oczyszczenie i ukojenie”. Jeśli już dopięliśmy najwyższych szczytów, dlaczegoż więc nie spadamy teraz — na złamanie karku, na zgruchotanie wszystkich kości? Teraz nikt już nie musi zacząć od początku.. Od nas czerpią pełną garścią.. Przychodzą do gotowego.. Ktokolwiek chce, bierze od nas, bezboleśnie dla siebie wydiera nam cząstkę naszej istności, pozostawiając jątrzącą się ranę, a potem za pomocą miecza wyzwala świat! Jakąż wartość stanowią owe „dwanaście zasad”? Przecież to iskra w porównaniu z płomiem jaki w nas gore! Miecz... My, gdybyśmy umieli dzierżyć w dłoni miecz, tak mocno, aby ręka nie drgnęła, aby serce nie zadygotało..

Od pierwszej chwili Mordche był zakochany w Kahanem. Po raz pierwszy w życiu spotkał wykształconego żyda, który liczy się z chasydyzmem. Kahane przyrównywał chasydów do Esseńczyków, widział w nich protest ducha żydowskiego przeciw skrzeplej literze zakonu. Nie forma, nie kształt jest rzeczą najważniejszą, jeno duch, który ten kształt stworzył. Tym duchem zaś jest chasydyzm. On, żyd Kahane, wpłynął na hrabiego, który

powolny nauce Towiańskiego, stanął już na uboczu ruchu, zmierzającego do wyzwolenia Polski i dzięki niemu Komarowski rzucił się w wir pracy duszą i ciałem.

Krasnopolskiego Mordche nie znosił, nie mógł wierzyć, aby ten frant, chełpiący się, że mówi po polsku bez najmniejszego akcentu żydowskiego, był wnuczkiem reb Lajbusia „Charyfa”.

Krasnopolski nudził się w Kocku, nie miał towarzystwa do tańców, pragnął, aby wakacje co prędzej się skończyły i przynosił codzien Felicji białe róże.

W przeciągu tych trzech miesięcy Mordche przedziergnął się w innego człowieka. Bardzo wiele w tym względzie miał do zawdzięczenia swemu krewniakowi, reb Joslowi Strahlowi, który nim się zajmował, rozwijał jego umysł, rozprawiał z nim, gawędził i dawał mu książki do czytania. Coraz rzadziej chodził na „dwór” cadyka, coraz mniej widywał reb Iciego i coraz bardziej uświadamiał sobie, że dotąd żył w cieśni.

Służący wszedł bocznymi drzwiami i uklonił się:

— Kolacja na stole!

— Panowie — Felicja wstała — prosimy do stołu!

— Nie wiem, czy jest szalbierzem — Kahane powstał z krzesła — lecz jeśli polak może być przeciwny wyzwoleniu Polski..

— Chce wyzwolić cały świat! — Komarowski mu przerwał.

— Cóż mi po całym świecie? — Kahane schwycił Komarowskiego za rękę — nasi renegaci twierdzą to samo! Trzebaż wam więcej? Przecież Mickiewicz rozszedł się z nim na tym punkcie! Jeśli znów ubóstwiacie tak jego naukę, to muszę wam powiedzieć, że to nie jest wcale jego nauka, że przez to wyrzadzacie krzywdę tak wielkiemu polakowi i myślicielowi, jakim jest Hoene-Wroński! Już nie wspomnę o ustępach, wziętych z kabały! A jakże wyjaśnicie jego politykę światową? Chęć przyciągnięcia i papieża i Rotszylda, myślę — milionów Rotszylda?

— Przecież to był ruch światowy! — Komarowski przerwał mu.

— I pan to mówi? — Kahane parsknął śmiechem — dwaj profesorzy, mistyk Pierre Michel i jakiś histeryczny francuzina z dzielnicy łacińskiej — to pan nazywa „ruchem światowym”?

— A wśród żydów?

— Wśród żydów nauka Towiańskiego nie mogła liczyć na powodzenie, nawet przemówienia Mickiewicza w bóżnicach na nic się nie zdały. A wie pan dlaczego? Dlatego, że każdy chasyd, ot ci zwiędli, zmiętoszeni żydkowie z pejsami — wszyscy oni są towiańczykami. Nie czynią z tego „sprawy”, gdyż mają to we krwi! Owych zaś żydów, którzy przystąpili do Towiańskiego, to przecież można ich na palcach policzyć... Adjutant jego Gerszon Ram jest zwykłym sobie wyrzutkiem a — ci polscy którzy zwą się „cadykami”, to byli belferzy i wysłużeni, mikoła, jewscy żołdaci.

— Proszę na kolację, proszę — Felicja pierwsza weszła do jadalni.

— Patrzcie, jak Kahane się gorączkuje — Krasnopolski zwrócił się do Felicji, przedrzeźniając jego ruchy

— Zato pan nigdy nie jest poważny — Felicja wskazała gościom miejsca — niech pan weźmie przykład z Kahanego!

— Boję się stracić włosy — Krasnopolski roześmiał się głośno.

Kahane odruchowo przyłożył palec do głowy, na której można było przeliczyć wszystkie włosy z powodu ich rozrzedzenia i uśmiechnął się do Felicji:

— Uważa pani, życie jest systematyczne. Gdy się ma za dziadka reb Lejbusia „Charyfa”, którego żydzi polscy nazywają „żelaznym mózgiem” to wnuczek może już wcale nie mieć mózgu — a to dla harmonji, uważa pani... Zresztą nie należy nazbyt bezczęścić ani dziadka ani wnuczka, coś musi się dostać też Komarowskiemu — nieprawdaż?

— Prawda, prawda — Komarowski klepał Kahanego po plecach, nalewając sobie szklanę wina — ostro powiedziane, ostro! Cudowny naród — żydzi! Towiański ma rację, gdy twierdzi, że francuzi posiadali tylko jeden świetlany punkt, to jest Napoleona, który błysnął i grzmotnął, rozproszył ciemne duchy, co obsiadły serce ludzkie, stępiły mu mózg. A takich świetlnych punktów żydzi mieli i mają co niemiara! Piję za zdrowie cudownej rasy żydowskiej!

Szklanki wina zabrzączały i zabrano się do jadał.

Mordche spostrzegł, iż zza gorsu Felicji, gdy nachyliła się nad lampą, aby odkręcić nieco knot, wypadł list. Chciał się schylić, aby go podnieść i zwrócić Felicji, lecz odruchowo postawił na kopercie nogę, rozejrzał się dokoła, czy nikt tego nie zauważył i spłonął rumieńcem. Nie słuchał więcej rozmowy. Pewien, że wszyscy spostrzegli, czuł, iż skrawek papieru go pali, bucha nań płomieniem. Wszyscy spostrzegli i pewnie mają go za chama! Przecież tylko chłop w szynku, gdy ktoś upuści monetę, stawia na niej nogę! Tak postępuje jedynie cham! Walczył ze sobą, że powinien podnieść list i zwrócić go Felicji. A może to jej tajemnica, może nikt nie powinien o tem wiedzieć? Myśl ta uspokoiła go i nie poruszył już nogą do końca kolacji. Gdy wszyscy przeszli do innego pokoju, prędko ukrył list do kieszeni i nieśmiało podążył za gośćmi.

Felicja grała nucąc:

„Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,
„Co to będzie, co to będzie?

Mordche nie rozumiał tych słów, nie wiedział, co znaczą, pomimo to powtarzał je za Felicją szeptem i nagle, jakby skroś tych wyrazów, wyłonił się przed nim dom w lesie, przypomniał sobie rodziców, Rachelę, reb Iciego... Zaczął się przyglądać Felicji wzrokiem coraz uporzyczszym. Jej długie, białe palce skakały po klawiszach i Mordche coraz bardziej czuł się jej bliż-

szym i bliższym... Tony ściszyły się, zawisły w powietrzu złane z półmrokiem pokoju. Mordche nastawił ucha—czy tony jeszcze brzmią?

Głos hrabiego mistycznie dźwięczał:

„Mąż straszny... ma trzy oblicza,

„On ma trzy czoła...
— — — — — — — — — —

„Z matki obcej, krew jego dawne bohaterzy.

„A imię jego — czterdzieści cztery!

Mordchemu słowa te były skądś znane, lecz nie mógł sobie przypomnieć, gdzie je czytał. Czyżby je rzeczywiście gdzieś czytał? Czyż nie jest to czasem ustęp w „Medraszu,” z opisem Antychrysta, który ma się narodzić w Rzymie z trzema czołami?... Skąd o tem wie ten goj, ha?

— Przepraszam, panie Krasnopolski, co pan hrabia teraz deklamuje?

— Przecież to „Wielka Impowizacja”!

— Co?

Krasnopolski nie odpowiedział. Zaległa cisza. Słowa toczyły się szybko, wartko i, spadając piętrzyły się, jak góra za górą. Każdy czuł się wobec tych strzelistych gór małą, nikłą istotą i kurczył się, przytulony do swego krzesła. Słowa jak ogniste błyski wrzynały się Mordchemu w mózg, pootwierały w jego duszy wszystkie rany, dotąd jakby zasute pajęczyną. Nie wiedzieć czemu, ujrzał nagle przed oczyma reb Mendele, uwięzionego w swym pokoju, przykutego do miejsca. Oto rwie się ze wszystkich sił, krzyczy, żali się przed Panem Bogiem, a tysiące oczu śmieją się zeń, szyczą, że słaby, połamany człeczek bieży po zawartej komnacie i walczy z wiatrem.

— Kahane! — Mordche spojrział w stronę hrabiego, lecz nikogo nie dojrzał.

Kahane siedział na środku pokoju, mówił szybko, nerwowo, jakby się niezmiernie spieszył i obawiał, aby mu nie przerwano. Słowa mu się męły w ustach, z impetu porwał się z miejsca i pomagał sobie za pomocą żywej gestykulacji rąk:

„ — — — Dosyć mu było przymknąć oczy, aby ręce rozrosły się, jak skrzydła, i wyciągnęły w niebiosa. Ledwie palcami, poruszy, wyblyskiwały gwiazdy, które — gdy zechciał — gasił, gdy zechciał — zapalał i ciskał jedną na drugą, kładł swe dłonie na gwiazdach, jak na ognistych klawiszach, czując, iż mocen jest stworzyć, „byt z niebytu“, zburzyć światy, iż nie ma nad nim wyższej władzy, iż to, co tworzy pierwej nie istniało, nie mogło istnieć, poczęte zostało samo przez się, albowiem nigdy nie stąpa za nim cień.

Wszelakoż nie czuł się szczęśliwym, albowiem świadom był, iż gdyby nawet w ciągu sześciu dni stworzył świat jakowyś, nikt mu nie uwierzy, gdyż nie stąpa za nim cień, któryby ludzi mamiał obietnicą, że mocen jest w każdej chwili kamienie na ulicach i traktach, głązy w lasach i pustyniach w chleb zamienić!

To zaś stanowi rdzeń rzeczy! — — — — —

Słowa wrące, płomienne z impetem rwały się z ust Kahanego, padały na jego własny naładowany mózg, jak bryzgi ognia, wywołując tam eksplozję. Otwierały się w nim coraz nowe zakamarki i zakąty świadomości, tryskające ukropem świetlistych myśli, jednocześnie zaś jakgdyby oślepiiony tym wybuchem, stał z otwartymi ustami, tracąc wątek słów i szukając wyjścia ze swych myśli, splątanych nagle w matnię. Tysiące płomyków zestrzeliły się w olśniewające kolisko, zwodząc go na manowce, a za tym otokiem blasków, niby skroś tiulowej opończy tam i sam przedzierała się głęboka modrość, wśród której — żeglował okręt.. Na okręcie zaś omglone oczy Kahanego widziały gromadę żydów — „niewiernych“, skazanych na wieczne piekło.. Słodkimi słowami, jadłem i napojami stojący obok nich księża pragnęli zbawić ich duszę, ściągnąć dla nich zmiłowanie Pańskie. Za-

twardziali w grzechu, krnąbrni, którzy nie chcieli dać posłuchu, iż On zginął za grzechy ludzkości — zostali potopieni, dobrzy zaś, ci, na których serca padło słowo boże, jak deszcz letni na wyschlą glebę, oddali się Jemu z tyłą miłości, iż stał się cud — nogi i serca ich ociekły krwią! Gwoli wielkiej miłości, iżby ci nowi święci zrazu wstąpili do Raju, iżby już więcej nie mogli zaprzedać duszy Antyehrystowi, zaczęto ich wrzucać — jednego za drugim — do morza. Gwoli wielkiej miłości.. Gwoli wielkiej miłości — — — — —

Wszyscy w salonie wrazili spojrzenia w Kahanego, który wciąż stał z otwartymi usty, z oczyma zbiegłymi w głąb czoła, jak stężały w męce. Przeszło kilka chwil. Ocykał się z omamienia. a jednocześnie w umyśle jego mroczyły się nowe majaczenia, Nie mógł pojąć, czemu to odświeżył mu się w pamięci i odsłonił przed nim jakiś epizod z wygnania żydów z Hiszpanji. Przecież to nie jest w żadnym związku z tem, co przed chwilą mówił, ani nie skojarzone z całą rozmową!

Chciał usiąść, lecz nagle ujrzał na ścianie cień Mordchego. Tchnęło nań jakieś uspokojenie, kłęb myśli i uczuć, jakby się rozesnuł i opadł. Westchnął, przypomniał sobie, na czym urwał, i, ująwszy oburącz za krzesło, cichym głosem ciągnął dalej:

— — — Z rozbitą duszą sunął ulicami miasta, widział, że place czernią się od mrowia ludzkiego i bolał w sercu, że nikt nań nie zwraca uwagi.

Jakiś człowiek całkiem doń podobny stąpał za nim krok w krok. A gdy odwrócił się i spojrzał na nieznanomego, wstrząsł nim dreszcz. Nieznajomy wyprężył się, ścięnczył swą postać i wspiął się na ścianę.

— Czego chcesz?

Nieznajomy zmiął się w kłębek i, kiwając głową, potrząsając rękoma i nogami, podobny do psa, gdy pan go przepędza, uśmiechał się pokornie:

— Nie poznajesz mnie?

- Nie!
- Wszak jestem twoim cieniem!
- Kim jesteś?

Cień rzygnął śmiechem, wydłużył się i zeskoczył ze ściany. Czołgając się za nim, jakby chciał zaplatać się między jego nogi, mamrotał z uśmiechem coraz pokorniejszym:

— Widzę, że błądasz się błędnym krokiem po ulicach. Dręczy cię boleść, żeś tu nikomu nie znany, mieszkasz w lochu piwnicznym, zaś żona twoja i dzieci przymierają głodem... Zali to nie prawda?... Czemu tak drżysz?... Czyż w istocie nie poznajesz mnie? — — — — —

Głos Kahanego jeszcze bardziej zcichł i zbladł. Czuł, że stracił rytm, nie tak chciał opowiedzieć, nie to... Pierwej, gdy się zagmatwał, powinien był usiąść... Takich rzeczy nie wysysa się z palca... Tak opowiedzieć każdy potrafi... Przecież to nic innego, jak literatura... I w miarę, jak mówił, coraz bardziej wydawało mu się, że słowa jego ciągną się, jak smoła, że powinien co prędzej przerwać. Lecz ogarnęła go taka niemoc i bezradność, iż nie mógł się na to zdobyć, więc snuł dalej swoją opowieść:

„ — — — Jeśli masz wolę po temu, oddaj mi się na chwilę, a twój loch piwniczny w zamek się zamieni, najpiękniejsze kobiety szczęśliwe będą, gdy obdarzą cię rozkoszą, młodzi i starzy z radością torować ci będą drogę, szepcząc sobie do ucha, że ty idziesz. Czemu tedy milczysz?

Stał jakby osłepiony... Ledwo skinął głową: „tak!” — i oto na ulicach czerniawa ludzi zakotłowała się dokoła niego. Wszyscy chylili przed nim głowy, wznosząc okrzyki: niech żyje mistrz!... niech żyje nam długo!...

A gdy przesycił go dobrobyt, obmierzli mu ludzie, wtedy stęsknił się za samotnością, pragnął jeszcze raz zaigrać gwiazdami, miotać je, gasić i zapalać stokrotnie, osiąść moc, by stworzyć

byt z niebytu⁴. Aliści spostrzegł, iż zbyt drogo zapłacił za chleb i żonę. I wpadł w rozpacz.

Z męki zawarł się w komnacie i nie chciał widzieć ludzi. Wszelakoż cień nie opuszczał go ani na krok. I w jakimkolwiek schronie ukrył się, aby przebywać w samotności ze swoją niedolą, wyrastał przed nim cień, który mącił mu spokój ducha. Ze łzami w oczach błagał go:

— Czemu ciężysz nademną, przytłaczasz mnie jarzmem? Jesteś mi obcy, nie rozumiem twojej mowy, zostaw mnie w spokoju!

— Człowiecze!—cień wyciągnął się na ścianie—gdybyś się chwilę zastanowił, to pojąłbyś, że płonne twe biadanie i próżne twe szlochanie. Miałeś moc, by kamienie w chleb zamienić—azali uczyniłeś to? Nie! Tęskniłeś za mną, byłeś nieszczęsny, iż ludzie, którzy ci teraz obmierzli, nie głoszą twojej sławy. Czego tedy chcesz? Mogę cię teraz osadzić w lochu więziennym, zamordować — nikt się nie będzie o to troskać i nikt nie da też wiary! Toć oddałeś mi się! Zamieniłeś się ze mną! Więc zniewoliłem twoją moc, którą chciałeś tworzyć „byt z niebytu”. — — —

Za oknem rozlegały się głosy ludzi i tupot kopyt. Mordche obudził się z zadumy. Przewinęła mu się myśl: goście już odjeżdżają. Wyjął z kieszeni zgnieciony papier, uprzytomnił sobie, że nie należy czytać cudzych listów, że to bardzo brzydko i — gorączkowo wchłaniał słowo za słowem. Nic nie rozumiał, łowiąc pojedyncze wyrazy, zdania. W głowie mu coś zaczęło świtać... Ze drżeniem, jakby ktoś zamierzał porwać mu z pod ręki najdroższą rzecz—zgniół z powrotem list i, stojąc chwilę z rękoma u skroni, jakgdyby nieszczęście nań spadło, powoli wracał do równowagi. Skierował się ku wyjściu. Naprzeciw niego nadeszła Felicja.

- Pani to zgubiła—Mordche podał jej zmięty list.
- Co?—otworzyła list i zbladła—czy pan czyta⁵?

— Tak!

Spojrzenia ich zwały się przez chwilę i razem spuścili oczy.

— Pan będzie milczeć—prawda?

— Pani chce, abym milczał?

— Tak!

Zbliżyła swą miękką, wąską dłoń do jego warg.

— Dobranoc!

Pocałował. Po raz pierwszy w życiu czuł, że wargi mu płoną. Wszedł do swego pokoju i w ubraniu rzucił się na łóżko.

ROZDZIAŁ VI.

„Nagroda i kara“.

Przez dłuższy czas leżał na łóżku z twarzą wciśniętą w poduszkę. Jak człowiek, ugodzony nagłem nieszczęściem, słupieje, tak Mordche zdრętwiał z nadmiaru cierpienia.

W jego świadomości ocalała jedna myśl: dzieje się tu wielka krzywda. Nie mógł sobie jednak wyklarować przeciw komu krzywda jest skierowana, gniewało go, że siedzi w nim jakaś istota znarowiona, krnąbrna, podszeptująca mu, że jego obowiązkiem jest opowiedzieć o wszystkim Strahlowi. Raz p^o raz, gdy całym wysiłkiem przytomności brał się w karby i, okrzepiwszy wolę, nabierał pewności, że dotrzyma słowa, przed oczyma jego wylaniała się Felicja w objęciach Komarowskiego. Wtedy wszystkie ślubowania obracały się w niwecz, nieokielznany gotów był nie cofnąć się przed niczem i wszystko w nim ryczało z bólu.

A gdy gniew się w nim przepalił, leżał dalej wyczerpany, z pustką w sercu, jakby ktoś stamtąd przed chwilą umknął, zostawiając za sobą smugę powietrzną. Mordche nagle uprzytomnił so-

bie, że takiego uczucia doznawał, gdy ojciec i pachciarz napadli nań, odebrali mu Rachelę i zostawili go samego nocą w lesie.

Zżymał się, dygotał i rwał zębami poduszki. Zaś owa krnąbrna istota, która siedziała w głębi jego duszy na dobitkę jeszcze drażniła się z nim, że nie jest lepszy od Komarowskiego, że nie idzie tu zgoła o Strahla, że to służy mu jedynie za pozór, za samoułudę—toć nie na próżno człowieka karmią od wieków „sprawiedliwością“, więc chwyta się jej nieświadomie, nawet wtedy, gdy popełnia przestępstwo.

Wzdrygał się, kurczył, czuł, jak mu krew w żyłach płonie, wre. Nienasycone pożądania szamotały się w nim, rzęziły, wyły, jak głodne, obłąkane psy.

Mocen był zdruzgotać każdego, koby mu stanął na przeszkodzie. Nie zaprzęgnie się w jarzmo, nie da się złamać! Niech tylko zechce, niech jeno rękę wyciągnie, a wszystko, co napotka na drodze będzie doń należało!

Płomień szerzył się w jego ciele, wspinał się wzwyż, sięgał już gardła, ciskał się do mózgu. Potem żądze roztopiły się ołowiem po wszystkich członkach i w niemocy przykuły go do łóżka.

Wreszcie nie mógł już dłużej uleżeć, zeskoczył z łóżka, otworzył okno i wysunął rozżarzoną głowę. Owiał go przenikliwy, listopadowy chłód. Już dniało. Tam i sam zwoje światła przedzierzgały oćmę. Po dłuższem wpatrzeniu się, spostrzegł, że mrok się łuszczy, prześwieca siwemi kosmykami światła i powoli pierzcha, a z pomiędzy krawędzi, okalających czerwone plamy, wyluskuje się głęboki błękit. Tu i owdzie rozkwitają paki światła, i roztulają się drżące. Na kogo zaś spadnie płatek światła, zapatrzy się i, przesiąknięty tym błękitem, staje się piękniejszym, jakgdyby cał, że ma w tem wszystkim także swój udział.

Rozległ się szmer kroków. Jednym skokiem znalazł się za oknem, nastawił uszu i, zacisnąwszy pięście, powiódł wzrokiem

dokoła. Dyszała cisza. Kogut zapał, rozdygotał ciszę, za nim drugi, potem trzeci, jakby za wspólną namową.

Wilgoć trawy sączyła mu się w stopy. Wyprężony z zimna z powrotem wlał oknem do pokoju. Chciał zasnąć, zasnął kołdrę na głowę, lecz wnet się rozgrzał, wskutek duszności odkrył się, cały pałając.

— Cóż mi do tego? A niech sobie biją głową o mur! Mojaż to rzecz? Że ona grzeszy? Wszak dlatego istnieje „nagroda i kara“!

Uśmiech przewinął się zygzakiem po jego wargach.

Niedalej, jak wczoraj reb Josel rozprawiał z nim o „wolnej woli“, jak również o „nagrodzie i karze“ wedle wierzeń żydowskich. Dowodził mu, że „nagroda i kara“ są nierozdzielne od życia, jeżeli ktoś popełnia grzech, to natychmiast zostaje mu wymierzona kara. I z jaką pewnością starzec to twierdził, dziwiąc się Majmonidesowi, który głosił, iż sprawa „nagrody i kary“ należy do rzędu „rzeczy nie podlegających rozumowi ludzkiemu“.

Kto wie? Może teraz, gdy on nie może zasnąć, cierpi, iż wyrządzona zostaje krzywda, głowi się nad „nagrodą i karą“ — w tej samej chwili może Komarowski jest przy niej?

Gdzież więc kara?

Komarowski odejdzie rano zmęczony, niewyspany, ze strzykaniem w kościach?

Może...

Lecz za co on, Mordche, tak cierpi? Wszak znosi daleko większe katusze, niż ów polak!

Zali za grzeszne myśli swoje?

Za czyjeż tedy grzechy cierpiał Lajzer—krawiec, który na święta szył mu kapotę?

Lajzer żalił się przed nim, iż nie starczy mu dnia, haruje po nocach, gdyż każdy klient żąda, aby ubranie było gotowe na święta. Ledwo stał na nogach, skrzypiała w nim każda kość, jakby ciało miało mu się rozsypać...

Za czyjeż grzechy on cierpiał?

Za czyjeż ?

Przełakł się własnej myśli, czuł, że na tem miejscu przerywa się pasmo i rozwiera przepaść. Leżał z otwartymi oczyma, utkwionemi w tej mrocznej otchłani, która się przed nim rozwierała. Przyszła mu naraz chęć przeskoczenia tej przepaści choćby kosztem skręcenia karku.

Wszystko w nim chyliło się we czci przed reb Mendele, Ogarniał wielkość jego męki, zdumiewała go moc, z jaką „cadyk“ pasował się ze sobą samym, chciał rozproszyć mroki przed ludźmi, a gdy poszedł ku nim, nie mogli oni znieść jego ognia, zamknęli oczy i nie spoczęli w wściekłym gniewie tak długo, aż nie zawarli go wraz z jego ogniem w więzieniu.

Gdzież nagroda dla reb Mendela?

Coś w nim płonęło, gasło. Zdawało mu się nagle, że ciało, jego obwiązane jest rzemieniami z tefilin. Więc zaczął je szamotać, rwać paznogciami, zębami, jak obłąkany. Gmach, odziedziczony od dziada pradziada, od wieków prawieków, począł się chwiać u podstaw, zarysowywać ze wszystkich stron, padać, a ogień szalejący w nim ogarnął ruiny, które rozwłókniły się, jak zmielona słoma. Mordche czuł, że otrząsa się ze starej spuścizny, wyzwala się i przedzierzga w innego człowieka.

A gdy ogień się w nim rozedmie, z taką siłą rozedmie, iż nawet z ruin nie pozostanie śladu, cóż wtedy?

Cóż ?

Wtedy Komarowscy już więcej . . .

— — — — —
— — — — —
— — — — —

ROZDZIAŁ VII.

Gdyby choć mieć pewność...

Nazajutrz, gdy Mordche obudził się ze snu, strzeliła mu do głowy myśl, że najlepiej będzie wyjechać z Polski. Nie miał, żadnego planu, jak również nie zastanawiał się nad tem, skąd wydobycie pieniędzy—pálał tylko jedną chęcią: wyrwać się z tego otoczenia. Z każdym dniem myśl ta coraz bardziej w nim dojrzewała, gdyż w domu Strahla było mu coraz ciasniej. A gdy stykał się z reb Joslem, słuchał jego uczonych wyluszczeń, patrzył w jego oczy pełne mądrości, to całkiem się tracił, nie rozumiał ani słówka, myśląc jedynie o tem, że Felicja go zdradza że ubranie zwisa na jego^o starem, wychudłem ciele, jak worek, że lada chwila może się on rozsypać wraz z całą swoją mądrością. Przyląpawszy się na takich grzesznych myślach, zupełnie unikał spotkania ze Strahlem. Felicja zaś coraz bardziej się doń zbliżała i coraz większą obdarzała go przyjaźnią. Wzięła go pod swoje skrzydła, przyczem nie ukrywała tego wobec gości w salonie. Chasydzki młodzieniec powoli przestawał oblekać się białością i oblewać rumieńcem, kiedy podsuwała mu swą białą dłoń o wiotkich, podłużnych palcach. Gdy całował jej rękę, miał ochotę rzucić się na nią, przełamać jej gibkie ciało—wszak kto inny to uczyni!...

Bardzo rzadko przebywał w domu, po całych dniach waleśsał się z chasydzkimi birbantami, z Danijelem Eibeschuetzem i, nie cofając się przed niczem, druzgotał i odrzucał wszystko, co mu stawało na przeszkodzie do nasycenia wygłodniałego ciała. Trwało to jednak niedługo. Częste spotkania z Kahanem, narzębyt burzliwy tryb życia rychło go otrzeźwił. W przeciągu krótkiego czasu schudł, matowa twarz stała się bardziej koścista, w jego siwych, rozmarzonych oczach skrzył się cichy ból, dawniej

nieobecny, a teraz przyciągający ku sobie wszystkich i wrzynający się każdemu w pamięć.

Obojętnie włóczył się po „dworze“, nie słuchając więcej nauki reb Iciego, gdy ten „głosił Torę“. Przebywał, jak swojak, u reb Mendele — w domu Duwidł siedział wśród „wybrańców“, gdy Danijel mówił o „tajemnicach miłości“ i „Macierzy“ z „Miniatury Bożej“ — uśmiechał się na widok łóżek w mieszkaniu Danijela, ustawionych z południa ku północy, aby podczas „obcowania“ z żoną nie dopuścił się uwłaczania czci Pana Boga, którego droga jest ze wschodu na zachód — grywał z Rywkele w szachy, przyczem zauważył, iż dziewczyna drży w jego obecności, rumieńce na jej policzkach igrają żywiej. Mówi o swym dziadku reb Mendele z wielkiem poważaniem i miłością, wierzy, że każdy człowiek powinien czegoś dokonać i że życie to nie igraszka ani rzecz przypadku. Szesnastoletnia dziewczyna w prostocie serca i radosnej skromności czekała na ów dzień, w którym będzie mogła życie swe oddać, złożyć siebie w ofierze, aby dalej snuła się nic wieków i pokoleń, aby utrzymany został starodawny ród. Ujmowało to niezmiernie Mordchego. Wierzył, że przy Rywkele byłby szczęśliwy, że ta cicha dziewczyna kocha go, że tamta o długich, białych palcach nie umie kochać, że... Prawie codziennie widywał się z Rywkele, doszukując się w niej i odnajdując jakieś podobieństwa do Felicji.

W tym samym czasie Komarowski przyjechał do Kocka na kilka dni. Mordche przekonał się teraz, że jego uczucia dla Rywkele to złudzenie, że wmawia w siebie miłość ku niej, bojąc się pustki własnej duszy, którą chce czemś wypełnić, że prawdziwie tęskni tylko za Felicją i nie może bez niej żyć. Przejrzał, iż Rywkele jest tylko piórkiem, które miękkim muskaniem pragnęło obudzić go ze snu, wyrwać z kręgu marzeń.

Jednakże piórko najbardziej lekkie, lotne i rozkoszne w chwili, gdy wytrąci człowieka ze sfery marzeń, obudzi z letargu, to jednocześnie wydziera go z pewnego świata, przecina wszyst-

kie nici, przenosząc go do nowego świata, nie mającego z dawnym nic stycznego. Lecz Mordche był nazbyt znużony, aby rozpocząć nowy żywot, aby przestąpić próg nowego świata, więc jednym tchnieniem zdmuchnął z siebie to piórko—nie przychodził więcej na „dwór“. Śledził Komarowskiego i Felicję, podслуchiwał ich rozmów i bił głową o ścianę. Z niezmiernej męki zamknął się w swym pokoju, całemi godzinami wyglądał oknem, patrzył na śnieg, piętrzący się warstwami. Nie przeczuwając, że resztki wiosny, które się jeszcze błękały w jego duszy, roztopiają się w śniegu, zadowolony był, że nikt go nie budzi, że może dalej tkąć swój sen. Więc tkął go i prządl..

Po wyjeździe Komarowskiego, Mordche znowu otrzeźwiał. Przekonany był, iż toczył walkę z pajęczyną i miał żal do siebie z powodu Rywkele. Już osiem dni, jak nie pokazywał się we „dworze“, ze wstydu nie śmiał tam pójść i pałał do siebie nienawiścią, że sam, własną ręką wszystko potargał. Wszak nie raz słyszał w jej słowach trzepotanie skrzydełek, bicie serduszka. Gdyby tylko palce przymknął, a należałaby doń... Wszystkoby oddał, aby móc teraz być przy niej.

Na „dworze“ Mordche dowiedział się, że „cadyk“ w ostatnich dniach bardzo osłabł, często omdlewa i wszyscy dokoła żyją w niepokoju. Już prawie go nie strzeżono i każdy, kto miał ochotę, z łatwością mógł doń zajść.

Reb Icie na widok Mordchego niezmiernie się uradował.

— Gdzieś przepadał? Rywkele już kilka razy pytała się, czyś—broń Boże—nie zachorował. „Cadyk“ też się o ciebie dopypywał.. Już chciałem kogoś posłać do ciebie, czy co z tobą nie zaszło..

Mordche w milczeniu podążył za reb Iciem. A gdy znaleźli się w przedpokoju, wiodącym do komnaty „cadyka“, Mordche ze zdumieniem spostrzegł, iż budzi się w nim dawniejszy lęk. „Cadyk“ powitał go z uśmiechem:

— Twój krewniak wciąż jeszcze ślęczy nad „Przewodnikiem dla błędzących”, co? Tępy człek z twego krewniaka, tępa głowa! Nu, czy już udzielił ci swojej nauki? On właśnie—twój krewniak—jego mam na myśli.. A Icie milczy, widać nic mu do tego, że „kto gubi jedną duszę izraelską, to jakgdyby zgubił świat cały”.

Mordche nie wiedział, czy „cadyk” mówi to poważnie, czy żartobliwie i utkwił wzrok swój w jego woskowej twarzy, która zlana z pejsami i brodą, ledwo wyzierała z pośród tego lasu włosów.

Reb Icie wyszedł do przedpokoju, gdzie Faweś - szames pisał „kwitki”. Mordche nie wiedział, co z sobą począć. Ze spuszczonego oczyma stanął przy stole „cadyka”.

— Powiedz tak po prawdzie—„cadyk” wygodnie usadowił się na białym, wyheblowanem krześle—czy nie strzeliła ci jeszcze do głowy myśl o wyjeździe na „studja”, za granicę, co-o?... Bo, gdy się wpada do domu takiego krewniaka, jakim jest twój reb Josel, to przedewszystkiem chyba biorą się tam do „ratowania” duszy żydowskiej—wysyłają za granicę „na studja”! A gdy się już „nastudjujesz” dosyta, ha? Cóż wtedy? Myślisz może, że już nie będziesz tak, jak ja teraz, siedzieć i czekać na śmierć, czekać i zachodzić w głowę, czy tam nie będą siec różgami, ha? Cóż ty na to?—„cadyk” westchnął i, wsunąwszy rękę w gąszcz swej brody, mówił jakby do siebie—gdyby choć mieć pewność, że tam będą chłostać, gdyby choć mieć tę pewność...

Mordche się stracił, unikał wzroku, „cadyka”, gdyż było mu przykro, że „cadyk” rozmawia z nim, jak z równym sobie. Patrzył przez okno na zaśnieżone pola, rozesłane nad Wieprzem, aż pod sam las, widział zlatujące z drzew wrony, z zadartymi do góry łebkami. Wrony, sunąc lekko po śniegu, znaczyły za sobą ślady łapek i, rozdziawiając ze złością ostre dzioby, tak przeraźliwie krakały, że Mordchemu ścisnęło się serce. Na widok tych wron

nagle przypomniał sobie swoje rozmyślenia o „nagrodzie i karze” i zachodził w głowę, kto ma rację.

Świat żydowski pewien jest, iż bramy raju stoją dlań otworem, wierzy, iż „świta niebieska” wyczekuje z niecierpliwością owej chwili, gdy ukaże się dusza reb Mendele, podczas gdy on, Mordche, widzi przed sobą złamanego czelczka, który nie chce umrzeć, który, nie mając więcej sił do walki, gotów jest oddać się w ręce anioła śmierci, pragnie jednak drobnostki...

Czy choć będą tam siec różgami?

Któż ma słuszność?

Któż?

We drzwiach stał zwiędły żyd z przekrwionymi oczami, z chudym nosem o czerwonym czubku. W jednej ręce trzymał „kwitek”, a drugą szczypał kilka włosków, rozrzuconych na podbródku, dygocąc na całym ciele:

— Chcesz czegoś? — „cadyk” zapytał.

Żyd podał swój „kwitek” i, nie odwracając się, z oczyma utkwionymi w twarz „cadyka”, cofnął się pode drzwi.

„Cadyk” nie rozwinął „kwitka”, położył go na stole i znowu zapytał:

— Czego chcesz?

— Rebe! — żyd zgiął się, chciał podejść bliżej, lecz przy pierwszym kroku znów się zatrzymał przed drzwiami — Rebe, już nie mogę dłużej..

— Czego nie możesz?

— Jestem rzezakiem wiejskim... Zarzynam bydło po wsiach u żydów, a gdy trafunkiem bydło się strefi, to wiejscy żydzi rzucają się na mnie i biją, katują... Wczoraj zarznąłem wołu u Mojsiego ze Stawiska, pachciarza pod Kockiem. Wół się strefił, to pachciarz tak mnie poturbował, że ledwo na nogach się trzymam.

Rzezak umilkł, stojąc tak we drzwiach z rozdziawionymi ustami, z wytrzeszczonymi oczami, pełnymi mokrej czerwoności.

z głową wciśniętą pomiędzy ramiona. Na jego widok Mordche pomyślał sobie, że chyba tak wyglądał, gdy pachciarz smagał go biczyskiem.

— Więc czego chcesz odemnie? — zapytał „cadyk”.

— Mój teść — żyd zaczął się jękać — jest rzezakiem w Łukowie... Ino że już podeszły w latach, staruszek... Nosi okulary, nie widzi przed nosem... Rzezak w okularach — też ci rzezak!.. Toć takiemu już nie wolno być rzezakiem. Ino że obarczony chmarą dzieci...

— Więc czego chcesz? — „cadyk” nie dał mu dokończyć — chcesz pewnie, abym mu zabronił rzezania, a na jego miejsce ciebie posadził, ha? Twój teść, mówisz, jest ślepy, lecz obarczony chmarą dzieci... Tak!... Tak!..

„Cadyk” potrząsał głową, wyglądając przez okno. Z mieszkania Duwidł wyszła służąca z kubłem pomyj i wylała je na śnieg. Nadleciało stado wron. Grzebiąc w śniegu, wrony rwały ostremi dziobami, szarpały kiszki koguta, wyrzucone na podwórze. Ptaki klaskały skrzydłami, biły dziobami, ostrząc je o śnieg, a w powietrzu unosił się rozzdzierający wrzask.

— Chodź tu — „cadyk” zwrócił się do rzezaka — widzisz te czarne wrony, jak się biją o kiszki, skaczą sobie szponami do oczu? Widzisz?

— Widzę.

Czy wiesz, czemu są wrony?

Rzezak ze strachu zaczął się cofać w milczeniu.

— To przekłete dusze rzezaków, słyszysz? Przekłete dusze...

Rzezak wyoczył się pół żywy, pół martwy. „Cadyk” ze spuszczoną głową mówił do siebie:

— Już ślepy? Zabronić mu rzezania? Nie za mojego życia... Nie za mojego życia...

We drzwiach ukazała się kobiecina z chłopcem.

— Czego chcecie?

— Świętobliwy rebe —kobieta przegięła się aż do ziemi i, stanąwszy z powrotem wyprostowana, popchnęła przed siebie bladego chłopca, odzianego w białą, płócienną kapotkę — z ośmiorga pozostało mi to jedno wypłakane dziecko i oto też zaczyna chudnąć i schnąć, jak tamte, oby jemu ku dłuższym latom! Więc przybyłam tu, grzeszna kobiecina, nie godna przestąpić tego świętego progu z błaganiem, aby rebe go pobłogosławił..

— Czego oni chcą odemnie? — „cadyk” wykręcił głowę do okna—maluczko, a uczynią ze mnie jakiegoś boga! Nie błogosławię! Nie wiem, jak się błogosławi! Słychane rzeczy? Nie można im z głowy wybić! Bydłęta!

— Bogobojny rebe!—kobiecina rozplakała się bezradnie—rebe, nie przepędzajcie mnie! Niech rebe nakaże, to rozdám cały majątek!.. Oddam biednym, byleby..

Reb Icie błądą na twarzy wszedł z drugiego pokoju, zaczął uspokajać kobietę, pobłogosławił chłopca i, wyprowadziwszy ich, szeptał słowa pociechy:

— Proście Boga, a On was wspomóże! Chcecie rozdać biednym jałmużnę? Dobrze! Dobrze! „Jałmużna czyni zasłonę przed złem”... Jałmużna obdarza łaską..

„Cadyk” siedział naperzony, długo dał czekać przy drzwiach jakiemuś leciwemu żydowi, prostakowi w białych butach z jednego kawała skóry, patrząc nań z obojętnością, jakgdyby nikogo nie było w pokoju, poczem nagle go ofuknął:

— Co znowu?

Żyd podszedł bliżej i, zwróciwszy do „cadyka” swą niemrawą twarz o niebieskich, dziecięcych oczach, zaczął mówić powoli i ostrożnie, jakgdyby wymawianie każdego słowa przysparzało mu wielkich trudności, jakgdyby nie był do mówienia przywykły i długo snać do tej rozmowy się szykował.

— Już ze dwa tygodnie jak-em w drodze, świętobliwy rebe!

- Skąd przybywasz?—„cadyk” nieco zmiękl.
- Z Ciechanowa, bogobojny rebe!
- Wszak masz tam swojego „cadyka”? Reb Awrejml już ci nie wystarczy?
- Reb Awrejml—oby żył—„zakazał”...
- Więc chcesz, abym ja „zezwoił”!
- Żyd w milczeniu spuścił oczy, jak winowajca.
- Nu, mów, posłucham!
- Już ze trzydzieści lat, świętobliwy rebe, jak dostarczam wody w całym Ciechanowie.
- Jesteś woziwodą?
- Tak, świętobliwy rebe, teraz nadarza mi się ożenek...
- Jesteś wdowcem?
- Nie! Jeszcze kawaler, świętobliwy rebe! Tylko że miasto nie daje mi się żenić. Wszyscy krzyczą za mną: „Niechaj nie wejdzie bękart do zgromadzenia Wiekuistego”.
- Znałeś swych rodziców?
- Nie znałem, świętobliwy rebe!
- Nadarza ci się ożenek?
- Tak świętobliwy rebe! Wdowa z dwustu złotych.
- Ha, cóż ty na to?—„cadyk” zwrócił się do reb Iciego przysłuchującego się słowom woziwody — Żyd powinien żyć w stanie mełżeńskim.
- Lepiej jednak — zauważył reb Icie — aby przeprowadził się do innego miasteczka, niech ludziom nie kłuże w oczy.
- Pojedź do domu i ożeń się! — „cadyk” podniesionym głosem krzyknął na woziwodę — powiedz reb Awrejml „ciechanowskiemu”, że ja, Mendele „kocki”, zezwalam!
- Gdy woziwoda zniknął, reb Icie wypuścił z ręki bródkę, którą przyciskał do warg i zaczął z lekkim przyspiewem ot, jakby do siebie:
- Co do strofki w księdze Kohelet „A zwróciłem się i ujrzałem uciśnionych”, to reb Danijel Chajte wyklada, iż oznacza

to bękartów. „A oto łza uciśnionych” — jeśli ojciec jego był grzesznikiem, dopuścił się pokalanego związku — to cóż zawinił woziwoda? „A w ręku ich ciemieżców siłą” — jeśli Synedrjon mocą Tory, tą mocą, którą samowolnie przywłaszczył sobie, odtrącił bękartów, wyobcował ich od ludu Izraala, „i niemasz pocieszyciela, aby ich pocieszył”, więc rzecze Wiekuisty: „Ja ich pocieszę”! Jeśli Synedrjon napiętnował ioh i wyklął w obliczu całego świata, to przedemną — rzecze Wiekuisty — staną promienni, świecący, jak złote „menory”.

— Czyja to nauka?—„cadyk” przyłożył rękę do ucha, aby lepiej usłyszeć.

— Reb Danijela Chajtego.

— Wiem tam? — „cadyk” skrzywił się, jakby grymasem tym zniweczył Chajtego. Zaraz znajdują „strofkę”, gotową receptę!.. Dopokąd-że człowiek może tak wszystko brać na siebie.. Być pewnym co do wszystkiego?... A ja, widzisz, trzymam ze szkołą Szamaja. I gdyby zwrócił się do mnie nowowierca, abym go nauczył „całej Tory na jednej nodze”, tobym go również, jak uczniowie Szamaja przepędził! Tora bowiem polega nie na jednej zasadzie, lecz na skrupulatnem wypełnieniu wszystkich nakazów i zakazów. Ani na chwilę nie strzeliło mi do głowy, że w zwrotce „kochaj bliźniego, jak siebie samego” — mieści się cała żydowskość! Bo tak nie jest i tak nie będzie! Weź to na rozum — „cadyk” złapał się za brodę — „kochaj bliźniego, jak siebie samego” to może najwyższy szczebel, sabat nad sabatami, myśl, którą tylko wybrańcy mogą objąć rozumem, lecz zwykły człek, który haruje bez wytchnienia, jak Sambatjon, który kona co dnia, co godzina pod jarzmem trosk, w walce o kęs chleba, cóż on ma wspólnego — „cadyk” nagle przerwał i, zmęczony, machnął ręką — szkoda słów! Gdyby istotnie cała żydowskość tkwiła w strofke „kochaj bliźniego, jak siebie samego”, toby już po nas śladu nie było! A wiesz dlaczego? Dlatego, że ludzie z natury swojej nie żywią do siebie miłości! Więcej powiem! Nawet daleko niższego

szczebla, naprzykład, litości też nie mają! Trzeba, aby kto-postradał rękę albo nogę, aby usechł z głodu, wtedy do-diero pobudza nas do litości nad sobą. Toć uwijają się koło nas tysiące ludzi z rękami i nogami, a cierpienia ich są bezgranicz-ne, tysiąckroć straszliwsze, niż u tych — bez rąk! Ludzie łakną krztyny litości, gasną w naszych oczach, a my przechodzimy obok nich zadowoleni, jakby nigdy nic! Więc jakże może tu być mowa o „kochaniu bliźniego, jak siebie samego“? Na szczęście w każdym z nas zabląkała się iskra rytualnika Szamaja..

— Czemu więc, rebe, jesteście tak pobłażliwi w sprawach rytualnych?

— Co do mnie, to nie mówmy! Ja z Panem Bogiem..

Reb Icie wskazał „cadykowi“ na Mordchego, stojącego z otwartymi ustami, z palającymi oczyma. Gotów był rzucić się do nóg reb Mendele, lecz naraz spostrzegł, że obecność jego zawapza, więc skierował się ku wyjściu.

We drzwiach natknął się na starszego żyda z długą brodą, w kożuchu baranim, niżem nie pokrytym, jak to noszą chłopi.

Żyd otrząsnął śnieg z butów i z lękiem zapytał Mordchego:

— Gdzie święty „cadyk“—oby żył!

Mordche wskazał

Żyd podszedł do „cadyka“, zdarł z głowy futrzaną kuczmę i, nim zdążono się rozejrzeć, ukłonił się do ziemi i zaczął całować skraj atłasowej kapoty „cadyka“.

„Cadyk“ przyjął go za goja, zawołał na szamesa, który mówił po polsku. Lecz żyd się wyprostował i, trzymając czapkę w rękę, huknął:

— Święty rebe!

— Żyd? Patrzenie-no! „cadyk“ z uśmiechem podniósł krzaczyste brwi — maluczko, a uczynią ze mnie księdza! Cóż stoisz bez czapki?

Zyd się zmieszał, włożył czapkę i wytrzeszczył parę oczu.

Pewnie żyd wiejski—reb Icie go usprawiedliwiał—mieszka gdzieś na wsi, chyba tylko raz do roku, na święta Roszhaszana, widzi żydów na oczy.

—I myśli—uśmiechał się „cadyk”—jeśli zdejmuje się czapkę przed dziedzicem, to cóż dopiero przedemną?

Mordche wyszedł. Na podwórzu przystanął chwilę, nie mogąc zebrać myśli, płaczących mu się w głowie co do reb Mendele i reb Iciego. Patrzył na wrony, które rozłożyły się na śniegu, jak trójkończasty całun, nagle przypomniał sobie wychudłego rzezaka z czerwonym nosem i nie mógł żadną miarą pogodzić się z myślą, że wrony, które—jak wierzą w to chłopi—są przeklętymi duszami, miałyby też być duszami rzezaków.

Azali zgodne to z duchem żydowskim?

Rzezak wśród żydów to osoba czcigodna, człek bogobojny, „syn Tory”, nie tknie muchy na ścianie. Oczy miękkie, krokⁱ ciche, a gdy zarzyna bydło, czyni to z bojaźnią bożą, przystępuje do swego dzieła, jak do służby bożej, w milczeniu, w świątobliwej ciszy i, odmówiwszy, jak niegdyś arcykapłan, błogosławieństwo, pociągnie błyszczącym „chalef”—rytualnym nożem i chi-chi-chi już zarznął w imię Boga!

Mordche drgnął, czując nieświadomie, że reb Mandela ma rację. I w miarę jak stał na podwórzu, rozbierał go coraz głębszy smutek. Nie zdawał sobie sprawy, o co go dręczy, pamiętając jedynie, że ma coś uczynić, że sposobił się do czegoś od wczesnego ranka. Gniewało go, że nie może sobie przypomnieć istoty rzeczy. Błąkał się koło domu, zachodził do ogrodu i nie spostrzegł wcale, jak się ściemniło. Brnął w śniegu aż po kolana. Wsłuchany w skrzypienie śniegu, doznawał uczucia, że od wielu lat błądzi sam jeden na zmarzłej rzece.

Lód pod nim chrzęści, pęka—oto zapada w toń, chce się czegoś schwycić rękoma, nogami, lecz wszystko pod nim taje.

a on to zapada, to wznosi się, to znów zapada. Przeląkł się własnego okrzyku. Powiódł okiem wokoło. W oknie mieszkania Duwidł mignęła jakaś postać i wionęło nań rodzimem ciepłem oświetlonego pokoju. W mózgu mu się coś rozwarło, niby utajony zakamarek. Przypomniawszy sobie, że przybył tutaj dla Rywkele i dusza jego wezbrała świetlistym potokiem.

ROZDZIAŁ VIII.

Spuszczone oczy.

W mieszkaniu reb Duwidł jeszcze zalegała ciemność. Tylko na szybach jednego okna migotały ogniki — odblaski płomienia, buzującego w staropolskim kafłowym kominku. Naprzeciw kominika, na miękkiej otomanie leżała Duszka, żona reb Danijela Eibeschuetza, odziana w aksamitno-bordowej sukni „gabreleau” z fałdzistym trenem, opadającym na podłogę. Przeciągała się leniwie, jak kotka, pod czerwoną łuną, wśród poduszeczek, tuląc się do Rywkele, która siedziała przy niej, okryta w zimową chustę, z tęskliwie utkwionymi w płomieniu oczami. Grube ściany, ciężkie, puszyste dywany na podłogach wsysały syczenie ognia i brzmienie głosu, odbijającego się tutaj tonem zmienionym, jakgdyby sączył się z pod ziemi.

Duszka zdjęła z głowy chustkę. Gąszcz podciętych loków rozsypał się, nadając jej coś chłopięcego. Włosy jej były tak czarne, że aż mieniły się jakimś siwym nalotem, niby srebrnym pyłem.

Owijając się dokoła Rywkele, ścisnęła ją, tuliła twarz do jej łona i nieustannie szeptała:

„— — — Tak lubię, gdy mnie czesziesz... Wolniej, wolniej: ot, tak! Wiesz, co? Uczesz mnie palcami”.

Ujęła palce Rywkele i, wódząc niemi po swej głowie, po szyi, mrużyła oczy i drżała, jakby każde dotknięcie ją parzyło.

— Zimno ci?—zapytała Duszka.

— Tak mi zimno!

— To obejm mnie, rozgrzeję cię! Palce masz lodowate. Ach, jak mrozą... Wiesz, Rywkele, tak lubię, gdy pozostajemy same, zupełnie same... Gdyby tak jeszcze zamknąć drzwi i okiennice, napalić we wszystkich piecach i siedzieć pociemku, jak ot, teraz, a ty, serdeczko, będziesz mi włosy czesała... Wolniej, wolniej... Już ich więcej nie zetnę... Danijel mówi, abym dała im rosnać..

— Kto, Danijel?—Rywkele zapytała zdumiona.

— Pamiętasz, jakie włosy miałam za panieństwa? Znowu mi odrosną, takie długie—wyciągnęła obnażoną po łokieć rękę— jak ci się podoba ta chustka na głowę, którą przyniósł mi Danijel?

— Ta z granatami?

— Tak, z granatami tak czerwonymi, aż krwawią. Gdy ją wkładam, to mi się wydaje, że włosy moje stają się czerwone. Chciałabyś mieć czerwone włosy? Tak pragnę mieć czerwone włosy, czerwone, jak ogień, jak te jęczyczki w kominku, widzisz? Danijel mówi, że ja właśnie powinnam była mieć czerwone włosy—długie, czerwone włosy, chi—chi—chi!

— Dlatego zaczęłaś się stroić na czerwono!

Duszka nic nie odpowiedziała. Usiadła, podwinąwszy nogi pod gabreleau i, zalana czerwoną łuną, z wyciągniętą szyją szeptała cicho i tajemniczo:

— Nikt nie powinien wiedzieć, Rywkele, nawet dziadunio też nie...

— O czym?

— O tem, że jest przy nas.

— Kto?

Nie odrzekła odrazu. Przechyliwszy się jeszcze niżej nad płomieniem, szeptała coraz ciszej:

— Odziany będzie w purpurę, w ognistą purpurę...

— W co będzie odziany?

Wyprężyła się gwałtownie do kominka i z miną, jakgdyby coś wrzucała w ogień, parsknęła dziwacznym chichotem:

— Chi, chi, chi! Odziany będzie w ognistą purpurę, chi—chi—chi!

— Nie lubię, gdy się tak śmiejesz—Rywkele odsunęła się od siostry—puść mnie, Duszko, zapalę świecę.

Nie zapalaj, Rywkele, nie trzeba... Tak lubię, gdy jest ciemno. Chciałabym, aby wiecznie panowała noc, a ty? Dzień to dla mnie istne utrapienie! Mężczyźni ciągle się kręcą, wiercą, a ja nienawidzę mężczyzn, nienawidzę silnych, pięknych mężczyzn! Rywkele, kocham dzieci! Kocham dzieci i kaleki! Gdy widzę kalekę, to muszę przystanąć... Ich wykrzywione, zczerniałe twarze uspokajają mnie... Zapominam wówczas, że jestem żoną Danijela, wnuczką reń Mendele.. Chciałabym wtedy siedzieć z nimi w rynsztokach, nosić łachmany, żebrać, wdychać ich woń, śpiewać ich piosenki. A że mamcia nie pozwala śpiewać ich piosenek, to bierze mnie jeszcze silniejsza chęć!

Naraz cała się skurczyła; oczy jej zaszkliły się i, wodząc jedną ręką nad drugą, niby smyczkiem po skrzypcach, rozkołysała się rozdzierającą melodją:

„ — — O Jezu mój, o Jezu mój,
Gdy będę w ciężkościach
Sam przy mnie stój — — ”

Rywkele przyłożyła rękę do jej ust, nie dając dokończyć. Duszka wyprężyła się, z gniewem przycisnęła siostrę do piersi:

— W naszym domu przez całutki dzień też kręcą się mężczyźni... Brz! Czemu tak drżysz? Zimno ci? Uścisnąć cię? Mocniej? Rywkesi, gdybyś ty była ułomna albo sparaliżowana, tobym cię tak kochała! Nie odstąpiłabym od twego łóżka ani na krok, a tybyś mi ciągle wróżyła... Tak mi gorąco! Rywkesi, popieśó mnie, twoje palce są takie zimne... Teraz mi tak dobrze, tak dobrze, ta—ak, ta—ak!..

Pieszczoty siostry przejmowały Rywkele odrazą. Nie mieściło jej się w głowie, jak można kochać kaleki, miała ochotę zapytać się Duszki, czy nienawidzi też Mordchego, lecz wnet zaniechała tego pytania i, wyrывая się z jej objęć, błagała ją :

— Puść mnie, Duszko, zapalę świecę.

— Ne trzeba, Rywkesi, siedźmy pociemku, w ciemności można każdego wywołać. Jak zechcę, to przed oczami moimi stanie ojczulek, choć znajduje się teraz z mamcią w Łukowie. Co myślisz, będzie coś z tego małżeństwa? Gdy wyjdiesz za mąż, to pozostanę sama jedna—Duszka na chwilę posmutniała, lecz wnet wskoczyła z kanapy — chodź, będą ci wróżyła, wywołam tego chłopca, z którym cię swatają, chodź!

— Daj spokój, przecież to czary!

— Gdyby to były czary, wszakże nie zajmowałby się tem Danijel! Wczoraj wywołał właśnie swego pradziada, rabina reb Jonatana!

— Naprawdę?—oczy Rywkele rozszerzyły się—Widziałas na własne oczy nieboszczyka? Mateńko! A którądy wszedł? Wisi w powietrzu? I mówi tak, jak ozłowiek? Nie wytrzymałabym tego!

— Właśnie przestraszyłam się na dobre!—Duszka uśmiechała się—przedstaw sobie, Daniel zwraca się do dziadka reb Jonatana i prosi go, aby powierzył mu ową „nazwę bożą”, za pomocą której udało mu się zespolić z Wiekuistym, a dziadek w podartym, dziurawym całunie stoi, nie ruszając się z miejsca—tylko dziury posuwają się, mówią, śmieją się.. Czerwone dziury, ogniste dziury, chi—chi—chi!

— Idź, Duszko, oiebie zawsze czepiają się takie opowieści, aż ciarki przechodzą—Rywkele zadrżała.

Duszka w miłozeniu szarpnęła siostrę za ręką i pociągnęła ją do małego, oiemnego pokoiku. Zapaliła grubą woskową świecę, postawiła ją pomiędzy dwoma lustrami na okrągłym marmurowym stoliku i cichutko zaczęła mamrotać wargami. Rywkele

z zapartym tchem wlepiła wzrok w płytę marmurową, lec: w pierwszej chwili nic tam nie dojrzała, potem jednak, gdy od patrzenia powieki już jej ciążyły, ujrzała, jak nad marmurem zapalają się i gasną punkciki, niby ostrza igieł. Powoli punkciki wydłużały się w złociste i srebrzyste nitki, które, opadając na płytę marmurową, zaczęły poruszać się, wić węzowo, rozsnuwać mgliście, a w powietrzu drgnął szmer, jakgdyby ktoś się ocknął i posunął nogami.

— Cyt! — — —

Skądciś rozległ się śpiew. Rywkele trzymała się kurczowo siostry, drżąc na całym ciele. Przed oczyma jej mżył i prószył gęsty śnieg, przemykali ludzie i drzewa. Śpiew coraz bardziej się ściszał, zlewał z poświatą pełni księżycowej, która tysiącem szroniastych nici rozskrzydlała się nad siarczystą nocą, uwodząc już to przechodnia, już to chłopa z końmi. Rywkele stała, jakby przytroczona do miejsca, a zimne promienie oprzędzały ją, oplatały, rozwidlając się w dal, hen ku zawiei śnieżnej, kędy otuleni w futra człowieczki umykają na saniach — i wszystko rozchwiało się wraz...

Duszka sohwycoła ją za rękę:

— Widzisz?

Przed oczyma Rywkele, jakgdyby skroś mgły, wyluskiwała się jakaś postać, która, niby lunatyk, wiedziony przez zimne promienie księżycowe, sunęła ze śpiewem pośród drzew.

— Poznajesz go? zapytała Duszka.

Rywkele poznała go, czuła, że coś w niej wtóruje temu śpiewaniu, że nogi jej stają się tak lekkie, jeszcze lżejsze, niż białe śnieg, a głowa tak rzeźwa, wietrzna, jak ta mroźna noc.

— Zdaje się, ktoś idzie? — Duszka nadśluchiwała i zgasła świecę.

— Wydaje ci się tylko!

— Ktoś idzie, napewno!

— Prócz Danijela przecież więcej nikogo niema w domu.

— Kto tam?

— Kto idzie?

Mordche otworzył drzwi i zdumiony stanął w ciemnym pokoju, jak zablakany. Przed chwilą przecież było tu jasno, skąd więc ta nagła ciemność? Czyżby światło mu się tylko przywidziało? Poprzez mrok dojrzał, jak Duszka siada na krześle. Zdrętwiały, stał na jednym miejscu.

— Zobacz-no, Duszko, kto przyszedł? Wybaczcie mi, Mordche — Rywkele trzęsła się — przejdziemy do salonu, zapal świecę.

Duszka wysunęła się lekko, jak kotka, i znikła. W pamięci Mordchego utkwił na długo czerwony tren, wlokący się za nią.

Weszli do salonu. Mordche nie spuszczał oczu z Rywkele, gdy srebrnymi szczypcami wygładzała knotki i objaśniała świece, nie spostrzegł jednak ukrytej radości, promieniejącej z jej cichych oczu, z ledwo zaróżowionych policzek i nawet z długich, przerzuconych na szyję warkoczy.

Dręczyło go, że Rywkele nie pyta wcale, dlaczego tak długo się nie ukazywał.. Więc było to złudzenie.. Rywkele o nim nie myśli.. W przeciwnym bądź razie zapytałaby go choćby z grzeczności, co z nim zaszło. Przecież mógł naprawdę być chorym. Snać jest jej daleki, obcy, pragnie chyba, żeby się czem prędzej stąd wyniósł, on zaś, półgłówek, wmówił w siebie, że kocha go, że wyczekuje owej chwili, gdy jej to wyzna i — jeszcze bardziej upadł na duchu.

Jakby naprzekór, nigdy jeszcze nie wyglądała tak pięknie, jak dzisiaj. Spuszczone, czarne brwi kreśliły się nad bladą twarzą, migocąc skromnem onieśmieleniem i wskazując jednocześnie na trzepotanie białego przegibu pod dziewczęcą szyją, który, lśniąc z pod ciemnej sukni, to unosił się to opadał z szeptem, iż czar sukni tkwi w tem, aby można było ją zdjąć.

Mordche zadumał się. Nieoczekiwane myśli motały się z jakiejś ukrytej osnowy.

Gdy bałwochwalcom już obmierzył bóg-kobieta z bezwstydnymi oczami, z nagiem spojrzeniem, patrzącem każdemu wprost w oczy, nie mającem nic do ukrycia, wówczas spalili oni posąg boga-kobiety, popiół rzucili wiatrom, aby rozwiał się bez śladu. pojмали wstydlivą dziewczynę żydowską ze spuszczone mi oczami, postawili ją we wszystkich świątyniach, na wszystkich rozstajach i ukoronowali ją na boga. I oto już dziesiątki wieków, jak cór y gojowskie klęczą przed nią, modlą się do niej, noszą wizerunek tej dziewczyny żydowskiej na sercach, jednakże same pozostały z owem nagiem wejrzeniem, patrzącem bezwstydnie każdemu w oczy.

Mordchemu podobała się ta myśl, chciał ją powtórzyć wobec Rywkele, lecz przypomniał sobie, że przyjęła go tak zimno, więc postanowił oddalić się, jeśli nie poprosi go, aby usiadł.

Rywkele stała omuśnięta rzeźwością, bijącą z jego rozplomienionej twarzy, z jego przewianego ubrania, rzeźwością jędrnego, mroźnego dzionka. Rzeźwość ta przenikała ją wskroś. Wszystkimi fibrami chciała się przytulić do Mordchego, wdychać mroźną parę z jego ust, nozdrzy, nawet tchnienie, wionące z jego ubrania. Przytuliwszy się do swej chusty zimowej, wsunęła się w róg kanapy.

— Cóż tak stoicie? Spiesz y się wam, czy co?

— Tak spieszę się.

— To idźcie sobie!

Żal Mordchego pierzchnął. Nakaz odejścia uspokoił go. Przecież reb Icie mówił mu, że ciągle się o niego dopytywała. Zbliżył się do kanapy z zamiarem przeproszenia jej.

— Czy Rywkele gniewa się na mnie?

— Gniewam się.

— Na mnie?

— Tak.

— Dlaczego?

— Bo niedobry.

- Jak ?
- Tak !
- Czemu ?
- Jak się jest chorym, to się daje znać.
- Nie byłem chory.

Mordche spostrzegł, że w oczach Rywkele zakręciły się łzy. Oplýnęła go gorąca fala, był szczęśliwy, że znajduje się z nią sam na sam.

Zapłoneęła w nim wiara, że zmoże w sobie wszystkie złe myśli, wydrze je z korzeniem, wyswobodzi się z pod ich władzy i w miarę, jak siedział przy niej w milczeniu, wzrastała w nim pewność, że ją kocha. Wypatrywał tylko sposobności, aby jej to wyznać. Wtem podchwycił jej onieśmiałe spojrzenie. Podniosła nań na chwilę swe oczy i wnet je spuściła. Przysiad, do niej blisko i, wyciągnąwszy rękę jakby w poczuciu winy, błagał ją o coś bezsłownie. A gdy poczuł jej dłoń w swej ręce, wyprężył się ku niej i drugą ręką zaczął głaskać jej gęste, miękkie włosy, doznając uczucia, że wydobywa z niej pierwsze akordy, że nastraja ją na pierwszy ton, lecz tony jakgdyby same wyrwały się, uniosły, jęły wibrować w nim i dokoła niego.

Dygotał z radości, a przed oczyma jego tkąła się mgła.

— Rywkele naprawdę się gniewa?

Rywkele milczała.

— Czemu Rywkele nic nie mówi?

Wyjęła swą dłoń z jego ręki, wsunęła się w głąb otomany i, jakby dla podrażnienia się z nim, rzuciła lekko:

— Gdybyście wiedzieli, dokąd tatuś mój dziś pojechał ?

— Dokąd ?

— Zgadnijcie !

— Pojechał na „widzenie“ narzeczonego dla Rywkele.

Podniosła na chwilę swe podłużne brwi, chciała coś powiedzieć, lecz wnet zaniechała. W oczach jej kołysał się taki smutek, że Mordchemu zabrakło tchu. Rozgorzała w nim jakaś

pewność, że zaraz stanie się coś, co go uszczęśliwi na całe życie.

— Więc cóż Rywkele chciała powiedzieć?

W milczeniu zasłoniła twarz rękami.

— Rywkele powie, zaklinam!... — Mordche stanął przy niej bliźutko i chciał odjąć jej ręce z twarzy.

Całował jej włosy, czuł jej głowę na swych ramionach, nie wzbraniała się w milczeniu. Tylko jej dech, który muskał Mordche go nad uchem, rozdygotając w nim wszystkie fibry, zda się szeptał:

— Kocham cię... Kocham cię...

Z wielkiej radości objął ją, lecz w tej samej chwili w duszy jego załomotał żal, że tak łatwo mu to przyszło.

ROZDZIAŁ IX.

„Tyfejres“ — „Majestat“.

Mordche szukał pomaćku furtki, lecz nie znalazł jej, więc przesadził parkan i puścił się łąką, zdziwiony, że śnieg jest taki śliski. Nie czując szczypania mrozu, szedł krokiem ostrożnym, aby mu się noga nie powinęła, a sercem jego targał ból, dlatego nie jest szczęśliwy. W głębi jego duszy piekł się jakiś podszept, iż było nie to, iż miało zajść coś innego. Z owych kilku słów zaś, które przecież tak łaknął usłyszeć z ust Rywkele—wiał nań teraz niepokój, rozkołysany nieustannem pytaniem, azali to jest szczęście? I w miarę myślenia o tem, coraz rozpaczliwszy ścisnął go żal, żal ssący i sączący się przez każdą kość, żal — dlatego kocha go Rywkele, a nie Felicja... Przecież mogło być odwrotnie... Byłbyż wtedy szczęśliwy?..

Któż wie?..

Któż?..

Jakiś człowiek wysokiego wzrostu, owinięty w kozuch, tak, że twarz była niewidoczna, szedł mu na spotkanie:

— Młodzieńcze, skąd tak późno?

— A wam co do tego?

— To z was jeszcze bezczelnik nadobitkę!...

— Nie większy od was!

Głos wysokiego człowieka był Mordchemu znany. Zerknął nań z boku i poznał w nim bosego Sruela. Mordche dziwił się, dokąd Sruel wybiera się o tak późnej porze.

Bosy Sruel położył na Mordchem rękę, przyjrzał mu się:

— Ach, to ty! Już i tyś się dał w sidła złowić przez tego wyrzutka Izraela?

— Przez kogo, przez jakiego wyrzutka Izraela, nie wiem o co wam idzie.

— Wszak wracasz od Danijela?

— Nie!

— A gdzieś był tak późno?

Mordche chciał odpowiedzieć, oby go głowa o to nie bolała, lecz czarne oczy Sruela tak go świdrowały, że zmieszany zaczął się jękać:

— Gdzie byłem?

— Przecież o to się pytam?

— U reb Duwidł.

— Jakżeś mógł być u reb Duwidł, toć ani jego, ani żony jego niema dziś w Kocku.

Mordche jeszcze bardziej zmieszany żałował swych słów. W istocie bowiem, czyż powinien bosemu Sruelowi zdawać sprawę, gdzie był? Lecz nim zdążył usta otworzyć, oczy Sruela zabłysły dzikim płomieniem:

— A gdy wraca się od reb Duwidł, to skacze się przez parkany? Powiedz całą prawdę, byłeś u Danijela!

— Już przeszło tydzień, jak go na oczy nie widziałem — i Mordche usprawiedliwiał się, jak winowajca.

— Mówisz prawdę?

— Jak - em żyd!

— Więc wierzę ci! Wszak jesteś uczniem reb Iciego!

— Dlaczego pytaście o to? — Mordche wyprostował się, jakby z zamiarem zagrozenia mu drogi, gdyż nagle chwycił go gniew, dlatego przed chwilą tłumaczył się przed obcym zgoła człowiekiem.

— Kock śpi spokojnie, wszyscy powierzyli dusze swe reb Mendele, reb Mendele powierzył je reb Duwidł, reb Duwidł zaś szabsaj-ćwinikowi — Sruel krzyczał i, wyjąwszy z kieszeni krótki cybuch, wymachiwał nim w stronę „dworu” — a tam dzieją się teraz bezceństwa sodomskie! Oj, oj, żydzi ogłuchli, żydzi oślepli, nie słyszą plugawych podszeptów Aszmedaja, nie widzą zła, „Strony Przeciwnej”, nie widzą, jak ten szabsaj-ćwinik cudzołoży! Wyrwę z korzeniem tego wyrzutka Izraela! Widzisz tę szczyptę popiołu? — Sruel uderzył dwoma palcami w cybuch i wysypał sobie na głowę popiół — tak rozwieję go na cztery wiątry, zetnę w proch, nie zostanie po nim śladu! Taki-ci przeklętnik, bezcześnik!

Sruel łysnął swemi czarnemi oczyma, wtulił się w kożuch i oddalił bez pożegnania.

Mordche stał oszołomiony i zachodził w głowę, co spowodowało tutaj Sruela o tak późnej porze. Goniąc za nim wzrokiem, widział jego wysoką, nieco pochyloną postać, która, kołysząc się nad śliskim polem, zdawała się to padać, to wznosić się, a w uszach mu wciąż dzwoniło: oj, oj, zetnę w proch, nie zostanie po nim śladu — i zimny dreszcz przeszył Mordchego.

Przed oczyma jego rozsnuwał się obraz Jerozolimy obłożonej. Żydzi biją się, dobywając już ostatnich sił, padają z głodu, lecz myśl o poddaniu się wrogowi nikogo się nie ima. A pośród wyczerpanych, uznoionych tłumów sunie obrośnięty prok, posypuje rany solą, nieustannie napominając, iż nad świę-

tem miastem, nad świątynią zawisła klątwa, iż niemasz ratunku— Jerozolima będzie zburzona.

Mendele zdumiewał się, dlaczego głodni, znękani żydzi nie rozdarli proroka żywcem. Ocknąwszy się z zamyślenia, dojrzał Sruela, stojącego przy parkanie. Widział, jak Sruel odchyła deskę i przez otwór wsuwa się do ogrodu. Mordche z bijącym sercem skierował się za nim, sunąc cicho na palcach, a gdy doszedł już do płotu, za którym Sruel pierzchnął, doznawał uczucia jak-gdyby zgubił bezcenną rzecz.

Nagle przed oczyma jego zamajaczyła jakaś postać, która chybotwała się koło domu, potem wyprężyła się nad oknem Danijela i przyłgnęła głową do szczelin okienicy.

Mordchego szarpnął dreszcz niesamowity, a w mózgu zawirowała myśl, że bosy Sruel chce pewnie podpalić „dwór”. Wśladał za tem zatargała nim myśl o Rywkele, o reb Mendele, odruchowo ścisnął w ręce kulę ze śniegu, śmignął ją w okno i ukrył się pod parkanem. Postać odwróciła się, szukała oczyma, kto cisnął kulę śniegową i znikła.

Mordche zbliżał się do okna. Śnieg, który w dzień tając, sączył się z drzew, pod wieczór przymarzył, sperlił się na szreń, zasnął konary przezroczem szkliwem.¶

Skroś zamkniętej okienicy tkał się promień, który sięgając drzew, załamywał się w pryzmatach lodu, zapalał tafelki tęczy, mieniące się w oczach zielenią, lazurem i fioletem.

Mordche stał chwilę przed zamkniętą okienicą. Poznawszy głos Danijela Eibeschueta, skierował się do ciemnej sieni. W sieni pchnął jakieś drzwi, lecz były zamknięte. Pchnął jeszcze mocniej — łańcuch puścił. Gdy wszedł do pokoju, nikt się nań nie obejrzał.

Duszka, nawpół naga z chustką na czole, malowaną w czerwone granaty, siedziała na środku pokoju, otoczona kołem chasydów i kobiet, trzymających się za ręce, z głowami zarzuconymi w tył, z oczami przymkniętymi i, gdyby nie nogi, które podrygi-

wali, mogłoby się wydawać, że uniesieni ekstazą wpadli w drzemkę.

W kącie stał niski żyd, bił głową o ścianę i cały wymazany krwią, która mu ciekła z nosa, z czoła, głosem płacziwym i cichym jęczał:

— Tate, tate, oj, ta-te!

Dwie kobiety, ująwszy się za ręce, kręciły się w kółko, szybko—chyżo, aż suknie ich wydeły się, jak otwarte parasolki, potem padły sobie w objęcia i, zmęczone, osunęły się na podłogę, skąd więcej się już nie podniosły.

Na miękkiej otomanie siedziała Temerl, szwagierka reb Mendele z Warszawy. Głęboko wsunięta w róg, podwinęła nogi, a jej luźne jedwabne szaty opadały miękkimi liniami, falując koło kolan. Zdjąwszy perły z szyi, bawiła się lśnąciami sznurkami, pobrzękiwała niemi, jakby pragnęła rzucić na kogoś czary.

Duszka z ukosa zerkała na Temerl, a gdy Danijel ukazywał się przy otomanie, wykrzywiła bezradnie usta, jak dziecko, gdy zbiera mu się na płacz i, przywołując go do siebie, szepotała mu coś do ucha, poczem z tryumfem patrzyła na Temerl, wciąż pobrzękującą sznurkami pereł.

Danijel, wysoki mężczyzna o bardzo wąskich plecach, jak u wybujałych chłopców, stał wsparty o pulpit. Jego piękna, blada twarz, z której jakgdyby utoczono krwi aż do ostatniej kropli, omdlewała ze znużenia. Nie wiedział, czego chcą od niego, poco zbierają się tu po północy, dziwił się, dlaczego Nachman „głosi Torę” przed tem gronem chasydów i kobiet w jego imieniu, wkładając mu w usta słowa, których nigdy nie wypowiedział, ponadto dręczył się, że nie może ani na chwilę odpędzić myśli od Temerl, a jednocześnie oddałby wszystko, aby zostać z nią sam na sam.

Nachman, czerwony na twarzy, z ognistą brodą „głosił Torę” w imieniu Danijela. Cytując pobożne straszenia, wyjaśniał je za pomocą komentarzy, opowieści i przykładów. Mówił szybko,

zdaniami urwanemi, z częstemi pauzami, podczas których wzrok jego błędził ponad głowami słuchaczy, tak, jakgdyby dojrzał coś, czego nikt z obecnych nie widział. Oczy mu pałały, broda płonęła i choć przekręcał każdą cytate, czuło się jednak, że przerasta wszystkich obecnych tu znawców bożego słowa, biegłych w świętej nauce, że wszyscy ulegają jego wpływowi.

Chasydzi przestali tańczyć i, obstąpiwszy Danijela zbitą gromadką, łowili nadstawionem uchem każde słowo Nachmana. Jakiś starszy chasyd raz po raz rzucał się jak długi na podłogę, kulił się tam i z powrotem, zaznaczając przez to, że przed Danielem należy się tarzać w prochu, że należy być pyłem pod jego stopami.

Im szybciej i głośniejsz brzmiały słowa „nauki” Nachmana, tem uroczytsza zalegała cisza, tem gróźniejsza unosiła się tajemniczość. Żar bijący z pieca zarumienił wszystkim policzki, rozgrzał członki. Z gorąca nie można było ustać na miejscu, ze znużenia każdy przestępował z nogi na nogę.

Jakaś kobieta tak utkwiała wzrok swój w Danielu, że oczy jej się mrużyły, usta rozchylily, a wychudłe, zaróżowione policzki tchnęły dreszczem rozkoszy. Nagle wyciągnęła ręce, jakby chciała kogoś przemocą zatrzymać, skurczyła się, westchnęła głęboko i, niby w omdleniu, schwyciła się za ścianę, ukryła twarz w rękach, czując, iż wpadła w grzech. Nikt nie zauważył, że Duszka pozostała sama na środku pokoju, jak porzucona. Już nie patrzyła krzywem okiem na Temerl, zupełnie zasłoniętą, przez gromadę, lecz z zamkniętymi oczami wsłuchiwała się w słowa Nachmana, w czerwony, płomienny głos, który owijając ją grzał i głąskał jej powieki.

„ — — — Człowiek kocha Stwórcę wedle tych stopni, na jakie wspina się dla objęcia Go rozumem. A że rozum człowieka jest ograniczony, posiada kres, przeto nie zdolny jest dopiąć stopnia „służby bożej”. Zaiste, dalekoż to śmiertelnika zaprowadzi rozum jego?”

Rozum?... Co?... Rozum?... Czego chcą od niej?... Czego chcą od niej?... Duszka czuła ciężące nad nią brzemie, które za chwilę przytłoczy jej głowę... Wszyscy naraz pierzchają, a w pustem przestworzu wiją się pasma kolorów, smugi barw rozpływają się jedne nad drugimi, zlewają jedne z drugich, kolebią się ze śpiewem, ziejąc wonią, jakoby kwiaty. Woń upojna, parna dymi się kłębamii, mgłami — rozżagwia krew, rozświetnia serce.

Barwy wiotczają, cieńczeją, pną się wzwyż — wzwyż — pękają, strzelają ognistemi kwiatami o roztulonych pąkach, śpiewają cicho, tęskliwie, prężą się ku księżycowi na wydłużonych łodygach. Pomiedzy kwiatami unosi się Danijel i Temerl, bujają z kwiatu na kwiat. Kwiaty kłonią swe główki, stulają płatki współzwarzone, schorzone, ledwo się trzymają na łodygach, — jęczą, wzdychają, a nad niemi trzepece ognisty śpiew... Danijel z Temerl pierzchają... — — — Co?

Nachman jeszcze mówi?

„— — — Służba boża”, chwała dla Jego Imienia osiągnięta zostaje jedynie przez „miłość”. Iżby dopiąć najwyższego szczebla „miłości”, należy pierwiej osiągnąć „ekstazę duszy”, wyzbyć się cielesności, zostać obcownikiem Wiekuistego, tego zasię dopiąć można li tylko za pomocą „tajemnej miłości” i „zespoleń”. Tak jest — „zespoleń”! „Zespoleń” na świecie, doćzesnym pomiedzy mężczyzną i kobietą, zasię na tamtym świecie z „Tyfejres” — „Majestatem”.

Pomiedzy mężczyzną i kobietą? Ona nienawidzi mężczyzn! Mężczyźni są tacy ciężcy, obrośnięci, brodaci, a włosy ich kłują, czołgają się po oiele... Brr! Czemu tak oczy w nią wlepił? Czemu oni wszyscy tak wytrzeszczyli na nią swe oczy? Tyle pożądliwych spojrzeń! A Nachman? Jego czerwona broda roś-

nie, rośnie, rozlewa się w rzekę, w ognistą rzekę... Chcecie patrzeć? Cha-cha-cha! Zaraz, zaraz! Lecz wprzódy wskoczcie w ogień! W płomienną topiel! Niech ani jeden nie zostanie! Teraz możecie patrzeć! Teraz spójrzcie, zrzuciłam z siebie szaty! Roztwórzcie swe chutne oczy, parzy? Cha-cha-cha — toć chcieliście patrzeć! Spójrzcie, patrzcie! Oto Danijel! Jak kurczy się w płomieniach! Danijel! Dani-jel! — — — — —

Duszka otworzyła oczy. Zimne poty uderzyły na jej ciało. Stał przy niej Danijel, głaskał ją po czole i uspokajał:

— Połóż się, jesteś zmęczona.

Ujął ją za rękę i wyprowadził z pokoju.

Gdy Danijel wrócił, gromada chasydów i kobiet wciąż jeszcze stała dokoła Nachmana z nadstawionymi uszami i wytrzeszczonymi oczami. Ujrzawszy Danijela, Temerl lekko zesunęła się z kanapy i, pobrzękując sznurkami pereł, puściła się przed nim w tan. Gromada nagle odwróciła się od Nachmana i, nie słuchając więcej jego „nauki”, skierowała wzrok na Temerl, na jej wijące się ręce, rozbiegłe nogi, na jej chybkie przegięcia, na jej oczy—duże, czarne oczy, ciskające wkrąg spojrzenia, które zwały każdego do tańca, nie pozwalając zda się nikomu stać na miejscu.

Ruchy coraz bardziej szybkie, chyże, płas zawrotniejszy, dziksz, białe zęby ostrzą się, błyszczą, oczy bryzgają ogniem — gniewem — śmiechem. Gromada nie ustała dłużej i wciągnięta w wir, uniosła się, schwyciła się za ręce, porwała Mordchego, otoczyła kołem Danijela z Temerl i — zapadła w zapomnienie.

Mordche toczył się ze wszystkimi, jakgdyby zbędna rzecz, widział, jak łańcuch rąk rozpęka, kłęb rozwija się, parki się odziera i — padają po kątaoh. Na ten widok ogarnął go taki strach, że musiał przysiąść. Świece pojedynczo gasły. Zaległa ciemność. Mroki po chwili nieco zrzedły, a ze wszystkich kątów wyluskiwały się postacie. Skroś rozwartej okienicy zerkał pełny

bezzębny księżyc. Przed Mordchem wyrosła jakaś postać owinięta w szal, usiadła mu na kolanach i objęła go:

— Jeśli wam nie wygodnie, to mogę zaraz zejść!

Mordche milczał zdziwiony, że wyzuty jest ze wszelkich grzesznych myśli. Choć serce podszeptywało mu, kto jest owa kobieta pod zasłoną—bał się jednak uchylić jej szalu.

Mroki pokoju rozdierały raz po raz zdławione, urwane okrzyki, nad którymi kołysało się ciche łkanie chasyda, bijącego głową o ścianę:

— Tate, oj tate, oj ta-te!

We drzwiach ukazała się Duszka w białej nocnej koszuli, długiej aż do kostek. Stała z rozwartymi oczami, które zdały się nic nie widzieć. Pęk jej strzyżonych włosów i cienkie nogi czyniły ją podobną do chłopca. Przez chwilę stała nieruchoma, potem przeciągnęła się ku księżycowi i z zamkniętymi oczami przeszła przez pokój, omijając krzesła i ludzi, aż do kanapy, przy której stanęła i, wyciągnawszy rękę, jakby kogoś chciała dotknąć, znowu wyprężyła się ku księżycowi, zakwiliła cicho, jak płaczące dziecko przed snem—i wracając tą samą drogą, wyszła z pokoju.

Mordchem zakolysał żrący ból, który wyrósł murem pomiędzy nim a tą gromadą, który wessał w siebie wszystkie jego pożądanja. Nie myśląc o tem, że na kolanach jego siedzi kobieta, czuł, iż wzbiera w nim jakaś umęczona serdeczność, zrozpaczone ciepło młodego ojca, tulącego swe chore dziecko do łona. Kobieta płakała. W jej łkaniu pojękiwała zaklęta dusza melodji, przypominającej starą bóżnicę, omszałe beth-hamidrasze, w których długie pokolenia żydów odbywały pokutę, siedząc w pończochach i zraszając łzami stronicę „kines” —trenów.

Z ulicy dochodził jakiś pomruk głosów. Pomruk coraz się zbliżał i wzrastał—wrzał i pienił się ze wszystkich stron, przesywając wrzawą mroki pokoju:

- Taka ohyda!
 - Taka plugawość!
 - Bezczęśnicy! Porubnicy!
 - Z oudzemi żonami!
 - I jeszcze pod dachem „cadyka“!
 - Wyrwać z korzeniem!
 - Wypłemić! Zetrzeć w proch i pył!
 - Szabsajćwijnicy!
 - Odstępowy, heretycy!
 - Idzie w ślady swego dziadka, ten gagatek!
 - Jaki gagatek!
 - Danijel!
 - Toć rodem z Eibeschuetzów!
 - Tyś nie wart, aby brać na zęby imię reb Jonatana; szkoćie ty!
 - Patrzenie - no, co za „ważny” cadyk!
 - Pono żona rzezaka z Lipna też jest między nimi!
 - I żona Lejbusia Parcewera też!
 - Wszystkiemu winien ten rudy łgarz!
 - Kto?
 - Nachman?
 - A ja wam mówię, że wszystkiemu winna ta wsze-
tecznica!
 - Kto?
 - Temerl.
 - Ta „warszawska”?
- Mordche zmiarkował się, że już za późno na ucieczkę, że pod ręką tego tłumu można paść trupem — więc stał sobie spokojny, obojętny, czekając na wtargnięcie tłumu.
- Wydajcie nam Nachmana — ktoś wrzasnął przed zem-
kniętą okienicą.
 - Danijela też!
 - Tego wyrzutka Izraela!

— To wam nic nie zrobimy!

— Danijelu, serdeczko, schowaj się — Duszka otulona w futro męża błagała go przestraszona.

— Jeszcze mogą ci, broń Boże, coś złego wyrządzić! Błagam cię Danijelu, piwnicą można przejść do dziadka... Na co czekasz?

Danijel, nieprzytomny, ze zniekształconą z przerażenia twarzą, przyrósł do miejsca. Pragnął wszystkimi fibrami ciała, aby go jakaś ręka ujęła i wyprowadziła stąd. Wtem wyrósł przed nim Nachman.

— Rebe, nie opuszczaj nas!

Dosyć było tych kilku słów. Zdrętwiały ze strachu Danijel poruszył się, wyprostował, nie kazał zapalić świec, zapał drzwi i okna, rozdał każdemu co tylko nawinęło mu się pod rękę dla obrony.

Tłum na ulicy zaczął tłuc szyby. Kobiety w bezradności załamywały ręce i wybuchły płaczem. Po niejakej chwili tłum podważył drzwi, wyłamał okna i wdarł się do pokoju ze wszystkich stron. Wywiązała się bijatyka.

Korzystając z tumultu, Mordche wysunął się niespostrzeżenie, przebiegł ogród na przełaj i puścił się brzegiem Wieprza.

Mordche przejrzał teraz, że chasydyzm kona, widział jasno, że tysiące ludu żydowskiego toną, że wystarczy jakaś wpeł naga Duszka, jakaś bezwstydną Temerl, aby oddać się zapomnieniu. Jeśli prawda, że przyjdzie Mesjasza nastąpi wtedy, gdy żydostwo będzie się nurzać w grzechach, to przecież już oddawna powinien był przyjść? Toć każdy dzień gólu był i jest gotów na jego przyjęcie? I kto wie? Może Mesjasz przyjdzie sam przez się, może już znajduje się pośród nas, ma tylko usunąć bezpłodność milionów ludzi, poznają-ż go wtedy?

Może...

W miarę błakania się po polu, umysł jego coraz bardziej się otrzeźwiał, myśli — uładzały. Zapomniał, że noc.

Oplukiwał w sobie i uświęcał jakieś nowe słowo, łopocące ku niemu z szerokich dali, wypieśnione niemo z mleczej, ośnieżonej ziemi, z nagich drzew, oszklonych kryształami lodu, z mirjadów gwiazd, czując, że w sercu jego zbiegają się i nanizają nici dalekich światów.

Niebo okutało się w płomień, rozwłócone nad polem, jasno-czerwonym szalem. Mordche przystanął, przypomniał sobie Rywkele, reb Mendele, pewien był, że „dwór” się pali. Przez chwilę trwał w niezdecydowaniu, chciał zawrócić, lecz wnet machnął ręką.

— Niech się pali.

Gałęzie operlone lodem pały pod płomieniskiem nieba, przeglądały się w kryształowych pryzmatach. Z za drzew, z pod konarów spozierały i przemykały tu wewiórki, ptaki, tam — jelenie, zające.

Mordche stał, jakby przeniesiony w zaczarowany świat. Rozpiął ubranie, zdarł karakułową czapkę, poczuł pod nogami popioły płonących „dworów”, popioły pokoleń i naraz rzucił się jak długi na śnieg.

Rozpłomienione niebo szerzyło się nad nim, opadało i przytuliło go nieziemskim spokojem. Wątpliwości pierzchły, stały pomiędzy niebem i ziemią — więc tak potężna ogarnęła go radość, iż zerwał się na równe nogi i, orzeźwiony, śmiałym krokiem sunął po śnieżystym polu.



ROZDZIAŁ VIII.

Salomon Molcho.

Gdy Mordche wrócił do domu, była już godzina druga po północy. Wsunął się cicho do swego pokoju i, nie zapaliwszy świecy, zaczął się rozbierać. Lecz wtem usiadł na krawędzi. łóżka i zapadł w zadumę. Zdarzenia bez związku przemykały w jego sercu, rozbłyskując i gasnąc, jak gwiazdy. Przypomniawszy sobie ojca, który siedząc, jak on teraz na wpół rozebrany na łóżku, odmawia modlitwę przed udaniem się na spoczynek, a naprzeciw niego siedzi matka, zalana łzami. Cicha męka ssała Mordchego. Podszedł do okna. Szerokie pola śnieżyły się, gwiazdy, jak wstawione oczy, tkwiły w niebie bez ruchu, spoglądając na dół z obojętnością, taką samą jak wczoraj, jak przedwczoraj, jak przed rokiem. Natężywszy wzrok, rozróżnił wśród gwiazd większe, promienniejsze, małe, bladziutkie. A gdy od blasku zmrużył oczy, dojrzał prószące nad gwiazdami srebrne pyłki, które snuły się ku niemu, jak nici.

Mordchem zatargała nagle taka rozdzierająca tęsknota za ludźmi, że rzuciłby się teraz pierwszemu lepszemu człowiekowi w objęcia i otworzyłby mu głąb serca.

Nagle zbliżył się do kaflowego pieca, wygarnął popiół, posypał nim czoło, to miejsce, na które wkłada się naczólek „tefi-

lin”, usiadł na ziemi przy drzwiach i rozjęczył się tłumionem mamrotaniem płacziwej melodji, zasłyszanej w młodość! od dziadka, odmawiającego „chcojs” — północne, pokutne modlitwy.

Nie zadawał sobie pytania, dlaczego to czyni, ani też nie zdumiewała go ta nagła chęć do odprawiania pokutnych modłów, choć od długich miesięcy już wogóle nie odmawiał modlitw. Fala łez cisnęła mu się do oczu i stoczyła po twarzy. Nie dziwił się nawet, skąd umie na pamięć owe „modły północne” „treny pokutne” i doznawał uczucia człowieka, recytującego przez sen traktat gemary, której nigdy nie studjował, lub mówiącego językiem, którego nigdy nie słyszał. W miarę recytowania coraz gorętsze i rzewniejsze ronił łzy, płacząc z radości, że serce mu się oczyszcza i dygocąc ze szczęścia, że jakaś spójnia kojarzy go z gwiazdami promieniejącymi z dalekich, nieznanych światów. Radość go rozpierała, strumieniła się z każdego członka, kipiała przelewnie, tryskając przez wargi gorącym szeptem:

— Wszyscy są usprawiedliwieni, wszyscy! Reb Mendele, reb Icie, bosi Sruel! Wszyscy są usprawiedliwieni, wszyscy! Danijel, Duszka, Temerl! Wszyscy, wszyscy — Felicja, Komarowski, Kahane... Wszyscy... wszyscy... jed—na—cy! — —

Mordche wciąż się kiwał, choć już nie odmawiał modłów. Przypomniawszy sobie nagle, że modlitwę „Tkine Zojer”, którą przed chwilą szeptał, zmagawia się na kirkucie przy pochowaniu „cadyka”. Pograżony w zamyśleniu, wyczerpany ze znużenia, wsparł głowę na ścianie.

— — — Cóż się tu dzieje? Cóż to? Czemuż wszyscy nacinają sobie klapy u kapot na znak żałoby? „Cadyk” spoczął w Bogu?! Tak? Ot, leży tu! Reb Icie stoi przy drzwiach i odmawia „Tkine Zojer”. „Cadyk” leży przykryty swą białą, atlasową kapotą! Tyle świateł! Tylu ludzi! Ściany rozstępują się... Dlaczego już leży — — na marach? Któż tam? Bosi Sruel?

Wyrzucie go! Nikt nawet ręki nie podnosi!... Bosy Sruel podchodzi do „cadyka“:

— Kocki rebe, czyń pokutę!

„Cadyk“ spowity w białą, jedwabną kapotę wstaje z mar... Wszyscy rozbiegają się. Za tłumem uykają też — ściany... Komnata się rozwiększa, wyolbrzymia — w pustkowie. Mordche stoi wśród pustkowie, jak zabłąkany. „Cadyk“ ujmie go za rękę i, nie uroniwszy słówka, stawia drobne, zółwie kroki. Kroki skrzypią jękiem, lecz „cadyk“ nie rusza się z miejsca. Mordche zżyma się, rozgląda — wyrosła przed nimi pieczara. Zew podobny do trąbienia szofaru wstrząsa powietrzem:

— Józefie Karo! Józefie Karo! Kamień zamykający wejście do pieczary stacza się w stronę, a na progu siedzi wychudły człowiek bez koszuli na nagim ciele, opasany „gartlem“ z liści dokoła bioder, pogrążony w nauce bożej. Nagi człowiek nie rzuciwszy nawet na nich okiem, dalej recytował z pobożnej księgi, wykladał komuś pobożną rzecz, choć w pieczarze nie widać było istoty ludzkiej. Coraz drżał, jakgdyby spojrzeń^a Przybyszów przeszkadzały mu.

— Nagle wyczołgała się z mrocznej groty jakaś obrośnięta poczwara o potwornej twarzy, podobna do straszliwego zwierza i cicho powitała Mordchego.

— Czemu drżysz? Nie bój się, jestem „magid“ — duch opiekuńczy Józefa Kary. Nawyknij patrzeć mi w oczy, znajdziesz tam odblask Tego, który zowie się „miłosierny i litościwy“. Oto masz tobolek z jadłem, wyrusz w drogę, nie dla ciebie Kock, skieruj swe kroki na wschód, zachód, na północ, południe, puść się w szeroki świat, pomiędzy ludzi, a gdy poznasz wszystkie drogi, iż będą dla cię jasne, wszystkich ludzi, iż będą dla cię bliscy, wtedy zatrzymasz się u bram Rzymu. A kiedy znijdzie na cię zła godzina — poczwara schyliła się ku Mordchemu, utkwiła w nim swe oczy (tak świetliste, iż Mordchego ogarnęło zdumienie, że rozpromieniona twarz „magida“ zdawała mu się przed

chwilą odrażającą) i szepnął Mordchemu do ucha — wtedy przywołasz mnie za pomocą zaklęcia „iched“. Idź — szczęście Boże!

Mordche puścił się w drogę. Szedł dniami, nocami, wędrował przez miasta, kraje, nie pojmując często mowy ludności.

Szaty się na nim złachmaniły, po trzewikach już nie było śladu i im mocniej pragnął wyplenić z siebie rozpacz, tem głębiej wkorzeniała się w jego serce. Głodny, spragniony włókł się noga za nogą po pustynnej równi, szukając źródła pośród kamieni. Z pod olbrzymiego głazu ciurkał strumyk, wijący się sznurkiem, który, coraz bardziej grubiejąc, spadał z chlupotem i rozskakiwał się węzami pod darnią. Mordche skierował się za szumem źródła, ujrzał zdaleka jeźdźca na cugowcu i przyspieszył kroku.

— Któż to? Jakaś znajoma twarz... Ach, przecież to Kahane!

— Dobrze, dobrze Mordche! Siadaj na koń! Włóż moje szaty i pojedź do miasta!

Pośród kamieni tłukło się echo, jakby odhukiwane w pieczarze:

„ — — — Gdzież siedzi o n?

„ — — — U bram Rzymu!

„ — — — Jakiż jego znak?

„ — — — Siedzi pośród nędzarzy, trędowatych i schorzałych.

„ — — — Wszyscy naraz odwiązują, naraz zawiązują swoje rany!”

„ — — — On odwiązuje, on zawiązuje każdą ranę z osobna!”

„ — — — Myśli sobie: jeżeli wezwą mnie, niech się nie ociągnę!”

Echo odbiło się trzykrotnie, trojakim głosem, który orzeźwił i pokrzepił Mordchego, spłoszył znużenie i rozpacz. Mordche

wskoczył na konia, zaciął go, przejechał bramę Tytusa, zmówił modlitwę „mincho” i osadził konia przed pierwszą chrześcijańską austerją.

Gospodarzu, jam rycerz z rodu Pires. W Rzymie mieszka moja kochanka, za którą usycham z tęsknoty. Rodzice więżą ją srodze. Rozstawili czujne straże, które nie przypuszczają do zamku nikogo w rycerskiej szacie. Błagam cię, gospodarzu, zabierz sobie mego wierzchowca, mój ubiór, poszukaj w stajni starych łaćmanów!...

Mordche owinął się w jedwabny sztandar—dierzgany purpurową lamą napisu hebrajskiego: „Z głębokości wołałem cię, Panie!— narzucił na siebie łaćchy i skierował się do mostu nad Tybrem.

Setki kalek siedziały na ziemi długimi rzędami i spały z głowami wspartymi na poręczy mostu. Ludzie bez nóg, bez rąk bez oczu klócili się zawzięcie, klęli cały świat, obnażali rany, grzejąc je na słońcu. A gdy nadjeżdżał rycerz, wrzask umilkł, kalecy odmawiali na głos różańce, licząc brązowe paciorki, nanizane na długie druty. Jątrzące się rany, zgniłe członki, sterczące kikuty i klęki po odciętych członkach — wszystko to rwało się do przechodniów, żebrząc jałmużny, podczas gdy owrzodzone, trędowne usta wyliczały wszystkich świętych i błogosławionych w niebie.

Mordche usiadł pośród kalek, związał swe paciorki na kształt rur „menory”: osiem rur koło prawej ręki, osiem koło lewej. Oczy jego nie widziały, jak ze wszystkich krańców prą ku niemu wyhaftowane bramy i strzeliste wieże „nieczystości”.

Wieże sunęły coraz bliżej, ruszyły ze wszystkich dzielnic miasta, cienkie, cieńsze, wstrząsając powietrze swemi dzwonami, pożerając wszystko, co napotykały po drodze. Mordche wyzwalał „Iskrę Bożą”, która przecież tkwi w każdej „nieczystości”, wznosił Iskry do ich pierwostanu, zespalał je w ogniście litery, które, rozdygotane nad rurami „menory” — płonęły i gasły, od-

błyskując w cichej toni Tybru, niby w brylantowem zwierciadle.

Gdy litery rozgorzały, prężąc się ku jaśni „Nieskończoności“, jakoby dziecię ku matce, gdy rury płonące, jako jęzory rozżarzone do białości, skręcały się, wyginały, zwierały ze sobą: pierwsza rura z ostatnią, każda ze swoją towarzyszką, początek z końcem, koniec z początkiem, rodzaj męski z żeńskim, niby ogień zespalaający się z kulą — wówczas rozległ się płacz. To „H“ nad pierwszą ósemką rur i „N“ nad drugą ósemką rur rwały się ku sobie wzajemnie, szlochały z tęskności, lecz nijak nie mogły się ze sobą połączyć, albowiem rodzaj męski z pierwszej ósemki rur zespolił się z rodzajem żeńskim z drugiej, czerpiąc moc swoją właśnie z „H“ i „N“, jako z korzeni zapuszczonych w każdą rurę, jako z soków tam wtrysniętych, tak, że rodzaje i rury zlały się wspólnie, w jedno, na podobieństwo matki zrodzonej z dzieckiem, które ma się narodzić.

Ponad rozpalonemi do białości jęzorami ustawił się rząd rozplawionych liter w liczbie dwudziestu dwóch alfabetu hebrajskiego, który zgiał się w koło i rozblękitnił szafirami. Na widok ten Mordche zżuł trzewiki, ze strachu padł twarzą na ziemię i powtarzał szeptem „Myśl, słowo i czyn — wszystko to jednością w Bogu“.

Z ognistego koła wyluskało się drugie koło, z tego zaś trzecie, a gdy liczba kół dosięgła dziesięciu, zadygotały wszystkie naraz, strzeliły błękitnym zwojem ognia i dymu, z pośród którego ukazał się Bóg w otoczu Serafimów.

— Święty, Święty, Święty, rozewrzyjcie wierzeje, torujcie drogę, Wszchemocny idzie! — Serafi łopotali skrzydłami o koronę przytwardzoną do tronu. Od łopotu ich skrzydeł odłupywały się gwiazdy ze sklepienia niebieskiego i wplątywały pomiędzy błękitne koła, tak, że przestrzeń pomiędzy nimi i niebem coraz się powiększała, a w ślad za tem wzmagala się tęsknota serafimów za jaśnią, która niema ni początku ni końca, za jaśnią, której początkiem i końcem jesi „Niebyt“.

— Święty, Święty, Święty...

— Ktoś ty? — jakiś głos rozległ się i nie rozległ ze wschodu, zachodu, z południa, północy — to człowiek ukoronował cię na Boga, ozdobił cię w pioruny i błyskawice, uczynił z ciebie „Boga litości i miłosierdzia”, „Boga pomsty i zapamiętliwości aż po czwarte pokolenie“. Wymierzył Twoją wielkość, wmówił w Ciebie, iż dniem i nocą należy głosić Twoją sławę, wznosić Ci pieśni chwalebne. Ktoś Ty, kto? I nawet Ty ze swemi okrwawionemi rękami i nogami, którzyś pragnął okupić grzech człowieczy własną krwią—ktoś Ty? Twój żywot, Twoja śmierć, Twoja litość, która chciała osiąść na zgłiszczach drewnianych i kamiennych bogów, która tuła się na świecie po dziś dzień jest również tak przemijająca, jak owe bogi. Więc ktoś Ty? Nawet najpiękniejszy z Twoich uczynków, to, iż Bóg zbliżył do siebie jawnogrzesznicę nie jest przecież czemś więcej, jak człowieczeństwem... Więc czego chcesz? Kurcz się, wyskakuj z własnej skóry! Ty, którego człowiek, „śmierdząca kropla“, ukoronował na Boga, który kazał Ci z Rzymu uczynić Jeruzalem, wiedz, iż godzina Twoja wybiła, dzień Twój skłania się, gaśnie. — — —

Płomieniste niebo poczęło błędnąć, lecz fale bałwanili się i rycząc, jak zgłodniałe lwy, pożerały ognistą paszczą wszystko dokoła. Skrzepy chmur parły zewsząd, nawiewając mrok, pośród zaś chmur ślaniał się blady, omdlały reb lcie, czepiający się kurczowo ręki reb Mendele, który obrośnięty na całym ciele, ze starości zgięty był w kabłąk. Mordche widział, jak obydwaj zmykają co sił. Nie oglądając się wokoło, uciekają skołatani, zmroczniali, niby wypędzeni skądziś, niby Pan Bóg upostaciowany w „Starego dniami” oraz „Młodziana i Męża bitwy”—więc rozplakał się Mordche, zanosił skargi przed „Nieskończonością“, aż ujrzał przez lzy gromady kalek, ciągnących ku niemu ze wszystkich stron. Oto zbliża się wysłana doń dziewczyna z obnażoną pustką na miejscu nosa, aby zbytkowała z nim, o!o

druga dziewczyna z wyschniętymi tyczkami rąk, u których zamiast palców dyndały obrośnięte kłykie.

Dziewczyny kręcą się w koło, zakasują szmatki... Oto biegną doń inne... Jeszcze i jeszcze... Biorą się za ręce.. Kalecy klaszczą w dłonie, stukają kulami. Dziewczyny otaczają Mordchego kołem, porywają za sobą Magdalene, Temerl, kręcą się, wirują coraz szybciej, zawrotniej, nagle rzucają się nań, męczą go, dręczą do łez, do bólu, aż Mordche — — — krzyknął i otworzył oczy.

Sledził przy drzwiach, nogi mu skrzęły, że ich wcale nie czuł. Na dworze już dniało. Usiłował przypomnieć sobie sen, lecz uleciał mu z pamięci, rozwłóczywszy jeno po ciele znużenie. Wstał z miejsca. Dźwigając nogi, jakby szpilkami pokłute, utykał po pokoju dłuższy czas. Wreszcie stanął przy stole, utkwiał oczy w książkę i odczytywał kilka razy tytuł: „Księga chwalebna“. Wtem przypomniał sobie cały sen. Nie zdumiewał się zgoła, dlaczego przyśniły mu się fragmenty z dziejów życia Salomona Molchy, rycerza żydowskiego z XVI wieku, dlaczego przeżył jako coś własnego zdarzenie nad mostem, które przecież przytrafiło się Salomonowi Molchie, przesiadującemu trzydzieści dni nad Tybrem naprzeciw Watykanu w przebraniu nędzarza wśród kalek. Nie zdumiewał się zgoła, lecz cichy smutek kroplami sączył mu się w serce, kroplami, które nie żarły, nie jątrzyły, lecz wsiąkały i wyciekały.

Przejrzał w tej chwili, dlaczego ludzie, którzy wstrząsali posadami świata, wniesli w życie nową treść, nie zostawili po sobie puścizny piśmiennej. Zjawiał się zawsze potem jakiś uczeń czy uczniowie i pisali w imieniu swego mistrza. I dobrze tak!

Wziął do ręki „Księgę Chwałobną”, która wyszła z druku w Salonikach. Co za lichota! Jakież to nędzne dziełko! Cień cienia! Cóż wspólnego ma to dziełko—zawierające spór między archaniołem Michałem i Samaelem, patronami żydów i Edoma — ze świetlaną postacią rycerza z rodu Diogo-Pires, Salomona Molchy,

który miał przed sobą misję: głosić przyjście Mesjasza, przekładać królom zasady judaizmu, papieżowi przysłał chwałę Izraela? Cóż wspólnego ma to dziełko z jego mistycyzmem i jasnowidztwem, które przewidywało ukazanie się komety Halleya, powódź Tybru, trzęsienie ziemi w Lizabonie i wiele innych cudownych rzeczy? Cóż wspólnego ma autor tego dziełka ze sobą samym, gdy jak prorok Eljasz przyniósł światu wieść, iż Mesjasz siedzi u bram Rzymu, gdy głosił boże słowo, iż Tyber zatopi grzeszne miasto, a Klemens Siódmy ze strachu opuścił pałac i salwował się ucieczką? — — — — — — — — —

Rozległo się stukanie we drzwi.

ROZDZIAŁ XI.

„Magid”.

Mordche otworzył drzwi. Służąca, młoda dziewczyna, przyniosła mu śniadanie. Dla zwrócenia na siebie uwagi Mordchego wzruszała wciąż swemi nierozwiniętymi ramionami, a przy postawieniu jedzenia na stole gramoliła się z kilka chwil.

Mordche chodził po pokoju tam i z powrotem, jakgdyby nikogo więcej tu nie było, lecz, gdy dziewczyna stała już we drzwiach do wyjścia, nagle zatrzymał ją:

— Frajdo, widziałaś wczoraj ogień?

— Jaki ogień?

— Nic nie wiesz?

— Co, był pożar?

— „Dwór” „cadyka”...

— Materko — dziewczyna złapała się za policzki, a twarz jej tak się skrzywiła, jakby ją kurcze chwyciły — Niemożebne! Jakby się coś — nie daj Boże — trafiło, toby przecie Dra-

na-bulczarka zara wiedziała, a nic nie mówiła! Nie, nie—dziewczyna mizdrzyła się—Mordche pewnie żartuje sobie!

— Nie żartuję—Morache przybrał poważną minę, choć jemu samemu zaczęły się już nasuwać wątpliwości.

— Jak tylko umyję statki—dziewczyna otworzyła drzwi—to pędem polecę do miasta... Niemożliwe! Niemożliwe!...

Mordche spożywał śniadanie, połykał jadło nierozgryzionemi kawałami, rozmyślając, czy pożar na „dworze” czasem mu się nie przyśnił... Tak! „Dwór” zgorzał! Bosy Sruel podpalił go! Z pewnością! „Dwór” spłonął, powinien był spłonąć! Co?... Powinien był? Więc sam dopuszcza niepewność? Zaraz...—Mordche odsunął jedzenie, wstał ze stołu i, natężywszy umysł, podchwytował w sobie najwietszą myśl, nie pozwalał jej umknąć...— A bosego Sruela spotkał—że wczoraj? A widział—że, jak Temerl tańczyła? A zawoalowana kobieta usiadła mu na kolanach? A Duszka w jednej koszuli? Zatem „Dwór” palił się, czy wszystko to sen, mara? Może... A „magid”? A gdy Józef Karo wstąpił do pieczary Szymona-ben-Jochue... Ukazał mu się...Respekt!.., Przyrównujesz się do reb Józefa Kary, do reb Solomona Molchy? Wszak ludzie to szerokiej miary, wysokich poziomów, wybrańcy Opatrzności, którzy pokazali światu, iż „Izrael to tajemnica Twórcy“, iż „Izrael, Tora i Bóg to jedno”—ludzie, którzy z radością ponieśli śmierć męczeńską dla świętej wiary...

Ty zaś?

Umysł jego pracował ze wzmożonym natężeniem, nie dawał mu na chwilę wytchnienia, jakgdyby trzymał go na łańcuchu. Myśli, niby chmara ptaków, przyfruwały w podskokach i podrygach, aby za chwilę rozproszyć się bez śladu i tylko z za szyby coraz dzwoniły odgłosy jakiegoś śmiechu. Podszedł do okna. Poczł swoje serce. Oddychał na zamazłą szybę i poprzez roztajały szron wyglądał do ogrodu. Pośród drzew spacerowała Felicja z Komarowskim. Z udręki nie mógł złapać tchu. Odwrócił

się i usiadł z powrotem przy stole. W istocie, cóż go tam obchodzi Felicja? Toć jest ona dlań zgoła obcym człowiekiem! Śmiech w ogrodzie nie milknął. Mordche porwał się z miejsca z zamiarem zamknięcia okienicy, lecz zasunął tylko firanki, chodząc po pokoju szybkim krokiem, nieomal biegł tam i z powrotem, jak zwierzę w klatce. Gdy śmiech umilkł, stanął na środku pokoju z nadstawionymi uszami, uchylił firanki i, otworzywszy lufcik, śledził wzrokiem, jak parka to znika, to wylania się z pośród ośnieżonych drzew.

Zdarzenia wirowały przed nim pasmami i owijały go nierozzerwalnym splotem. Wsparł czoło o zamazaną szybę i poczuł w sobie skraplające się sople smutku.

Felicjo!... Felicjo!...

Twój kochanek wtargnął do naszej świątyni, przeklął oponę nad Arką Rodałów i my ociekamy krwią...

Felicjo!... Felicjo!...

A choć tyś nawet po tysiackroć piękniejsza od Kleopatry więc cóż? Nie będziesz niczem więcej, jak Weroniką, Esterką nałożnicą pańską!

Felicjo!... Felicjo!...

Dlaczego posiadaś swego kochanka do świątyni naszej? Czemu? Przez ciebie pławimy się we krwi, przez ciebie, Felicjo!...

Wino.. Wino...

Wino... Wino...

Biedna Felicjo! Nieszczęsna siostró moja!

Krew we mnie kipi, krew proroków wre we mnie, gdy widzę, co z tobą się stało, co oni z ciebie uczynili...

Siostró!...

Nie zmilczymy. Weźmiemy pomstę za naszą krew, za twoje piękno, za twoją cnotę...

Myśmy najsłabsi?

Tak, siostró! Najsłabsi raz już cisnęli światu kłęb, z którego po dzień dzisiejszy nie może się wygmatwać.

Pociesz się, siostró, pociesz!...

Po żydowskich cmentarzach błąka się nie jedna Felicja, nie jedna znieważona Sara, która proroczy, że Mesjasz już przybył, która czeka nań, na swego oblubieńca... A gdy miara męki będzie dopełniona, wówczas taka Sara, czy Mirjam ciśnie światu nowy kłęb, z którego się już nigdy nie wywikła.

Za naszą krew, Felicjo! Za twoje piękno, za twoją cnotę..

Mordche wyszedł z pokoju. Natknął się na Strahla, który trzymał całą plikę gazet w ręku.

— W Warszawie niespokojnie.

— Co się stało?

— Od czasu, jak Kronenberg odkupił „Kurjera Porannego”, nie można go do ręki wziąć. Otwierasz gazetę, wciąż ta sama litania: żydzi, żydzi. Polacy myślą pewnie, że ciemni „chałaciarze” nagle przejrzeni swoje „ubóstwo” duchowe i rzucili się łapczywie na kulturę polską! Osły! Dziewięćdziesiąt dziewięć procent żydów polskich nie wie nawet, czy istnieje coś takiego, co się zowie „kulturą polską”.

— Jak wam się podoba kazanie Jastrowa u Karmelitów na Lesznie?—Mordche rzucił od niechcienia, zastanawiając się, czy zapytać go o wczorajszy pożar.

— Też-ci nowina!— Strahl wzruszył ramionami— tę samą Torę Kahane głosił akurat rok temu! Że głosił ją Kahane, to jeszcze pojmuję, natomiast zachodzę po rozum do głowy, gdy czyni to samo rabin, w dodatku— warszawski rabin, mam na myśli Majzelsa. Gdy on wygłasza to samo, a za nim jego klika, to widzę w tem niebezpieczeństwo. Albo, albo— Strahl wskazał na plikę gazet, jakby coś stamtąd wyczytał— jeśli Polska jest ojczyzną rabina warszawskiego, w takim razie Rosja jest ojczyzną rabina moskiewskiego. I gdyby tak— nie daj Boże— doszło do starcia, to obaj rabini powinni zostać śmiertelnymi wrogami, bić się na noże. Gdyby żydzi oddawna prowadzili tak

politykę, toby z nich już teraz śladu nie pozostało! Trzebaż więcej — wszak margrabia Wielopolski jest temu przeciwny! A gdy cesarz był w Wilnie, któż go najbardziej opiewał? Odyniec! Jeden z największych poetów polskich! Napisał odę ku czci cesarza, zakasującą wszystkich pod względem patriotyzmu, nawet rosjanina Kukolnika. Więc powiedz sam, czyż nasi „maskilim” mają olej w głowie, gdy chcą prześcignąć samych polaków? Nie, Mordche, my, żydzi, nie powinniśmy się do tego wtrącać! — starzec przybrał zadowoloną minę i machnął paczką gazet.

Mordche przyrównywał teraz ojca swego do Strahla... Krewniacy... Ojciec jego był liferantem prowiantu w roku 1831. Koń pod nim padł na Woli, gdy Rosjanie zdobywali miasto. Strahl zaś? Krzyczy, że to nonsens, że żydzi nie powinni się mieszać, a za jego pieniądze już przeszwarcowano z kilkaset karabinów z zagranicy.

Służąca z miotełką w ręku wysunęła się z bocznych drzwi, podśpiewując sobie jakąś skoczną melodję. Ujrzawszy pana, umilkła i zaczęła się cofać. Strahl wstrzymał ją:

- Pani jeszcze śpi?
- Pani poszła na spacer.
- Sama?
- Pani poszła z hrabią.

Zadowolona mina nagle mu zrzędła, przetarł oczy dwoma palcami, ziewnął, twarz jego powlekła się tępem znużeniem, jak twarz krótkowidza, gdy zdejmuje okulary. Odkaszał.

- Komarowski to porządny goj!
- Co, lubi rybę po żydowsku? — Mordche spostrzegł, że nazbyt się posunął i zarumienił się.
- Co lubi? Ryby po żydowsku? — Strahl udawał, że nie rozumie — skąd wiesz, że lubi żydowską rybę?

Przeniknął Mordchego ostrem spojrzeniem, jakby chciał coś od niego wydobyć, wybuchnął cienkim, bezradnym śmiechem, w którym dźwięczało jakieś kwilenie ptaszęce, działające na nerwy.

Wtem nadeszła Felicja, sploniona od mrozu i, schwyciwszy figlarnie rękę męża, przyłożyła ją do swej twarzy:

— Zimna?

— Gdzieś zostawiła hrabiego? — pieścił jej dłonie, ukryte w jego rękach. Zmarszczki na jego czole zaczęły się śmiechać i jakgdyby mrugać do Mordchego, że jest w błędzie.

— Siedzi na werandzie, przegląda pocztę.

— Czy już jadł śniadanie?

— Jeszcze nie.

— Poproszę go.

— Dobrze. Nie tu.. Siedzi ku ulicy.

Mordche wdychał subtelną woń, podobną do aromatu mirtowych liści, którą pozostawiła po sobie Felicja. Już nie czując się więcej samotnym, wyszedł do ogrodu.

Mróz chrząścił, ścinał oddech, wisiał nad drzewami, nad domami, jak postrzępiona wata.

Mordche stapał po wydeptanej steżce, nie potępniał więcej Felicji, opanowany myślą, że niema nic wstrętniejszego ponadto, gdy starzec pojmie za żonę młodą kobietę.

Żydzi zachmurzeni, zatroskani spieszyli się z bóżnic do domu, trzymając woreczki z tałesami pod pachą i chowając twarze do palt. Kobięcina z fartuchem drzewa, sięgającego powyżej nosa, wydeptywała w śniegu drogę. Podtrzymując drwa skrzywionemi od zimna palcami, pojękiwała sobie.

Ze sklepiku wypadł jakiś żyd z tałesem pod pachą, z bochenkiem chleba w ręku, i, klepiąc po nim palcami, czy dobrze wypieczony, promieniał na wspomnienie, jak chluśnie świeży chleb do gorącego krupnika i z uśmiechem szedł do domu.

Wyzierająca zewsząd powszedniość zwała się na Mordchego i jakgdyby okuła mu ręce i nogi w kajdany. Przystanął na chwilę, niby nawpół ocknięty ze snu, a z pod koliska zdarzeń wyblyskiwało ku niemu drażniące pytanie:

— Więc cóż? Więc cóż?

Szedł bocznymi uliczkami, omijał ludzi, pragnął spojrzeć z daleka na „dwór”.

— Dzień dobry, Mordche!

Stał przed nim Szmaja Szaft w barankach. Mordche zmierzyl wzrokiem jego futro z szerokim kołnierzem. Pewien był, iż Szaft futra tego nie kupił, lecz zabrał jakiemuś szlachcicowi za procenty. Przypomniiał sobie, jak ojciec wyciął mu raz policzek.

— Już dawno jesteście w Kooku?

— Od wczoraj. Szukałem cię u „cadyka“ w beth-hamidra-szu. Gdzie stoisz, gdzie?

— Byliście już we „dworze”?

— A jakże... Już widziałem też reb Iciego..

— Wózoraj, zdaje się, wybuchnął pożar?—Mordche zapytał z udaną obojętnością.

— Pszsz!... To ci był pożar!... Przecież paliło się przez całą noc!

Mordchemu zajaśniały oczy. Nie chcąc ujawnić, że ma coś wspólnego z tym pożarem, rzucił od niechcenia:

— Więc wszystko poszło z dymem?

— Nie pozostało całej deski! Straty wynoszą grube tysiące!

— A rodaly?

— Co mówisz?

— Czy choć uratowano rodaly?

— Przecież paliło się u dziedzica pod cmentarzem!

— Tak? — Mordche wywalił oczy, jakby go obuchem uderzono po głowie — tak?..

— A cóżeś myślał? — Szmaja uśmiechał się.

— Nic! — Mordche zmieszany marszczył czoło — Kiedy, mówicie, wczoraj przyjechaliście? Cóż słyhać w lesie?

— Ojciec, jak ojciec, wiesz chyba? A matka wciąż płacze, że jej Mordchunio musi tulać się wśród oboych. Mam dla ciebie

list—zaczął szukać po kieszeniach—ot, a może potrzebujesz pieniędzy, to mogę ci dać.

— Mam u was kredyt? — Mordche rozpieczętował list z zamiarem przeczytania go, lecz jakby po nagłym namyśle, wsunął go do zanadru.

— Ojcowskie słowo to dla mnie akuratniejsze od weksla—malutkie oczki Szafta zamigotały — może masz troszkę czasu, Mordche?

— Abo co?

— Chciałem z tobą o czemś pomówić. A idę teraz do sądu, więc jeśli masz trochę wolnego czasu, to odprowadź mnie kawałek, a po drodze pogadamy sobie.

Mordche udał się z nim. Ogarnęła go ciekawość, o czem to Szmaja chce z nim pomówić. Ciekawość ta, wzrastająca z każdą chwilą, budziła w nim nieskończony szereg myśli i wywoływała lęk o ojca. Gdy matka tonie we łzach, ojciec, nie mogąc tego znieść, ucieka chyba do lasu, gdzie wylewa swój gniew na chłopów, trawiony myślą, że chyli się do upadku, że jego pan, szlachcic Tabecki, już został przywieziony do zguby, że Szmaja, ten Szmaja Szaft, który wiecznie pyta, skąd wynika, że należy nosić biały kołnierz i czarne buty, a nie naodwrot czarny kołnierz i białe buty—ten oto Szmaja, wiecznie przesiadujący w sądzie, codzień rugujący z majątku innego szlachcica — staje się gospodarzem..

— Szmaja—Mordche zatrzymał go — jak wam nie uprzykrzy się całe życie procesować się? Czy choć wiecie o tem, że macie przeciw sobie cały świat, samych wrogów dokoła? Toć zbiliście majątek, bogacz z was! Czyż już nie czas, abyście zaczęli teraz swych pieniędzy w spokoju, a nie..

— Cha-cha-cha — Szaft parsknął szpiczastym śmiechem— to gada z ciebie „książę z książąt”! Wiem, że pieniądz to jeszcze nie wszystko! Żyć jednak tak szeroko, jak twój ojciec, to trzeba umieć! Nie myśl, ja też umiem pozwolić sobie na obiad za

pięć złotych, nawet za dziesięć, lecz szczerze mówiąc, prawdziwy to dla mnie ambaras! To siedzenie, ta usługa, trzy rodzaje mięsa—nie mogę tego znieść! Więc wchodzę sobie do garkuchni, do „swojskiej” garkuchni, kosztuje mnie raptem złotówkę i mam przyjemność! Co do twego ojca, to pewnie, skąd ja do niego! Żyje w zbytkach, szasta pieniędzmi ponad miarę, ponad siły! Myślisz może, że stać go na to wszystko, że taki bogacz z niego! Ani się zaczyna! W Płocku znajdziesz dziesiątki żydów bogatszych od niego. A co do tego, że mam kupę wrogów, cóż na to poradzę? Ludziom zawsze solą w oku cudze bogactwo, tembardziej zazdroszczą komuś z ich stanu, gdy się dorobi majątku! Tak!—szczypał siwą, rządka bródkę— Okrzyczeli mnie za sknerę, dusigrosza, lecz mówię ci po sumieniu, Mordche, gdybym tak dostał dla mojej Cyrele porządnego narzeczonego, oddałbym mu swoje interesy, a sam wróciłbym do handlu — — — Rozumiesz przecież, że z ojcem nie mogę o tem mówić! Panna ięta mnie jeszcze, jak-em u dziadka twego tarzał się w kuchni, jak-em za złotówkę pędził do miasta z ptactwem do rzeźnika, jak-em stał, niby pachciarz przed dziedzicem, on zaś, ojciec twój, był tym poważanym, czcigodnym żydem, prawdziwym bogaczem, wielkim dobrodziejem! Tylko że zapomina on, ojciec twój, o malej drobnostce — że Szmaja jest teraz najbogatszym żydem w okolicy, może w każdej chwili zabrać las młodemu Tabeckiemu i ojciec twój w „całej swojej mocy i czci” pozostanie człowiekiem u m n i e, u Szmai!

Mordche czuł się obrażonym za ojca, nie mógł znieść tłustego ognika w oczach Szmai i chciał mu przerwać.

— Lecz Szmaja—Szaft bił się w piersi—wie, kto twój ojciec i nie robi tego! Szmaja nie jest procentnikiem! Ale nie o to mi idzie.. Więc przed kilkoma tygodniami mówię tak do ojca twego... Co prawda, nie można się z nimi dogadać. Więc gdy mówię tak, że chcę zabrać las i oddać go dzieciom w posagu — — — to pyta mnie—jakim dzieciom? Więc nie śmiem

już spojrzeć mu w oczy i mówię szeptem — Myśle... Gdyby reb Awrum... nasze dzieci... jak to bywa... Może myślisz, Mordche, że nie znam swojej wagi, swojej ceny? Wiem, że nie jestem z ojcem twoim rówieśnikiem! I, doprawdy, skąd Szmaja do reb Awruma? Lecz jeśli Pan Bóg pobłogosławił mnie takim bogactwem, wierzę też, że przykazane zostało przez niebo, abyśmy zawarli z sobą związek małżeński. Co? Cóż ty na to? A trzeba ci było posłuchać, jak twój ojciec zasiadł na mnie! Znam twego ojca, znam jego brewerje... Zatem co? Myślę sobie, pomówię z tobą... Z ciebie nie taki płuż, tyś spokojniejszy... Gdyby tak doszło do skutku, wycofuję się, Mordche, ze wszystkich interesów... Oddaję ci wszystko, cały majątek... Ha, co mówisz?

Mordche nie wierzył własnym uszom, nigdyby nie przypuszczał, aby Szmaja—którego szacowano na milion złotych i w którego mieszkaniu nie było kubła do wody, lecz zamiast tego dziura wykopana przy drzwiach—mógł się zdobyć na rozłąkę z całym swoim majątkiem, byleby wkupić się do szaczonej rodziny, do znakomitego rodu. Ogarnęło go takie wzruszenie, że zmieszał się i nie mógł powiedzieć mu prawdy, iż daleki jest od małżeństwa, iż wybiera się w świat. Przed oczyma jego wyrósł teraz inny Szmaja, któremu nie chciał sprawić przykrości. Język stanął mu kołem i ledwo wyjąkał:

— Nie frasujcie się, Szmajo, wszystko będzie dobrze!

Przez chwilę szli obok siebie w milczeniu. Śnieg skrzypiał. Nagle Szaft drgnął.

— Całkiem zapomniałem! Widziałeś tę listę z nazwiskami, wywieszoną w beth-hamidraszu „cadyka”?

— Jaka lista?

— Chodzą słuchy—Szaft wyciągnął plecy, że ledwo widać było głowę—podobno tej nocy działały się u Danijela takie sprośności, że... przez usta nie przechodzi, wargi ścina. I gdzie? Pod jednym dachem z reb Mendele? Któżby się spodziewał! Taki ohydnyk... taki...

— Wisi, mówicie, lista?

— Rano wisała, potem reb Duwidł kazał ją zedrzeć. Co myślisz, to mu dodaje czci? Krążą wiadomości, że „dwór” zmusi Danijela, aby wziął rozwód z Duszka. Ah, to im pogruchotano kości! Każdemu wsypano taką „pokładankę”!.. Nachmanowi tak się dostało, że leży w łóżku! We „dworze” popłoch! Tak, słuchaj-no, skąd to, Mordche, bierze się, że imię twoje też tam wisało—Szmaja nagle zniemrawiał — sam czytałem — —

— Moje imię?

— Tak! Dziwiłem się, bo skądże ty... Czyż to wypada...

Reb Icie udręcza się z tego powodu! Wszak wiesz, nie powie słówka...

Mordche nie odpowiadał, ani też nie przysłuchiwał się słowom Szafta. Poczł, że Kock mu się ściesnił, u Strahla nie może usiedzieć na miejscu, gna go z pokoju, u reb Duwidł dziś —jutro zamkną przed nim drzwi... Przypomniał sobie „magida”, który kazał mu puścić się w szeroki świat, który powiedział mu, że w Kocku niema dlań miejsca. Zwrócił się do Szafta:

— Słuchajcie, Szmajo, pożyczcie mi pięć tysięcy złotych, ale pod warunkiem, żeby ojciec o tem nie wiedział.

— Pocóż ci tyle pieniędzy?

— Potrzebuję.

— A kiedy będziesz pełnoletni? Za rok?

— Za dwa.

— Dobrze. Zajdź do mnie, do gospody.

— Kiedy?

— Kiedy ci wygodniej. Zbałamucę tu chyba ze dwa tygodnie.

— Więc zobaczymy się, powiedzmy... Dziś?... We środę?

Mordche zauważył, że z drugiej strony ulicy ktoś wymachuje doń ręką. Poznał Kahanego i pożegnał się ze Szmają.

— Więc zobaczymy się w przyszłym tygodniu.

— Dobrze.

Mordche przeszedł na drugą stronę. Witając się z Kahanem, ścisnął mu mocno dłoń:

— Myślałem że jesteście w Warszawie.

— Dziś o świcie wróciłem — Kahane nie wypuszczał jego ręki—słuchajcie, pojedźcie ze mną do Franciszkanów.

— Do klasztoru?

— Nie wychrzczą was tam — Kahane uśmiechnął się—pojedźcie z nami! Komarowski czeka na mnie przed winiarnią Rozena w zaprzężonych saniach.

— Tak, jak stoję?—Mordche wskazał na swoją kamgarnową kaptę pod futrem.

— Cóż za różnica—Kahane wzruszył ramionami i uśmiechnął się—jeśli chcecie, to zamienimy się. Weźcie moją kurtkę, dajcie mi swoją kaptę. No, chodźmy—wypuścił rękę Mordchego i ruszył szybkim krokiem, tak, że Mordche ledwo za nim dążył.



CZĘŚĆ III.

Przed burzą.

ROZDZIAŁ I.

Rzym i Jeruzalem.

Niski, barczysty o rozrosłych, nieco wygiętych plecach, przy których duża głowa wydawała się jednak małą.. Głęboko zapadłe skronie, na których wiły się pojedyncze, rozrzucone kosmyki, niby wykrawki z czarnego jedwabiu, zlewały się z szerokim czołem. Z pod gęstych, czarnych brwi, jeżących się wzwyż, iskrzyła się para niespokojnych oczu, pałających zapewnieniem, iż cokolwiek człowiek ten zamierzy, dobieje swego celu.

Emigranci polscy we Francji, Belgii i Niemczech dobrze znali „naszego“ Kahanego. W kolonjach studenckich ubóstwiano go, opowiadano o nim istne legendy, przezywano go „świętym Pawłem“

Filip Kahane jeździł z jednej kolonji do drugiej, czytał prelekcje o „Dziadach“ i „Nieboskiej“, uczył młodzież recytacji poezji, organizował ją politycznie, popierał akcję jen. Mierosławskiego, stworzył organizację gotową na każde wezwanie przylączyć się do powstania.

Kahane mówił po polsku z akcentem żydowskim, nie mógł się pozbyć hebrajskiego przyspiewu, odzwyczaić od sentencji i patosu „Proroków“, zdanie budował z żydowska, a na uwagi zwracane pod tym względem ze strony towarzysza-Polaka, odpowiadał, iż nie poświęci treści dla formy, że—poprostu urodził się żydem.

Kahane nie miał pojęcia, jak się nabija rewolwer, nie mniej jednak wykladał studentom fortyfikację polową, czytał lekcje o strategii i taktyce wojennej.

Na pierwsze wejrzenie tkwiło coś komicznego w całej jego postaci. Ruchliwy Kahane z czarnemi, kędzierzawemi kosmykami ledwo uwidatniał się pośród jasnowłosych, rosłych polaków. Lecz gdy się rozgadał, jego blondynowi słuchacze zapominali, że pomiędzy nimi stoi mały żydek, a widzieli przed sobą proroka, który miota błyskawice, płomienie, który przenosi góry, wyrywa głązy, szerzy dokoła siebie bolesny niepokój, co leci i tuła się po polskich błoniach i borach, kołając do wszystkich drzwi radosną nowiną, iż godzina już bliska. I na łopot tej wieści młodzież porzuciła szkoły, książki, chłop ciskał pług na roli, opuszczał żonę, dzieci—i wolni zbierali się społem po lasach.

Kahane od długich lat włóczył się zagranicą, uczestniczył w komunie paryskiej, nosił się z planem założenia kolonji w Ameryce w rodzaju „Nowej Ikarji”, zbierał na ten cel pieniądze i agitował za tem wśród emigrantów. W tym samym czasie zapoznał się w Paryżu z autorem „Rzymu i Jerozolimy”, towarzyszem i antagonistą Marksa, Mojżeszem Hessem, i plan jego obrócił się w niwecz. Pod wpływem Hessa dokonał się przełom w jego poglądach, zaczął patrzeć krzywem okiem na swych byłych towarzyszy, miał za złe swym kolegom, którzy zaledwie wczoraj opuścili żydowskie środowisko, już wstydzą się swego pochodzenia, podczas gdy hrabia Jeleński, chrześcijanin z trzeciego pokolenia, którego pradziadek reb Szajes był apostołem Franka, przy lada sposobności wykazuje swoje pochodzenie żydowskie, obnosi się z tem i chełpi przed każdym, jakgdyby znakomitym splendorem rodowym.

Kahane nawrócił się na wierzącego żyda, stał się pobożny, zapuścił brodę, zaczął wygłaszać kazania w bóżnicach paryskich o bliskim wyzwoleniu i wierzył, że już nadszedł czas, aby wszystkie ujarzmione ludy zrzuciły ze swych grobów przytłaczające pomniki i—zmartwychwstały.

Całemi dniami błąkał się po ulicach paryskich i snuł przędziwo objawienia, przed wiekami zadzierzgane przez jego braci,

proroków, na górze Moriah, a po dzień dzisiejszy motające się nicią nierozzerwalną. Albowiem gdy nawet pogański Rzym zburzył kulturę grecką i żydowską, z pod ruin wystrzeżiło nowe życie, zwiastowane przez żyda. Teraz zaś, gdy chrześcijański Rzym dogorywa, a w okna puka już nowe życie, budząc człowieka do czynu, wieszcząc o bliskim wyzwoleniu i pouczając, iż wolność spoczywa w rękach człowieczych—także nowe to życie objawione jest przez żyda.

Kahane ubóstwiał Hessa, patrzył na Sybillę, jak na Magdalę, stał u źródła żydowskiego objawienia, czerpiąc zeń słowo Boże i głosząc je bądźto po modlitewniach i beth-hamidraszach, gdzie spoglądano nań, jak na obłąkańca, bądźto wśród studentów polskich, którzy kazania jego puszczali mimo uszu. Nieznużony i niezniechęcony krzewił swoje idee na jałowej glebie, aż—stał się cud! — z pośród kamiennych szczelin tu i ówdzie wydarły się odporne krzewiny -- rozgałęziły się, zakorzeniły w ugornej, piaszczystej ziemi, szumiąc słowem Bożem.

Kahane widział, iż trud jego nie pójdzie na marne, praca na miejscu może się już obejść bez niego, więc wrócił do Polski z radością i wiarą, iż dziś, jutro naród polski skruszy kajdany, zmartwychwstanie i zbliży dzień wyzwoleni wszystkich narodów—dzień mesjaszowy.

Gdy Kahane z Mordchem przybyli przed winiarnię, spostrzegli z daleka zaprzężone sanie, na których siedzieli już Komarowski i Jeleński.

Jeleński zwinnie zeskoczył na spotkanie Kahanego.

— Zapoznajcie się — Kahane wyciągnął doń rękę i wskazał na Mordchego — hrabia Jeleński!

— Do kroćset fur, beczek djabłów!—Jeleński mu przerwał; oczyma przeproszał Mordchego — Jakiż tam ze mnie hrabia? Nazywam się Jerzy, Jerzy Jeleński. Po dziadku zowią się Jerychem!

Ostatnie słowo wymówił z przyciskiem, utkwivszy w Mordchem wzrok pełen chorobliwej dumy, jakby wspomniał nie imię żydowskie, lecz najstarszy polski herb

Wskazał Mordchemu miejsce, wskoczył do sań i krzyknął na furmana:

— Jazda!

Jeleński przykrył wszystkim nogi włochatym kocem, rozsiadł się wygodnie i ani na chwilę nie zamilkł. Mówił prędko, gęsto, otwierając i zamykając podłużne palce prawej ręki, przyczem polerowane i przezrocze paznokcie nadawały jego słowom pewne; ostrości.

— Wszak to hańba być hrabią! Na dworze królewskim kupczono herbem tak, jak moi dziadowie — wódką! A za Stanisława Augusta każdy cham za pięć, sześćset dukatów mógł zostać hrabią!

Mordche wpatrzył się uważnie w Jeleńskiego i ujrzał przed sobą żydowską twarz. Oczy podłużne, ćmiące się, jak czarne piwo, świadrujące wskroś, nie zdradzały śladu bojaźni lub niepewności, napotykaney w oczach żydowskich.

— Cóż wy na to — odezwał się Kahan — jak cała prasa przyjęła przemówienie Jastrowa?

— „Dwaj bracia jednej ziemi”? — Jeleński parsknął śmiechem — Jacyż my ze sobą bracia? Może ty z hrabią Komarowskim albo z Mierosławskim? Ja nie! Ja jestem żydem! Już nie mówiąc, że w trzydziestym Morawskiemu nie wypadało, aby szlachta biła się razem z żydami... Otóż, nawet „wielki” Lelewel był temu też przeciwny, a tu naraz „bracia”! Pocóż daleko szukać? Weź, na przykład, mego staruszka! Pobożny katolik wiecznie klęczy, modli się, obcuje z samymi księżmi, grozi mi jeśli nie będę pobożniejszy, jeśli nie przestanę mu zatruwać życia dziadkiem Jerychemem, i akurat przy stole przed gośćmi, ha — ha — ha — to mnie wydziedziczy... Otóż, czyż trzeba wam lepszego katolika? Ma jednak staruszek mój słabość i przepędza biedną

szlachtę, która swata się mojej siostrze, chce bowiem w dodatku wydać ją za hrabię ze starego rodu rdzennych karmazynów Polskich, tymczasem oni, hrabiowie, nie chcą mu za nic w świecie przebaczyć, że dziadek Jerychem z rozkazu biskupa Dębowskiego dostał secinę różeg!

— Różeg? — Mordche przepytał ze zdumieniem.

— Tak, panie, różeg.. Było to... Zaraz... Było to zimą w roku 1750. Pobożny biskup wydał rozkaz, aby wszyscy żydzi w przeciągu dwudziestu czterech godzin opuścili Kamieniec-Podolski i aby żaden polak nie ważył się kupić domu u żyda. Dziadek mój namówił wtedy wszystkich żydów do podpalenia swych domów, aby nie dostały się klasztorom. Dziadek mój pierwszy podpalił swój dom i z dzielnicy żydowskiej rano już nie było śladu, więc za karę rozciągnięto go wśród rynku na śniegu i wspano mu secinę cięgow. Pobożny Dębowski zaś zmusił moją prababkę, aby asystowała przy tem i liczyła chłosty..

Jeleński toczył wzrokiem po wszystkich, jakby badał wrażenie, wywołane przez jego opowieść.

Ileć Jeleński opowiadał o sobie, Komarowskiemu robiło się przykro, tracił równowagę, jakgdyby ponosił za wszystko winę — za to, że jego dziadek i ojciec batożyli chłopów, za to, że chłostali żydów, za to wszystko, czem Jeleński lubił się pysznić i bawić gości. Komarowski patrzył teraz na siedzących obok niego trzech żydów i czuł, że są mu tak bliscy i kochani, a jednocześnie — nie wiedzieć czemu — tak dalecy. Ucieszne i krotocwilne strony żyda, p^odsuwene i wpajane weń z dzieciństwa, już dawno wyplenil z duszy swojej i w każdym człowieku, w którym krążyła krew żydowska, widział c^os tragicznego, piętno Kaina. Wzrósł z Jerzym, razem odbyli nauki, razem marzyli, lecz ileć, odwiedzał ich dom, padał nań jakiś lęk, tchnący ze ścian, obwieszonych mnóstwem ciężkich świętych obrazów — lęk, tchnący z posępnej, zatroskanej twarzy ojca Jerzego, z przytłumionych roz-

mów — wszystko to przenosiło go w inny świat, w świat, który na wieki pozostanie dlań obcy.

Jeleński kończył, a oczy iskrzyły mu się:

— Biskup z bojaźni, aby przyszłe pokolenia nie zapomniały jego wierności dla kościoła, sam opisał, jak wypędził „niewiernych“, nie szczędząc dzieci i starców, szczując ich psami i gubiąc kijami w śnieg aż po pas, „parchatego” Jerychema zaś powinien był spalić na stosie, a nie puścić go z seciną chłost. W końcu biskup wyraża niepełną nadzieję, iż dziełko jego znajdzie się w każdym katolickim domu.

— Przecież to ta sama książka, którą ojciec twój wciąż wykupuje — zauważył Kahana.

— Tak, płaci za nią grube pieniądze, nie chce, aby ktoś się dowiedział, skąd wywodzi swój ród — Jeleński uśmiechnął się pod czarnym, zawieszonym wąsem — Książka ta już jest wyczerpana. Boję się, że staruszek więcej nie puści mnie przez próg! Wszak znacie mój zamiar? Każę ją przedrukować, do sławetnego drzewa genealogicznego dodam jeszcze gałąź od Jerychema do Piotra Jeleńskiego i roześlę ją do wszystkich naszych sąsiadów cha — cha — cha! Cóż wy na to?

Nie czekając na odpowiedź, schwycił Komarowskiego za rękę i ciągnął dalej:

— Wasza „jedność” to nonsens! Jeśli nie mogliście strawić, ty i twoi dziadkowie, kilkuset przechrzczonego żydów, którzy jeszcze po dzień dzisiejszy stoją wam kością w gardle, jakże więc możecie marzyć o asymilacji żydów w Polsce? Z waszych lnianych włosów nie pozostanie przecież śladu!

Konie pędziły po śniegu, wzbijając kołtuny kołącego pyłu. Rżąc raz po raz smagały się ogonami po lśniących bokach, zadzierały lby z dymiącymi chrapami.

Jeleński nie przestawał mówić, a skroś kołących śnieżynek po wymoszczonej białą taflą drodze toczył się jego sardeczny śmiech.

Słowa Jeleńskiego przypadły Mordchemu do serca. Nie posiadał się z radości, patrząc na dumnego hrabiego i doszukując się w nim najmniejszej bodaj wspólnoty z żydami „majufesowymi”, w ozyjem imieniu przemawiał. Mordche ujrzał przed sobą Solomona Molchę, przyjeżdżającego na swym rumaku do Regensburga, aby otrzymać audjencję na zamku królewskim — pewien, iż pozyska króla Karola V na swoją stronę. Mordche nie mógł nigdy zrozumieć, dlaczego Molcho pierwszą swoją wizytę złożył reb Joselmanowi-faktorowi, z którym nie umiał się nawet należycie rozmówić. Reb Joselman, niemiecki żyd, z żółtą łatą na plecach, który zginał się w ukłonach przed każdym chrześcijańskim przechodniem i Molcho — dumny rycerz żydowski! który wychował się w zamku królewskim, mieszkał w Watykanie. Patrząc teraz na Jeleńskiego, Mordche nagle przejrzał, dlaczego Solomon Molcho zaprzyjaźnił się z Joselmanem-faktorem

— Kiedy nie podobna z tobą mówić — Komarowski przerywał kilkakrotnie Jeleńskiemu.

— Trzebaż więcej? — oczy Jeleńskiego płonęły, jak dwie żagwie — mam anonimową publikację, w której opisane jest, gdzie mój ojciec otrzymał chrzest. Ilekroć czytam tę książeczkę, przychodzi mi na myśl, iż polak bardziej pożąda panowania nad innymi narodami, niż państwa polskiego!

— Nie prawda, nie prawda! — Kahane się skrzywił.

— Autor tej publikacji — Jeleński nie spostrzegł grymasu Kahanego i ciągnął jednym tchem — skarży się, iż nie podobna przejść po ulicach Warszawy, aby nie napotkać na każdym kroku neofity. Neofici niczem się nie trudnią, jeno każdy z nich dzierżawi ze dwadzieścia szynków, żyją w odosobnieniu, nie zawierają małżeństw z rdzennymi katolikami, pozostali tymi samymi żydami — ha — ha — ha — Jakże ci się to podoba?

— Ciekawe, ciekawe — Kahane strzelał palcami — dasz mi tę książeczkę?

— Owszem, odszukałem nawet autora anonimowej broszury. Jest nim pewien ksiądz, nazwiskiem Hogartowski. Ale posłuchajcie dalej. Na chrzcinach — opowiada ksiądz ten — zebrało się około trzydziestu neofitów, ani jednego rdzennego katolika. Jedzenie było jak u żydów — nadziwana ryba, biała chała — — — gestykulacja rąk podczas rozmowy, przerażone, chytre oczy, nawet zbyt częste przeżegnywanie się — i oto wydawało się oczom moim, że siedzę między żydami, że patrzą na mnie z podejrzliwością, przerzucają się żydowskimi słówkami, niezrozumiałymi dla mnie, strzegąc się mnie, niby obojgo. Nie mogłem tedy dłużej usiedzieć i wyszedłem wśród biesiady — — —

— Ot i jesteście — odezwał się Kahane. Zaległo krótkie milczenie. Wszyscy unikali spojrzenia Komarowskiego, jak gdyby po słowach Jeleńskiego obecny przyjazd zdawał się zbędny i bezmyślny.

Pod górę stały się oczyszczone steczki, z obu stron zawalone głębokim śniegiem. Długie, bielone budowle, rozrzucone na całej przestrzeni podobne były z daleka do koszar. Na środku wznosił się klasztor z dwiema wieżami, których krzyże, obsypane postrzępionym śniegiem przekałały przezrocze powietrza. Bramy klasztoru były otwarte na ścieżaj, a płomyki gromnic odbijające się w cieniu, to pierzchały, to znów się ukazywały. Ze wszystkich stron nadjeżdżały sanki z chłopami, parobcy z sękatymi kijami ciągnęli grupkami, kobiety w czarnych sukniach kłęczą przed klasztorem, potem pojedynczo znikają w otwartej bramie, niby w oświetlonej, głębokiej grocie. Mnisi w długich, brązowych habitach, opasani sznurami o bujających między nogami frędzlaach, sunęli bogobojnie pośród tłumu, oddając się swej pracy codziennej, jak gdyby nic nie zaszło.

Sanie stanęły. Jeleński uchylił koca — wszyscy wysiedli. Trudno było dostać się do klasztoru. Tłum parł ze wszystkich stron. Raz po raz przybywała nowa gromada. Na czele jeden nosi

krzyż, drugi — święty obraz, za nimi szedł tłum i śpiewał. Spiew niósł się wzdłuż i wszerz. Tu — skończony, tam — zaczęty podchwycony toczył się po białym śniegu, nawiewając smutek. Lud wciąż przezęnywał się i wtórował cicho śpiewom, jak na zapuście.

Obok sań wyrósł jakiś młody ksiądz, przywitał się, spojrzął z boku na Mordcheho. Gdy go przedstawiono Mordchemu, ten poczuł się nieswojo, zdawało mu się, że przekłuwają go ze wszystkich stron spojrzenia tłumu.

— Panie Kahane — ksiądz z zadowoleniem wskazał na przybywające zewsząd gromady — teraz nikt już nie powie, że lud jest przeciwny powstaniu, co?

Mordche nie przysłuchiwał się rozmowie. Stał ze spuszoną głową, z nawpół zamkniętymi oczami, nie czując, że koło niego wydzwignęła się śoiana z ludzi, która coraz bardziej się śoiesnia, zwiera, zasłaniając przed nim cały widok. Przez głowę jego przeniknął lotny powiew, unosząc go ponad ramiona tłumu. Skroś przymkniętych źrenic widział zbliżający się oddział wojska nie przyjacielskiego... Oto żołnierze nabijają karabiny, zwracają je przeciw zgromadzonym, grożą, że jeśli tłum się nie rozejdzie, to będą strzelać. Ciżba nie rusza się z miejsca, jak jeden mąż usuwa się na kolana i ciska wrogowi błaganie:

— Strzel! — — — — — — — — — —

Tłum zakolysał się, ruszył z miejsca i porwał za sobą Mordcheho. Każdy pragnął podejść bliżej klasztoru. Mordche poczuł, że tkwi w kleszczach, unosi się z prądem, jak źdźbło, i bał się, aby Kahane nie został zmiażdżony w tłoku. Rozejrzał się dokoła, zauważył podejrzane twarze, szpiczaste oczy jakiegoś staruszka w konfederatce, który opowiadał, że w trzydziestym bronił Warszawy, lecz nikt nie słuchał jego opowieści. Tłum z rozdziawionymi ustami, z wybałuszonemi oczami rwał się do klasztoru, przepychając się łokciami. Na widok ten Mordchemu

przeszła przez głowę myśl — czy masa ta byłaby zdolna stawiać opór — jakimubądź wrogowi?

U wejścia klasztoru, gdzie wisiał obraz Matki Boskiej, ustawiono figurę z gipsu, wyobrażającą młodą kobietę. Na głowie nosiła konfederatkę, na sercu — białego orła z kwiatów, a ręce i nogi miała okute w żelazne kajdany. Grupka młodzieńców i dziewcząt, stojąc na klęczkach w śniegu dokoła figury, śpiewała:

„Boże, coś Polskę przez tak liczne wieki
„Otaczał blaskiem potęgi i ohwały,
„Coś ją osłaniał tarczą swej opieki
„Od nieszczęść, które przygnębić ją miały.

— — — — —

Lud podchwycił pieśń, stojąc zwartym murem, bez ruchu — i tylko zimnem powietrzem wstrząsnął dreszcz bez słów.

Przed figurą wyrósł ksiądz, za nim drugi, za tym trzeci. Tłum, jakby przytroczony do ziemi, stał z rozpromienionymi twarzami, nie słuchając przemówień, jeno czując, iż należy skruszyć kajdany.

Kahane przemawiał do tłumu ochrypłym głosem, wymachując rękami ściśniętymi w pięście. Stojący w pobliżu podrzucali czapki w górę, wykrzykiwali „jedność!“. Mordche poczuł na swej twarzy parę mokrych od wączania tabaki wąsów — jakiś starszy polak porwał go w objęcia i ucałował, jak z dubeltówki — Jak „jedność!“, to „jedność!“.

Ktoś zaintonował i huknęło po polu:

„Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej
„Do ciebie, Panie, płynie mój głos.
„Skarga to straszna, jęk to ostatni —
„Od takich modłów bieleje włos.

— — — — —

Śpiew piętrzył się coraz wyżej i wyżej, toczył się po furzanych czapkach chłopów, wzbijał się świętą wiarą ludu, iż dziś, jutro nastąpi wyzwolenie.

Powietrze zadygotało wkrąg:

— Jedzie, jedzie!

— Kto?

— Księżę Poniatowski.

— A któż to?

— Któż to? Abo ja wiem — — — Jak ci to rzec?

— Księżę?

— Tak, panie, księżę!

— Nie! To przecież hrabia Zamojski!

— Aby napewno?

— Na pewno czy nie na pewno, ale nadjeżdża, bratku, nie lada jaki!

— Co za uprzęż!

— Jak to świeci!

— Złoto!

— Czyste złoto!

Z lasu nadjechała świta szlachecka na koniach. Wszczął się tumult, bieżanina. Nikt nie wiedział, kto ma przybyć. Padaly różne nazwiska, jedni spierali się, inni szli o zakład. Po chwili ukazała się karetą zaprzężoną w dziesięć koni na szpic, według dziesięciu gubernii polskich. W karecie siedział młodzieniec, otoczony damami. Konie okryte niebiesko-jedwabnym brokatem, wyhaftowanym srebrnymi orłami, dźwigały na zadartych łbach złote herby rodowe. Wiotkie polki w narodowych, „krakowskich” strojach zamykały straż honorową. Schyliwszy nieco swe dumne główki, czarowały chabrowymi oczami i lnianymi warkoczami. Dzwony rozkołysały się cicho i z klasztoru wyszła na spotkanie księcia święta procesja. Dzwony klasztorne coraz huczniej dzwoniły, dziewoje polskie coraz niżej schylały swe główki i wciąż głośnieiej, silniej, wznosił się ich śpiew, któremu wtórował jęk ży-

dowskich skrzypiec. Tako zrucano z siebie ciężkie jarzmo zagłuszano hańbę i ból narodu polskiego — więc cicho i bogobojnie lud osunął się na klęczki przed swym księciem, łaknąc słowa z jego ust.

A księżę stał dumnie nad klęczącym ludem, z junacka przygryzając wąsa. Nagle oczy jego ujrzały idącego z lasu — żyda. Był to Mojsiele — rzezak wiejski. Mały, niepozorny, z wygryzioną bródką szedł sobie do domu z workiem wątroby na plecach. Zapomniał księżę o ludzie klęczącym i czekającym na jego słowo. Wskoczył z karety, dopadł żyda, pochwycił go w objęcia i pocałował. Szlachta zaczęła rzucać w górę konfederatki, damy — swe białe jedwabne rękawiczki, a rozmoldony lud porwał się z miejsca z wivatem, z okrzykami „jedność!“, „niech żyje Moszek!“ I rozigrała się szeroka natura księcia, podniecona okrzykami dam — podniósł Moszka w górę na rękach i, nie bacząc na jego płacz, ani na podrygiwanie nóg, wsadził go do karety, poczem pochód ruszył dalej w drogę.

— Damy uspokajały rzezaka, głaskały go po głowie, zdjęły ze swych szyji aksamitki, wstążki, ozdoby i sploty dlań „konfederatkę“ z pawłem piórem, oblewały go perfumami ze srebrnych flakonów i rzucały losy, która ma go pierwsza ucałować. Rzezak niebożę siedział jak na torturach, zalewając się łzami i wznosząc modły do nieba.

Mordche stał przy figurze z gipsu, nad którą łopotwały święte obrazy. Błady, z podniesionymi rękami stał schylony i nieruchomy. Oczy rozwarte, łagodne patrzyły przed siebie z lekkim niepokojem, a gdy czyjeś spojrzenie zabłąkało się doń, to, przykute, nie mogło się już oderwać od jego źrenic. Z pomiędzy trzepocących chorągwi promieniały dwie twarze — — — jakgdyby dwaj rodzeni bracia — — — błady „Syn“ i jeszcze bledszy Mordche.

Okrzyki milkły, śpiew ściszył się, tu i owdzie wskazywano palcami, jak na dziwo, ludziska nie mogli się połapecć, co zaszło i z zaciekawieniem wspinali się na palce :

- Któż to taki?
- Któż to za jeden?
- Żyd?
- Toć wygląda, jak Pan Jezusik.
- Któż to?
- Kto?

Mordche wciąż stał, jak pierwej. Twarz blada, wydłużona, włosy niedbale rozrzucone na czole, kapota rozpięta, białe, delikatne ręce wyciągnięte do tłumu.

Nagła cisza aż strzykała w uszach, uwyrażniając jednotonne kolebanie dzwonów klasztornych, które rozchykotały serca lękiem zmieszonym ze zdumieniem.

Nikt nie zauważył, że z lasu nadjeżdżali kozacy na małych zwinnych koniach. Naraz rozległo się bicie w bęben. Kozacy pędzili z lśnąciami bagnietami, z karabinami zwróconymi przeciw tłumowi.

Tłum nie rzucił się do ucieczki, jeno zwarł się jeszcze mocniej, ramię do ramienia, zlał się w nieskończony mur. A nad tym murem wznosił się Mordche, jak wyciosany z matowego kamienia, jedną ręką wsparty na obrazie Matki Boskiej, z oczyma utopionemi w tłumie.

Ciżba drgnęła, chciała wejść do klasztoru, lecz ludzie byli tak ściśnięci, zrośnięci ze sobą, że jeden od drugiego nie mógł się oderwać. Masa, w bezruchu stercząca, zdawała się wisieć w powietrzu, i jakgdyby w jej gardziel wtłoczono pięść, wywaliła oczy na—bladego żyda.

Bębnienie umilkło, rozległ się ochrypły głos oficera:

— Rozejść się! Bo każę bronią rozpędzić!

Nikt nie ruszył się z miejsca. Jakiś młody ksiądz podniósł do góry krzyż i zaintonował:

— Święty Boże — — —

Tłum podchwycił:

— Święty Boże, święty, mocny, święty a nieśmiertelny,
zmiłuj się nad nami! — — — — — — — — —

Wszyscy zdjęli czapki. Tłum, biorąc coraz głośniejszą nutę, zaciętym wzrokiem czepiał się skrzących bagnatów, chwycił za lufy karabinowe—pasowali się ze sobą!

Lekkie bicie w bęben, jak sypanie grochu, zachrzęściło w powietrzu. Bębnienie zamieniło się w wycie, aż ciarki przebiegły po ciele. Huk karabinów zagłuszył na chwilę cichy śpiew, Ksiądz wypuścił z ręki krzyż, ktoś go podniósł, lecz wnet padł od kuli Mordche podchwycił krzyż.

Zwarta ściana z ludzi pofolgowała. Tłum, skacząc przez padłych, nie rozbiegł się, jeno z sękatemi kijami, z golem rękami, z kamieniami rzucił się na wroga.

Mordche biegł na przedzie.

Koszula podarta, biała pierś obnażona, wargi ściśnięte z bólu, pałające oczy zdawały się krzyczeć do wroga:

— Strzel! Morduj niewinnych ludzi!

Ktoś go schwycił za rękę. Mordche ujrzał chłopca, który przykucnął, wywalił nań parę niemych, straszliwych oczu i z ust trysnęła mu struga krwi. Mordche przyłożył krzyż do warg chłopca i, wnet porwany prądem, biegł, jak w febrze, czując, że ręce mu płoną, goreją... Chciał uwolnić się od tych rozżaronych do białości żużli, jakie trzymał w dłoniach, lecz w głowie apalały mu się tysiące zdarzeń na sekundę. Stał. Czyż masa, jak żywioł, wyrwała i obaliła wszystkie przeszkody na drodze swojej? Stał i, chwytając nic za nicią, nanizywał tajemnicę wiata... Ot, trzymał ją w dłoni, chciał ją—skrwawioną—cisnąć masie, jak rozjuszonemu bykowi, aby oszalała, pożarła się wzajem. Podniósł rękę i ujrzał, jak przed nim rozrasta się — — — krzyż, staje pomiędzy nim a ludem, niby żelazna przegroda. Czerwone krople ognia strzyknęły ze świstem. Jakiś cios odrzucił go wstecz—u jego nóg leżał strzaskany krzyż. Ujrzał Kaha

nego, który stał z rozpostartemi rękami nad strzaskanym krzyżem i wrzeszczał:

— Rzym runął! Rzym runął!

Masa pała naprzód, toczyła się w niebieską dal—do góry nogami—starła się w pył. Mordche dziwił się, że nagle zaległa taka cisza, więc wołał i biegł ku niebieskiej dali—lecz wszystko zmarło—stajało wraz — — — — — — — — — — —

Mordche otworzył oko, lecz rażony bielą śniegu zamknął je z powrotem. Dziwił się, że nie może poruszyć ani jednym członkiem. Ciało mu skrzepło. Garść śniegu nawiana na otwartą koszulę nagle rozsypała się po całym ciele, parząc, jak wrzątek, i orzeźwiając jego umysł.

Rozpinało się nad nim siwe niebo, przetkane bladą poświatą gwiazdy. Cisza czającej się nocy cykała w uszach, zagłuszając w nim pamięć, jak dawno już tu leży. Pewien był, iż został ranny. Nogi mu ciążyły i wpijały się w śnieg, jak nasiąkłe kloce. Zaczął macać rękami dokoła, natknął się palcami na polamany krzyż i przypomniał sobie wychudłego księdza, który padł pod klasztorem. Ksiądz poległ za Polskę, za swych braci, za owe tysiące chłopów, którzy zebrali się zewsząd — on zaś, Mordche? Dlaczegoż on tu leży? Wtem rozkrakała się wrona, za nią druga, trzecia. Chmara wron zleciała się ze wszystkich stron. Mordchego uderzyła myśl, że w pobliżu gdzieś leży pewnie trup. Natężył wzrok i ujrzał rysujące się na białym śniegu czarne dzioby, które, chwiejąc się tam i z powrotem, coraz bardziej się wydłużały, wyostrzały, jak lśniące klingi, sunąc ku leżącemu na wznak człowiekowi. Ot, wrona z rozpostartemi skrzydłami stanęła już na czaszce i, zadarłszy, jak dzięcioł, do góry dziób, zaczęła pukać w czoło z uporczywością, dłubiąc coraz głębiej i głębiej, jakgdyby klinem chciała mu rozplatać głowę. Nagle Mordche zmiarkował, że tam nikogo niema, że cały obraz mu się tylko zwidział i — wstrząśł nim dreszcz. Ogarnęła go żądza życia, która rwała się zeń tem przemożniej, im hałaśliw-

sze stawało się krakanie wron, rozszarpujące ciszę nocy. Ządza ta rozsadzała go, wrzepiała się pazurami w zbity śnieg, wgryzała szponami w ścięte powietrze. A gdy księżyc wychynał z nieba, zgasił na chwilę gwiazdy i oblał Mordchego matową pobiałą, to Mordche wydawał się sobie samemu przeźroczy, ujrzał przed sobą rozziarne oczy, przesywające go wskroś, i ze strachu wskoczył na równe nogi. Rozejrzał się dokoła, nie wiedział, gdzie się znajduje, przed oczyma miał puszystym śniegiem okryte krze, a w uszach—krakanie zmieszane z urwanymi dźwiękami, jakgdyby ludzkiej mowy. Na śniegu, gdzie księżyc wyżłobił dróżkę, ślaniał się cień człowieka. Mordche czołgał się na czworakach, a z za krzaka rozlegał się głos chłopą:

— — — Kulą w zad — — —

— Wstań-że, panie wojowniku, wstań

— Zachciało ci się wojować, co?

— A jakie to sztywne!

— To ci „wasał”—jucha!

— Ano bałeś się, że ci las rozwłóczą, różgami siekłeś chłopą, jak wziął drążek na dyszel, tera nabrałeś wody do gęby, co? Więcej, jak ino deskę na trumnę, nie zabierzesz z sobą!

— Już nie będziesz więcej batożyć chłopów we dworze!

— Ani łązić do ich bab!

— No, zegnij kulasy! Wyciągnij-że kopytka!

— Jak zachciało ci się wojować, to trzymaj się z kulą w zadzie!

Mordche nie mógł dłużej uleżeć. Wskoczył z ziemi i rzucił się ku krzakowi. Chłop przestraszony schwycił wypchany worek, krzyknął „Jezus Marja” i uderzył w nogi. Ze strachu upuścił worek i znikł. Wsparty na krzaku stał nagły trup. Prawe oko miał nieco odchyłone, usta wykrzywione, lewy wąs wepchnięty między zaciśnięte wargi, tak, że Mordchemu zdawało się, iż stoi człowiek z połową twarzy, patrzy nań ze skargą, dlaczego ro-

zebrano go do naga w taką mroźną noc i — płacze. Juchtowy but, którego chłop nie zdążył włożyć do worka, leżał na śniegu. Na sercu trupa, gdzie krew z rany już skrzepła, wisiał mały krzyżyk. Mordche stał przed trupem ze spuszczoną głową, jak przed otwartym grobem. Nie wiedział, kto to jest, nie pamiętał, w jakim celu los ich obu tu sprowadził. Wzrok jego spoczął na osieroconym bucie, a w uszach dźwięczało mu:

— Już nie będziesz więcej batożyć chłopów we dworze!

Krakanie wron nie ustawało. Mordche położył trupa na ziemi i choć wiedział, iż worny go wygrzebią, zasypał go pagórkciem ze śniegu, wetknął połamany krzyż i puścił się polem. ,

Teraz dopiero zauważył, iż niema na sobie futra. Mroźna noc schwyciła go w objęcia. Co chwila otrząsał się, jakgdyby chciał zrzucić z siebie mróz. Już więcej nie jątrzyły go pytania poco tu przybył i co czynił. Rozumiał teraz, iż wychudły ksiądz trup, którego dopiero co pogrzebał w śniegu, nie poległ za swoich braci. Bracia ich nie przyjęli tych ofiar. Jak głodne wilki wypadli nocą, by zemścić się za dobro, którem ohciano ich obdarzyć, a może za pańskie różgi, za lzy ich żon i córek?

Może...

Mordche przyspieszył kroku, nieomal biegł, łowiąc przytomnie każdy dźwięk, nie zamieniając drzew na ludzi. I jak jeździec, cwałujący na dzikich rumakach, ściska mocno lejce, pewien, iż konie puszczone największym galopem nie wyrwą mu się z rąk, tak Mordche, trzymając w garści, w twardym uchwycie swe wyostrzone zmysły, stąpał krokiem śmiałym w głąb nocy. Jakaś sferoka, przelewna pewność siebie strumieniła się w nim, strzykając z każdego członka, pewność, której się nie jest świadomym dopóty, aż człowiek nie zostanie rzucony na pastwę samego siebie. Dotychczasowe, zewnętrzne zdarzenia przepływały obok niego, nie musnąwszy go nawet, jakby wywołane tajemnym nakazem człowieka, który zniewolił świat zewnętrzny. Wyzuty ze strachu i zapatrzony w siebie nie widział mróżnej,

wybielonej nocy, stojącej na skraju lasu, w kożuchu śniegu, z warkoczycami lodu. Siarczystą noc wytrząsnęła ze swego szerokiego rękawa wychudłego księdza, trupa, którego Mordche zagrzebał w śniegu, głodne wilki, pędzące w pogoni za zaprzęgniętymi saniami, po tropach Felicji i Komarowskiego. Złe duchy, rychło patrzeć, jak miały mu zabiec drogę, przestraszyć go tak, aby się oddał w ich władanie. Aliści nie mogły się doń zbliżyć, jakgdyby ogniste koło przegrodziło im drogę ku Mordchemu i płomieniem swym spaliło w nim ziemskość, oczyściło go z doczesności. Zdala od ludzi Mordche poczuł w sobie wielką miłość ku ludziom, ową miłość, którą człowiek poczyna w pustyniach w lasach.

Umysł mu gorzał. Przed oczyma jego rozokolił się ogień przestrzenny, strzelisty, szerzący się od budowli do budowli. Tam i sam ukazują się nadzy ludzie, drżą z zimna, nie mogą się ogrzać przy własnem ognisku, a płomień, jak rzadka ciecz, rozlewając się w rzekę, wre, huczy. Ludzie szamocą się, pasują ze sobą, wspinają po sobie, aby wydostać się z ognistej topieli. Nagle na samym środku tej rzeki wyrasta pochylony krzyż, niby stary dąb, który pogłębia ognistą toń i nikogo z niej nie puszcza—stojąc jak posoch Gabryjela wśród morza. Tam zbudowany został jeno Rzym, tu zaś—świat, cały świat skazany jest na zburzenie. Mózg Mordchego zapłonął, bo ujrzał, jak zapada się w gruzy budowla za budowlą, łomoce z jękiem gmach za gmachem, nad zgliszczami i ruinami zaś siedzi żyd, stoi on, zwołuje ku sobie wszystkich upośledzonych, wydziedziczonych, wszystkich zgłodniałych, poniewieranych—wrywa śluzę, łamie groble, zalewa ziemię, burzy i niszczy wszystko dokoła, aby człowiek—nagi, nowonarodzony—mógł dalej tkąć nić bożą, nić żydowską—dotąd jeszcze nie zerwaną.

Późno w nocy Mordche zapukał do niskiej chaty, ledwo wynurzającej się z pod śniegu. Wewnątrz rozleżał się zaspany głos:

— Kto tam?

— Przechodzień prosi o nocleg.

Nikt nie odpowiedział. Mordche zamierzał już odejść, gdy wtem usłyszał krzątanie się przy drzwiach i gniewny głos:

— Zasnąć człękowi nie dadzą! Włóczy się to po drogac nocą, jak te djaski.

Drzwi skrzyknęły. Odezwał się ten sam głos:

— Wejdźta, żywo! Bo zara cały mróz naleci do izby!

Mordche wszedł do ciemnego pokoju. Stęchłe, ciepłe powietrze przesycone wonią ześląłych kartofli i mierzwy uderzyło go w twarz. Rozejrzał się i choć nie spostrzegł nikogo, rzekł:

— Wybaczcie, dobrzy ludzie, żem was przebudził, przenoszę tylko, zapłacę wam i pójdę sobie dalej. Nie macie się jego bać...

— Człowiekowi to żadna rzecz nie przycięzka—z ciemność; rozległ się głos kobiety, nieco przelękniiony—ino, kochany panie, w dzisiejszych czasach, kiedy to po drogach pełno wilków, a nie udzi, to należy mieć baczenie!

— Abo co, lud u was też się buntuje? —zapytał Mordche?

— Lud, panie zdziczał, już niema Boga w sercu, ucieka do lasów, a kto dziś tam przejdzie, to życiem niepewny!

— A gdzie dziedzic? — odparł Mordche — to wieś Rukowskiego?

— Tak, drogi panie, dziedzic pytacie? Jaki tam dziedzic? Toć nikomu nie wolno na folwark nosa pokazać.

— Młody dziedzic — odezwał się chłop — to nie dziedzic, no psubrat i hycel! Nic inszego nie wie, jak tylko różgami siec chłopców!

W mroku rozjękło się rzewne me-e ciołka.

— A cknii nu się tak za matką. Jarki ciołek — wczoraj odsadzono go od krowy, a w oborze ziąb, tośmy go zabrali do izby.

Chłop ujął Mordchego za rękę i doprowadził do pieca;

— Ot, panie poduszka i wleża w górę. Na przypiecku siana poddostatkiem, to się tam ułożycie. Ino nie lękajta się w nocy — dzieciska tam śpią.

Mordche ostrożnie wlaź na przypiecek. Z pod kołdry świeciła głowa z długimi lnianymi włosami, które, jak snop promieni księżycowych, przedzierały ciemność, aż w oczach czyniła się jasność. Znużone ciało Mordchego drgnęło. Rozciągnął się na świeżem sianie. Słoneczne włosy, leżące obok niego, budziły w nim niepokój i chęć zanurzenia pałającej twarzy, skołatanej głowy w tej rozrzuconej gęstwinie włosów. Serce jego wezbrało aż po skraj radością i wdzięcznością dla człowieka, czuł, że jego zgrabiałe członki tają, że pasma włosów, pachnących, jak świeże kłosa, muskają mu włosy, że tęskliwe beczenie ciotka staje się coraz rzewniejsze, cichsze, aż rozplywa się w dał..

Mordche usłyszał przez sen jakieś głosy. Obudził się z myślą, że jest na jarmarku. Gdy się rozcmuchał, rzucił okiem na to miejsce, gdzie rozsnuwały się świetliste włosy, lecz nic tam nie znalazł, więc przeszło mu przez myśl — czyż nie był to sen. Kojec z gęsiami, wzięty na noc do mieszkania jeszcze stał przy piecu. Gęsi z długimi szyjami, wysuniętymi, przez sztachetki, z zadartymi łebkami gęgały: gę-gę-gę! Ciołek tarztał się na wiązce słomy, wyciągając litośnie mordkę i drząc przeciągłym me-e. Starszy chłop bez marynarki trzymał w ręku kawał drzewa i dłutem wystrugiwał żłobek. Obok niego siedziała córka i przędła na kądzieli, lniane pasma zawieszzone na jej szyi zlewały się w płowemi włosami.

— Jeść, jeść! — chłopka wysunęła z pod pieca pieńek, rozciągnęła na nim deską z tapczanu i postawiła glinianą misę, napelnioną kartoflami, od których buchała para. Po chwili para zamglila pół izby. Drzwi się roztworzyły. Mróz wtargnął kłębami za nim stara baba, wsparta na kijku.

— Niech będzie pochwalony!...

— Na wieki wieków, babciu. A cóż tak raniutko? — zapytała chłopka — poróżniłyście się z synową?

Babina otrząsnęła przewiązane szmatami trzewiki, spojrzała wyblakłymi oczami na parujące ziemniaki i westchnęła:

— Ano ja to z nikim się nie poróżnię. Uładzę się z najgorszą bestyją... Kiej człek haruje we dnie i w nocy, to i czasu niema waśnić się. Kiedy to z nas ostatniego ducha wypędzają. I nad bydlakiem trza mieć w sercu politowanie, wszak to boskie stworzenie, a cóż dopiero nad człowiekiem? Złe czasy: droga Marto, złe czasy. Już trzech panów przeżyłam, a nie pomnę, aby chłopci uciekali ze dworu. Ojciec dzisiejszego, świętej pamięci Rudowski, był to przecież gołąb, dobrodziej, nie po próżnicy lud go nazywał „Jezulkiem”, a ostał się po nim synulek, to bodajby go pierwszy piorun poraził. Ani chodzi do kościoła — jakież z niego katolik? To przekłety Lucyper, ten z książki do nabożeństwa. Nie dziw, że chłopci, prawdziwi katolicy, uciekają od niego. Kiedy to człowiek u dzisiejszych panów nic nie wart, jeszcze gorszy jest od psa... Jak postawili mojego Władka do krajania sieczki, to krajał, aż padł z nóg, harował całutką dobę przez dzień i noc. Czy to słyszane rzeczy? Leży tera nieborak na barłogu, ducha nie może złapać, kolki go sparły... Trza mu będzie krwi upuścić... Ano co do tego właśnie, przyszedłam was prosić, Wojciechu, abyśta zara po zjedzeniu zaszli...

— Dobrze, dobrze, babciu, zajdę!

— Bóg zapłać! — starowina podniosła kijek do stropu, jak gdyby wskazała, gdzie Bóg się znajduje i wyszła drobnymi krokami.

Parujące kartofle zaparły Mordchemu dech, aż go ścisnęło pod sercem. Zszedł z przypiecka i powtórzył kilka razy:

— Dziękuję za nocleg.

— A jak się tam spało, panie, wygodnie? — zapytał chłop. Mordche czuł na sobie spojrzenia wszystkich domowników, oglądających go od stóp do głów.

— Jak zabity!

— To dobrze, dobrze, panie! — chłop odłożył żłobek i otarł ręce o spodnie, zasypane wiercinami i odstrużkami — Niema za co dziękować! Bagatela — zwrócił się do córki — Magdo, daj ręcznik, pan się umyje i zje z nami śniadanie!

Córka wstała z kołowrotka i zaczęła szukać w kufrze. Po chwili wyjęła stamtąd kawał białego płótna i nieśmiało podała go Mordchemu:

— Proszę.

— Na Mordchego tchnęła woń zimowych jabłek, woń suchych drzazeg. Nie wiedział, czy zapach ten pochodzi od ręcznika, czy od dziewczyny. Patrzył na jej słoneczne włosy i zastanawiał się, czy to ona właśnie spała obok niego na przypiecku.

Umył się. Nie dając się długo prosić, zasiadł do miski z kartoflami. Wszyscy jedli z jednej miski drewnianymi łyżkami, w milczeniu, ze czcią. Po zaspokojeniu pierwszego głodu, gdy twarze biesiadników nabrały pogody, chłop rzucił:

— Czy pan tutejszy?

— Nie, panie, z daleka!

— Skąd?

— Aż z Płocka!

— Znam Płock, panie, przejeżdżałem tamuj. Piękne miasto. I jakie tam wielkie kościoły! Ile złoła i srebra, aż w głowie się mroczy, jak tam wejdiesz! Pracowałem, panie, w lasach lipowieckich, spuszczałem drzewo.

— Czy znacie tamtejszego „pisarza”?

— Czy go znam? Czy znam „pana-pisarza”? Rzetelny żyd pocziwy człowiek, prawdziwy pan! A pan go zna?

— To mój ojciec — odparł Mordche, wnet pożałował i spuścił oczy.

Ze zdumienia chłop rozdziawił usta, wywalil ślepie, przeżegnał się i nie wiedział, co począć z Mordchem, Otarł mokre wąsy, płączące mu się między wargami, i krzyknął do chłopki:

— Żono! Jak już zawitał w nasze progi taki gość, to potrzeba go uraczyć lepszym śniadaniem. Masz tam pewnie śmietanę? Podajno chleb z masłem do stołu! Zara—a gdzie mój kożuch?

Mordche zauważył, iż chłop wybiera się coś przynieść, więc wstał ze swego miejsca i zagroził mu drogę:

— Dokąd to?

— Drogi panie, Abramek mieszka stąd krzywnę. Przeleczę się po kwaterkę okowity, drogi panie!

W miarę jak Mordche wymawiał się, chłop coraz bardziej miękł i tajał, w końcu zaczął go całować w ręce. Mordche ledwo wyplątał się z jego czułości, a gdy chłop wyszedł z izby, zaległa przykra cisza.

Mordche toczył wzrokiem po pobrużdżonej twarzy chłopki patrzącej z tępotą rozorarej sflby i zapytał od niechcienia:

— We dworze u was cicho?

— Cicho to nawet nie cicho, panie — chłopka wytarła nos fartuchem — Ano dzieje się! Już trzecie lato, jak na polu wszystko spala się w perzynę. Niema chleba, to ludziska jedzą korzenie i puchną... Klątwa... Dopust boży, panie... A mój stary, jeden mężczyzna całkiem... Bo inni — synów mają, to zawsze im użytek i pomoc... Na dobitkę, panie, mój wziął się na staz rość do kieliszka. Ręce mam już skrzywione od tej pracy, palców całkiem zamknąć nie mogę, a on wszystko wyszwenda i do szynku zanoszą—masło, jajka, wszysciutko!

Mordche ujrzał łzy na czerniałej twarzy chłopki i opadł go smutek, podobny do smutku, jaki ogarnia człowieka w polu, gdy na czarną ziemię mży gęsty, drobny deszcz, deszcz, który nie wsiąka, lecz pada i pada. Wyjął z kieszeni kilka monet i wsunął jej do ręki.

— Drogi panie — chłopka upadła mu do nóg i zaczęła je całować.

Córka, która cały czas unikała spojrzenia Mordchego, jak-gdyby nigdy nie przebywała wśród ludzi, krzątała się koło ką-

dzieli, oczyszczała święte obrazy, zawieszone na ścianach, lecz gdy ujrzała, jak matka upadła Mordchemu do nóg, w zakłopataniu schwyciła kojec z gęsiami i wybiegła z pokoju.

— Co robicie? Wstydzcie się! — Mordche zmieszany podniósł chłopkę.

Było mu przykro z powodu dziewczyny, pożegnał się i wyszedł z chaty.

Mordche skierował się do wsi.

Niskie chaty ledwo widoczne były z pod szerokich, słomianych strzech, uginających się pod brzemieniem śniegu. Zaspasy śnieżne starły zewsząd barwy, wyrównały się z opłotkami, rozebrały wszystko do naga. Zdawało się, że cała połać, na której rozsypanych było kilkadziesiąt chat, zmniejszyła się, drzewa, izby i stodoły zaś skupiły się koło siebie bliżej. Od chaty do chaty ciągnęły się pasma śniegu znaczone śladami wronich łapek. Przed studnią, w której lód sięgał aż do drewnianego skraju, bawiła się gromada chłopców. Jedni na drewnianych łyżwach, inni na siedzeniach spuszczały się do studni, rozdygotając ciszę kaskadą dziecięcego śmiechu. Z otwartej stajni wyglądał bociek ze zwieszoną głową, a z jego wypęczłych piór, ze złamanego skrzydła, sterczącego, jak uschnięta ręka, wzywał ból zimy.

Bociek, wyciągając swe złamane skrzydło, klekotał tęskliwie kła—kła—kła, jakby skarżył się przed Mordchem na swoje nieszczęście, na to, iż wszyscy odlecieli i zostawili go, kalekę, by zginął w kraju śniegów, by zmarł z zimna.

Przy ośnieżonym płocie stała chłopka okutana w derę, jaką okrywa się konia. Z palcami rozczapierzonymi jak pazury, rwała się na drugą stronę plotu do chłopa średnich lat:

„ — — — Jak nie oddasz świniaka, to ci ślepia wylupię!

— Idź sobie lepiej babo do domu!

— Nie odstąpię — chłopka jęła przeskakiwać przez plot. Dera spadła jej z głowy, a nieuczesane włosy rozczochrały się po twarzy.

— Nie leż przez płot — chłop sięgnął po pasek — bo jak ci skórę wytataruję, to nie trafisz do izby.

— Abo się ciebie boję?—skakała mu pazurami do oczu— ty świński ryju, flejtuchu! Patrzcie go, jaki zuch! Bić będziesz biedną wdowę, oby ci ręce i nogi odjęło. Jezusie święty!

W sąsiednich izbach poroztwierały się drzwi, z których wyglądały zaciekawione oczy. Chłopka zaczęła się do nich odwoływać.

— Świniak mój wlaźł na jego dwór, to ci go sprzątnął i udaje niewiniątko.

— Zapłać za szkodę! — chłop podciągał spodnie.

— Chorobę w bok! — chłopka biegła ku niemu.

— Pójdź, pójdź, suko! — chłop przywoływał ją palcem.

— Suka jestem? — chłopka odwróciła się do owych kilku nastu zaciekawionych oczu wyglądających to drzwiami, to oknami—jak mielibyśta Boga w sercu, tobyśta nie dali tak ubliżyć biednej wdowie?... Bo nic nie wiadomo... Jutro insza może zostać wdową!...

— Jak to rozdziawiło gębę — chłop kiwał głową — Jak to ryczy, kiejby krowa, co się ma ocielić.

— A tyś nawet niezdarny, aby żona twoja się ocieliła! — chłopka jeszcze głośniejsze wrzasnęła — Dziwota, że mieszka z takim rzezańcem!

Wyrostek lat dziewięciu, z drewnianą łyżwą w ręku, z kieszeniami wypchanymi kulami śniegu podszedł do chłopki.

— Czegóż matka tak krzyczy?

Kobieta zaczęła jeszcze raz od początku, opowiedziała chłopcu cały wypadek ze wszystkimi szczegółami, jak dorosłemu. Chłopczyk drżał z gniewu i, grożąc palcem, krzyknął:

— Oddaj świniaka!

To jej dodało animuszu, przesadziła płot, za nią synek. Chłop schwycił ją za włosy i zaczął nią trząść, aż osunęła się

na śnieg. Chłopczyk śmignął chłopu w twarz kulą śniegu, a widząc, że nie puszcza matki, zaplątał mu się między nogi, wpi-cając się, jak rak, i wrzeszcząc jakby go ze skóry obdzierano. Wreszcie tak się wgryził mu w nogę, że chłop puścił matkę.

— Jak to można podnieść rękę na kobietę, w dodatku na wdowę? — Mordche wsunął się między nich.

Chłop z ledwością oderwał się od synka; przez chwilę zmierzył spojrzeniem Mordchego i zaczął się tłumaczyć:

— Niech nie przełazi!

— Oddaj świniaka! — ryknęła chłopka, przytrzymując synka który z kulą śniegu rwał się do chłopca.

— Zapłać za szkodę!

— Oddaj jej prosiaka, oddaj, Maćku — wyrosło kilku są-siadów przed chłopem.

— To niech przyrzeknie, że więcej nie puści świniaka na mój dwór!

Chłopka nie odpowiedziała. Stojąc na klęczkach w śniegu, prosiła synka, aby poszedł do mieszkania, lecz dziesięcioletni kmiotek rwał się i, grożąc małą piastką, w której ścisnął kulę śniegu, darł się wniebogłoso:

— Będzie bić moją matkę? Moją matkę będzie bić?

Chłopczyk wyrwał się z rąk matki, odbiegł kilka kroków i zaczął ciskać w chłopca kule śniegu, jedną za drugą. Chłop rzucił się za nim. Mordche — za obydwoma Chłop pozostawał w tyle, bo nie mógł dogonić chłopca. Już biegł za nim tylko ze wstydu i złości, lecz brnąc przez głęboki śnieg zmęczył się, więc stanął i zawrócił zdyszany. Mordche rozejrzał się wokoło. Naprzeciw był szynk. A że doskwierał mu głód po suchych kartoflach u chłopca, skierował się do szynku.

W szynku nikt nań nie zwrócił uwagi. Był to duży pokój, na samym przedzie stało posłane łóżko, na którym leżało czerwone dziecko z zadartymi do góry nóżkami i darło się na cały gardziołek.

Nad łóżkiem wisiała Matka Boska w ramie bez szkła. Spłowiwały ze starości obraz wystąpił z rami i wyglądał tak, jakgdyby dłuższy czas schnął po moczeniu się w wodzie. Między piecem a ścianą poustawione były dwa łóżka w formie litery „daleth”, nawpół przysłonięte kretonową firanką, na jednym z łóżek siedziała wychudła kobieta o twarzy niedorozwiniętej dziewczyny i, zanosząc się od suchego kaszlu, bawiła się z maleństwem. Niedaleko niej staruszka w trójkończastej chustce na głowie, z pod której wylażyły strzępy siwych, jak popiół, włosów, skrobała kartofle, co chwila otwierając i zamykając wklęsłe usta, a z twarzy jej tchnęło coś, jak z czarownicy. Obok drzwi przy komodzie, na której stały dwie pary miedzianych lichtarzy, siedział wysoki, szczupły młodzieniec z rozrzuconemi na podbródku i policzkach kosmykami włosów, niby rzadkie porosty na piaszczystej bruźpzie — i lekko kiwał się nad książką.

Mordche potoczył zdumionym wzrokiem dokoła i pomyślał, że wszedł tu przez omyłkę. Gdyby nie beczki z piwem i kilka gąsiorów wódki, nie wierzyłby, że znajduje się w szynku. Na komodzie i na stołkach leżały stosy książek, na podłodze rozrzucone były figury geometryczne, wycięte z kartonu. Z za zasłony rozległ się słaby głos:

— Duwed, Duwed, przyszedł kundman!

Młodzieniec potrząsnął głową, niby odpędził muchę, złapał się za nieobrośnięty podbródek, na chwilę zamknął oczy jakby się skupił i nagle przerwał:

— Chane, potrzebujesz mnie?

— Nareszcie oderwał się od swojej „pracy” — staruszka mruknęła, wskazując na Mordchego — idź do gościa i przyslij tu szyksę. Cóż się tak gramoli w oborze? Jej bękart już mnie zagłuszył!

Młodzieniec oderwał wzrok od książki, wstał z krzesła i zapytał po polsku.

— Pan czegoś chce?

— Czy dostanę coś do zjedzenia? — Mordche odpowiedział po żydowsku, zbliżając się z zaciekawieniem do otwartej książki.

Młodzieniec odruchowo zmieszał się, że przemówił do żyda po polsku, a spostrzegłszy zaciekawienie Mordchego zamknął książkę, lecz wnet żałując, zaczął się jąkać, jakby w poczuciu winy i podał Mordchemu książkę.

— Za przeproszeniem. To jest... Jeśli chcecie zajrzeć, to owszem, owszem... Nie mam nic przeciw temu... Tak, to „Giwas Hamojre”, komentarz do „Przewodnika dla błądzących” Majmonidesa...

— Słyszałaś, Chane — staruszka wystukała wargami — przychodzi gość, chce coś jeść, to karmi go księgami.

— Nie gniewajcie się, babciu — Mordche usiłował ją udobruchać.

— Abo kto się gniewa, kto? — staruszka ugniatała słowa zwiędłymi wargami — mówię tylko, że Psalmami nikt jeszcze się nie najadł!

— Co chcecie zjeść? — młodzieniec się uśmiechnął.

— Może dostanę u was ciasta?

Młodzieniec się rozejrzał, jakby kogoś szukał, nieśmiało zaciągnął zasłonę nad łózkami i spytał cicho:

— Chane, Chane, śpisz?

— Czego chcesz od Chany? Już idę, idę — staruszka wstała i strząsnęła z fartucha łupiny od kartofli — przynieś tymczasem jajka z komórki!

Mordche otworzył inną książkę — „Ail Meszylosz” — „Jeleń Trójrogi”. Domyślił się, iż figury geometryczne wycinane z kartonu, mają coś wspólnego z geometrią, ułożoną przez gaona wileńskiego. Zamyślony nie spostrzegł, że staruszka podeszła, odkaslnęła i zwróciła się doń, jak do starego znajomego:

— Bóg mi świadkiem, że nie mogłam sobie pomóc, musiałam to zabrać do swego mieszkania — wskazała na obraz — córka moja choruje już całą zimę, a niemowlętko musi dostać swoje,

przyjęła włąć mamkę. Mój zięć — niech mu służy zdrowie — jest „uczony”... Ślęczy po całych dniach nad swojemi książkami i niech wszystko przewróci się do góry nogami, to jemu nic do tego. Co prawda, zięć mój nie jest taki zdarny do handlu, więc też mówię do niego, jeśliś do handlu niezdarny, to zostań rabinem, wszak jesteś już ojcem dziecku. A on na to nic — siedzi sobie po nocach i, co myślicie, robi? Gdzie tylko wyszpera pudełko, to drze i wycina cacka, jak chłopiec... Ot leżą tu rozrzucone — staruszka wskazała na figury geometryczne — więc chciałam właśnie poprosić was, nie bierzcie mi za złe abyście się, wstawili za nami...

— Matko, cóż się tak rozgadałaś? Zawołaj lepiej szyksę, dziecko płacze, pewnie głodne!

— Kto się rozgadał, kto? Nie wolno słówka wymówić? — staruszka rozczapierzyła ręce, jakby w obronie przed obelżywym zarzutem i, otworzywszy drzwi, zaczęła wołać — Franko, Franko! Cóżś tak przepadła w oborze? — poczem zakłęła po żydowsku — obyś nie doczekała wrócić!

Franka, kobieta o szerokich plecach chłopca, weszła do pokoju z naręczą drzewa. Cisnęła je przed kuchnią, złapała dziecko i podała mu pierś. Czerwony chłopak mamki zaczął wrywać pierś z ust dziecka, zanosząc się od krzyku — „to mojej matki!” „to mojej matki!” i ryknął płaczem. Szyksa wyjęła drugą pierś i, rzuciwszy się jak długa na łóżko, przycisnęła do niej swego chłopaka. Po chwili nad szynkiem unosiło się zadowolone burczenie, przypominające chrząkanie ssących prosiaków.

Mordche powiódł wzrokiem po gospodarstwie, po owych trzech kobietach, wyręczających się młodzieńcem, niby czeladnikiem, po wyblakłym obrazie i rozrzuconych książkach, wreszcie wzrok jego spoczął na sznurze, zawieszonym koło kuchni, na którym schnęły pieluszki oraz chwiały się wiązki cebuli i czosnku.

Młodzieniec odwrócił się:

— Skąd wy, z daleka?

— Z Płocka.

— Macie pewnie interesy we „dworze”.

— Nie.

Młodzieniec chciał jeszcze o coś zapytać, lecz umilkł, gdyż nadeszła staruszka z ciastem w ręku. Mordche zasiadł do jedzenia i wszczął rozmowę:

— Czy choć macie z tego szynku utrzymanie?

— Ledwo wiąże się koniec z końcem.

— Wszak inni z bogacili się?

— Ze szynku jeszcze nikt się nie z bogacił. A kto bogaty — w tem sęk — dorobił się na złodziejstwach, szwarcuje wódkę z Prus.. Gdy się pracuje na dziedzica! Na dodatek szkodradne to zajęcie.

— Co znaczy?

— Zwyczajnie, siedzisz i prosisz Boga, aby człowiek się upił, stracił oblicze boże.. Gdybym wcześniej wiedział, nie za grzebałbym swych kilkuset złotych posagu..

— Ileście, na przykład, włożyli w ten szynk?

— Tysiąc złotych.

— A gdybyście teraz mieli te pieniądze, włęcz cóżbyście uczynili?

— Cobym uczynił? — młodzieniec z uśmiechem zasunął kaszkiet — połowę zostawiłbym żonie, a z pięciuset złotymi pojechałbym do Berlina.

— Na studia?

Młodzieniec czegoś nie dopowiedział i, powiódłszy wokoło wzrokiem, czy nikt nie podsłuchuje, szepnął:

— Widzicie, sprawa jest taka — napisałem dziełko wręcz przeciwne „Jeleniowi Trójrogiemu”, nazwałem je: „Jeleniem czwororogim”.

— Więc nie zgadzacie się z geometrią gaona wileńskiego? — Mordche przerwał jedzenie.

— Nie w tem rzecz, że się nie zgadzam—twarz młodzieńca wykrzywiła się grymasem niezadowolenia, jakby gniewało go, że Mordche nie rozumiał jego myśli — gaon wileński w swem dziele „Jeleń Trójrogi” nie odkrył nic nowego, toć sam wyznaje, że trzyma się systemu Euklidesa... Co prawda, dotąd nikt jak on nie wyłożył rzeczy tej tak jasno w języku hebrajskim. Mój system jest wręcz przeciwny Euklidesowi, każde zaś pytanie i każda sprzeczność rozwiązana zostaje wedle mojego systemu tak, jak u Euklidesa wedle jego systemu, co nie świadczy bynajmniej o tem, iż mój system jest prawdziwy, lecz że system Euklidesa nie jest jedyny — rozumiecie? Najgorsze jest to, że ludzie ciągle mówią o przestrzeni i wymiarze, a naprawdę to my o tem po dzień dzisiejszy nic a nic nie wiemy. Dlatego też każdą rzecz, która wydaje nam się „odwróconą do góry nogami” uważamy za niemożliwą, rozumiecie? — oczy młodzieńca zabłyśły i w zapale ło nasuwał, to zesuwał kaszkiet—wedle Euklidesa suma kątów w trójkącie nie może być mniejsza, jak sto osiemdziesiąt stopni, a jeśli przyjmujemy — młodzieniec ciągnął z przyśpiewem talmudycznym — że może być mniejsza, niż sto osiemdziesiąt stopni, czego ja właśnie dowodzę w swoim dziele, musi to doprowadzić do nowej geometrii, przeciwnej systemowi Euklidesa.

Mordche słuchał w uniesieniu, choć nie uchwycił zgoła, na czem polega różnica pomiędzy systemem młodzieńca a Euklidesa. Wtem przypomniał sobie, że jakiś profesor rosyjski stworzył nową geometrję, co było w swoim czasie głośne na całym świecie, lecz nazwisko owego profesora wypadło mu z pamięci.

— Czy pokazaliście już komuś swoje dzieło? — Mordche przerwał mu.

Młodzieniec wzruszył ramieniem na znak, że nie. Lecz jego rozpromieniona twarz, cała postać, zachowanie się przekonało Mordchego, iż mają przed sobą człowieka, który odkrył coś

nowego, stworzył „byt z niebytu”. Młodzieniec wyjął z komody kilkadziesiąt zeszytych stroniczek i podał Mordchemu: — oto moje dzieło!

Mordche przerzucił manuskrypt, zatrzymał wzrok na karcie tytułowej, na której wykaligrafowane było drukowanymi literami po hebrajsku, co następuje:

K S I Ę G A
A I L M E R U B A.

Podstawa jej w górach świętych
Oczyszcza i wyklada,
Objaśnia i bada.
Oto mój system nowy,
Co prostemi słowy
Usuwa wszelakie trudności,
Wygladza wsze krzywości,
Daje wskazówki o orzeczeniach
Mędrców i ich zagadnieniach.
Wszystko to ułożyła ręka
Najmniej godnego wśród wielu
Tysięcy braci Izraela —
Dawida, syna ojca mego i nauczyciela
Reb Bunema —
Oby pamięć jego potrwała na wieki!

Na następnej stronicy widniał wiersz napisany pismem „Raszy”. Gdy młodzieniec zauważył, że Mordche nie odrywa oczu od wiersza, zmieszany zaczął się jękać:

— Ot, taki sobie wiersz — — —

— Dawid, Dawid! — rozległ się wrzaskliwy głos staruszki —
ohodź-no tu! Potrzebuję cię!

Mordche czytał wiersz w języku hebrajskim:

D O C Z A S U.

O, czasie, zdradziecko mnie porywający!
Jak długo mnie będzie rwać twój kiel gryzący,
Jak długo gniesć — twoje serce, gład tłoczący?
Wszak maluczko, a już będę nieżyjący.

Spójrz, czy choć jest we mnie jedna zdrowa krztyna?
Czemu młodość znika, jakby mara sina?
Czemu wciąż cierpienie piję zamiast wina
I błądzę i tułam się, jak cień Kaina?

Spójrz, okrutny, na me ciężkie udręczenie
Na mą ponad miarę boleść i cierpienie
Ustąpcz odemnie! Daj mi krótkie wytchnienie!
Wszak nie ze spiżu sił moich naprężenie!

Mordche przeczytał wiersz, lecz nie mógł pojąć, jaki to ma związek z nowym systemem geometrycznym i pomyślał, że należałoby przyprowadzić Kahanego dla przeczytania dziełka.

Kilku chłopów weszło do szynku i wypełniło komnatę gwarem. Ostra machorka szczypała w gardle. Mordche wstał, zapłacił, obiecał pomówić o jego dziełku ze swym znajomym pożegnał się i wyszedł.

Skierował się traktem naprzelaj ku dworowi, którego murowane stodoły i spichrze ciągnęły się wzdłuż drogi, jak koszary. Przypomniał sobie dzieło Majmona „Giwas Hamojre“ i przejrzał, iż nie zwykły to przypadek, że przed 75 laty, autor tego dzieła Salomon Majmon, tak samo siedział w szynku, jak ów młodzieniec, pisał w tajemnicy dziełko i marzył o wyjeździe za granicę. Trzy ćwierci wieku — i nic się nie zmieniło, wszystko pozostało po staremu... I kto wie, może za trzy ćwierci wieku jakiś głodny przechodzień wpadnie do szynku i znowu spotka takiego młodzieńca — — — może — — —

Dwaj gajowi wprowadzili na dwór chłopą ze związanemi z tyłu rękami. Ze spichrzy, ze stajen ukazali się parobcy w owczych szubach i z zaciekawieniem otoczyli aresztanta.

— A, co tam zaszło, Stachu!

— Kto cię tak pobił?

— Spójrzta, jak spuchło?

— Przecie nawet oka nie widać!

Związany chłop usiłował uśmiechnąć się, lecz uśmiech jego wykrzywił się pod podbitem okiem i rozłożył się grymasem na twarzy, jakby do płaczu. Chłop spytał cicho:

— Gdzie Antek?

— Antek Piaseckiego?

— Tak!

— Ot, idzie!

Antek, szerokoplecy chłop w czerwonym spencerku wyszedł ze stajni bez czapki, potrzaskując z krótkiego bicia.

Gdy ujrzał związanego Stacha, podbiegł doń:

— A gdzie mój stary?

— Zbili nas.

— Dlaczego?

— Nie kradnijta, to się wam nie wyłoi skóry! — odezwał się gajowy.

— Łiesz — pojmany chłop, utkwivszy w gajowym zrezygnowany wzrok, pociągnął niezaradnie związaną rękę, jakby chciał się uderzyć w piersi — myśmi nie kradli, myśmy brali drzewo z naszego lasu — z chłopskiego — — —

— A miałeś kartkę? — gajowy zapytał z chwacka.

— Stul lepiej pysk! — Antek krzyknął i znowu wrócił się do Stacha — a gdzie mój stary, nie wiesz?

— Zapytaj ich, tych psubratów — chłop wskazał na gajowych — oni go bili — — —

Leśnicy się stracili. Nie mogąc znieść złych oczu parobków, zaczęli się cofać w tył, rzucając spojrzenia na wszystkie

strony, jakgdyby dla ominięcia niebezpieczeństwa. Jeden z nich odezwał się:

— Ino by się czepiać! Toć my niewinni! Wy na naszym miejscu pewniebyśta nie byli lepsi! A pocóż trzymają gajowego w lesie? Aby dał rozwłóczyć drzewo?.. A stał przy tem sam pan — — — kazał bić — — —

— Biłeś? — Antek zbliżył się doń.

Gajowy nic nie odpowiedział, cofnął się o krok.

Antek podsunął mu biczyk pod nos:

— Taki huncwot! Natychmiast rozwiąż Stacha, słyszysz?

— A ktoś ty taki? — gajowy, zadarłszy bladą twarz, podniósł sękaty kij, jakby dla obrony.

— Kto ja taki? Ot, kto ja! — Antek huknął go po twarzy.

Jakby na dane hasło parobcy rzucili się na leśników i zaczęli ich okładać, czem kto miał pod ręką — kłonicami, dyszlami, podkowami, obcasami. Od krzyków psy rwały się na łańcuchach ze szczekaniem, dziewczyny piszczały, a wśród wrzasku, który wzbil się ponad budowlami dworu, tocząc się po cichych, śnieżystych polach, przedzierało się rozpaczliwe wołanie:

— O, la Boga, ratujta! O, la Boga! — — —

Z lasu nadjechał pan w otoczeniu świty. Kilkunastu jeźdźców z bronią w ręku otoczyło tłum i wstrzymało bijatykę. Zaległa dręcząca cisza. Gajowi ociekający krwią, zziązani, wskazali na Antka.

— Ja go nauczę, tego buntownika, tego chama! — pan nie mógł usiedzieć na koniu, który kręcił się w kółko — dwadzieścia pięć różeg — na miejscu! Wspiął konia, przejechał obok Antka i smagnął go harapem po twarzy. Pęknięty policzek nabrzmiał pasem, jak kiszka. Antek złapał się za twarz i z tak przeraźliwym krzykiem cisnął się naprzód, zatoczył w tył, że mrowie przeszło po wszystkich.

Parobcy chcieli umknąć, aby nie być świadkami hańby brata, lecz zagrodzono im drogę — zmuszono ich do patrzenia, jak karze się buntownika.

Ekonom związał Antkowi ręce i nogi, jak się wiązuje bydło przed rzezią. Gdy przyniesiono różgi, ktoś pociągnął za sznur i Antek runął na śnieg, jak spiłowane drzewo.

Przełożono go twarzą ku ziemi. Dwaj chłopci usiedli na nim — jeden na nogach, drugi na plecach. Ekonom obejrzał różgi, natarł je śniegiem, kilka razy trzasnął w powietrze, gwizdnął i z zadowoleniem wręczył je siepaczowi. Chłopi spuścili oczy ku ziemi, nie spoglądali na to miejsce, gdzie leżał Antek, czując, że dwór się koło nich zwiera coraz ciasniej i ciasniej.

Rozległ się głos ekonomy:

— Gotowe?

— Gotowe! — odpowiedział siepacz.

Ekonom liczył monotennie:

— Raz — — — dwa — — — trzy — — —

Różga ze świstem spadała na skurczone spodnie i, przecinając je, wpijała się w mięso. Krople krwi sączyły się w biały śnieg, spływały i krzęły. Antkowi wydierały się z piersi nieludzkie krzyki, zamierały na ustach i znowu wyrwały się rozszarpanym kłębem, a w chwilach między milczeniem i wrzaskiem słychać było monotonne liczenie ekonomy, odbijające się tępym oskotem w ogłuszonych uszach:

— Osiem — — — dziewięć — — — dziesięć — — —

Nadszedł Mordche. Na widok chłostania dorosłego człowieka wstrząsł nim dreszcz. Słyszał wprawdzie, że panowie sieką różgami chłopów, żydów, lecz uważał to za wierutną bajkę, przez wszystkich powtarzaną, a przez nikogo nie widzianą na własne oczy. Teraz zetknął się z tem oko w oko. Przepchnął się przez tłum wprost ku siepaczowi.

— Człowieku, jak ci nie wstyd podnieść rękę na swego brata!

Odwaga Mordchego, jego postawa i serdeczny ton, jego niespodziane ukazanie się tak podziałały na oprawcę, że przerwał smaganie, spoglądając to na pana, to na Mordchego. Parobcy zaczęli się przerzucać spojrzzeniami w milczeniu, które aż krajało w uszach.

Czy przeto, że przerwano chłostanie, czy przeto, że ktoś miał czoło przeciwstawić się pańskiej woli, jakkolwiek bądź — serce pana wezbrało wściekłym gniewem. Z zachmurzonym czołem podjechał ku Mordchemu i zapytał:

— A kto wy?

— Przechodzień — odparł Mordche.

— To idźcie sobie, póki wam dobrze — krzyknął pan — nie wścibajcie nosa w nieswoje rzeczy!

— Niech wielmożny pan pozwoli — jakiś parobek z czapką w rękę zgiął się do ziemi i, wskazując na Antka, jękał się: — resztę różę to niechaj ja przyjmę!

— Co się tu dzieje do kroćset tysięcy djabłów? — pan na koniu miotał się z gniewu i wrzasnął na pachołka — Kolku, syj dalej. Chamstwo nie będzie mi dyktowało, co mam czynić!

— Kolek jest katolikiem, nie będzie bić swego brata — odezwał się Mordche.

— Któż to ten nieznanjany? — Rzucił ktoś ze świty.

— Czego chce?

— To ksiądz.

— Abo ja wiem?

— Przecie to żyd!

— Co bajdurzysz!

— Zapytaj go!

— Ty go zapytaj!

— To żyd! Żyd!

— Żyd? — pan zapytał ze zdumieniem.

— Tak — odpowiedział Mordche.

— W Peplówce chłopcy pono podpalili dwór!
— I nam potraza to samo zrobić!
— Grzech tak gadać — odezwał się stary furman.
— W Karszynie to zabili pana!
— I nasz nie pewny życiem!
— Grzech, dzieci, grzech — furman przeżegnał się — nie-
czysty z was gada!

— Jakże to my grzeszym, dziadku — Antek usiadł — toć caluśki rok mamy u nich post! Nasz pan jest słabowity, to ksiądz pozwala mu jeść przy poście pieczone kaczkę, mieć ko-
chanicę i nawet chłopów siec różgami — — — Słuchajta,
dziadku, niech się nie nazywam Antek, jak nie obrachujem się
z nim! Jakby nie wy, stare bydło, toby już dawnośwa panom
odebrali ziemię, naszą ziemię — — — ksiądz nie pozwala, co?
Zobaczym — — —

Mordche choć leżał w gorączce, przysłuchiwał się rozmowie chłopów, zgrzytając zębami z powodu wyrządzonej mu obelgi. Nie przypuszczał, że stosunki pomiędzy wsią i dworem są tak naprężone. Głęboki, czarny smutek rozparł się w nim, wgrzyzając się, wsrubując w mózg, rozpętając kłęb mrocznych myśli, które opadły go, zatopiły w nim pazury i zęby z krzykiem: zemsty, zemsty za różgi! Nieskończona ilość planów rozbłyskiwała i gasła w jego pałającej głowie. Przyciskał rękoma skronie, wznoszące się, jak miechy, pewien, iż w ten sposób uda mu się skupić myśli. I za każdym razem, gdy plany jego rozwiewały się, pozostawiając ziejącą chłodem pustkę, wstrząsał się dreszczem bojaźni, że oto traci nadarzoną sposobność. Gdyby go w owej chwili zapytano, dlaczego drży i o co się tak lęka, nie wiedziałby, co odpowiedzieć. Strach ogarnął go tylko na krótką chwilę. Skronie zaczęły znów łomotać, febra odpędziła wątpliwości i nowe plany jęły się dokoła niego wić, rozsnuwać.

Z nadejściem nocy febra się wzmogła. Ciche słowa parobków dziwnie brzmiały mu w uszach, wypełniając stodołę gromadą

ludzi. Wczołgnął się na worek ze sianem, uniósł się i opuścił na kolana, a jego rozplamione oczy utkwiły w obrazie, wiszącym na ścianie w niesheblowanej ramce. Był to obraz Matki Boskiej. Po chwili parobcy pojedynkiem otoczyli go. Mordche zaczął do nich przemawiać. I w miarę jak mówił, ogarniał ich coraz bardziej wzrastający niepokój, wydzierający się przekleństwem, ściśnięciem pięści, niepokój, padający na ich posępne twarze ciężką, mroczną chmurą. Mordche nie przestawał mówić. Klęcząc na worku ze sianem, ciskał słowa, wrące, kłębiące się, budzące w chłopach zelzonego człowieka. Wyrazy jego brzmiały serdecznie, a jednocześnie darły z nich pasy. Słowa rozpętały się w nim same przez się i Mordche nie wierzył własnym uszom, że to on miota te wyrazy, które, jak iskry, padały na zachmurzone głowy, zapalając tam ogień, rozszerzający się w pożar.

Niebo dyszało ogniem i dymem.

Na przedzie czterech chłopów nosili na sznurze trumnę z ciałem Piaseckiego, zabitego ojca Antka. Parobcy z kosami, rydlami, toporami szli za trumną, zgrupowani według wiosek. Przy wejściu do wsi dzwon zahuczał, jak na pożar. Chłoptwo zaczęło się gromadzić z żonami, dziećmi i obstępilo otwartą trumnę, w której spoczywały zwłoki ich sąsiada Piaseckiego. Przy trumnie wyrósł też Mordche — nie wiadomo skąd się wziął, nikomu tu nieznanym. Jego blada twarz, cała postać, palające oczy nadały procesji nastroj mistyczny. Z rozwartymi rękami Antek usunął się na kolana:

- Sąsiady, wy ta wiecie, kto zabił mego ojca?
- Wiemy, wiemy — odkrzyknęli chłopcy, padając na kolana.
- Chcę, byśta mi pomogli dostać sprawiedliwości!
- Pomożem! Pomożem!

Mordche przemówił nad trumną, odżałował zmarłego serdecznymi i prostymi słowami, porwał wszystkich i sam też zo-

stał porwany. W tej samej chwili, gdy patrzył, jak chłopki zachlipały, jak zahartowane serca chłopów puściły, zmiękły i poszłyby dokądby pod przewodem jakiejś twardej dłoni, rozległ się okrzyk:

- Chodźta do dworu!
- Chodźta, bracia!
- Oddamy panom nasze chałupy!
- A zamieszkamy w pałacu!
- Racja!
- Racja!
- Weźta zwłoki!
- Weźta trumnę!
- Chodźta!
- Dalej!
- Puśćta trumnę naprzód!
- Kto to za jeden?
- Ten obcy?
- Nie wiem.
- To ci gadał!
- Jak z książki!
- Lepiej gada, niż ksiądz
- A nie wspominaj jego imienia!
- Kto go zabił?
- Piaseckiego?
- Tak!
- Nie wiem!
- Mówią, że pan.
- Obrachujem się z nim!
- A tybyś podniósł rękę na pana?
- Ja nie!
- Ja nie!
- Na noc będzie mróz!
- A cóż ci do tego? Przecie nie zmarzniesz w swych barankach!

— Żydek kwiczał, jak prosiak! Oj, gwałt! Oj, gwałt!
Nie dał sciągnąć szuby.

— Zapalta łuczywo! — rozlegały się głosy wokoło.

— Toć jeszcze dzień!

— Zapalta, mówi się wam!

Tu i tam zapłonęły z trzaskiem łuczywa, buchając ogniem ku płomiennemu niebu. Parobcy z błyszczącymi kosami na plecach stąpali koło trumny ze zwieszonymi głowami.

Kondukt stanął przy zamku, który otoczony ciszą, wyglądał, jakby go wszyscy porzucili. Tłum zaczął krzyżeć, hałasować, wywoływać pana. Ekonom ze strzelbą w ręku wyszedł na ganek,

— Rozejdźcie się po dobremu!

— A ciu! Aksu! A sa! — rozlegało się dokoła.

— Ze strzelbą?

— To-ci świński ogon!

— Świński ryju!

— Przepędzić go!

— Chcemy pana!

— Ciu! ciu!

— Do stodoły go!

Ze wszystkich stron zaczęły padać na ganek kamienie, faszki, szczapy drzewa, a od wrzasku uszy aż głuchły. Pan nie wyszedł do tłumu. Z kilku okien rozległy się naraz strzały — dla postrachu i przestrogi, iż kto odważy się podejść do zamku, trupem padnie. Gniew rozjuszał się coraz wścieklej. Parobek z głową spuszczoną na piersi, jak człowiek chroniący się przed chłostami, rzucił się ku zamkowi. Tuż powaliła go kula. Jakby na dany znak tłum cisnął się ku zamkowi i, wysławszy pierwiej grad kamieni, faszek, szczap drzewa — pędził, jak burza. Z okien padły strzały. Tłum niepowstrzymanie parł naprzód, przeskakiwał przez trupy, wyłamywał siekierami drzwi, wpadał do piwnic i otoczył zamek ze wszystkich stron. Chłopi wyciągali z piwnic kosze z winem, z okowitą, kłócili się o fasz-

ki, odłamywali szyjki i — pili. Wrzask rósł. Z jakiejś piwnicy zaczął się wymotywać dym, za którym wyslizgnął się płomień, a chłopci pijani z radości padali sobie w objęcia, pili bruderszaft, klęczeli nad zwłokami Piaseckiego i darli się na całe gardło:

— Zamek gore!

— Zamek gore!

W kącie stał stary furman z obrazem Matki Boskiej w ręku, nieustannie przeżegnywał się i mamrotał.

— Grzeszyta, dzieci, grzeszyta!

Tłum na nic nie pomny tłoczył się koło koszów z wódką. Wywiązały się kłótnie, zwady, bijatyki na pięście. Każdy łapał, ile się dało, a ci, którzy nie zdołali się dopchnąć, ryczeli, jak opętani. Zwierzę obudziło się w człowieku, udzielając się wszystkim — młodym i starym. Chłopi zaczęli rzucać flaszki z wódką do ognia, biec po dworze, jak zatrute myszy, szukać dziewczyn ze służby, a że nikogo nie znaleźli, więc rzucili się na — własne siostry.

W oknie ukazał się pan. Zaczął mówić, wymachiwać rękoma, jakgdyby o coś prosił. Nikt nie obejrzał się, nie słuchał, wszyscy wrzeszczeli jeden przez drugiego:

— Nie wypuścić go!

-- Spalić go!

— Spalić!

— Precz ze szlachtą!

— Kto idzie do szynku?

— Chodźta, chłopcy, powiesiwa szynkarza za pejsy!

— Chodźta!

— Idziewa!

— Mordche stał na uboczu, przyglądał się, co koło niego się dzieje i żałował, że się do tego przyczynił. Stracił wiarę w tłum. Podchwycił imię szynkarza, powtarzał je kilkakrotnie. Szukając czegoś w pamięci, zobojętniały udał się drugą stroną pola.

Trumna ruszyła z miejsca. Drzazgi płonęły skroś mroków nocy, odbijając się w lśniących kosach, kołyszących się na ramionach. I wyglądało to tak, jakgdyby śmierć wielogłowa stąpała polem i po drodze swojej puszczała wszystko z dymem.

Bunty chłopskie przeciw dworom rosły, szerzyły się po Polsce, ogarnęły całą okolicę ziemi płockiej, siedleckiej i lubelskiej, jak pożar, obejmujący gęsty, suchy las. Szlachta, która przechwalała się, że Moskal nigdy nie przestąpił jej progę, teraz wzywała wojsko rosyjskie na pomoc, niepewna była życia i zawarowywała się w swych zamkach i dworach. Rząd, który na początku udawał, że nie widzi, co się dzieje na wsi, który pragnął, aby nienawiść chłopca do pana wzmagala się, naraz sam się przelęknął. Ogarnął go strach, że sprawa może się jeszcze wyslizgnąć mu z ręki, przerosnąć jego zamiary, więc zaczął tłumić bunty chłopskie bezlitośnie. Przywódcy zostali aresztowani. Całą winę składali na jakiegoś obdartego młodzieńca, włóczącego się po wsiach i buntującego chłopów. Młodzieńca tego wszyscy znali z widzenia, powtarzali jego mowy, lecz nikt nie wiedział, kto on, jak mu na imię, skąd się wziął i gdzie się znajduje. Szukano go w każdej wsi. Świadkowie — a zbadano ich co niemiara — podawali coraz inne znaki, jedne sprzeczne z drugimi, jakgdyby tyczyło się to nie obdartego młodzieńca, który wczoraj błakał się po wsiach, żył pośród chłopów, lecz jakiejś legendy wielowiekowej, odżywiającej w każdej okolicy pod inną postacią.

Szlachta przekonana była, iż buntownikiem tym jest żyd, chłopci zaś zaklinali się, że to wierny katolik—przed każdą figurą klęczy i zmagwia modlitwy, a starcy w cichych gawędach szepotali, że to nieczysty. Opowiadali, jak razu pewnego wpadł do chłopki. Chłopka była akurat w takim stanie, więc gdy ujrzała, że nogi ma kolźle, to z przestachu poroniła i wydała na

świat dziecko z rogami. Księża w swych kazaniach wciąż pocieszali lud, iż zbawienie już bliskie, znakiem czego — przeklęty Antychryst, który włóczy się po wsiach, buntuje naród, podburza chłopów przeciwko panom, przeciwko księżom.

ROZDZIAŁ III

S k o n .

Mordche wrócił do Kocka obdarty, wychudły. Smutek, niestannie wzierający z jego oczu pierzchł i coś wilczego patrzyło mu z całej postaci. Siwe oczy przenikały człowieka wskroś, mieniąc się jednocześnie odwagą i strachem. Wiedział, iż poszukują go na drogach, we wsiach, wiedział, iż powinien unikać ludzi, pomimo to wstępował do każdego szynku. Przysłuchiwał się wierutnym bajkom o sobie, wtrącając się często do rozmowy. Razu pewnego, gdy ganił siebie samego, dowodząc, iż jest chórzem, inaczej przecież nie znikłby, nie pozostawiłby chłopów samych — omal że nie położono go na miejscu trupem — — —

Dłużej pozostawać w Polsce Mordche nie mógł. Dziwił się, iż pragnienie wyjazdu zagranicę pierzchło, ustępując miejsca apatji. I gdyby nie Felicja, która zajęła się wszystkimi sprawami związanymi z jego wyjazdem z Polski, nie ruszyłby się z miejsca, siedziałby w Kocku i biłby się z myślami, czy oddać się w ręce policji, czy też nie. Wybierał się do Paryża, choć w skrytości serca nie wiedział w jakim celu, nawet języka nie znał. Może dlatego, że udawał się tam Kahane, może przez to, że w Paryżu istniała olbrzymia kolonia polska, jakkolwiekby — Mordche postanowił opuścić Polskę natychmiast po wystaraniu się o pieniądze.

Zaszedł do gospody, w której mieszkał Szmaja Szaft. Zastał go nad bochenkiem czarnego chleba, cebulą i garnuszkiem cykorji.

— To-ci gość, gość! — Szaft powstał z miejsca, przysunął stół do łóżka i podał Mordchemu krzesło — siadaj! Może pozwolisz?

— Dziękuję, dopiero co jadłem!

— A gdybyś nawet był głodny, spożyłbyś w mojej kompanji? — Szaft tał ręce o tłuste spodnie i marszczył czoło — Dla Szmaji wystarczy cebulka, garnek cykorji ale za to ty, syn reb Awruma? Powiedz tak prawdę, co wy jacie na śniadanie? Marcypany?

— Cóżecie się tak dziś rozgadali, Szmajo? — Mordche się uśmiechnął

— Gadam ze zgryzoty, Mordche! Już dwa razy, jak miałem pojechać do domu i musiałem zawrócić z drogi! Przecież nie jest się pewnym życia, toć można głową przyplącić! Pospólstwo całkiem zdziczało, nie chce więcej pracować. Samowola i basta! Przypomina mi to ową historję o psie, który przestał się słuchać głowy, ładne gospodarstwo, co? Chłop chce zostać panem! Mówią — rzekł ciszej — że i „nasi bracia w Izraelu” też maczali w tem ręce — — — Kiedy wszędzie żydkowie — — — nieszczęście, mówię ci! Ktokolwiek z nich ma rację, lecz skrupi się to na naszych głowach! Chłop się buntuje, pan się buntuje — ale kto cierpi? My! Potrzebuję pilnie być w domu i nic z tego — — — Co prawda, teraz już i tak bym nie pojechał.. „Cadykowi” trzeba zmiłowania — — —

— Znowu osłabł? — zapytał Mordche.

— — — Żle, Mordche, źle — — — Już niema oblicza ludzkiego. — — — Popłoch na „dworze”, lament — — —

Mordche wstał z krzesła, przypomniał sobie cel swego przybycia do Szafta.

— Szmajo, potrzebuję pięć tysięcy złotych — — —

— Któż to w dzisiejszych czasach posiada taki majątek? — Szmaja mu przerwał, podniósł się z miejsca i znowu usiadł na łóżku — powiem ci całą prawdę, ale cóż stoisz? Siadaj! Prze-

stałem pożyczać pieniędzy, nawet najbogatszemu szlachcicowi więcej nie pożyczam! W dzisiejszych czasach, któż wie, co jutro będzie? Myślę, przezorniej jest nie wydawać z ręki tych kilku złotych... Lecz co do ciebie, widzisz, to całkiem co innego! Synowi reb Awruma chętnie wyświadczę przysługę — — — Ale tak wielkiej kwoty poprostu nie mam — — — Cały swój majątek zagrzebałem we dworach pańskich — — — A zboże spalone albo zgniłe. Kiedy chłop przestał pracować! Ładne gospodarstwo nastało w Polsce, taki rok na nich!... Co to chciałem powiedzieć? Tak, trzy tysiące mogą ci dać.

— Niech będzie trzy tysiące — Mordche przystał.

Szmaja skreślił kilka słów na stroniczce i położył ją przed Mordchem:

— Bądź łaskaw i podpisz to, zawsze lepiej, jak jest kwitek — — —

Mordche przeczytał kartkę, wzruszył ramionami i uśmiechnął się:

— Dajecie mi trzy tysiące, a piszecie sześć

— Mówisz, za przeproszeniem, całkiem nie jak kupiec — Szmaja ujął Mordchego za klapę — widzisz, rzecz jest, za pozwoleniem, taka: Szmaja pożycza synowi Awruma trzy tysiące złotych, lecz powstaje pytanie, na co daje mu tę pożyczkę, czyli na co patrząc? Czyż na te dobra, jakie posiada, czyż na te ruchomości? — Szmaja szczypał bródkę, jakby omawiał zawily, talmudyczny traktat — a to, że syn reb Awruma staje się pełnoletnim dopiero za dwa lata, nic nie warte? — — — Czyż to krzywda ze strony Szmai, że chce się zabezpieczyć, ha? Lecz daję ci „uroczyste słowo”, że więcej, jak trzy tysiące, nie wezmę — — —

Mordche z obojętnością podpisał rewers, patrzył na Szmaję, który nasypał suchego piasku na podpis, potem wyciągnął z zanadru skórzany portfel i zaczął liczyć pieniądze z troską na twarzy, wydając przy każdym banknocie westchnienie, jakgdyby ciężko mu było rozstać się z pieniędzmi. Przeliczył pieniądze

kilka razy, nie wierzył własnym ręką, a gdy Mordche chciał paczkę pieniędzy wsunąć do kieszeni, Szaft zmusił go do ponownego przeliczenia.

Mordche wyszedł od Szmai z zamiarem udania się do Kahanego, aby zawiadomić go, iż jutro rano mogą już ruszyć w drogę, lecz wtem przypomniał sobie „cadyka” i skierował się ku „dworowi”.

Już od dwóch tygodni reb Mendele przykuty niemocą nie opuszczał łóżka. Oprócz reb Iciego „cadyk” nie chciał nikogo widzieć, nie pozwalał sprzątać pokoju, który pokryty był pajęczyną, po podłodze zaś spacerowały myszy, już tak oswojone, że przystawały przy łóżku „cadyka” i wysuwały pyszczki, jakby czegoś pragnęły. We „dworze” wierzono, że to grzeszne dusze, pożądające „oczyszczenia”.

Reb Icie dorzucał wciąż drzewa do pieca, a gdy ogień rozpłonął, reb Mendele wyciągnął z pod poduszki klucz i zawołał reb Iciego:

— Masz, wyjmij z mego kufra pobożne stronicę i spal! Spal, mówię ci! Drukarz już dosyć wydrukował! Niema dla kogo pisać! Słyszysz, Icie, duszę się — — — Świat śmierdzi mi — — — Nu, na co czekasz? Wrzuć wszystko w ogień!

Reb Icie wrzucał do pieca rękopisy, jeden po drugim, a gdy uronił ostatni rękopis, reb Mendele wstrząsł się śmiechem, cichym i suchym śmiechem, od którego po reb Iciem przebiegły ciarki — — —

— Skończony żywot... Trudziłem się, głowiłem się... odkrywałem światy... chciałem sprowadzić Mesjasza — i pytam ciebie — cóż z tego, cóż? Zjawia się płomyk i niemasz już prawdziwego Mendele, pozostał po nim worek z choremi kośćmi, czyż nie mam tedy racji, Icie — „cadyk” ujął go za rękę — że człowiek to śmierdziuch? Ha, cóż milczysz?

„Cadyk” otworzył oczy i nagle uniósł się z miejsca:

— Czyś już wszystko wrzucił w ogień? Wszystko?

— Wszystko, rebe!

— Szkoda, szkoda — „cadyk” skrzywił się, jakgdyby znosił okrutne cierpienia.

— Co wam jest, rebe, co się stało?

— Nic, nic, pomiędzy rękopisami była moja „Księga człowieka”... Dziełko... Wszystkiego jedna stroniczka — — — Szkoda, chciałem, aby „Księga człowieka” pozostała się — — —

— Jedna stroniczka, przecież można ją przepisać — reb Icie uspokajał go — — —

— Nie mogę, nie mogę — „cadyk” powtarzał z uporem i przeierał czoło — nie pamiętam, nie pamiętam nic — — —

„Cadyk” opadł na poduszkę bez sił, przymknął oczy i zaczął jęczeć. Reb Icie go cucił. Chasydzi, stojący pod oknami, na widok leżącego bez pamięci „cadyka”, jęli stukać w szyby i drzeć się wniebogłoso.

„Cadyk” znowu otworzył oczy, spojrział ku oknu, skąd rozlegały się krzyki i potrząsał głową:

— Widzisz to zbiegowisko? Za m'odych lat, kiedym miał się na baczości „pospólstwo” nie lgnęło do mnie! A nie posiadali się z radości, kiedy ja, reb Mendele, poślizgnąłem się na ich oczach. „Izbicki” zagarnął wtedy całą czeredę. Bo w gruncie rzeczy, człowiek nienawidzi cadyka, cieszy się, gdy przyłapie cnotliwego męża na grzechu. Zresztą komu oni są potrzebni? Komu oni są potrzebni, pytam cię? Gdybym tak zaczął teraz od początku — twarz reb Mendele nieco się rozjaśniła — wiesz cobym uczynił? Wybrałbym kilkuset młodzieńców, włożyłbym im na głowy jarmułki z kapusty i kazałbym im wleźć na dachy, aby krzyczeli dniem i nocą: świat śmierdzi, świat śmierdzi!

Reb Mendele umilkł, poczuł ulżenie. Szum w głowie uciął, pierzchnął. Z oczyma utkwionemi w papierze, który płonąc, kurczył się i unicestwiał, patrzył z bezradnością człowieka, którego

cały majątek staje się pastwą pożaru. Wyprężył się, jakby dla uratowania czegoś i szepnął błagalnie:

— Daj mi papier — — — Daj mi pióro — — —

Ujął gęsie pióro między palce i, drżąc na całym ciele, widział, jak skrawek papieru rośnie, litery stają się coraz większe i większe, unoszą się niebieskie, ogniste, wirują przed jego oczami, jak koła — — — Koła nad kołami — — — Koła nad kołami — — — wiją się nad łóżkiem ze wszystkich stron, porywają ze sobą pokój — szybko, chyżo — — — a pod sercem czyni się naraz pustka — — — Czyżby to był już kres?

Reb Icie spostrzegł, że „cadyk” majączy, nie wie, co pisze, powtarza wciąż te same litery. Usiłował odczytać:

— Księga Człowieka. Kskskks — czczczłow — kskskskks kskkskks — — — — — — — — — — — — — — —

„Cadyk” cisnął papier i pióro na podłogę, ciężko westchnął i opadł blady, jak płótno. Dokoła ściśniętych warg wystąpiła pianka. Reb Icie przestraszony wezwał „szamesa”. „Cadyk” jeszcze raz otworzył oczy, spojrział chwilę w szczerzącą się przed nim pustkę, lypnął jednym okiem, które, jakby znieruchomiałe, spoczęło na reb lciem, wycisnął z piersi kilka jęków i wyzionął ducha.

Gdy Mordche przybył na „dwór”, cały Kock wiedział już o skonie reb Mendele. Zamknięto kramy, rzucono pracę, zwolniono dzieci z chederów, a na wszystkich uliczkach stały gromady ludzi, szepczących ze sobą o tem komu przypadnie zaszczyt „zajęcia się” jego świętem ciałem—uczniom czy Bractwu Pogrzebowemu.

Trudno było przedostać się przez „dwór”, głowa tkwiła przy głowie, ani szpilki wsadzić. Mordche ledwo przecisnął się przez Chmarę ludzi do drzwi reb Mendele. Pokój dygotał od płaczu i lamentu. Dzieci, wnuki stali przy łóżku, na którym spoczywał nieboszczyk przykryty swą białą, atlasową kapotą. Rywkele targała się za włosy, wylewała serce przed dziadkiem, zanosząc się od płaczu. Mordche, który zazwyczaj nie znosił lamentów

na pogrzebie, odczuwał teraz zadowolenie z tych szlochów i pragnął, aby krzyki stawały się coraz głośniejsze, przeraźliwsze, aby sięgały niebios, albowiem dokonana została wielka krzywda! Duszka stała przestraszona, potrząsała głową, trapiąc się pewnie, że otacza ją tyłu mężczyzn. Danijel wsparł pięść na ścianie łóżka, na niej — drugą pięść, przyłożył czoło i lkał. Reb Duwidł nie ustawał na miejscu, krzątał się wszędzie, kazał zapalić jak najwięcej świec. Nie zapomniał jednak o swoich chorobach i coraz wyjmował z kieszonki w kamizelce inny flakonik, otwierał zatyczkę, wąchał i wdychał. W kącie stał reb Icie z zachmurzonym czołem i cicho szeptał „Tkine-Zojer”.

Rodzina pojedynkiem wysuwała się z pokoju. Gdy Rywkele ujrzała Mordchego, roztoczyła ręce i nie pomna krzywdy, jaką jej wyrządził, rozplakała się ponownie:

— Mordche, jakie nieszczęście na nas spadło, Mordche — — —

Oczy zaszyły mu łzami, stał bezradnie, nie wiedząc co począć, lecz zanim się rozejrzył, Rywkele znikła. Szarpnęła go zgryzota i żal, dlaczego Rywkele nie czyniła mu wyrzutów, dlaczego nie ominęła go, jak obcego.

Z beth-hamidraszu przybyli żydzi z „Bractwa Pogrzebowego”. Zgrzani, ocierali twarze kolorowymi chustami i mówili jeden przez drugiego:

— „Micwo” należy do nas!

— Nie wyjdziemy stąd!

— Sąd Tory?

— Zgoda!

— Zgoda!

— Pewnie, że Sąd Tory my wygramy!

— Respekt — jakiś chasyd tupnął nogą — Jak śmiecie tak mówić?!

— Rytuałem obmycia zajmą się uczniowie i bogobojni żydzi!

— To krzywda dla miasta!

— Krzywda!

— „Micwo” należy do nas!

— Kock nie pozwoli!

Reb Icie podszedł i ruchem rąk uspokajał obie strony:

— Sza, sza, nie kłóćcie się. Rzucimy los i kto dostąpi
czci — — —

— Zgoda!

— Zgoda!

Zaległa cisza, rozdygotana głosem jakiegoś chasyda, który snuł swoją opowieść zrazu głośno, potem ciszej:

„— — — A gdy święte ciało magida poddane zostało rytuałowi obmycia, „mikwa” wypełniła się aromatem, jakby najwonnejszych ziół, albowiem wiedz o tem, iż nawet martwe ciało cadyka zaliczone jest do „ofiarnego mięsa”. Ani robactwo, ani zła woń nie mają nad niem władzy — — —”

Przy ostatnich słowach Mordche poczuł zaduch w powietrzu i pomyślał sobie, iż należałoby otworzyć okno. Pragnienie odsłonięcia nieboszczyka nie dawało mu spokoju. Chciał zobaczyć, czy dokoła oczu „cadyka” pozostał jeszcze ów smutek, choć serce podszeptywało mu, iż śmierć wszystko niweczy. Serce miał wezbrane skargą, choć nie wiedział przeciw komu i na co. Przypomniał sobie, że Mojżesz nie chciał umrzeć, a gdy nadeszła ostatnia chwila, dusza jego wniosła błaganie do Wiekuistego, aby nie odłączył jej od ciała, z którem skojarzona była przez sto dwadzieścia lat. Tu zaś pod białą kapotą spoczywa delikatne ciało, jakgdyby nierozwiniętego dziecka. Dusza reb Mendele żyła w odosobnieniu, w opuszczonej komnacie pokrytej pajęczyną, nie dzielając ustroju świata i nie mając nikogo okrom tego słabego ciała — tymczasem ciało to zostało napadnięte, przemocą odłączone od duszy i skurczone, złamane, zmięte w kłęb leży oto okryte rozstrzępioną kapotą.

Mordche obudził się w nocy wypoczęty i pewien, że spał krótką chwilę. Ogarnął go żal, iż rozmowa z reb Mendele była

tylko snem. Przecież „cadyk” skonał! Ubrał się pociemku i wyszedł na ulicę. Kock pogrążony był we śnie. Tylko w beth-hamidraszu „cadyka” czuwali krewni i swojacy, jedni nad „Zo-arem”, inni nad „Misznajes”. Ten się zdrzemnął, ów nucił bolesną melodię. Olejne knotki, ociekające świece mdłym blaskiem ledwo oświecały wielki beth-hamidrasz.

Przy pulpicie siedział ociężały chasyd, z rękami założonemi na otwartej księdze „Misznajes”, z podbródkiem wciśniętym w ręce i tego chrapał. Jego rozplątana, ciemno-siwa broda, nastroszona z obu stron, niby dwie miotły, kiwała się lekko. Pod piecem ktoś wypłakiwał psalmy urwanemi słowami, że można było je liczyć. Na ławkach, pod stołami leżeli zbici w kupę chasydzi z kapotami u wezgłowia i jęczeli przez sen.

Stąpając na palcach, Mordche wszedł do komnaty reb Mendele. Ciężka woń uderzyła go w twarz. Na środku pokoju na marach, zbitych z desek ambony, leżał reb Mendele przykryty białą, atlasową kapotą. Na podłodze paliły się grube świece łojowe.

Reb Icie stał u wezgłowia, policzki mu pały a z oczu ciekły grube łzy, jak małemu dziecku, gdy zabłądzi i zgubi matkę. Reb Duwidł siedział z zamkniętymi oczami i gdyby nie westchnienia, którym coraz towarzyszyło głośnie „oj”, mogłoby się wydawać, że śpi. Przy „wschodniej” ścianie dwaj znakomici polscy mistrzowie — reb Awrejml, zięć zmarłego „cadyka” i reb Hejnech, bijąc rękami w ścianę, odmawiali „Tkine-Zojer”.

Reb Icie podniósł swe załzawione oczy na Mordchego i patrzył nań wzrokiem wezbranym tyłą litości, że Mordchemu ścisnęła się krtań.

We drzwiach stał bosy Sruel i trzymał się za nos. Zbliżył się do mar, uchylił kapoty i stanął naprzeciw zmarłego — twarzą w twarz:

— Kocki rebe, uczniowie twoi rzucili losy, komu z nich jaką część twego świętego ciała ma przypaść do rytuału obmycia!

Dobre to na wypadek, gdy ciało jest, jako napisane, „mięsem ofiarnem, które nie ześmierdziało”. Lecz jakże postąpić, kocki rebe, na wypadek, gdy ciało cuchnie? Jakiż wtedy nakaz i przepis — — —

„Szames” wraz z kilkoma krewniakami nie pozwolili mu dokończyć i, schwyciwszy go pod pachę, wyprowadzili z komnaty.

Reb Icie nie odezwał się ani słówkiem, wcisnął głowę między ręce i rozekłał się jeszcze głośniej. Reb Henech podszedł do reb Awrejml i zapytał go:

— Wiesz, czego uczono nas w Kocku?

Reb Awrejml otworzył swe bogobojne oczy i milczał.

— Uczono nas, aby człowiek przez całe życie pamiętał, że jest śmierdziuchem.

Z okolicznych miasteczek przybywały wciąż bryki z chasydami. Tłumy zwarły się ramię przy ramieniu, stały bez ruchu jak wylany mur. Niepodobna było wyobrazić sobie, jak przeniosą nieboszczyka do „mikwy”, aby poddać go rytuałowi obmycia Chasydzi ze zwieszonymi głowami, podawali sobie z ust do us, zajście z bosym Srulem, i pewni byli, że coś się stanie. Naraz ktoś krzyknął, że niosą „cadyka”. Ścisnięty mur, jakby wylany z granitu, jęknął, pękł, rozwarł się, niby cudem, na dwoje, i ze wszystkich stron rozlegały się głosy:

— Rozstąpcie się!

— Rozstąpcie się!

— Miejsce dla noszących mary!

— Ot, idą!

Co krok noszący mary luzowali się, oddawali „micwo” noszenia mar krewniakom, brali od tłumu „kwitki” — i kładli je na marach.

„Mikwa” była niewidoczna z pod chmary ludzi. Chasydzi oblegli ściany, uczepili się okien, wisieli na dachu, trzymali się

za kominy, klóćąc się i bijąc o kawałek miejsca. Z ust do ust podawano sobie nazwiska tych, którzy dostąpili czci wykonania rytuału obmycia.

— Taki zaszczyt!

— Pewnikiem zasłużył na to!

— W „Bractwie Pogrzebowem” znajdują się jeszcze czcigodniejsi żydzi, niż Mojsie-kuśnierz — — —

— A jeśli jest kuśnierzem, to co?

— Lajzer chciał mu dać sto złotych odstępnego.

— Słyszycie?

— A jednak nie przyjął! Mojsie nie sprzedał mu swego „zaszczytu”, choć skończony z niego kapcan!

„Mikwa” była tak natłoczona ludźmi, że świece gasły Dziesięciu żydów, którzy mieli zająć się rytuałem obmycia, stanęło dokoła nieboszczyka i podzieliło między sobą jego ciało, wedle stosunku członków do dziesięciu sfer. „Szames” reb Fawesz wywoływał kolejno:

— Reb Icie „zajmie się” przypadającą mu w czcigodnym udziale świętą głową „cadyka”, reb Hejnech—przypadającą mu w czcigodnym udziale prawą ręką, reb Mojsie - kuśnierz — lewą „cadyk” z Przysuchy — — — — —

Gdy rozpoczął się rytuał obmycia, ktoś zaintonował „Psalmy”. Tłum podchwycił modlitwę omdlałemi głosami i rozkiwał się z zarzuconemi w tył głowami lub rękami. Gdyby mieli na sobie „talesy”, mogłoby się wydawać, iż rzesza żydów zatopiona jest w lamentującej modlitwie „Nehilo” w Sądny Dzień.

Naraz zaległa cisza. Po chwili słychać było, jak żydzi zaczęli przy rytuale obmycia sprzeczać się o coś. Tłum wspiął się na palce i nadstawił uszu:

— Woda za płytka!

— Obmyć w pozie stojącej nie można!

— Wszak musi się odbyć wedle Zakonu!

— Niech więc reb Icie zepchnie świętą głowę „cadyka”!

— „Cadyk” może sam się obmyć! — reb Icie rzekł głosem nabrzmiałym wiara — Albowiem napisane jest: „Więksi są cadycy po śmierci, niżli za życia”.

Tłum drgnął, zachwiał się. Chasydzi zaczęli szeptać sobie do ucha:

— Cóż ty na to?

— Ha?

— Cud?

— Cud!

— Stał się cud!

— Woda podniosła się ponad głowę reb Mendele...

— I „cadyk” obmył się!

— Wszak w tem sedno rzeczy!

— Któż pojmie drogi „cadyka”?

— Cud nad cudami!

Nad otwartą mogiłą chasydzi splekli podwójny łańcuch z rąk. Suchy śnieg bryzgał i obielił kirkut. Rodzina „cadyka”, stała bezradnie, już nie mając więcej sił do lamentowania. I tylko Tmerl wylewała serce przed szwagrem, coraz załamując swe piękne ręce, wychylające się z luźnych rękawów. Rękawy zakasały się, a jej białe ręce, bielsze od śniegu, rwały się ku mogile, rzucając popłoch wśród rytualników, zajętych pogrzebem „cadyka” i podniecając ciekawość:

— Któż to?

— Któż to?

— Szwagierka „cadyka”.

— Przecież to Temerl!

— Ta, którą schwytano?

— Tak, tak! Ta sama!

— To-ci cnotka, co się zowie!

— Stul gębę!

— K:óż, myślicie, zostanie „cadykiem”?

— Reb Icie!

— A cóż reb Duwidł, pozwoli na to?

— Sza, sza!

— Odmawiają „kadysz”

W tej samej chwili, gdy reb Duwidł skończył „kadysz”. Temerl podeszła doń zuchowato i powitała go:

— Mazel-tof, rebe!

„Dworscy” zaczęli się wysuwać z ciżby, obstąpili reb Duwidł, oddawali mu mazel-tof i czekali, aby zbliżyła się do nich masa chasydzka. Lecz wyglądało tak, jakgdyby gromadka chasydów oderwała się od olbrzymiego tłumu, który z wybałuszonemi oczami sterczał na miejscu.

Zausznicy reb Mendele odszukali w tłumie reb Iciego, spleli dokoła niego łańcuch z rąk i z tysięcy ust rwały się ku niemu okrzyki:

— Mazel-tof, rebe!

— Mazel-tof, rebe!

— Mazel-tof!

Mordche wracał do domu głodny, wyczerpany. Nie dziwił się zgoła, że opadł go tłoczący smutek, który w miarę zbliżania się do mieszkania Strahla coraz się wzmacniał. Zdawał sobie sprawę, że jutro rano, gdy opuści Polskę, spali za sobą wszystkie mosty, oddali się od życia, pełnego wątpliwości i cierpień, puści się na nieznaną drogę i rozpocznie nowy żywot. Nie uświadamiał sobie, na czem polega ten nowy żywot, wszelakoż miał przeświadczenie, iż będzie odmienniejszy niż obecny, iż musi takim być! Mordche tłumaczył sobie swą boleść śmiercią „cadyka”, strapieniem, jakiego przysporzy rodzicom, choć serce podszeptowało mu, że to nieprawda, że okłamuje siebie samego, że na drodze jego żywota stoi mu coś na zawadzie, z czego po-

winien się oswobodzić. Lecz ilekroć brał się w karby, wszystko dokoła rozplywało się, a smutek wzrastał.

Brodząc po głębokim śniegu na środku ulicy, wspinał się w górę, dreptał na dół, i nie spostrzegł, iż zapadł już zmierzchu. Oplukiwał się w głębi swojej duszy i ujrzał własne oblicze, tak szpetne, że zapłonął ku sobie nienawiścią. Przyspieszył kroku, jakgdyby bał się pozostać ze sobą. Zaszedł za miasto. Tam sam rozkwitały gwiazdy — maleńkie, iskrzące, odbłyaskujące w śniegu. Nabiegły cienie — długie, cienkie, rozesłały się sąznięmami i stopniały. Mordche szedł w rozkraczonymi palcami, jakb, pragnął coś zgruntować. Spuszczał się coraz głębiej i głębiej czując, iż nienawiść ku sobie pierzcha, iż poznaje swoje oblicze, tak ludzkie... Więc przyszło mu na myśl, że zło i dobro nie istnieją zgoła, wszystko zależy od miary wgłębiania się człowieka w swoją duszę. — — — — —

Mordche stanął, obejrzał się, kto go woła i ujrzał Felicję nadchodzącą z ogrodu. Nagle wyjaśniła mu się przyczyna jego smutku. Felicja zbliżyła się doń, przynosząc z sobą przyjemną woń sosnowego lasu.

— Wracacie z pogrzebu?

— Tak!

— Powinniście się mieć na ostrożności — Felicja prawie szepnęła — szukają was.

— Nie ukrywam się.

— O, ho — ujęła Mordchego za rękę i uśmiechnęła się dwuznacznie. Mordche spojrzał na nią obojętnym wzrokiem.

Dobrze usposobiona wzięła go pod ramię, postąpiła kilka kroków i zaczęła:

— Wiecie, pierwszy raz zdarza mi się, że dziś bałam się przejść sama ogrodem. Zdawało mi się ciągle, że ktoś za mną idzie — — — Przez całą drogę myślałam o „cadyku”. Czy to prawda, że trzymaście lat był zawarty w komnacie?

Mordche skinął głową i szedł dalej w milczeniu.

Gęsty sad zdawał się rozrzedzony. Drzewa z obu stron aleji, które latem schodziły się swemi liśćmi, przypominając wejście do mrocznej pieczary, stały teraz nagie z wypartemi tu i owdzie z pod śniegu korzeniami i grudami ziemi, porośniętej trawą. Gdzieś rozlegało się krakanie wrony, odbijające się niesamowitem echem w opustoszałym sadzie.

— Zazdroszczę wam, że wyjeżdżacie — odezwała się Felicja — wszystko mi tak obmierzło! Kręcę się tu sama jedna — — — już blisko tydzień, jak pan Strahl, siedzi sobie w Warszawie.

Na jej twarzy zaigrał uśmiech, jakgdyby na znak, że żartuje, że nie potrzebuje, aby okazano jej litość. Ożywiła się i zaczęła przyspieszać kroku, wtem spostrzegła, że sznurowadło u bucika rozwiązało się, więc zatrzymała się i rzekła do Mordchego:

— Bądźcie tak łaskawi i zwiążcie mi sznurowadło!

Mordche osunął się na śnieg, zaczął zawiązywać sznurowadło, dotknął jej cienkiej nogi, miękkiej pończochy, związał kordkę, z powrotem ją rozwiązał. Felicja buchnęła śmiechem i zuchowato pociągnęła go za ucho:

— Tak długo?

Rozmowa przy kolacji jakoś się nie kleiła. Coś, czego nie można ująć, ani nazwać, ścieśniło im olbrzymi pokój. Felicja wyjęła „Irydjona“, przeczytała stronicę i rzuciła książkę na otomanę. Podeszła do pianina, dobyte kilka akordów, zatrzasnęła wieko i stanęła przed Mordchem ze splecionymi rękami, jak uczenica. Mordche drgnął. Niepokój pierzchnął z jej twarzy, a z oczu patrzyła dziecięca niezaradność. Nagle objęła go, pocałowała i tuląc się doń, dygotała:

— Idź spać, masz jutro wstać wcześniej! Idź spać, Mordche!

Wytrzeźwiony schwycił jej rękę, obsypywał ją pocałunkami, długo, upojnie. Nie spostrzegł wcale, gdy odwróciła się i znikła.

Wszedł do swego pokoju, wyciągnął się na łóżku, chciał zasnąć. Jego rozżarzony mózg płonął, kotłował się, wyrzucał

nieskończony szereg planów, które po chwili się unicestwiała, a myśli jego przeskakiwały jedną przegrodę za drugą, lecz naraz, jakby zaczarowane, osadziły się przed słomką i, przykute do miejsca, wijąc się w boleściach, rozpoczynały swe harce od nowa. Spacerował na bulwarach paryskich, toczył rozmowy z reb Iciem, z rodzicami, pocieszał Rachelę, Rywkele i błagał Felicję...

Zeszedł z łóżka i podkładał się na palcach. Stał pod drzwiami pokoju Felicji. Drzwi były zamknięte. Nie wiedział, że Felicja nie śpi, że każdy jej nerw łka w mroku. Z zamkniętymi oczami oboje czekali na cud i, głusi na cichy płacz, wymijali się wzajemnie. — — — — —
— — — — —

New - York 1915—1919.



INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

CZEŚĆ PIERWSZA.

W LASACH POLSKICH.

1	Ród Mordchego	7
2	Mordche i jego ojciec	12
3	Lasy polskie	24
4	Procesja	32
5	Reb Icie — kabalista	39
6	Noc w lesie	49
7	Dwojrele	85
8	Biczowanie	63
9	Kidysieś - Lajwe i Antychryst.	73
10	Nici	82

CZEŚĆ DRUGA.

K O C K.

1	W drodze do cadyka	95
2	Reb Mendele „kocki“	139
3	„Apikojres“ — „Heretyk“	162
4	Ostatni	175
5	„Wielka Improwizacja“	184
6	„Nagroda i kara“	198
7	Gdyby choć mleć pewność	202
8	Spuszczone oczy	213
9	„Tyfejres“ — „Majestat“	221
10	Salomon Molcho	233
11	„Magid“	241

CZEŚĆ TRZECIA.

PRZED BURZĄ.

1	Rzym i Jerozolim	255
2	Krew i ogień	269
3	Skon	299

Najważniejsze omyłki druku (oprócz znaków przestankowych).

Stronica:	Wiersz:	Zamiast:	Powinno być:
13	12 od dołu	wobec siebie	siebie
79	6 od góry	i strzelając	które, strzelając
102	1 "	na kielni	w kielni
105	1 od dołu	sterczący	który, stercząc
123	1 od góry	tką	tak
153	9 od dołu	siedzi	siedział
180	2 "	miałem	miał
210	3 od góry	siłą	siła
211	16 "	zawapza	zawadza
213	3 "	wionęło	wionęła
227	5 "	drugich	drugimi
235	1 od dołu	że	dłaczego
250	6 "	Jaka lista	Jaką listę
257	8 "	na których	w których
261	6 od góry	pevien	pewnego
269	7 "	opuszczono: Rozdział II Krew i woda	
273	13 "	przenoszę	przenocuję
273	4 "	jego	czego
274	14 "	dał	dał
280	3 "	wpidając	wpijając
291	11 od dołu	nieznajany	nieznajomy
294	9 od góry	wrące	wrzące
305	1 "	pratgnał	pragnął
307	11 "	urwanemi słowami	słowami tak urwanemi

Wypadły przy łamaniu pojedyncze litery w następujących wyrazach:

str. 7 lecz; 33 ciężkiej; 65 ze snu; 96 koniuszczku; 124 miejsca; 211 ktoś; 216 Nie; 220 Przysiadł; 243 umilknął; 250 wyrósł; 257 chrześcijański; 258 imię; 258 zapalały, świata; 273 gdy, drogach, ludzi, ino; 290 łoskotem; 303 przecierał; 309 czcigodniejsi, zając; 310 Temerł; 312 i, jakby.

K
1085